

Numer 1 na liście bestsellerów New York Timesa

JIM BUTCHER

AKTA DRESDENA

ROZMOWY POKOJOWE

*Magia.
Potrafi zabić.*

**JIM
BUTCHER**
AKTA DRESDENA
ROZMOWY POKOJOWE

PRZEŁOŻYŁ ROBERT WALIŚ

WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2021

Tytuł oryginału: *The Dresden Files – Book Sixteen. Peace Talks*
Copyright © 2020 by Jim Butcher Copyright for the Polish
translation © 2021 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja
Korekta: Magdalena Górnicka
Ilustracja na okładce: Chris McGarth Opracowanie graficzne
okładki: Piotr Chyliński
ISBN 978-83-66712-69-0
Wydanie I

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa tel./fax 228 134 743
www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:
Dressler Dublin sp. z o. o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
tel. 22 733 50 10
www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie Zecer

Dla Frostbite'a Doomreavera McBane'a Butchera.
Brakuje mi Ciebie, mały.

1

Mój brat popsuł idealną przebieżkę, oznajmiając: „Justine jest w ciąży“.

To całkowicie wybiło mnie z transu i nagle zdałem sobie sprawę z pieczenia w nogach i swojego ciężkiego oddechu. Zgubiłem rytm i stopniowo zwolniłem do marszu. W błękitnym świetle lipcowego przedświtku plaża Montrose świeciła pustkami. Jeszcze nie było gorąco. Właśnie dlatego wstałem o wpół do niehumanitarnej godziny.

Thomas także zwolnił i teraz szliśmy ramię w ramię. Ciemne włosy związał w kucyk. Tak samo jak ja miał na sobie stary T-shirt, spodnie od dresu i sportowe buty. Był tak przystojny, że w jego towarzystwie ludzie rozglądali się niespokojnie, sprawdzając, czy nie padli ofiarą żartu.

Poza tym był wampirem.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem – odezwałem się. – Zabrałeś mnie z domu z samego rana, przyjechaliśmy aż tutaj i przebiegliśmy dziesięć kilometrów po piasku, a wszystko to bez choćby jednego słowa. Całe miasto jest pogrążone w ciszy i spokoju. Nie widzieliśmy prawie żadnych samochodów.

– Tak? – odrzekł Thomas.

Skrzywiłem się.

– Dlaczego musiałeś to wszystko popsuć?

Kącik jego ust drgnął.

– Wybacz, że zakłócam twoją celebrację męskości, Hemingwayu.

– Nnngh – mruknąłem.

Już prawie skończyliśmy ostatnie kółko i powoli wracaliśmy do samochodów. Zatrzymałem się, odwróciłem w stronę jeziora i odetchnąłem. Obciążona kamizelka, którą miałem na sobie, uwierała mnie w ramię i ograniczała ruchy, więc z irytacją poruszyłem ręką.

Daleko ponad jeziorem błękit zaczął się rozjaśniać. Zbliżał się wschód słońca.

– Jesteś pewien? – spytałem.

– Bardzo – odpowiedział.

Zerknąłem na niego z ukosa. Na jego idealnie symetrycznej twarzy malowało się napięcie. Jego oczy, czasami niebieskie, a zazwyczaj szare, przybrały srebrzysty, połyskliwy odcień. Wiedziałem, co się z nim dzieje. Był Głodny.

– Jak to się stało? – spytałem.

Popatrzył na mnie, nie obracając głowy i uniósł brwi.

– Nikt nigdy nie rozmawiał z tobą o tych sprawach?

Skrzywiłem się.

– Nie uważaliście?

– Owszem – odrzekł Thomas. – Poza tym mój lud zazwyczaj jest bezpłodny. A jednak się stało.

– Co teraz będzie?

– To, co zazwyczaj. Tylko że Głód dziecka będzie odbierał Justine energię życiową i na następne siedem i pół miesiąca zmieni ją w źródło pokarmu.

Przyjrzałem mu się uważnie.

– To niebezpieczne?

Przełknął ślinę.

– Zgodnie z rodzinną kartoteką nieco ponad połowa kobiet nie przeżywa porodu albo umiera wkrótce potem.

– Na dzwony piekieł. – Wbiłem wzrok w wodę. Błękit pojaśniał, a następnie ustąpił przed pierwszą falą złocistego blasku. Chicago budziło się wokół nas. Szmer samochodów na autostradach powoli przybierał na sile. W rezerwacie na końcu plaży rozśpiewały się ptaki.

– Nie wiem, co mam robić – rzekł Thomas. – Jeśli ją stracę...

Nie dokończył. Nie musiał. W tym urwanym zdaniu krył się cały wszechświat cierpienia.

– Poradzicie sobie – odpowiedziałem. – Pomogę wam.

– Ty? – zdziwił się Thomas. Niewyraźny uśmiech na chwilę rozjaśnił jego profil.

– Musisz wiedzieć, że od ponad miesiąca jestem pełnoetatowym tatą, a Maggie wciąż żyje. To dowodzi, że mam obłędny talent rodzicielski.

Uśmiech zgasł.

– Jasne. Ale... Harry...

Położyłem dłoń na jego ramieniu.

– Nie szukaj problemów na siłę, już i tak jest ich wystarczająco dużo. Ona potrzebuje opieki. Cokolwiek będzie trzeba zrobić, zajmiemy się tym.

Przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu, a potem skinął głową.

– A tymczasem powinienesz zadbać o siebie, żeby mogła na ciebie liczyć – dodałem.

– Nic mi nie jest – odparł, lekceważąco machając ręką.

– Nie wyglądasz dobrze.

Gwałtownie się na mnie obejrzał. Wyraz jego twarzy uległ zmianie. Nagle przestał przypominać człowieka, a upodobnił się do marmurowego posągu.

Bardzo wściekłego posągu. Moje ciało odruchowo się napięło, wyczuwając bliskość niezwykle groźnej istoty.

Posłał mi surowe spojrzenie, ale w tym celu musiał podnieść wzrok. Mój starszy brat ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ale ja przekraczam dwa metry. Zazwyczaj mam nad nim większą przewagę podczas takich konfrontacji, ale w tej chwili stałem w zagłębieniu w piasku.

– Oduść, Harry – odezwał się lodowatym tonem.

– Jeśli tego nie zrobię, uderzysz mnie? – spytałem.

Skrzywił się.

– Ponieważ teraz jestem Kapitanem Zimą, może nie pójść ci tak dobrze, jak podejrzewasz.

Uśmiechnął się kpiąco.

– Nie żartuj. Związałbym cię twoimi własnymi flakami.

Zmrużyłem oczy. Potem odezwałem się powoli, starannie dobierając słowa.

– Jeśli o siebie nie zadbasz i nie przestaniesz się zachowywać jak niespełna rozumu, być może się o tym przekonamy.

Jego oblicze spochmumiało i otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

– Nie – przerwałem mu. – Nie zrobisz tego. Nie pogrążysz się teraz w egzystencjalnych lękach jak jakiś emo wampir. To samolubne i nie możesz sobie pozwolić na takie myślenie. Już nie.

Wpatrywał się we mnie przez chwilę, najpierw z wściekłością, potem z zadumą, wreszcie z niepokojem.

Fale rozbijały się o brzeg.

– Muszę o nich myśleć – odezwał się.

– Jak przystało na dobrego człowieka – odrzekłem.

Jego szare oczy skierowały się w stronę jeziora.

– Wszystko się zmieni – stwierdził.

– Tak.

– Boję się – dodał.

– Tak.

Jego ciało się rozluźniło i nagle znów stał się po prostu moim bratem.

– Przepraszam, że się zdenerwowałem. Nie lubię... rozmawiać z tobą o sprawach wampirów.

– Wolałbyś, żebyśmy byli normalnymi braćmi i mieli normalne problemy – odrzekłem.

– A ty nie? – spytał.

Przez chwilę wpatrywałem się w swoje stopy.

– Być może. Ale nie można ignorować prawdy tylko dlatego, że jest niewygodna. Jeśli będzie trzeba, przypilnuję cię, żebyś o siebie zadbał, ale chyba będzie lepiej dla nich, jeżeli sam to zrobisz.

Pokiwał głową.

– Zapewne. Mam w głowie pewne rozwiązanie – dodał. – Popracuję nad nim. To wystarczy?

Uniosłem obie dłonie.

– Nie jestem twoim tatą – odrzekłem, a następnie zmarszczyłem czoło. – A skoro o tym mowa, czy rodzina twojego taty będzie sprawiała kłopoty?

– A kiedy ich nie sprawia?

– Ha. – Zapadła długa cisza. Na niebo nad jeziorem wypłynęła pierwsza fala pomarańczowego blasku. Dotarła już do drapaczy chmur za naszymi plecami. Światło miarowo sunęło w dół ścian budynków.

– Czasami nienawidzę tego, czym jestem – rzekł Thomas. – Nienawidzę być sobą.

– Może czas nad tym popracować – odparłem. – Czegóż takiego nie warto wpajać małemu dziecku.

Popatrzył na mnie surowo.

– Od kiedy jesteś takim mędrcom?

– Poprzez doświadczenie mądrość zdobyłem – odrzekłem głosem Yody, ale załaskotało mnie od tego w gardle i zaniosłem się kaszlem. Zmagałem się z nim dłużej, niż to było konieczne, a kiedy znów się wyprostowałem, Thomas nagle odezwał się napiętym głosem: – Harry.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że zbliża się do nas młody mężczyzna.

Carlo Ramirez był średniego wzrostu i miał wysportowane ciało. Wyraźnie zmęźniał i wydoroślał, ale z jakiegoś powodu wciąż widziałem w nim dawnego patykowatego dwudziestolatka. Zapamiętał ciemne włosy, a jego skóra zbrązowiała, po części naturalnie, a po części od słońca. Chodził z trudem, kulejąc i podpierając się grubą laską pokrytą wyrzeźbionymi symbolami – swoją laską maga. Miał na sobie jeansy, podkoszulek bez rękawów i lekką kurtkę. Jako zaprawionego w boju wojownika warto było mieć go u boku, a poza tym był jedną z niewielu osób w Białej Radzie, którą uznawałem za przyjaciela.

– Harry – odezwał się, a następnie ostrożnie skinął głową do Thomasa. – Raithu.

Mój brat odwzajemnił gest.

– Dawnośmy się nie widzieli.

– Od czasów Czeluści – przyznał Ramirez.

– Carlosie, jak twoje plecy? – spytałem.

– Teraz potrafię przewidzieć, kiedy będzie padać – odrzekł, posyłając mi uśmiech. – Na jakiś czas muszę zrezygnować z tańca, ale nie będę tęsknił za tym cholernym wózkiem.

Uniósł dłoń i zderzyliśmy się pięściami.

– Co cię sprowadza z wybrzeża?

– Sprawy Rady – odpowiedział.

Thomas pokiwał głową.

– Pójdę już.

– Nie ma takiej potrzeby – odrzekł Ramirez. – Dzisiaj rano zostanie to podane do publicznej wiadomości. McCoy uznał, że lepiej będzie, jeśli powiadomi cię ktoś, kogo znasz, Harry.

Mruknąłem pod nosem i rozpiąłem obciążaną kamizelkę. Sprawy Białej Rady zazwyczaj przyprawiały mnie o ból głowy.

– O co chodzi tym razem?

– O rozmowy pokojowe – wyjaśnił Ramirez.

Uniosłem brew.

– Poważnie? Z Fomorami?

Nadprzyrodzony świat ostatnio stał się nieco niestabilny. Jakiemuś szaleńcowi udało się zmieść z powierzchni ziemi Czerwony Dwór Wampirów, a powstała w ten sposób próżnia zaburzyła odwieczną równowagę władzy. Najpoważniejszym skutkiem powstałego chaosu było pojawienie się Fomorów, podmorskich istot, o których praktycznie nie wspomiano za mojego życia, a które zaczęły przejmować terytorium innych potęg i siać zniszczenie w świecie śmiertelników, obierając za cel głównie ludzi ubogich i imigrantów, w których obronie nie miał kto stanąć.

– Odbędzie się zgromadzenie sygnatariuszy Przymierza – potwierdził Ramirez. – Pojawią się tam wszystkie najważniejsze potęgi. Wygląda na to, że propozycja wyszła od Fomorów. Chcą zażegnać konflikt. Wszyscy wysyłają swoich przedstawicieli.

Zagwizdałem. To by było coś. Zgromadzenie wpływowych członków największych potęg nadprzyrodzonego świata w czasach wielkich napięć i rozpalonych temperamentów. Współczułem biednemu miastu, w którym ta mała impreza dojdzie do skutku. Chociaż...

Poczułem, że opada mi szczęka.

– Chwileczkę. Zrobią to tutaj? Tutaj? W Chicago?

Ramirez wzruszył ramionami.

– Tak, właśnie dlatego McCoy posłał mnie do ciebie.

– Kto wpadł na ten idiotyczny pomysł? – spytałem.

– To drugi powód mojej wizyty – odrzekł Ramirez z uśmiechem. – Miejscowy baron zaproponował im gościnę.

– Marcone? – spytałem ostro.

Gentleman Johnnie Marcone, były przywódca złodziejskiej ekipy z Chicago, był teraz Baronem Marcone'em, jedynym śmiertelnikiem, który podpisał Przymierze. Udało mu się to osiągnąć kilka lat temu i od tamtej pory rozbudowywał swoje imperium.

– Tamten numer, który wywinął razem z Mab wiosną – odezwałem się z wściekłym grymasem.

Ramirez wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

– Marcone zapędził Nicodemusa Archleone w kozi róg i wszystko mu odebrał, nie łamiąc przy tym żadnego z zapisów Przymierza. Cokolwiek o nim myślisz, facet zna się na rzeczy. Zrobił wrażenie na wielu osobach.

– Tak – przyznałem ponuro. – To wszystko jego sprawka. Powiedz, że Rada nie chce, żebym to ja był naszym wysłannikiem.

Ramirez zamrugął.

– Co takiego? Och... mój Boże, ależ nie, Harry. To znaczy... po prostu nie.

Mój brat zakrył usta dłonią i zakaszał. Postanowiłem zignorować zmarszczki w kącikach jego oczu.

Ramirez odchrząknął.

– Ale spodziewają się, że w razie potrzeby będziesz pośredniczył w rozmowach Rady z Zimowym Dworem i zapewnisz bezpieczeństwo Radzie Starszych. Wszyscy będą korzystali ze statusu gości, ale mimo wszystko zabierają ze sobą własną ochronę.

– Ufaj, ale kontroluj – odrzekłem. Z obrzydzeniem zdjąłem obciążaną kamizelkę i rzuciłem ją na plażę. Upadła z ciężkim łupnięciem.

Ramirez uniósł brew.

– Jezus, Harry. Ile to waży?

– Sto kilogramów.

Pokręcił głową. Na chwilę pogrążył się w myślach. Już wcześniej widziałem ten wyraz twarzy u ludzi, którzy zastanawiali się: „Ciekawe, czy Harry Dresden wciąż jest Harrym Dresdenem, czy może Królowa Powietrza i Ciemności zmieniła go w swojego osobistego potwora“.

Ostatnio często się z nim spotykam. Czasami widzę go w lustrze.

Ponownie wbiłem wzrok w swoje stopy i w ziemię. Widziałem je wyraźniej, skoro słońce zbliżyło się do horyzontu.

– Jesteś pewien, że Rada Starszych chce, żebym zapewniał im ochronę? – spytałem.

Ramirez zdecydowanie pokiwał głową.

– Decyzja należy do mnie. Powiedzieli, że mogę zwerbować własną drużynę, więc wybieram ciebie. Przydasz mi się.

– Będiesz mógł go mieć na oku – mruknął Thomas.

Ramirez uśmiechnął się i skłonił głowę.

– Być może. A może po prostu mam ochotę zobaczyć, jak płoną kolejne budynki. – Skinął do mnie głową. – Harry. Będę w kontakcie.

Odwzajemniłem gest.

– Miło było cię zobaczyć, Los.

– Raithu – rzekł Ramirez.

– Strażniku Ramirez – odpowiedział mój brat.

Carlo odszedł, podpierając się laską, poruszając się bez gracji, ale dość energicznie.

– No dobrze – odezwał się Thomas, ze zmrużonymi oczami patrząc na oddalającego się Ramireza. – Chyba już pójdę. Sprawy wkrótce się skomplikują.

– Nie możesz być tego pewien – odparłem. – Być może to będzie sympatyczna kolacyjka, wszyscy chwycą się za ręce i razem zaśpiewają.

Zerknął na mnie z ukosa.

Ponownie popatrzyłem na swoje stopy.

– A może nie.

Parsknął, klepnął mnie w ramię i bez słowa ruszył w stronę samochodu. Wiedziałem, że na mnie zaczeka.

Kiedy odjechał, podniosłem swoją obciążoną kamizelkę, a potem odwróciłem się i w promieniach słońca, które wreszcie wyłoniło się zza horyzontu, uważnie przyjrzałem się zagłębieniu, w którym stałem.

To był odcisk stopy.

Miał ponad metr długości.

Dostrzegłem trzy takie ślady oddalone o kilka metrów. Trop prowadził do wody. Przybierający na sile wiatr znad jeziora już zaczynał zacierać krawędzie śladów.

Może ich pojawienie się było całkowicie przypadkowe.

Albo i nie.

Zarzuciłem sobie kamizelkę na ramię i ciężkim krokiem ruszyłem w stronę auta. Miałem dojmujące przeczucie, że moje życie niedługo

znów się skomplikuje.

Thomas wrócił ze mną do domu na potreningowe śniadanie.

Tak naprawdę to był dom Molly, ale ona rzadko się pojawiała, a ja tam mieszkowałem.

Ambasada Ciemnych Elfów w Chicago mieściła się w niewielkim eleganckim budynku w dzielnicy biznesowej i dysponowała ogromnym trawnikiem, zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę cenę nieruchomości w mieście. Taki budynek powinien być pełen ludzi w surowych biznesowych strojach, zajmujących się pieniędzmi oraz liczbami, które są zbyt skomplikowane, kłopotliwe i nudne, by ktokolwiek inny je zrozumiał.

Tak się składa, że nie było to dalekie od prawdy.

Na podjeździe od niedawna stała budka strażnika, a siedzący w niej nijaki mężczyzna ubrany w równie nijaki drogi, doskonale dopasowany garnitur i ciemne okulary podniósł wzrok znad swojej książki. Zatrzymaliśmy się przy okienku.

– Fioletowy mustang wzbija się do lotu – odezwałem się.

Strażnik wbił we mnie wzrok.

– Eee... chwileczkę – powiedziałem i zamyśliłem się. – Smutny wtorek to nie problem dla lokalnych władz?

Wciąż się we mnie wpatrywał.

– Nazwiska.

– Och, daj spokój, Austri – zachnąłem się. – Musimy bawić się w to od nowa każdego ranka? Wiesz, kim jestem. Psiakrew, wczoraj wieczorem przez godzinę patrzyliśmy, jak dzieciaki się ze sobą bawią.

– Wtedy nie byłem na służbie – odrzekł Austri całkowicie neutralnym tonem, patrząc na mnie bez emocji. – Poproszę o nazwiska.

– Naprawdę padłbyś trupem, gdybyś chociaż raz dał sobie spokój z protokołem bezpieczeństwa?

Znów popatrzył na mnie obojętnie, a potem powoli zamrugał.

– Niewykluczone. Właśnie dlatego stosujemy protokoły bezpieczeństwa.

Posłałem mu surowe spojrzenie maga, ale bezskutecznie. W końcu zamruczałem pod nosem jak Yosemite Sam i zacząłem grzebać w swojej torbie sportowej.

– Nazywam się Harry Dresden, jestem Rycerzem Zimy, wasalem Molly Carpenter, Zimowej Panny Dwom Sidhe, i przebywam tutaj jako jej gość. To jest Thomas Raith, również jej gość, przyjaciel Lady Evanny.

– Jest jednym z kochanków Evanny – uściślił Austri i skinął głową do Thomasa.

– Jak leci, Austri? – rzucił mój brat.

– Jestem na służbie – odpowiedział Austri poważnie, otworzył jakąś teczkę i zaczął przerzucać kartki ze zdjęciami w górnym narożniku. Zatrzymał się na moim profilu, starannie porównał mnie z wizerunkiem na fotografii, potem zrobił to samo z Thomasem i pokiwał głową. – Poproszę hasło.

– Chwileczkę. – W końcu na dnie torby znalazłem złożoną kartkę z tygodniowymi hasłami. Rozłożyłem ją, otrzepałem z piasku i odczytałem: – „Tort jest kłamstwem“. Co to w ogóle znaczy?

Austri przez chwilę wpatrywał się we mnie z frustracją, a potem westchnął. Przeniósł wzrok na Thomasa.

– A ty?

– „Żeby kózka nie skakała, toby nóżki nie złamała“ – błyskawicznie opowiedział Thomas, bez patrzenia na kartkę. Widocznie nie miał nic lepszego do roboty, tylko uczyć się na pamięć przypadkowych haseł.

Austri pokiwał głową z uznaniem, zamknął teczkę i ją schował.

– Zaczekajcie chwilę. – Wcisnął guzik i niemal bezgłośnie wypowiedział jakieś słowo, by rozbroić dwa tysiące zabójczych magicznych osłon, które oddzielały mnie od drzwi wejściowych. W końcu skinął głową. – Możecie wejść.

– Dziękuję – odrzekłem.

Rozparł się na krześle i odprężył, a wtedy maska nijakiego człowieka, która przesłaniała ciemnego elfa, stała się płynna i przejrzysta. Austri miał szarą skórę, mięśnie gimnastyka, głowę nieco za dużą względem reszty ciała i olbrzymie czarne oczy, jak

tamten obcy na nagraniu z sekcji zwłok. Pod powierzchowną iluzją kryło się spokojne i sympatyczne oblicze.

– Moja Ingri chętnie znów by się pobawiła z Maggie i Sir Myszkiem.

– Maggie również miałyby na to ochotę. Może odezwę się do pani Austri?

Pokiwał głową.

– To leży w zakresie jej obowiązków. Może wieczorem pogramy w karty?

– Chciałbym, ale nie mogę niczego obiecać.

Lekko zmarszczył czoło.

– Lubię mieć konkretne plany na wieczór.

– Służba – wytłumaczyłem.

Rozpogodził się i wziął do ręki książkę.

– Ależ oczywiście, to zmienia postać rzeczy. Proszę, daj znać, kiedy obowiązki znów pozwolą ci na poświęcenie nam czasu.

Skinąłem głową i ruszyłem dalej.

Austri był typowym ciemnym elfem. Chorobliwie skrupulatnym, wściekle pedantycznym, nieludzko zdyscyplinowanym, nieugięcie oddanym ideom honoru i obowiązku – ale po bliższym poznaniu okazywał się porządnym gościem. Na świecie jest miejsce dla każdego, co nie?

Przeszliśmy przez kolejne dwa punkty kontrolne, jeden w holu budynku, a drugi w windzie, która zwiozła nas do obszernego podziemnego kompleksu ambasady. Kolejny ciemny elf obejrzał moje prawo jazdy, potem mi się przyjrzał i uparł się, żeby zmierzyć mój wzrost i wziąć ode mnie odciski palców, by zweryfikować, że jestem sobą, a nie oszustem ubranym w płaszcz Harry'ego.

Pewnie nie powinienem kręcić na to nosem. Więcej kontroli to większe bezpieczeństwo, nawet jeśli czasami zajmowali się tym tacy złośliwcy jak Gedwig. Charakterystyczna dla ciemnych elfów mieszanka paranoi i drobiazgowości oznaczała, że moja córka była bezpieczniejsza pod ich dachem, ale czasami mi doskwierała i to był jeden z tych dni.

Wślizgnęliśmy się do mieszkania, które wciąż było ciemne i chłodne. Przez chwilę zachwyciałem się cudem klimatyzacji w lecie.

Magia i technologia nie idą w parze, a aura energii otaczająca maga takiego jak ja rozstraja każde urządzenie wyprodukowane po II wojnie światowej. W żadnym z miejsc, w których mieszkałem, klimatyzacja nie przetrwała dłużej niż kilka dni, ale ciemne elfy zbudowały mieszkanie specjalnie dla Molly. Miało działające światła, radio, gorącą wodę oraz klimatyzację, a ja nie miałem pojęcia, jak ten sprytny lud tego dokonał. Ciemne elfy były słynnymi rzemieślnikami. Powiadano, że potrafią zbudować wszystko, czego sobie zażyczysz.

Może powinienem skłonić Molly, żeby poprosiła o telewizor. Albo to internetowe... coś. Urządzenie. Jeden z tych internetowych dynksów. Skoro wszyscy szaleją na punkcie sieci, musi być w niej coś fajnego.

Kiedy wreszcie weszliśmy do salonu, Mister, mój wielki szary kocur, jak zwykle dopadł do moich pieszczeli, stawiając powitalną barykadę. Nachyliłem się, żeby podrapać go za uszami, jak lubił najbardziej, a on z wielkodusznością przyjął pieszczotę, a następnie pozwolił mi wrócić do moich spraw. Minął Thomasa, ocierając się pyszczkiem o jego nogę, by oznaczyć go jako swoją własność, a następnie oddalił się z królewską obojętnością. Mister nie był już pierwszej młodości kotem, ale wciąż wiedział, kto rządzi w mieszkaniu.

Moja córka wciąż spała na kanapie, okryta grubym kocem. Obok niej spoczywał kudłaty szary olbrzym wielkości konia, mój świątynny pies, Myszek. Nawet nie podniósł łba ani nie otworzył oczu, gdy weszliśmy. Tylko ziewnął i ułożył się nieco wygodniej, a następnie sapnął ciężko i spał dalej. Oddech Maggie na chwilę zgubił rytm; potem zanurzyła dłoń w futrze psa. Oboje westchnęli przez sen i znieruchomieli.

Przez chwilę stałem nieruchomo, tylko się im przyglądając.

Thomas w takich chwilach zazwyczaj krzątał się w kuchni i parzył kawę, ale dzisiaj stanął obok mnie i popatrzył na dziewczynkę i psa.

– A niech mnie – mruknął.

Pokiwałem głową.

– Wielka odpowiedzialność.

– Tak.

– Poradzisz sobie.

Popatrzyłem na niego. Nie byłem w stanie zdefiniować emocji, które malowały się na jego twarzy. Była to mieszanka tęsknoty i łagodnego, ale dotkliwego cierpienia.

– Nie sądzę, Harry – odrzekł.

– Nie bądź głupi – odparłem. – Kochasz ją. Pokochasz też dzieciaka. Oczywiście, że dasz sobie radę.

Smutny uśmiech dołączył do wcześniejszych emocji na jego twarzy.

Obaj ponownie popatrzyliśmy na śpiące dziecko.

W jej bezruchu kryło się coś, czego nie znałem, dopóki nie zacząłem się nią opiekować. Wrażenie... dogłębnego zadowolenia, które było mi obce. Maggie spała szczęśliwa i zdrowa – bezpieczna.

Odetchnąłem, żeby odzyskać równowagę. Zmęczenie ustąpiło, nie z mojego ciała, ale z jakiegoś głębszego, o wiele istotniejszego miejsca. Mój brat wypuścił powietrze w tej samej chwili i trącił mnie pięścią w ramię. Potem poszedł do kuchni, a ja ruszyłem w stronę prysznicza.

Długo wygrzewałem się pod strumieniem wody, a kiedy w końcu zacząłem się ubierać, usłyszałem głosy dobiegające z kuchni.

– Mleko nie ma uczuć – mówiła Maggie.

– Dlaczego nie? – odezwał się ktoś jeszcze młodszy.

– Ponieważ mleko jest nieożywione – odrzekła Maggie wesoło.

– Aha. – Przez chwilę panowała cisza. – Przecież się rusza.

– Ja je poruszyłam – wyjaśniła Maggie. – Potem jeszcze przez chwilę chlupocze.

– Dlaczego?

– Chyba z powodu grawitacji – odpowiedziała Maggie. – A może napędu.

– Chyba rozpędu? – Ta druga osoba miała cieńszy głos.

– Możliwe.

– A skąd o tym wiesz?

– Kiedy będziesz miała dziesięć lat, też będziesz dużo wiedzieć – odrzekła Maggie.

– Dlaczego?

Wszedłem do niewielkiej kuchni i zastałem tam Maggie w piżamie, zajętą robieniem bałaganu z pomocą Myszka i wyrzeźbionej z drewna czaszki. W oczodołach czaszki lśniły zielone punkciki światła, jak rozpalone węgle w jakimś dziwacznym ognisku. Na blacie piętrzyła się połowa zawartości spiżarni.

Zerknąłem na Thomasa, który siedział przy kuchennym stole z kubkiem kawy. Napełnił też mój kubek. Podeszedłem i wziąłem go do ręki.

– Nie zamierzałeś zainterweniować? – szepnąłem.

– Tak długo byłeś pod prysznicem, że już nie pamiętam, co sobie wtedy myślałem – odparł.

– Jak ona sobie radzi? – spytałem nieco ciszej.

– Całkiem dobrze – odpowiedział również przyciszonym głosem.

– Przywitaliśmy się, popatrzyliśmy sobie w oczy i najwyraźniej sprawiło jej to przyjemność. Spytała, czy mam ochotę na naleśniki.

– A ty się zgodziłeś?

– Harry, bądź poważny. Wszyscy pragniemy, żeby ktoś usmażył dla nas naleśniki, po prostu jesteśmy zbyt dorośli, żeby się do tego przyznać.

Upiłem łyk kawy, ponieważ nie sposób dyskutować z takim argumentem.

On również się napił.

– Powstrzymasz ją? – spytał.

Rozkoszowałem się cudem kawy, więc odpowiedziałem dopiero po przełknięciu pierwszego łyku.

– Lepiej wybadam sytuację.

Zabrałem swój kubek do kuchni i usłyszałem, że Thomas wstał, by mi towarzyszyć. Kiedy stanąłem w progu, drewniana czaszka zwróciła na mnie wzrok i oznajmiła z dumą: – Naleśniki są nieożywione!

– Zgadza się – odezwałem się do ducha wewnątrz czaszki. Zdecydowanie wolałem, żeby przebywał tam, a nie w mojej głowie. Duch intelektu, który powstał w moim umyśle, cały czas rósł i już wkrótce miał się w nim nie pomieścić. Udało nam się skutecznie wydobyć go z mojej głowy i przeprowadzić do drewnianej czaszki,

którą wyrzeźbiłem. Od tamtej pory musieliśmy sobie radzić z nieprzerwaną rzeką pytań. – Jak się miewasz tego ranka, Bonea?

– Ranek to czas po wschodzie słońca! – odpowiedziała niewielka czaszka. – Kończy się w południe!

Bonea знаła mnóstwo niepołączonych ze sobą faktów. Potrafiła wyjaśnić mnóstwo zagadek wszechświata, ale nie miała pojęcia, jaki one mają wpływ na prawdziwe życie. Dlatego kontakty z nią... wymagały wyczucia.

– Brawo, znów poprawna odpowiedź – odrzekłem. – Dzień dobry, Maggie.

– Cześć, tato. Smażę dla nas naleśniki na śniadanie.

– To wspaniale – odezwał się Thomas, dźgając mnie palcem w kark.

Maggie zerknęła na niego i posłała mu ukradkowy uśmiech. Nie musiałem się oglądać, żeby wiedzieć, że do niej mrugnął. Uniosłem brwi.

– No tak. Naleśniki. To coś nowego.

– Molly mówi, że trzeba być odważnym i próbować nowych rzeczy, by się rozwijać – odpowiedziała moja córka z powagą. – A Thomas mówi, że wszyscy lubią naleśniki.

– Wszyscy lubią naleśniki – powiedział Thomas.

Obejrzałem się przez ramię, dając mu do zrozumienia, żeby przestał mi pomagać. Uśmiechnął się do mnie niewinnie.

– No cóż, mają rację – odrzekłem poważnie. – Potrzebujesz pomocy?

– Poradzę sobie sama. Umiem obsługiwać kuchenkę, a Bonnie zna przepis.

– Znam dwieście dwadzieścia siedem przepisów na naleśniki! – oznajmiła Bonnie. – Produkty obecnie zgromadzone w kuchni pozwalają na zrealizowanie szesnastu z nich!

– Zdecydowałyśmy się na numer siedem – dodała Maggie. – Najlepiej zacząć od zera.

Zapowiadał się nie lada bałagan. Myszek oblizał pysk – mógłbym przysiąc, że wyglądał na zadowolonego z siebie. Czekало nas wielkie sprzątanie, ale Maggie powinna próbować nowych rzeczy, dlatego nachyliłem się i pocałowałem ją w głowę.

– Tylko ostrożnie z kuchenką. No i daj mi znać, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, skarbie.

– Widzisz, panno Maggie? – odezwał się Thomas. – A nie mówiłem?

Zmierzyłem go wzrokiem.

– Zaplanowałaś to wszystko, żeby dostać naleśniki?

Thomas zrobił poważną minę i popatrzył na Maggie szeroko otwartymi oczami.

– Nie zaprzeczam.

Przewróciłem oczami.

Moja córka zachichotała.

– Pan Thomas jest w porządku, tato.

– Jesteś jeszcze bardzo młoda. Pozwól, że ja się nim zajmę – odrzekłem. – Skup się na tym, co robisz, dobrze? Uważaj na siebie.

– W porządku.

Wróciła do swoich zajęć i chociaż wciąż miała zaspane oczy, skoncentrowała się na swojej pracy z szalonym zapałem, do jakiego o poranku jest zdolny tylko ktoś, kto jeszcze nie odkrył niepowstrzymanego zewu kawy.

Usiadłem na pobliskiej kanapie. Mieszkanie składało się z pojedynczego dużego pomieszczenia łączącego w sobie kuchnię, jadalnię i salon, których nie oddzielały ściany. Dwie pary drzwi prowadziły do dwóch sypialni, Molly i mojej. Tak naprawdę mój pokój również należał do niej, ale praktycznie nie wchodziła do niego od chwili, gdy się wprowadziłem, nie licząc kilku przypadków, gdy zajrzała na chwilę, by pogłaskać Myszka, połaskotać Maggie i przez chwilę miło ze mną pogawędzić.

Minęło sporo czasu, odkąd naprawdę ze sobą rozmawialiśmy.

Mieszkanie przypominało mi moje dawne lokum w piwnicy pensjonatu pani Spunkelcrief. Brakowało w nim tylko zatęchłego smrodu starej piwnicy. No i było większe. A także jaśniejsze. Oraz nowsze. I znacznie czystsze. Poza tym nie czułem się w nim komfortowo.

Chociaż przypominała norę, tamta stara klitka była moim domem. Niech szlag trafi wampiry, które ją spaliły. Niech szlag trafi

Marcone'a, który kupił całą nieruchomość i urządził w moim dawnym domu swoją nową bazę główną.

Tęskniłem za tamtym miejscem.

No cóż. Nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem. Życie stale się zmienia. Raz za razem nieprzyjemnie nas czymś zaskakuje. Trzeba stawiać mu czoło.

Thomas oparł się o ścianę w miejscu, z którego widział kuchnię, i popijał kawę, skupiając wzrok na Maggie.

– Żyjesz na krawędzi, co?

– Myszek da mi znać, jeśli pojawi się jakiś problem – odrzekłem.

– To dobry pies – zauważył Thomas.

– Jeśli chcesz, mogę napisać do brata Wanga i powiedzieć, że chcesz szczeniaka.

– Jednego już mu ukradłeś – parsknął Thomas.

– Przypadkowo – odparłem. – Poza tym sądzę, że futrzak celowo się oddalił. Chociaż bratu Wangowi to się nie podoba, raczej nie będzie rościł sobie do niego praw.

– No cóż, to pierwszorzędny pies – przyznał Thomas.

– Jeszcze jak – zgodziłem się.

– Zastanowię się – odrzekł Thomas. – Ostatnio wiele się dzieje.

Wciąż nie odrywał wzroku od Maggie.

– Hej, stary, wszystko w porządku? – spytałem.

Zerknął na mnie z ukosa i uśmiechnął się słabo.

– Po prostu... bardzo poważnie zastanawiam się nad przyszłością.

– No cóż, to zrozumiałe. – Zamknąłem oczy i poczułem, że moje kończyny pulsują tęnym bólem w rytmie bicia serca. Nagle głośno kichnąłem.

– Na zdrowie! – zawołała Maggie z kuchni.

– Nnngh – odpowiedziałem. – Dziękuję. – Pod wpływem kichnięcia poczułem we wszystkich członkach ból, który osłabł dopiero po kilku sekundach. Otworzyłem jedno oko. Coś było nie w porządku.

Moc Rycerza Zimy pozwalała mi dotrzymać kroku mojemu bratu wampirowi, gdy biegałem po piasku ze stukilogramowym obciążeniem. Między innymi tłumiała ból, tak że odczuwałem go

jedynie jako delikatne napięcie. Złamane kości powodowały lekki dyskomfort. Krwawiąca rana już zwracała na siebie uwagę, ale nigdy, przenigdy nie czułem zwykłego bólu.

Do tej chwili.

Głupia moc Zimy. Bezustannie podsycala we mnie pierwotne, dzikie emocje i żądze, które były jak podrasowane wersje moich własnych instynktów. Nie oddawałem się porannym treningom dla przyjemności. Robiłem to, ponieważ dyscyplina i rutynowa aktywność pomagały mi hamować pierwotne instynkty. Codzienne intensywne ćwiczenia zmuszały moc Zimy do zużywania energii na podtrzymywanie mojego ciała – zgodnie z moją wolą i w wybranym przeze mnie czasie – co zmniejszało presję na moje myśli. I chociaż byłem w stanie ignorować ból i dysponowałem nadludzką wytrzymałością, zachowanie kontroli wymagało bezustannego wysiłku.

– Ojej, nic ci nie jest, kujonie?

– To było dziwne – odrzekłem.

Mister wskoczył na kanapę i ułożył się na moich kolanach, wciskając głowę pod moją dłoń. Poglaskałem go machinalnie, a z jego ciała wydobyło się mruczenie, które przypominało odgłos czajnika z gotującą się wodą.

Kilka sekund później ponownie kichnąłem, jeszcze mocniej, a tym razem przeszła mnie fala wyczerpania tak silna, że prawie przewróciłem się na bok.

Rozległ się jakiś brzęk i chlupot. Mister zeskoczył mi z kolan i czmychnął. Dopiero po kilku próbach zdołałem skupić wzrok, a wtedy zobaczyłem, że przede mną leży na boku metalowy dzbanek z czarną plastikową rączką. Z mokrego dywanu obok dzbanka unosiły się smugi pary.

Zamrugalem i podniosłem wzrok na Thomasa. Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że nie ma pojęcia, co się stało. Obaj popatrzyliśmy na dzbanek.

Zmarszczyłem czoło i nachyliłem się, żeby dotknąć naczynia. Nie było aż tak gorące, by mnie oparzyć, ale prawie. Zamrugalem i sięgnąłem w stronę rączki. Podniosłem dzbanek. Rączka przez kilka sekund sprawiała wrażenie osobliwie miękkiej, a potem plastik,

metal i woda nagle zadrżały i zmieniły się w przezroczysty galaretowaty płyn, który przelał mi się przez palce na dywan. Ektoplazma, surowa materia duchowego świata.

Co, u diabła?

Ektoplazma jest dziwną substancją. Można ją ukształtować za pomocą magii i naładować energią, a dopóki nie przerwiemy dopływu tej energii, ektoplazma zachowa swoją formę. Duchy z Nigdynigdy potrafią tworzyć ciała, a następnie wykorzystać je w materialnym świecie, po którym wędrują jak astronauty w przestrzeni kosmicznej. Ale kiedy dopływ energii ustaje, ciało powraca do pierwotnej postaci – śluzowatej ektoplazmy, która następnie w ciągu kilku chwil znika z materialnego świata i powraca do Nigdynigdy.

Więc skąd się wziął ten dzbanek, u licha?

Może to sprawka Strażnika? Małe elfy kręcące się po moim domu z pewnością były skłonne do złośliwości. Czy któryś z nich mógł mi zrobić kawał?

Możliwe. Ale w takim razie, skąd żartowniś wiedział, o czym myślałem?

Cholernie dziwna sprawa.

– Harry? – odezwał się Thomas.

– Cholernie dziwna sprawa – powiedziałem i otarłem nos, z którego nagle zaczęło mi cieknąć. – Nawet dla mnie.

– Tato?! – zawołała Maggie.

– Hmmm?

– Bonnie mówi, że nie powinnam obracać naleśnika, dopóki nie będzie złocisto-brązowy. Ale przecież nie widzę przysmażonej strony. Skąd mam wiedzieć, jak wygląda?

Wstałem z kanapy, zabrałem garść chusteczek i ruszyłem do kuchni.

– To nieco podchwytliwe – przyznałem. – Ale możesz się zorientować po tym, jak wygląda ciasto po nieusmażonej stronie. Pokażę ci.

– W porządku.

Zacząłem wprowadzać swoją córkę w tajniki szlachetnej sztuki odwracania naleśników. Właśnie zabraliśmy się za drugiego, gdy w jednej ze ścian mieszkania rozdzwonił się cichy dzwonek alarmowy.

Myszek gwałtownie obejrzał się w stronę źródła dźwięku i nisko warknął. Maggie zamrugła, a potem popatrzyła na mnie niepewnie.

Thomas szybkim ruchem odepchnął się od ściany. Zerknął na mnie, a następnie wszedł do kuchni i wziął jeden z dużych noży ze stojaka.

– Ktoś się zbliża – powiedziałem. – Najpierw sprawdźmy, co się dzieje. Zróbmy tak, jak ćwiczyliśmy. Zabierz Bonnie do mojego pokoju i włóż ją do jej pudełka. Zostań tam z nią, nie podnoś się z podłogi i nie rób hałasu. Dobrze?

Maggie sprawiała wrażenie niepewnej, ale pokiwała głową.

– Dobrze.

– Idź.

Zamknąłem za nią drzwi sypialni i zabrałem laskę maga stojącą obok kominka.

Nagle pożałowałem, że nie poświęciłem więcej czasu na rozbudowywanie swojego magicznego arsenału. Nie zrobiłem tego, ponieważ byłem zajęty rolą ojca, co zajmowało mi więcej czasu, niż się spodziewałem. Nie miałem zbyt wielu okazji, by czynnie pracować nad swoim wyposażeniem, co również było niezwykle czasochłonne.

Dysponowałem jedynie laską, którą wyrzeźbiłem na zagubionej wyspie Demonreach na środku jeziora Michigan, bojową różdżką oraz prowizoryczną wersją swoich starych bransoletek z tarczami. Musiało mi to wystarczyć.

Cokolwiek uruchomiło alarm, raczej nie mogło przedrzeć się przez zabezpieczenia ciemnych elfów – ale skoro tego nie zrobiło, to dlaczego alarm dzwonił?

– Co o tym myślisz? – spytał Thomas.

– Myślę, że coś, co potrafi pokonać zabezpieczenia ciemnych elfów i dotrzeć aż tutaj, nieco mnie niepokoi – odrzekłem.

– Aha, więc nie jestem sam. Miło wiedzieć.

Kilka sekund później czyjaś ciężka dłoń mocno zapukała w drzwi mieszkania.

Upewniłem się, że drzwi do pokoju, w którym schowała się moja córka, są szczelnie zamknięte. Potem chwyciłem laskę jak karabin i bezgłośnie podszedłem do drzwi, a mój brat kroczył tuż za mną.

Przywołałem siłę woli i przekierowałem moc do swojej laski. Pokrywające ją spirale run zapłonęły szmaragdowym ogniem i uniosły się z nich malutkie kosmyki dymu. W powietrzu pojawiła się czysta, dymna woń przypalonego drewna. Runy i symbole z zielonego światła upstrzyły ściany.

Laska maga to wszechstronne narzędzie. Mogłem za jej pomocą korzystać z rozmaitych sił oraz efektów, zależnie od potrzeb, i dbałem o to, by zawsze była gotowa siać zniszczenie lub odbijać energię. Thomas podszedł do ściany obok drzwi, skąd mógł bez trudu dosięgnąć każdego, kto wszedłby do środka. Wzdłuż nogi trzymał nóż i skinął do mnie głową, że jest gotowy.

Wtedy spokojnie otworzyłem drzwi mieszkania.

Za progiem stał staruszek. Był nieco niższy od przeciętnego człowieka i tęgi. Tak samo jak ja trzymał w dłoni laskę, która była znacznie krótsza i grubsza od mojej. Jego lśniąca łysinę otaczały pojedyncze kosmyki białych i srebrnych włosów, a na skórze miał więcej plam wątrobowych niż ostatnio, gdy się widzieliśmy. Jego ciemne oczy lśniły za szklami okularów. Był ubrany w prosty bawełniany T-shirt, niebieski kombinezon oraz robocze obuwie ze stalowymi czubkami. To był mój mentor, Ebenezar McCoy, starszy członek Białej Rady Magii.

A zarazem mój dziadek.

Staruszek przyjrzał mi się spod zmarszczonych brwi, a potem popatrzył na moją laskę, która lśniła na zielono.

– Nowy wzór – zauważył. – Trochę gęsty. Może nieco surowy.

– Miałem do dyspozycji tylko scyzoryk – odpowiedziałem. – No i żadnego papieru ściernego. Musiałem użyć kamieni.

– No tak – rzekł. – Mogę wejść?

Popatrzyłem ponad ramieniem Ebenezara na Austriego, który stał na korytarzu z jedną dłonią pod marynarką i dwoma palcami przyciśniętymi do ucha. Jego usta się poruszały, ale nie słyszałem, co mówi.

– Austri? Skąd ten alarm?

Austri najwyraźniej wysłuchał czegoś, co było przeznaczone tylko dla jego uszu, i skinął głową. Wciąż nie wyjmował dłoni zza pazuchy.

– Ten człowiek jest znany ciemnym elfom – wyjaśnił. – Pracuje dla Białej Rady Magii i jest uznawany za niezwykle niebezpiecznego. Nie zastosował się do protokołów bezpieczeństwa.

– Nie mam czterdziestu ośmiu godzin, żeby czekać na wyniki badania DNA, nawet gdybym zdecydował się na przekazanie wam próbki – warknął Ebenezar. – Mówiłem, że Etri mnie zna. On za mnie poręczy.

Rozległ się osobliwy falujący dźwięk i nagle kilkanaście ciemnych elfów po prostu wysunęło się z podłogi, jakby ta była zrobiona z wody. Trzymały rozmaite bronie, zarówno współczesne, jak i dawne, ale nie rzuciły się do ataku. Nie miały impulsywnej natury. Trudno było rozszyfrować wyraz ich twarzy, ale z pewnością nie były przyjacielsko nastawione.

Austri zerknął na Ebenezara, a potem przeniósł wzrok na mnie.

– Magu Dresden? Czy tego człowieka należy uznać za gościa panny Carpenter?

– Tak byłoby najprościej dla wszystkich zaangażowanych – odrzekłem.

– Jak to najprościej? – zdziwił się Austri. – Prostota nie ma tutaj nic do rzeczy. Jest gościem panny Carpenter czy nie?

– Jest – potwierdziłem. – Niech wejdzie. Biorę odpowiedzialność za jego zachowanie.

Austri zmarszczył brwi i przez chwilę wyraźnie się wahał. W końcu wyjął dłoń zza pazuchy i skinął głową. Wtedy pozostali ochroniarze oddalili się korytarzem i zniknęli nam z oczu.

– Ale służbiści, prawda? – odezwałem się.

– To znacznie bardziej skomplikowane – odrzekł Ebenezar.

– Specjalnie ich sprowokowałeś.

– Nie od razu. Ale jeden z nich był wyjątkowo zarozumiały.

– Więc po prostu ich zignorowałeś?

W jego oczach pojawił się łobuzerski błysk.

– Warto, żeby czasami ktoś im przypomniał, że nie mogą mieć nad wszystkim kontroli, a członek Rady Starszych może pójść

wszędzie, gdzie zapragnie. – W kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki. – Ten ostami gość naprawdę załazł mi za skórę.

– Gedwig – odrzekłem. – Strasznie marudny. Do tego paranoik. – Pozwoliłem, żeby moc opuściła moją laskę, a wtedy runy zgasły. Skinąłem ręką na Thomasa i ten odsunął się od framugi. Wtedy szerzej otworzyłem drzwi przed moim dziadkiem. – Wejdz.

Staruszek wciąż był czujny. Wszedł ze spokojną i ostrożną miną człowieka, który nie skupia się na niczym konkretnym, ponieważ obserwuje wszystko, i natychmiast wycelował swoją laskę w Thomasa.

– Co to coś tutaj robi? – spytał ostro.

Thomas uniósł brwi.

– To coś? Niezwykły pokaz świętego oburzenia jak na rębajłę Białej Rady.

Z tego, co się orientowałem, mój dziadek nie wiedział, że Thomas i ja mamy tę samą matkę, jego córkę. Nie zdawał sobie sprawy, że ma drugiego wnuka. Ebenezar był... wyjątkowo cięty na wampiry z Białego Dworu.

(W Paranecie nazywano je „białpirami“, ale starałem się unikać powtarzania takich głupot, chyba że było to wyjątkowo wygodne).

– Wampirze, do tej pory byłeś użytecznym sojusznikiem młodego Dresdena – warknął mój dziadek. – Nie popsuj tego, zwracając na siebie moją uwagę.

Oczy Thomasa rozbłysły nieco jaśniej, a na jego ustach pojawił się uśmiech, który zazwyczaj oznaczał furję.

– Dużo gadasz jak na faceta, który podszedł tak blisko do mnie bez postawionej tarczy.

– Ty mały cwaniaczku – zaczął mój dziadek.

Ostry smród wypełnił powietrze, a ja czym prędzej doskoczyłem do kuchenki i przewróciłem naleśnika, który przypalił się podczas naszej wymiany zdań. Potem odłożyłem łopatkę na blat z niepotrzebnym impetem i odezwałem się jadowitym głosem.

– Panowie, chyba nie muszę wam przypominać, że w moim domu przebywają goście.

To podziałało na nich jak kubeł lodowatej wody.

W naszym świecie starożytne tradycje dotyczące ról gościa i gospodarza stanowią najbliższy odpowiednik nienaruszalnych praw. Zgodnie z nimi goście powinni być szanowani i traktowani jak członkowie rodziny gospodarza. Oni sami z kolei muszą zachowywać się jak domownicy.

W tym przypadku wszyscy rzeczywiście byliśmy rodziną, chociaż mój dziadek o tym nie wiedział.

Thomas nieco się cofnął i zrezygnował z pozy drapieżnika, a mój dziadek opuścił laskę i częściowo odwrócił się od wampira.

– Wybacz, Harry – rzekł Thomas. – To się więcej nie powtórzy.

Skinąłem głową i zerknąłem na staruszkę.

– Jestem ci winien przeprosiny – odezwał się dziadek z namaszczeniem. – Nie powinienem zachowywać się w taki sposób w twoim domu. Przepraszam.

No cóż, ten poranek z pewnością nie nadawał się do rodzinnego albumu. Ale wyglądało na to, że nie zakończy się pogrzebem. Dobre i to.

– Dziękuję – powiedziałem do obu. Wyciągnąłem rękę, a Thomas podał mi kuchenny nóż.

Odłożyłem go i odchrząknąłem, zerkając na dziadka.

Popatrzył groźnie na Thomasa, a następnie szybko się rozluźnił i odezwał swobodnym tonem.

– Czy to naleśniki? – spytał, stawiając laskę w kącie obok drzwi.

Odstawiłem swoją tuż obok.

– Tak. Właśnie robię śniadanie.

– Harry, pójdę już – odezwał się Thomas.

– Nie musisz – odrzekłem.

Z mocno zaciśniętymi ustami zerknął na Ebenezara.

– Owszem, muszę.

– Thomasie – zacząłem.

Mój brat uniósł dłoń, żeby mnie uciszyć, a potem oddalił się z nachmurzoną miną.

Dziadek odprowadził go wzrokiem. Kiedy za Thomasem zamknęły się drzwi, popatrzył na mnie spod krzaczastych brwi.

– Wielkie dzięki – powiedziałem.

– Powinieneś mi podziękować – odparł spokojnie. – Mówię ci, że nie znasz ich tak dobrze, jak ci się wydaje.

– Biały Dwór być może jest beznadziejny, ale akurat ten gość jest w porządku – odparłem.

– To samo powie ci każdy, kogo kiedykolwiek uwiedli – odrzekł dziadek, krzywiąc usta, ale po chwili podniósł dłoń i odezwał się przeproszającym tonem.

– Posłuchaj, Hoss. Sam kierujesz swoim życiem. Nie próbuję mówić ci, co masz robić. Nie powinienem też psuć twoich relacji z tym wampirem. Ale jesteś młody, a ja mam dużo większe doświadczenie w kontaktach z nimi i dzięki temu widzę więcej. Po prostu nie chcę, żebyś uczył się na bolesnych błędach.

Zmarszczyłem czoło.

Staruszek musiał być naprawdę zmartwiony, skoro tłumaczył swoje postępowanie, zamiast pozostawić to mnie.

– A oto i on! – odezwał się Ebenezar z uśmiechem, kiedy Myszek podbiegł, by się z nim przywitać. Z uczuciem podrapał psa za uszami. – Nie mam dużo czasu, więc przejdę do rzeczy. Masz kłopoty.

– Aha. – Przeszedłem do kuchni i wlałem ciasto na blachę. – To nasza pierwsza rozmowa twarzą w twarz od wydarzeń w Chichę Itza. Widzę, że nie tracisz czasu na czczą gadkę.

Przez chwilę zastanawiał się nad tym, lekko mrużąc oczy.

– Wszyscy mieliśmy pełne ręce roboty od tamtego dnia – odrzekł. – Ludzie umierali. Nie wiesz, jak tam jest.

– Ja też za tobą tęskniłem – odparłem. – Również cieszę się, że jesteś cały i zdrowy.

– Nie mamy na to czasu.

– Naleśnika? – spytałem. – Zawsze robię się głodny po porannej przebieżce.

Głos staruszka stał się surowszy.

– Ja nie żartuję, wnuczku. Do Białej Rady wpłynął wniosek o pozbawienie cię członkostwa.

Uniosłem brew.

– Co takiego? Najpierw zmuszają mnie do noszenia tej przeklętej szarej peleryny, a teraz chcą mnie wykopać? Głowa mnie od tego

rozboli.

– Czekaj cię coś znacznie poważniejszego, jeśli ten wniosek przejdzie – odrzekł z zapalczywością w głosie. Potem zmusił się do odzyskania spokoju. – Harry, ja też chcę nadrobić zaległości. Chcę porozmawiać. Oczyszczyć atmosferę. Kiedyś to zrobimy, ale teraz nie możemy sobie pozwolić na uleganie emocjom.

Skrzywiłem się, patrząc na naleśnika. Ostatnio nabrałem wprawy w powstrzymywanie emocji.

– Dobrze – odparłem. – Zawrzyjmy rozejm. Przynajmniej na razie. Jaki powód podaje Rada?

– Jest ich kilka – odpowiedział. – Na przykład niestandardowe okoliczności, w jakich mianowano cię na maga. Częstotliwość twojego angażowania się w sprawy najwyższej wagi. Twój upór, by od ponad dziesięciu lat otwarcie działać jako mag. A także konflikt interesów, jaki według nich wiąże się z twoją służbą dla królowej Mab. Służbą, która podobno doprowadziła do znalezienia się pod kontrolą Mab uznanego czarnoksiężnika.

– To prawda – przyznałem. – Przed nikim tego nie ukrywałem. Wszystko jest w aktach. Więc w czym problem?

– Problem polega na tym, że w Białej Radzie coraz trudniej o zaufanie – odrzekł Ebenezar. – Twoje wybory doprowadziły do tego, że odstajesz od reszty członków, a w trudnych czasach takie osoby wzbudzają podejrzliwość.

Odwróciłem naleśnika. Dobrze wyczułem moment. Ciasto było złocisto-brązowe.

– Jeśli mnie wyrzucą, nie będę mógł dłużej korzystać z ochrony Rady – odezwałem się, głośno myśląc. – Oficjalnie przestanę być magiem.

– Przez lata dorobiłeś się wielu wrogów – zauważył Ebenezar. – Podobnie jak ja. Gdybyś został usunięty z Rady, twoi – oraz moi – wrogowie zwróciliby uwagę na twoją słabszą pozycję. Na pewno by to wykorzystali. Jaką ochronę zapewnia ci Mab?

– Mab nie przywiązuje dużej wagi do ochrony – odrzekłem. – Wręcz przeciwnie. Uważa, że jedynym sposobem zapewnienia mi bezpieczeństwa byłoby podejrzenie mi gardła i zatopienie mnie w bursztynie.

Mój żart wcale nie rozbawił staruszka. Wpatrywał się we mnie z surową powagą.

Westchnąłem.

– Mab nie ma w obowiązku ochraniać swojego Rycerza. Powinno być odwrotnie. Jeśli coś mnie zabije, najwyraźniej byłem zbyt słaby, by pełnić tę rolę.

– Nie podchodzisz do tego poważnie – stwierdził.

Rzuciłem naleśnika na stertę i wylałem kolejną porcję ciasta na blachę.

– Jeśli zrobi się kiepsko, zawsze mogę wrócić na Demonreach.

– Boże, gdyby tylko znali całą prawdę o tym miejscu – wyszeptał Ebenezar. – A co dalej? Spędzisz resztę życia uwięziony na wyspie, bojąc się ją opuścić?

– Nie pozwól więc, żeby wniosek poddano pod głosowanie – odparłem. – Jesteś w Radzie Starszych. Wykorzystaj swoją pozycję. Przejmij kontrolę nad sytuacją.

– Nie mogę – odrzekł Ebenezar. – Przy braku kworum musi odbyć się powszechne głosowanie, a czwórka członków Rady Starszych w czasie głosowania będzie uczestniczyła w rozmowach pokojowych.

Poczułem lekki ucisk w żołądku.

– Która czwórka?

– Ja, Cristos, Słuchający Wiatru i Martha Liberty.

– Aha – mruknąłem.

Mój dziadek był cwany lisem i dysponował potężną siecią sojuszników w Białej Radzie, ale miał niemal równie wielu wrogów. Sam Merlin nie znosił Ebenezara, a spośród trzech członków Rady Starszych, którzy mieli przewodzić kolejnemu zebraniu, tylko Odźwierny kiedykolwiek okazywał mi sympatię. Nawet gdyby wniosek miał zostać przegłosowany, i tak przegrałbym jeden do dwóch.

Oczywiście nie miałem pewności, z jaką reakcją spotkałbym się pośród zwykłych członków Białej Rady. Magowie długo żyją, między innymi dzięki unikaniu niepotrzebnego ryzyka. A jeśli sprawdzicie hasło „niepotrzebne ryzyko“ w słowniku Rady, znajdziecie tam moje

zdjęcie. Oraz adres. A także dane kontaktowe. No i papiery ze szkoły średniej.

– Musisz porozmawiać z niektórymi z nich osobiście – stwierdził Ebenezar. – Uścisnąć kilka dłoni. Postarać się, żeby cię poznali. Uspokoić ich. Masz tylko kilka dni, ale jeśli się pośpieszysz, powinieneś zapewnić sobie poparcie wymagane do odrzucenia wniosku.

– Nie mogę tego zrobić – odparłem. – Musiałbym zaniedbać obowiązki Strażnika oraz Rycerza Zimy.

– Co takiego? – zdziwił się.

Opowiedziałem mu o swoim porannym spotkaniu z Ramirezem.

– Mam dbać o twoje bezpieczeństwo podczas spotkania i pośredniczyć w rozmowach z Zimą.

Staruszek zaklął pod nosem.

Większość moich sojuszników w Radzie Starszych miała zostać odesłana w tym samym momencie, gdy będę zajęty ochranianiem rozmów pokojowych. Spośród magów, którzy mnie znali, Ramirez i jego ludzie zapewne stanęliby po mojej stronie, ale oni także wybierali się na spotkanie.

– Ktoś mnie wrąbią.

Ebenezar mruknął potakująco.

– Czy to Merlin? – spytałem. – To w jego stylu.

– Być może – odrzekł dziadek. – Z drugiej strony Cristos ostatnio bardzo się rządzi. Trudno powiedzieć, od kogo wyszedł ten pomysł.

Odwróciłem naleśnika. Gdybym nie spędził wielu lat w towarzystwie staruszka, nie zauważyłbym niczego dziwnego w tonie jego głosu, ale wypowiedział te słowa w taki sposób, że podniosłem wzrok. Powiedział „Cristos“, lecz tak naprawdę miał na myśli...

– Czarna Rada – zgadłem.

Skrzywił się i rozejrzał po pomieszczeniu.

Czarna Rada działała w tajemnicy. Jacyś nieznani mi bliżej goście w środowisku magów od co najmniej dziesięciu lat poważnie bruździli w moim życiu. Nie znałem ich motywów ani tożsamości, ale nie ulegało wątpliwości, że są cholernie groźni. Mag Cristos został członkiem Rady Starszych w podejrzanych okolicznościach, które wskazywały na to, że Czarna Rada miała w niej swoje wpływy.

Niekompetentna, rozkapryszona i zainteresowana wyłącznie własną polityką Biała Rada, była czymś fatalnym, lecz całkowicie normalnym, ale pod kierownictwem ludzi, którzy stawali na mojej drodze w ostatnich latach, mogła się zmienić w niewyobrażalny koszmar.

Kilkoro z nas postanowiło wspólnie do tego nie dopuścić. Jako że tajne stowarzyszenia działające w ramach Białej Rady uznawano za zarzewia spisków mających na celu jej obalenie, musieliśmy być wyjątkowo ostrożni. Zwłaszcza że rzeczywiście spiskowaliśmy przeciwko Białej Radzie, oczywiście dla jej dobra.

– Sprawdzam mieszkanie trzy razy dziennie, a elfy stale wypatrują szpiegów – zapewniłem. – Nikt nas nie podsłuchuje.

– Dobrze – odrzekł Ebenezar. – Masz rację. Niezależnie od tego, czy Cristos jest sługą Czarnej Rady, czy tylko ich marionetką, raczej nie ulega wątpliwości, że chcą się ciebie pozbyć.

– Nic nowego – stwierdziłem.

– Nie lekceważ ich – ostrzegł Ebenezar. – Czasami krzyżowałeś im plany, ale jeszcze nigdy otwarcie cię nie zaatakowali.

– Wygląda na to, że stanąłem im kością w gardle o jeden raz za dużo.

– Chcę powiedzieć, że cokolwiek się tutaj dzieje... twoje zniknięcie stało się dla nich priorytetem.

Przewróciłem kolejnego naleśnika. Tak nieudolnie, że część ciasta rozbryzgnęła się i rozmasała po blasze. Nie bałem się... ale Czarna Rada miała na koncie kilka przerażających wyczynów.

– Co o tym sądzisz? – spytałem.

– Myślę, że ci ludzie nie zamierzają ujawniać swoich planów – odrzekł. – Nie zdobędą się na bezpośredni atak, nie będą działali otwarcie, ale na pewno nie odpuszczą. – Zmrużył oczy. – To głosowanie jest burzą, która ma na celu odwrócić twoją uwagę.

– Więc mamy je zignorować?

– Burza może cię zabić, niezależnie od tego, czy zwracasz na nią uwagę – odpowiedział. – Musimy jakoś zareagować. Właśnie dlatego to tak skuteczna taktyka.

– Co powinniśmy zrobić?

– Nie skupiaj się nadmiernie na sytuacji, którą sprowokowali. Chcą, żebyś się na niej zafiksował i przegapił prawdziwy problem.

Skończyłem smażyć kolejnego naleśnika i przeniosłem pełny talerz na stół. Rozdzieliłem jedzenie i przez chwilę obaj posilaliśmy się w milczeniu.

– Smaczne – pochwalił.

– Dzięki.

Kiedy skończyliśmy śniadanie, mój mentor pokręcił głową.

– Zobaczą, co da się zrobić w sprawie głosowania. Tymczasem ty też rób wszystko, co konieczne.

– W jakim celu? – spytałem.

– Żeby przetrwać. – Ponownie zmrużył oczy. – Jak dotąd pod wieloma względami łatwo ci szło.

– Łatwo?

– Miałeś pewne problemy, ale zawsze odgrywałeś rolę Lancelota. Ruszałeś do walki z otwartą przyłbicą i odnosiłeś zwycięstwo.

– Nie zawsze – sprzeciwiłem się.

– Częściej niż inni byliby w stanie – odparł. – Też kiedyś taki byłem. Jak ty dzisiaj.

Cisza się przedłużała, ale nie próbowałem jej przerwać.

– Ale teraz wypływasz na głębsze wody, chłopcze. Stawka idzie w górę.

– To znaczy?

– Ostatnie kilka lat pokazało im, że nie są w stanie usunąć cię z drogi w bezpośredni sposób. Dlatego spróbują innych metod.

– Jakich? – spytałem.

– Staroświeckich – odrzekł znużonym tonem. – Znanych od wieków. Podejrzewam, że ktoś, kogo nie podejrzewasz, wbije ci nóż w plecy, Hoss.

Z głębi mieszkania dobiegł bardzo cichy odgłos, a staruszek zerwał się na nogi z szybkością kota. Zanim mszył z miejsca, syknął coś pod nosem, a jego laska przeleciała przez cały pokój i wpadła mu do ręki.

– Hej, hej, hej! – zawołałem, wstając i rozkładając ręce. – Tylko spokojnie.

– Kto to? – spytał ostro i posłał mi surowe spojrzenie. – No kto?

– Właśnie nakarmiłem cię naleśnikami – mruknąłem. Jak bardzo spięty musiał być dziadek, skoro tak reagował? – Na gwiazdy i kamienie.

– Nie mów tak – odrzekł bardziej znajomym, gderliwym tonem. – Nawet nie wiesz, co to znaczy.

– Facet, od którego nauczyłem się tego powiedzenia, nie chciał mi powiedzieć – odparłem. – Czy mógłbyś wyluzować chociaż na pięć sekund? Proszę?

Popatrzył na mnie z niechęcią i lekko opuścił laskę.

– Niby dlaczego?

– Ponieważ wolałbym, żeby moja córka nie umarła ze strachu podczas pierwszego spotkania ze swoim pradziadkiem – odparłem.

Staruszek zamrugał. Dwukrotnie. Potem gwałtownie opuścił laskę.

– Co takiego? Ona tu jest? Była tutaj? Przez cały ten czas?

– Jest nieśmiała wobec nowych ludzi – wyjaśniłem cicho. – To dla niej trudne.

Spuściłem wzrok na Myszka i ruchem podbródka wskazałem drzwi sypialni. Potężny pies posłusznie wstał i podszedł do drzwi, by zapewnić dziewczynce wsparcie.

– Pozwoliłeś, żeby kręcił się przy niej wampir? – wyszeptał dziadek z oszołomioną miną.

– Maggie? – zawołałem cicho. – Wyjdź, proszę. Jest tutaj ktoś, kogo powinnaś poznać.

Drzwi lekko się uchyliły.

Zobaczyłem kawałek twarzy i jedno brązowe oko, które ostrożnie wyglądało przez szparę.

– Przedstawiam ci twojego pradziadka – powiedziałem cicho. – Nie tak to sobie wyobrażałem, ale jest jak jest – dodałem, zerkając na staruszkę. – Wyjdź, skarbie.

Drzwi otworzyły się nieco szerzej. Mała wyciągnęła jedną rękę i odnalazła palcami futro Myszka. Wplątała dłoń w jego grzywę, a potem bardzo powoli pchnęła drzwi. Bez słowa i bez mchu stanęła naprzeciwko Ebenezara.

– Maggie – odezwał się chrapliwym głosem. – Witaj, młoda damo.

Lekko skinęła głową.

Ebenazar odwzajemnił gest. Potem odwrócił się w moją stronę, a w jego oczach zapłonął gniew, jakiego jeszcze nigdy u niego nie widziałem. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zanim zdążył to zrobić, posłałem mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Może wyjdziemy do ogrodu, żeby Myszek mógł rozprostować nogi – zaproponowałem.

– Dobrze – zgodziła się Maggie.

Staruszek wciąż torpedował mnie wzrokiem. Po chwili opanował się i zwrócił w stronę mojej córki z łagodnym uśmiechem.

– Brzmi wspaniale.

Stałem obok Ebenezara i patrzyłem, jak Maggie i Myszek bawią się z dziećmi ciemnych elfów.

Centrum olśniewającego ogrodu stanowiło kilka drzew rosnących na dziedzińcu ambasady. Wokół zasadzono trawę i kwiaty w eleganckich proporcjach, pozostawiając wystarczająco dużo wolnego miejsca, by dzieci mogły biegać i bawić się w chowanego. Dzieci ciemnych elfów to osobliwe istoty, którym szara skóra i ogromne oczy nadają uroczy wygląd. W ambasadzie mieszkała szóstka dzieciaków w wieku zbliżonym do Maggie i wszystkie uwielbiały Myszka, który bawił się z nimi w berka, lekko uskakując, obracając się i robiąc uniki, pomimo swojej masy.

W ogrodzie przebywało kilka ciemnych elfów. Trzymały od nas grzeczny dystans, fizyczny i psychologiczny, najwyraźniej

wyczuwając napięcie pomiędzy mną a staruszkiem.

– Oszalałeś? – spytał mnie Ebenezar.

– Dokonuję wyboru – odparłem.

– Równie dobrze mógłbyś jej podarować koszulkę z tarczą strzelniczą. – Starał się mówić na tyle cicho, by nie usłyszały go dzieci. – Wychowując to dziecko blisko siebie, zmieniasz je w cel. Mój Boże, wampiry już o niej wiedzą.

– Długo przebywała w kryjówce daleko ode mnie – odrzekłem. – Nie wyszło jej to na dobre.

– Co było nie tak z domem Carpenterów? – spytał. – Nie licząc kwatery głównej w Edynburgu, trudno o lepiej chronione miejsce. Dlaczego jej tam nie zostawisz?

– Ponieważ jej ojciec tam nie mieszka.

Staruszek podniósł wzrok ku niebu, jakby prosił Najwyższego o cierpliwość.

– Głupiec z ciebie.

Zazgrzytałem zębami.

– Masz lepszy pomysł?

– Ona powinna być w bezpiecznym miejscu. Z dala od ciebie. Przynajmniej do czasu, aż ujawni się w niej talent magiczny i będziesz mógł ją nauczyć, jak się bronić.

– Zakładając, że to się kiedykolwiek wydarzy.

– Jeśli nie, zginie w naszym świecie.

Poczułem, że wzbiera we mnie złość.

– Rozumiem, że ty postąpiłbyś inaczej.

– Postąpiłem inaczej – odburknął. – Zadbałem o to, by twoja matka wychowała się z dala od zagrożeń związanych z moim życiem.

– I jak na tym wyszła? – spytałem. – Zapytajmy mamę. Och, chwileczkę, nie możemy. Przecież nie żyje.

Zapadła cisza. Miałem wrażenie, że światło słońca na chwilę przygasło. Ciemne elfy jeszcze bardziej się od nas oddaliły.

Głos staruszka przypominał cichy grzmot.

– Coś ty powiedział, chłopcze?

– Ona nie żyje – powtórzyłem z naciskiem. – Twoja córka, którą gdzieś ukryłeś, aby ją chronić, już nie żyje. Nie masz prawa rzucać

we mnie kamieniem.

Ebenezar wyglądał jak posąg wyrzeźbiony ze starej kości słoniowej. Milczał.

– Potwory już próbowały zabić Maggie. A ja je powstrzymałem – oznajmiłem. – Jeśli spróbują ponownie, także je powstrzymam. Ona nie potrzebuje bezpiecznej kryjówki. Ale potrzebuje swojego taty.

– Jak śmiesz? – szepnął staruszek.

– Może nie jestem najlepszym rodzicem na świecie – odparłem.

– Ale jestem tutaj. Jestem obecny w jej życiu. Tego nie da się zastąpić. Niczym. Tak było i będzie, zawsze.

– Ty idioto – rzucił Ebenezar przez zaciśnięte zęby. – Czy wiesz, do czego są zdolni twoi gospodarze?

– Potrafią dotrzymać słowa – odburknąłem.

– Chłopcze, nie prowokuj mnie.

– Dlaczego? Co zrobisz? Oddasz mnie do opieki społecznej? Oczywiście dla mojego dobra.

Głowa stamszka odskoczyła, zupełnie jakbym go spoliczkował.

– Mama umarła, kiedy przyszedłem na świat – ciągnąłem bezbarwnym głosem. – Tatę straciłem, kiedy szedłem do przedszkola. A ty zostawiłeś mnie samego.

Ebenezar odwrócił się ode mnie i przygarbił.

– Może wydawało ci się, że mnie chronisz – mówiłem dalej monotonnym tonem. – Ale jednocześnie mnie porzuciłeś. A to bolało. Pozostawiło blizny. Nawet nie wiedziałem o twoim istnieniu, a i tak byłem na ciebie wściekły. – Patrzyłem, jak dzieci gonią Myszka. Potrafił biegać godzinami bez zmęczenia. Wszyscy pysznie się bawili. – Ona już wystarczająco dużo przeszła. Nie skażę jej na taki los.

Kark i łysina dziadka poczerwieniały. Usłyszałem trzask jego knykci, gdy zacisnął silne dłonie w pięści.

– Chłopcze – warknął. – Coś ci się pomieszało. Nie wiesz, o czym mówisz.

– Jeden z nas z pewnością nie wie.

– Twoja matka nie żyje – odrzekł Ebenezar. – Twój ojciec też. Podobnie jak kobieta, która urodziła twoje dziecko. A ty jesteś

wspólnym mianownikiem. Nie dostrzegasz tego? Nie widzisz, że trzeba odłożyć na bok własne uczucia?

Poczułem przyptyw wściekłości i bólu, tak intensywny, że przez chwilę bałem się, że stracę nad sobą panowanie – i nie miało to nic wspólnego z mocą Zimy.

– Widzę małą dziewczynkę, która potrzebuje miłości ojca. Nie będę mógł jej tego dać, jeśli mnie przy niej nie będzie.

– Mylisz się.

– Być może – odparłem. – Ale to moje dziecko i moja decyzja.

Pokręcił głową.

– A skoro zauważyłem, że moje życie czasami przypomina kiepską meksykańską operę mydlaną, chciałbym, żebyś o czymś wiedział – dodałem.

– O czym?

– Myślę, że w tej chwili rozważasz porwanie jej i ukrycie w bezpiecznym miejscu. Jeśli to zrobisz, odbiorę ją. Nawet gdybym musiał cię w tym celu zabić.

Staruszek popatrzył na mnie z zasępioną miną.

Wytrzymałem jego spojrzenie. Nawet nie mrugnąłem.

– Dzieciaku – odezwał się z delikatnym szkockim akcentem. – Idziesz w stronę, w którą nie powinienes.

– Nie pierwszy raz. I nie ostatni.

Wyzywająco uniósł brodę i zaczerpnął powietrza.

– Panowie – odezwał się ktoś głębokim, dźwięcznym głosem. – Przepraszam bardzo.

Obaj odwróciliśmy się w stronę intruza.

Stał przed nami ciemny elf ubrany w granatowy jedwabny garnitur. Był wyższy niż Austri i bardziej umięśniony. Miał spokojny i zdecydowany wyraz twarzy.

– Panowie, jesteście gośćmi w moim domu. Takie zachowanie jest co najmniej nieodpowiednie.

Zamrugąłem i powoli się rozejrzałem. Zabawa w ogrodzie ustała. Dzieci ukryły się za plecami rodziców. Maggie stała w połowie drogi między innymi dziećmi a swoją rodziną. Opierała się na jednej nodze, jakby szykowała się do ucieczki i obiema rękami kurczowo

ściskała grzywę Myszka. Wielki pies odgradzał nas od dzieci i patrzył na mnie z wyraźnym wyrzutem.

Chyba nie rozmawialiśmy tak cicho, jak nam się wydawało.

– Etri – odezwał się dziadek i skinął głową. – To... osobista rozmowa.

Etri, szef ambasady ciemnych elfów, posłał Ebenezarowi spojrzenie wyzbyte ze współczucia i zrozumienia.

– Porozmawiajcie w jakimś innym miejscu. Straszycie nasze dzieci. Dopóki jesteś w moim domu, McCoy, będziesz zachowywał się grzecznie i godnie.

To było stwierdzenie niepodlegające dyskusji, które nie dawało nawet najmniejszej nadziei na ustępstwo. Uniosłem brew, patrząc na ciemnego elfa. Wiedziałem, że jest bardzo szanowany w nadprzyrodzonej społeczności, co zazwyczaj wiąże się ze znaczną siłą, ale tylko głupiec szukałby konfrontacji z Ebenezarem McCoyem.

(Tak, zdaję sobie sprawę, co to oznacza; sam robiłem to przez ostatnie dziesięć minut).

Staruszek zaczerpnął powietrza, a potem się rozejrzał. Zatrzymał wzrok na Maggie i nagle uszło z niego powietrze. Zupełnie jakby za sprawą tych kilku zdań postarzał się o dziesięć albo dwadzieścia lat.

Zastanowiłem się nad tym, co powiedziałem w złości, i poczułem wstyd.

– Oczywiście – odrzekł dziadek. – Oficjalnie przepraszam, że nasza dyskusja wymknęła się spod kontroli i zakłóciła zabawę waszym dzieciom. Na tak niegodne zachowanie nie ma żadnego wytłumaczenia, dlatego proszę o wybaczenie.

– Tak – wtrąciłem się. – Zgadzam się. Ja również.

Etri przez chwilę przyglądał się Ebenezarowi, a potem zerknął na mnie, przewrócił oczami i wreszcie skinął głową.

– Ta wizyta dobiegła końca, magu McCoy. Odeślę twoje rzeczy do bramy wejściowej.

– Chwileczkę! – zawołałem. – Wcale nie chciałem...

– Masz całkowitą rację, Etri – odrzekł Ebenezar oschle i zaczął się odwracać.

– Wysłuchaj mnie – powiedziałem.

– Czas na mnie – stwierdził Ebenezar znużonym głosem. – Mam dużo pracy.

Po czym wyszedł.

Nie widziałem, jak Austri wchodzi do ogrodu, ale teraz dyskretnie wystąpił naprzód, by pójść śladem staruszka. Powstrzymałem go gestem. Ciemny elf przez chwilę nie reagował, ale potem na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju współczucia i pokiwał głową.

Etri odprowadził dziadka wzrokiem. Potem posłał mi nieprzeniknione spojrzenie, pokręcił głową i się oddalił. Pozostałe ciemne elfy podążyły za nim.

Kiedy wszyscy już odeszli, Maggie podbiegła do mnie i objęła mnie w pasie. Oderwałem ją od siebie i wziąłem na ręce.

– Czy to była moja wina? – spytała drżącym głosem. – Chciałam... chciałam porozmawiać z dziadkiem, ale nie potrafiłam nic powiedzieć. Nie chciałam, żeby się zezłościł i odszedł.

Poczułem ucisk w gardle i zamknąłem oczy, powstrzymując łzy.

– To nie twoja wina, skarbie. Absolutnie nie twoja. Zachowałeś się, jak trzeba.

Przywarła do mojej szyi, na tyle mocno, że było mi niewygodnie.

– Ale dlaczego on był taki zły?

– Dorośli czasami się ze sobą nie zgadzają – odparłem. – Czasami się złością i mówią przykre rzeczy, chociaż nie chcą. Ale to minie. Zobaczysz.

– Aha – odpowiedziała.

Myszek podszedł i pocieszająco oparł się o moje nogi.

– Czy dziadek przyjedzie na Boże Narodzenie? – spytała Maggie.

– Być może.

– Okej. Jesteś na mnie zły?

– Nie – zapewniłem i pocałowałem ją w głowę. – Jesteś moim skarbem.

– To dobrze. Wciąż mam ochotę na naleśniki.

– Więc chodźmy je usmażyć – zaproponowałem.

Myszek z nadzieją postukał ogonem w moją nogę.

Ale najpierw przez chwilę postaliśmy we trójkę, ciesząc się swoją bliskością.

– Oczywiście, że poszło fatalnie – powiedziała Karrin. – To była kłótnia rodzinna. Uwierz mi, takie są najgorsze.

– Rodzina jeszcze się nie zjednoczyła, a już są kłomie – poskarżyłem się.

– Z tego, co widziałam, wyglądziecie na bardzo zjednoczonych – odpowiedziała sarkastycznym tonem.

– No cóż, nigdy nie miałem okazji kłócić się z członkami rodziny.

– A ja owszem – odrzekła. – Wszystkim zależy na sobie nawzajem, więc kiedy w złości mówią coś paskudnego, znacznie bardziej ich to boli. Poza tym zbyt wiele słów pozostaje niewypowiedzianych. Myślę, że to jest najgorsze. Każdemu wydaje się, że dobrze zna pozostałych, więc wypełnia się luki słowami, których druga osoba nigdy nie powiedziała. Ani nie pomyślała. Ani nie zamierzała powiedzieć.

Skrzywiłem się.

– To pani fachowa diagnoza, doktor Murphy?

Parsknęła, zamilkła i ścisnęła moją rękę. Jej dłoń była mała, silna i ciepła. Ostatnio często trzymaliśmy się za ręce.

Wpadłem, żeby ugotować dla niej kolację. Mój talent kucharski jest skromny, ale wystarczający i oboje najedliśmy się pieczonym kurczakiem z ziemniakami i surówką. Karrin z trudem poruszała się po kuchni z powodu niesprawnego kolana i ramienia oraz szyn, które musiała na nich nosić. Po kilku tygodniach w domu miała już dosyć jedzenia na wynos, więc dwa razy w tygodniu odwiedzałem ją i dla niej gotowałem, gdy mogłem zostawić Maggie z dziećmi Carpenterów.

– A mówiąc o doktorach, co dzisiaj powiedział lekarz? – gładko zmieniłem temat.

– Pierwszy etap zabiegów chirurgicznych się udał. – Odetchnęła i oparła głowę na moim ramieniu.

Siedzieliśmy na kanapie w jej salonie, a Karrin oparła niesprawną nogę na otomanie, którą dla niej kupiłem. Była drobną kobietą, metr pięćdziesiąt z kawałkiem, ale było to wyjątkowo umięśnione metr

pięćdziesiąt. Miała blond włosy, czyste, ale nieco zaniedbane. Trudno dbać o stylizację, gdy wszystko trzeba robić jedną ręką. Nie miała makijażu.

Poza tym wyglądała na zmęczoną. Wyczerpywała ją bezczynność w czasie rekonwalescencji.

Doznała tych obrażeń z mojego powodu. Nie była to moja wina, a przynajmniej tak sobie powtarzałem, ale spotkał ją taki los, ponieważ poprosiłem ją o pomoc. Można zwracać uwagę na wolną wolę, zasadę przyczyny i skutku oraz znaczenie osobistych wyborów, ale nie ulegało wątpliwości, że gdybym jej w to nie wplątał, teraz zapewne byłaby na swoim kursie sztuk walki.

– Drugi etap może się zacząć w przyszłym tygodniu – ciągnęła fachowym tonem pozbawionym emocji, którego zazwyczaj używała, gdy coś ją bardzo zdenerwowało. – Potem jeszcze tylko trzy miesiące w gipsie i tych idiotycznych szynach i rozpocznę półroczną terapię, podczas której będę stopniowo odstawiać środki przeciwbólowe, a jeśli wszystko pójdzie bardzo dobrze, lekarz uważa, że dam radę chodzić bez laski. Zakładając, że nie będę się nigdzie śpieszyła.

Zmarszczyłem czoło.

– A co z twoimi treningami?

– Moje ciało zostało trwale uszkodzone – odrzekła, a jej głos stał się nie tyle cichy, ile... martwy. – Kolano, ramię, łokieć. Mają nadzieję, że przywrócą mi pięćdziesięcioprocentową sprawność. To dotyczy podstawowego zakresu ruchów, a nie aktywności sportowej.

Przypomniałem sobie jej wrzask, gdy Nicodemus kopnął ją w kolano. Paskudny, wilgotny chrzęst, gdy spokojnie wyszarpnął jej rękę ze stawu, rozrywając mięsień skręcający i przeprostowując łokieć. Zrobił to rozmyślnie, chcąc zadać jej jak najwięcej obrażeń i bólu.

– Już nie będę sobą – wyszeptała.

Wcześniej bywała ranna i zawsze dochodziła do siebie.

Ale każdy ma swoje ograniczenia. Była tylko człowiekiem.

Siedzieliśmy w milczeniu, słuchając tykania stojącego zegara.

– Czy możesz coś...? – zaczęła.

Pokręciłem głową.

– W kwestii uzdrawiania magia nie wyprzedza zbytnio medycyny. Nasi ludzie uczą się od waszych. Chyba że chcesz się bawić w Fausta.

– Nie – zaprzeczyła stanowczo.

Pokiwałem głową. Nic więcej nie mogłem dodać.

– Przykro mi – powiedziałem w końcu.

Lekko pokręciła głową.

– Przestań – poprosiła. – Już płakałam z tego powodu i będę to robiła ponownie. Ale w tej chwili nie chcę o tym myśleć. Porozmawiajmy o czymś innym.

Próbowałem znaleźć jakiś temat, ale bezskutecznie. Dlatego tylko ją pocałowałem.

– Prawdziwy z ciebie gawędziarz, Dresden – mruknęła, ale po chwili zamknęła oczy i poddała się pocałunkowi, a wszystko inne zaczęło tracić znaczenie.

Musiałem być ostrożny w kwestii całowania. Wystarczyło dwadzieścia sekund od chwili, gdy zaczęły się mieszać nasze oddechy, by Zima wypełniła mnie dziką żądzą. Przekłęta moc, którą otrzymałem od Mab, pozwalała mi dokonywać niesamowitych rzeczy, ale w moich myślach i emocjach bezustannie pulsowały seks i przemoc. Dlatego po dwudziestu sekundach zacząłem oddychać szybciej, po trzydziestu mój umysł zalały impulsy dotyczące tego, co mógłbym zrobić z Karrin, a po minucie musiałem sobie przypomnieć, że jestem silniejszy, niż mi się wydaje, więc nie powinienem jej ścisnąć ani zbyt mocno przytulać.

Chociaż musiałem przyznać, że Karrin reagowała w niemal identyczny sposób, mimo że nie mogła o to obwiniać mocy niegodziwych elfów.

Zatem może wcale nie była to kwestia Zimy. Może to ja sam, co było nieco przerażające.

A może to po prostu... my.

Cóż za niesamowita myśl.

Wplotła palce w moje włosy i mocno ścisnęła.

– No dobrze – sapnęła. – Jesteś geniuszem konwersacji. Właśnie tego było mi potrzeba.

– Jesteś pew... – zacząłem.

– Mój Boże, przestań gadać, Harry – warknęła, po czym wsunęła dłoń pod moją koszulę. – Mam dość czekania. Ty też masz dość czekania. Oboje mamy dość.

Wydałem z siebie niewyraźny odgłos aprobaty, który zmienił się w pomruk. Potem jej usta ponownie odnalazły moje, tłumiąc wszelkie dźwięki, a serce zabiło mi szybciej, jak u rozgorączkowanego nastolatka. Zresztą jej także. Oddychaliśmy coraz gwałtowniej, w jednym rytmie, a kiedy moja dłoń zsunęła się na jej biodro, Karrin wydała z siebie dźwięk, który całkowicie odebrał mi jasność umysłu.

– Teraz – westchnęła.

Zaczęła zdejmować, a przynajmniej przemieszczać ubranie, a z jej ust wydobywały się nie w pełni artykułowane odgłosy. Pomagałem jej trochę, w końcu miała tylko jedną sprawną rękę. Wciąż mnie popędzała, ale bez słów. Po chwili klęczałem na podłodze, a ona leżała pode mną na kanapie. Pochyliłem się, żeby ją pocałować i...

... i poczułem, jak sztywnieje z bólu i wstrzymuje oddech. Nie wiedziałem, czy chodzi o jej ramię, czy o nogę, ale potrzebowała odpoczynku, a nie... wysiłku.

Szeroko otworzyła oczy i kilkakrotnie zamrugowała.

– Co się stało?

– Nie... – mruknąłem. – Nie wiem, czy...

Chwyła mnie zdrową ręką za koszulę i przyciągnęła do siebie. Jej oczy lśniły.

– Nie jestem zrobiona ze szkła, Harry. Chcę tego. Czy choć raz w życiu możesz się przymknąć, przestać myśleć i po prostu mnie przelecieć?

Popatrzyłem w dół.

– Eee.

Karrin spuściła wzrok, a potem znów popatrzyła na mnie. Przewróciła oczami i muszę przyznać, że jeszcze lepiej ode mnie potrafiła odegrać seksualną frustrację. Potem nieco oklapła, w czym dotrzymała mi towarzystwa, i powoli odetchnęła.

– Dresden, twoja rycerskość często bywa urocza, ale w tej chwili mam ochotę kopnąć cię w jaja.

– Nie mogę zrobić ci krzywdy – odpowiedziałem. – Przykro mi.

Ponownie przewróciła oczami i przyciągnęła mnie bliżej, żeby móc objąć mnie za szyję, jednocześnie starając się, żebym jej nie przygniótł. Pocałowała mnie w skroń.

– Wiem – odezwała się bardzo łagodnie. – Kochany idioto.

Ostrożnie ją przytuliłem. Nagle ktoś energicznie zapukał do drzwi.

Zerwałem się, en deshabelle, i spróbowałem poprawić ubranie. Murphy miotła się bezładnie, usiłując zrobić to samo jedną ręką i dwiema niemal nieruchomymi kończynami. Oboje na chwilę znieruchomieliśmy, dostrzegając nawzajem swoje wysiłki, i wybuchliśmy śmiechem. Potem wróciliśmy do ubierania.

– Drzwi – pisnęła Murphy, nakrywając gołe nogi kraciatą narzutą.

Udało mi się do nich dokuśtykać i wyrząłem przez wizjer. Rozpoznałem pukającego i lekko uchylilem drzwi, jednocześnie używając ich jako zasłony, by ukryć fakt, że spodnie znów opadły mi do kolan.

Na werandzie stały gliny.

Dwaj mężczyźni czekali grzecznie z grzecznymi, beznamiętnymi policyjnymi obliczami. Rozpoznałem jednego z nich, chociaż dawno go nie widziałem. Był dosyć wysoki, przystojny i miał ciemne włosy przyszczyżone po żołniersku, chociaż zapuścił do nich gęste wąsy, które, trzeba to przyznać, bardzo pasowały do jego niebieskich oczu. Miał na sobie garnitur zbyt drogi jak na swoją pensję, a pod pachą trzymał grubą brązową kopertę.

– Detektywie Rudolph – powiedziałem, podciągając spodnie. – Cóż za miłe spotkanie – dodałem tonem, którym zazwyczaj wypowiada się takie kwestie, jak „Ukrzyżuj go albo poderżnę ci gardło“.

– Dresden – mruknął Rudolph i uśmiechnął się kpiąco. – Świetnie. Dwie pieczenie przy jednym ogniu. Panna Murphy jest w domu?

Powiedział „panna“ z wyraźnym naciskiem, żeby zaznaczyć, że Karrin już nie jest policjantką. Miałem ochotę dać mu po gębie. Powstrzymałem się, jak na mężczyznę przystało.

– To nie najlepsza chwila – odrzekłem. – Wciąż dochodzi do siebie po doznanych obrażeniach.

– Tych z ostatniej zimy – zauważył Rudolph.

Uniosłem brew. Pośród obrażeń, które Murphy odniosła podczas naszego wypadu z bandą psychotycznych zabójców i socjopatycznych malkontentów, nie było ran postrzałowych, a Karrin nie została ranna na miejscu zbrodni. Szpital nie musiał powiadamiać policji, a to oznaczało, że gliniarze musieli sami zacząć węszyć. Nie wyglądało to dobrze.

Murphy pomagała mi podczas pewnego włamania. Obrabowaliśmy Piekło. A przynajmniej jedną z wersji piekła. Nasz cel nie podlegał jurysdykcji lokalnych władz, ale, by dostać się na miejsce, musieliśmy skorzystać z piwnicy w jednym z banków, który w efekcie został całkowicie zrujnowany. Poza tym w budynku byli ochroniarze. No i jeszcze policjanci, którzy otoczyli bank. Musieliśmy jakoś się przez nich przebić. Staraliśmy się nikogo nie zabijać, ale jeden z naszych współpracowników zaszlachtował strażnika.

To sprawiło, że wobec prawa wszyscy staliśmy się współwinni zabójstwa. Zresztą całkiem słusznie.

– Tak, właśnie tych – odparłem. – Więc spadaj.

– Albo co? – spytał Rudolph łagodnie.

– Albo Murphy pozwie wasz wydział i puści was z torbami, chyba że masz nakaz albo wykażesz wiarygodne prawdopodobieństwo winy.

– Będę nalegał – odrzekł Rudolph z uśmiechem.

– Chciałbym to zobaczyć – odpowiedziałem całkiem szczerze.

Moc znów do mnie przemawiała i doradzała, że skoro nie mogę wyładować nagromadzonego napięcia z chętną kobietą, właściwym zastępstwem będzie spuszczenie łomotu aroganckiemu Rudolphowi.

– Nie – odezwał się drugi z policjantów znudzonym tonem. – Nie chciałby pan.

Zerknąłem na niego. Miał około metra sześćdziesięciu – we wszystkich trzech wymiarach. Nie wiem, kiedy ostatnio widziałem kogoś tak solidnie zbudowanego. Był ubrany w skrojony na miarę garnitur, ponieważ sklepowe ubrania z pewnością na niego nie pasowały, ale uszyty z materiału, który nie przykuwał wzroku,

pozwalając stopić się z tłumem w biznesowym świecie. Przyprószone siwizną włosy miał ostrzyżone przy samej skórze, a twarz znaczył cię zarostu, pojawiający się zapewne dziesięć sekund po goleniu. Coś w jego postawie i spojrzeniu, które nie skupiało się na niczym konkretnym, podpowiadało mi, że zna się na swojej robocie.

Nie znałem policjantów z Wydziału Spraw Wewnętrznych tak dobrze jak tych od Dochodzeń Specjalnych albo gliniarzy patrolujących moje okolice.

– Zostałeś partnerem Rudy’ego, co? – zapytałem. – Jestem Harry Dresden.

– Detektyw Bradley – odpowiedział. – Panna Murphy dla własnego dobra powinna czym prędzej z nami porozmawiać.

– Albo możemy to zrobić w śródmieściu – dodał Rudolph. – Mnie jest wszystko jedno.

– Rudolph – odezwałem się sympatycznym głosem. – Wiesz, jak długo zmywa się zaschniętą krew z włosów, kiedy ktoś złamie ci nos?

– Harry! – zawołała Karrin z kanapy z wyrzutem w głosie. – Możesz trochę przyhamować? – Przepraszająco machnęła ręką, poza zasięgiem wzroku mężczyzn za drzwiami. – Miejmy to już za sobą, dobrze?

Posłałem intruzom nieprzychylnie spojrzenie.

– Mam prawo wykopać...

– Harry – westchnęła Murphy.

– Poprosić was o wyjście, jeśli odniosę wrażenie, że się zmęczyła – dokończyłem bez zająknienia. Popatrzyłem ponad ramieniem Rudolpha na starszego policjanta. – W porządku?

– Ożeż ty... – zaczął Rudolph.

– Nikomu nie zależy na niepotrzebnym dręczeniu rannej kobiety – wtrącił się Bradley. – Nie zajmie nam to dużo czasu.

– Dobrze – mruknąłem. – Wejdźcie.

Weszli i spytali, czy mogą usiąść. Niech im będzie. Ja nie usiadłem. Stałem za plecami Karrin i oparłem się o ścianę z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Murphy – zaczął Bradley.

Karrin ze znużeniem pokiwała głową. Znałem ją na tyle dobrze, że dostrzegłem w tym geście szacunek, chociaż pozbawiony

sympatii.

– Bradley. Do rzeczy, Rudolph. Co tutaj robicie?

Rudolph otworzył brązową kopertę i wyjął kilka kolorowych wydruków ze zdjęciami. Rzucił je na stolik. Podniosłem je i podałem Karrin, nie spuszczać wzroku z policjantów.

Przekartkowała fotografie, a ja wyczułem w niej rosnące napięcie. Podała mi zdjęcia.

Pierwsze z nich pochodziło z monitoringu na jednej z ulic w Chicago. Nie rozpoznałem tego miejsca, ale rozpoznałem rozmyte zdjęcie Murphy za kierownicą niewielkiej terenówki pędzącej w gęstym śniegu.

Pozostałe zdjęcia pochodziły sprzed budynku banku, a także z wewnętrznych kamer. Za sprawą paskudnej pogody oraz magii przenikającej powietrze wszystkie były rozmazane i zniekształcone, ale na jednym było widać dwóch mężczyzn wychodzących z banku. Jeden był średniego wzrostu, a drugi bardzo wysoki.

Zdjęcie przedstawiało mnie i najemnika nazwiskiem Grey podczas ucieczki z miejsca włamania. Zasłona, pod którą się kryliśmy, najwidoczniej na chwilę przygasła albo zdjęcie zrobiono, zanim stężała i ukryła nas przed wzrokiem świata. Mimo wszystko fotografia przedstawiała zaledwie zarysy postaci. Nie dało się dostrzec naszych twarzy. Tyle że w Chicago nie ma zbyt wielu gości o wzroście koszykarza, którzy mogliby napaść na bank. Podobnie jak w innych miejscach. Wszystkie pozostałe zdjęcia były równie albo jeszcze bardziej zniekształcone, ale przedstawiały tę samą charakterystyczną rosłą sylwetkę, chociaż na żadnym nie było widać twarzy, nie licząc ostatniego, na którym biegłem chodnikiem, a każdy, kto ma oczy, czyli większość potencjalnych członków ławy przysięgłych, mógł mnie na nim rozpoznać.

– Ta fotka pochodzi z tego samego dnia, w którym doznałaś obrażeń – odezwał się Rudolph do Karrin. – Co za zbieg okoliczności.

– Jak? – spytała spokojnie. – Każdego w Chicago codziennie nagrywa kilka kamer.

– Ale nie każdy przekracza prędkość w niebezpiecznych warunkach – odparł Rudolph.

– Czy Wydział Spraw Wewnętrznych teraz zajmuje się wlepianiem mandatów? – spytała Karrin. – Skoro już wypleniliście całą korupcję w mieście?

– Przekroczenie prędkości na głównych ulicach miasta w czasie burzy śnieżnej – ciągnął Bradley. – W tym samym czasie w najbliższej okolicy zgłoszenie o bitwie gangów.

– Staralam się zdążyć do domu na swój ulubiony serial – odrzekła oschłym tonem.

– Ostatecznie rozbiłaś samochód, prawda?

– Skutki młodzieńczej porywczności – odparła Karrin i wskazała na gipsowe opatrunki. – Już to wyjaśniałam.

Bradley pokiwał głową.

– Rozmawiałem z twoim lekarzem. Powiedział, że jeszcze nie spotkał się z tym, by ktoś doznał takich obrażeń w wyniku wypadku samochodowego. A mówiąc dokładniej, to wygląda na skutek bezpośredniej przemocy.

– Myli się – odparła Karrin. – Poza tym łamie tajemnicę lekarską.

– No i jest jeszcze twój współnik – dodał Bradley, udając, że Murphy się nie odezwała. – Jego też mamy na zdjęciach.

– Przepiękna fotka, Dresden – rzekł Rudolph. – Stoisz na chodniku przed budynkiem, w którym następnego dnia znaleźliśmy zwłoki. – Zajrzał do niewielkiego notesu, który wyjął z kieszeni. – Niejakiego Harveya Morrisona, certyfikowanego księgowego.

Karrin posłała mu spojrzenie policjantki, a ja musiałem się zadowolić miną maga, co nie było łatwe. Poczułem, że skręca mnie w żołądku. Harveya Morrisona spotkała paskudna śmierć, pomimo moich wysiłków, by go ocalić. Gliny mają lekkiego fioła na punkcie trupów zamordowanych cywili, niezwiązanych ze światem przestępczym.

Nieudana próba uratowania komuś życia to nie to samo, co morderstwo, ale z zewnątrz może wyglądać niemal identycznie.

– Morrison był częstym klientem banku Yerity Trust – ciągnął Bradley. – A ten został obrabowany następnego dnia. Podczas włamania otwarto skrytkę ofiary. Doszło do licznych eksplozji oraz potężnej strzelaniny. – Wskazał głową zdjęcia. – Pozostałe fotografie przedstawiają podejrzanego, mężczyznę o wzroście od dwóch

metrów do dwóch metrów dziesięć, zapewne jednego z rabusiów z banku. – Podniósł na mnie obojętne spojrzenie. – Masz dwa metry i... pięć centymetrów wzrostu, zgadza się Dresden?

– Każdego ranka grzecznie zjadałem płatki śniadaniowe – odparłem.

– Mądrała – syknął Rudolph. – Mędrkuj sobie dalej. Dobrałem ci się do tyłka.

– Mędrkuj? – spytałem, a potem pokręciłem głową, patrząc na Bradley a i wskazując Rudolpha kciukiem. – Kto tak mówi?

– On może mieć rację – odrzekł Bradley cicho. Przeniósł wzrok ze mnie na Karrin. – Kopiemy dalej. Jesteśmy w tym dobrzy.

– Rzeczywiście – przyznała Karrin.

Bradley skinął głową.

– Twoja rodzina przysłużyła się temu miastu, Murphy. Myślę, że byłoby lepiej dla nas obojga, gdybyś z nami porozmawiała, zanim dokopiemy się do czegoś nowego.

Nie patrzyliśmy na siebie z Karrin. Nie musieliśmy się konsultować w tej kwestii. Podobnie jak większość ludzi na świecie policjanci ignorowali nadprzyrodzoną rzeczywistość. Popatrzyliby na nas jak na wariatów, gdybyśmy spróbowali im opowiedzieć o napadzie zorganizowanym przez opętanych przez demony szaleńców liczących sobie dwa tysiące lat, w którym oprócz nas wzięli udział zmiennokształtny, Wielka Stopa, jednoosobowa armia oraz piromantka. Uznaliby, że próbujemy udawać niepoczytalnych, i wsadziliby nas za kraty.

Zdolność ludzi do zaprzeczania temu, co znajduje się przed ich oczami, jest oszałamiająca. Psiakrew, Rudolph widział na własne oczy, jak loup-garou demoluje posterunek policji w Chicago, a jednak wciąż wypierał prawdę.

– Nie wiem, co wam powiedzieć – odrzekła Karrin. – Na tym zdjęciu próbuję po prostu wrócić do domu pośród śnieżycy. Nie wiem nic o tym księżowym.

– A ja nie wiem prawie nic o niczym – dodałem. – Poza tym, że w Chicagolandzie mieszka pewnie z tysiąc osób mierzących powyżej dwóch metrów. Na zdjęciu może się znajdować każda z nich. Mam

nadzieję, że przygotowaliście odpowiednio duży pokój, żeby urządzić okazanie.

– A to zdjęcie? – spytał Bradley cierpliwie. – To, które ukazuje ciebie?

– Chyba biegłem na pociąg – odparłem, starając się zabrzmieć niewinnie.

Bradley zdecydowanie mi nie uwierzył. Zmierzył nas oboje wzrokiem, a potem pokiwał głową i odetchnął.

– No tak. Dobrze.

Rudolph energicznie wstał.

– No cóż, próbowaliśmy.

Bradley uważnie na niego popatrzył. Następnie wstał i powiedział cicho: – Zaraz wyjdę. Zaczekaj na mnie.

– Kurwa, nie jestem twoim młodszym partnerem, tylko przełożonym – warknął Rudolph.

– Tak jest – zgodził się Bradley. – Jak mówiłem, zaraz wyjdę.

Rudolph popatrzył na niego z obrzydzeniem. Potem zerknął na mnie i wycelował w moją stronę palec wskazujący.

– Nie mogę się doczekać, kiedy cię zamkną, Dresden.

– To jeszcze trochę poczekaś – odparłem.

Rudolph uśmiechnął się kpiąco, najpierw do mnie, potem do Karrin.

Wbiła w niego wzrok. Miała przenikliwe spojrzenie. Uśmiech zniknął z ust Rudolpha i detektyw wyszedł bez słowa.

– Palant – westchnęła Karrin, kiedy zamknęły się za nim drzwi. Popatrzyła na Bradleya. – On? Naprawdę?

Bradley wzruszył ramionami, potężnymi, jak płyty tektoniczne.

– Ktoś musi wykonać robotę.

– No tak – odpowiedziała Karrin cicho.

– Psy zostały spuszczone ze smyczy – dodał. – To tylko kwestia czasu, zanim złapią trop. Ty i Dresden od dawna stąpacie po krawędzi. Tym razem przekroczycie granicę.

– Nie wiem, o czym mówisz – odrzekła Karrin.

– Cholera – mruknął Bradley. Pomasował dłonią krótko ostrzyżoną głowę. – Dobrze, skoro tak chcesz to rozegrać, to nie ma sprawy.

– Po prostu wykonuj swoją pracę – odparła Karrin. – Jak zawsze.

– Tak. – Bradley pokręcił głową. – Rudolph pozwolił, by to się zmieniło w sprawę osobistą. To nieprofesjonalne. Przepraszam za jego zachowanie.

– Niczego lepszego się po nim nie spodziewałam – odrzekła Karrin. – To nie twoja wina.

– A właściwie dlaczego to Wydział Spraw Wewnętrznych się tym zajmuje, a nie Wydział Zabójstw? – spytałem.

Bradley wzruszył ramionami.

– Może dlatego, że Murphy była jedną z nas. Ty w pewnym sensie też.

Karrin przez chwilę wbijała w niego wzrok.

– Dziękuję, że przyszedłeś, Bradley – powiedziała w końcu.

Bradley grzecznie pokiwał głową.

– Nie ma sprawy. Dzięki za poświęcony czas. Mam nadzieję, że niedługo dojdiesz do siebie.

Wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi, jakby chciał uniknąć przypadkowego złamania ich na pół. Może wcześniej miewał z tym problemy.

Odetchnąłem przeciągle, a potem podszedłem do drzwi i odprowadziłem policjantów wzrokiem, a kiedy zniknęli, skinąłem głową do Karrin.

– Co on ci powiedział? – spytałem. – Nie dosłyszałem.

– Podejrzewa, że to kwestia tego, że byłam jedną z nich – odrzekła Murphy. – Ale Bradley nie ma w zwyczaju zgadywać. Tak naprawdę nie wie, dlaczego to Wydział Spraw Wewnętrznych zajmuje się tą sprawą.

Pomasowałem nasadę nosa i warknąłem.

– Ktoś pociąga za sznurki za kulisami. Przekazali tę sprawę jednemu ze swoich ludzi. Rudolphowi.

– A on siedzi w kieszeni Marccone'a – dodała Karrin i zacisnęła usta. – A przynajmniej tak sądzimy.

Mruknałem pod nosem.

– Kto jeszcze mógłby nim sterować? Kto inny ma takie wpływy w mieście?

Pokręciła głową.

- Pytasz niewłaściwą osobę w tym pomieszczeniu.
- A więc mamy kolejną zagadkę – odpowiedziałem. – Czego możemy się spodziewać?
- Bradley jest jak wygłodniały pies, któremu rzucono kość – zauważyła. – Kiedy już złapie trop, nie odpuści. Nie ma zwyczaju zamiatać spraw pod dywan. Nie gra w tę grę.
- Nic dziwnego, że w tym wieku wciąż jest podwładnym Rudolpha – odrzekłem. – Na szczęście po naszej stronie są fakty. Nie zabiliśmy Harveya. Ani tamtego faceta w banku.
- Karrin parsknęła.
- Byliśmy tam i okłamaliśmy w tej sprawie policję. Już to daje im podstawy, żeby nas aresztować. Nasze DNA znalazło się na miejscu włamania, a poza tym mogą się pojawić naoczni świadkowie, którzy widzieli nas na ulicy, lub nagrania z kamer...
- Albo ktoś może spreparować kolejne dowody – wtrąciłem.
- Pokiwiała głową.
- Niewykluczone, że zdołają nas oskarżyć. A to... może się skończyć źle.
- Więc co z tym zrobimy?
- Uniosła brew.
- Co zrobimy? Nie jesteśmy złoczyńcami w powieści detektywistycznej Bradleya. Mamy go zniechęcić do prowadzenia dochodzenia? Zniszczyć dowody? Wrobić kogoś innego?
- A jednak jakoś wypadaloby zareagować – mruknąłem.
- Niewiele możemy zrobić – odrzekła cicho. – Najwyżej dowiedzieć się więcej o tym, co się dzieje. Pozostało mi kilka kanałów. Sprawdzę je.
- A ja przyjrę się sponsorowi Rudolpha.
- Pokiwiała głową.
- Myślisz, że to przeszkodzi w waszym zlocie dziwaków?
- Możliwe, że właśnie o to chodzi – odrzekłem i przez chwilę się zastanawiałem. – Kiedy wyjdę, zadzwoń do Buttersa.
- Karrin uniosła brew.
- Znosi się na prawdziwe rekinado – dodałem. – Niech przekaże wieści. Wszystkim. To znaczy w Paranecie.
- Jakie wieści?

– Że powinni mieć oczy szeroko otwarte i być w gotowości – wyjaśniłem. – Ktoś szykuje jakąś grubszą aferę. Czuję to.

Karrin pokiwała głową i zerknęła na zegar stojący pod ścianą.

– Wciąż masz trochę czasu, zanim będziesz musiał wracać – zauważyła.

– Tak?

Znowu pokiwała głową. Jej niebieskie oczy wpatrywały się we mnie znacząco.

– Chodź tutaj.

Uniosłem brew.

– Eee, nic się w tej kwestii nie zmieniło. Nie jestem pewien, czy...

Roześmiała się łobuzersko.

– Trzeba się przystosowywać i przewycięzać problemy, Harry. Jestem inteligentna. A ty masz sporą wyobraźnię. Wspólnymi siłami coś wymyślimy. – Zmrużyła oczy. – A teraz... chodź... tutaj...

Byłoby bardzo niegrzecznie odmawiać damie.

Dlatego posłuchałem.

Byłem bardzo zadowolony z siebie, kiedy wracałem do samochodu.

Ale moja opiekunka do dziecka musiała wkrótce wyjść, więc, chociaż byłoby przyjemnie, nie mogłem zostać dłużej. Musiałem zachować się jak odpowiedzialny tata.

Pogwizdując, dotarłem do Munstermobilu i zbudziłem silnik do życia. Samochód był starym karawanem z lat czterdziestych, polakierowanym na odcienie granatu i fioletu, z płomieniami namalowanymi na masce i przednich błotnikach. Nie wyglądał dyskretnie. Nic z tych rzeczy. Ale uznałem, że skoro sam też taki nie jestem, tego typu pojazd będzie dla mnie odpowiedni.

Auto ożyło z pomrukiem, a ja obróciłem się, położyłem jedną rękę na oparciu i spojrzałem za siebie, chcąc wyjechać tyłem z podjazdu Karrin, a wtedy omal nie dostałem zawału serca.

Na tylnym siedzeniu siedziały dwa potwory.

Skrzywiłem się i odruchowo skręciłem tułów w pasie, by podnieść lewą rękę, na której nosiłem prowizoryczną bransoletkę z tarczami. Wydałem z siebie zniekształcony, niezrozumiały okrzyk, gdy moja wola gwałtownie przeszła miedzianą opaskę, która trysnęła zielono-żółtymi iskrami i postawiła tarczę oddzielającą mnie od zagrożenia. Moja prawa dłoń zastygła w kształcie sztywnego pazura, a między opuszkami palców pojawiła się skwiercząca kulka energii w tym samym kolorze.

Migoczące, niestabilne światło zapulsowało nieregularnie, a ja mogłem ocenić zagrożenie.

Żaden z potworów się nie poruszał, a oba były piękne.

Ten po lewej był kobietą, która wyglądała, jakby wkroczyła w olśniewającą jesień młodzieńczego piękna. Włosy miała ciemniejsze od mogiły grabarza, a w srebrzysto-szarych oczach odbijało się światło przyzwanej przeze mnie magii. Zęby miała białe i idealne, a jej uśmiech był ostry jak brzytwa. Miała na sobie biały kostium i siedziała z cudownie skrzyżowanymi nogami i rękami złożonymi na podołku.

– Nowe kolory – odezwała się aksamitnie gładkim, spokojnym głosem. – Tarcza kiedyś była niebieska. Co się zmieniło?

– Zawarł sojusz z potężnym strażnikiem – wyjaśniła jej towarzyszka. Była chuda jak metalowy pręt, ale jeszcze zimniejsza i twardsza, a jej opalizujące zielone oczy wydawały się za duże, by mogła być człowiekiem. Srebrzysto-białe włosy opadały jej na ramiona jedwabistą zasłoną. Głos brzmiał spokojnie i precyzyjnie, a ciało okrywała suknia w kolorze lodowatego błękitu, której miejsce było na wybiegu dla modelek. – To mu nie przeszkadza w wypełnianiu obowiązków.

Wodziłem wzrokiem między obiema kobietami. Moje serce nieco się uspokoiło, gdy zaczęło do mnie docierać, że najwyraźniej nie zostałem zaatakowany.

Co nie oznacza, że nic mi nie groziło.

Bezgłośnie policzyłem do pięciu, biorąc przy tym głęboki wdech, i postanowiłem, że będę spokojny i ostrożny – a także grzeczny.

– Lara Raith – odezwał się do pierwszego z potworów, lekko skłaniając głowę. Następnie zwróciłem się ku drugiemu i również się ukloniłem, tylko nieco głębiej. – Królowo Mab.

– Miło znów cię spotkać, Harry – odrzekła Lara. Jej ostry uśmiech rozszerzył się i zatknęła za ucho kosmyk ciemnych włosów. – Bardzo mi się podoba twoja fryzura. Wyglądasz bardzo drapieżnie. Kiedy ostatnio się widzieliśmy?

– Podczas tamtej afery na wyspie – odpowiedziałem. – Jak idą interesy Królowej Wampirów?

Szerzej otworzyła oczy, w których pojawił się cień rozbawienia.

– Wyśmienicie. Czasami mam wrażenie, że eksploduję na samą myśl o wszystkich cudownych możliwościach, jakie się przede mną otwierają.

– Byle nie w moim samochodzie – rzuciłem. – Witaj, Mab.

Drugi z potworów przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu. Mab była największym kozakiem wśród niegodziwych elfów, Królową Powietrza i Ciemności, a jej tolerancja dla mojej beztroski miała swoje granice. Świadczył o nich niewielki guz, który wciąż nosiłem na czaszce po tym, jak grzmotnęła moją głowę o ścianę windy.

Patrzyła na mnie tak, jak kot patrzy na stworzenie, które ma idealne rozmiary, by stać się posiłkiem.

– Tak naprawdę to mój samochód – odrzekła.

– Aha, no cóż, to rzeczywiście firmowe auto.

Mab mówiła dalej, zupełnie jakbym się nie odezwał.

– A panna Raith może w nim eksplodować, jeśli ma na to ochotę.

– To raczej była metafo...

– Zwłaszcza w obliczu tak szokującego pokazu złych manier, jaki właśnie oglądamy. – Zerknęła na moje dłonie, a potem znów popatrzyła mi w oczy. – Zamierzasz zaatakować mnie i mojego gościa, Rycerzu?

Wzdrygnąłem się i przypomniałem sobie, że między nami wciąż łśni i pulsuje tarcza oraz energia przygotowana do zadania ciosu. Rozproszyłem siłę woli, a zaklęcia stopniowo wygasły, tak że w powietrzu pozostała tylko garstka iskier, które wystrzeliły z mojej bransoletki, gdy nieudolnie spróbowałem rozproszyć magiczną energię.

– No tak – odezwałem się. – Przepraszam.

– Proszę wybaczyć... nieopanowanie mojego Rycerza – zwróciła się Mab do Lary. – Mam nadzieję, że nie wpłynęło to negatywnie na atmosferę naszego spotkania.

– Wręcz przeciwnie – odrzekła Lara. – To dosyć urocze.

Nie byłem w stanie rozszyfrować wyrazu twarzy Mab.

– Pani odpowiedź nie wzmocni wysokiego mniemania, jakie mam o pani, panno Raith. Mój Rycerz nie potrzebuje zachęty.

– Ejże! – zawołałem.

W kącikach oczu Lary pojawiły się zmarszczki.

– Proszę to potraktować jak reakcję kogoś, kto natrafił na nieznaną formę jedzenia. – Popatrzyła na mnie, a jej oczy nieco pojaśniały. – Coś sycącego i rzadko spotykanego.

Mab przez chwilę się nad tym zastanawiała. W końcu się uśmiechnęła. To był przerażający uśmiech. Większość rzeczy, które robi Mab, przeraża, ale jej uśmiech naprawdę potrafi wyprowadzić z równowagi.

– Proszę tylko pamiętać, że ten Rycerz jest częścią mojego domostwa. Dlatego lepiej nie kosztować mojej owsianki, panno

Raith. Nie jest ani za gorąca, ani za zimna, ani w sam raz, a niedźwiedzie nie obejdą się z panią jak ze Złotowłosą, tylko panią pożą. Rozumiemy się?

– Całkowicie – odpowiedziała Lara, skłaniając głowę przed Mab. Jeszcze przez chwilę mi się przyglądała. – Na pewno to, o co proszę, nie stanowi zbytniego kłopotu?

– Takie sprawy należą do jego obowiązków – odrzekła Mab. – Oczywiście pod warunkiem, że on panią zadowala?

– Ojej – westchnęła Lara, ponownie na mnie zerkając. – Ależ tak. Nie podobało mi się, dokąd zmierza ta rozmowa, więc odchrząknąłem.

– Szanowne panie, jestem tutaj. Wszystko słyszę.

– W takim razie nie powinieneś mieć problemów ze zrozumieniem rozkazów – odparła Mab. – Zimowy Dwór jest winien pani Raith trzy przysługi.

– Aż trzy? – wykrztusiłem. – Musiałem walczyć o życie w Arctis Tor i stawić czoło Starszemu Fobowagowi, żeby zasłużyć na jedną!

Mab przeniosła na mnie wzrok.

– Twoje czyny zostały odpowiednio wynagrodzone.

– Dostałem pączka!

– To nie mój problem, że zmarnowałeś swoją przysługę na coś tak frywolnego – odrzekła Mab.

Skrzywiłem się.

– A co ona zrobiła, do diabła?

– Zrobiła użytek ze swojego rozumu. W odróżnieniu od niektórych.

– Hej! – zaprotestowałem.

– Dała nam do zrozumienia, że chce wykorzystać te przysługi – ciągnęła Mab. – Przystałam już na jedną z nich. Odpowiedzialność za realizację pozostałych dwóch pozostawiam w twoich rękach.

Zamrugalem i zmrużyłem oczy.

– Co... takiego?

Mab wyglądała, jakby miała ochotę przewrócić oczami.

– Dwie przysługi. Może cię o nie poprosić podczas zbliżającego się szczytu. Zrobisz wszystko, czego zażąda, wkładając w to tyle

energii, entuzjazmu i przezorności... ile zdołasz. Nie możesz mnie zawieść.

– Problem w tym, że jestem już dosyć zajęty – odrzekłem. – Dobrze o tym wiesz. Muszę strzec Rady Starszych i pośredniczyć między Radą a Krainą Elfów.

– Mój czas i uwaga są nieskończenie więcej warte niż twoje – odparła Mab. – Masz teraz więcej pracy. Przestań marudzić i marnotrawić czas, a skup się na swoich obowiązkach.

– Dwie przysługi – upewniłem się.

– Nie więcej, nie mniej.

– Czyli... mam zrobić wszystko, o co ona mnie poprosi.

– Oczekuję, że okaże szacunek mojemu Dworowi i zasobom – odrzekła Mab.

– Oczekuję, że nie poprosi o nic, czego nie byłaby skłonna zażądać ode mnie. A więc owszem, ale w rozsądnych granicach.

Parsknąłem.

– A jeśli każe mi coś ukraść?

– Dostarczysz jej to.

– A jeśli każe mi spalić jakiś budynek?

– Ma po nim zostać tylko sterta popiołu.

– A jeśli poprosi, bym kogoś zabił?

– Mam nadzieję, że umiejętnie pozbędziesz się ciała. – Mab nachyliła się i lekko zmrużyła oczy. – Jeśli nie wypełnisz tych zobowiązań w pełni, okryjesz hańbą moje imię, mój tron i całą Zimę. – Ściszyła głos do szeptu. – Zastanów się nad konsekwencjami takiego zachowania.

Nie popatrzyłem jej w oczy. Widziałem, co Mab jest skłonna zrobić komuś, kto ją rozczarował, a co dopiero komuś, kto postawił ją w złym świetle. Mój poprzednik błagał mnie o śmierć. Kiedy pełnił moją funkcję, był potworem, ale Mab zmieniła go w skowyczącą kupę strzaskanych tkanek, zanim pozwoliła mu umrzeć.

Jeśli dam jej powód, potraktuje mnie tak samo.

Nie.

Potraktuje mnie gorzej. Znacznie gorzej.

Zerknąłem na Larę, która obserwowała mnie z dużo mniej nie ludzką, ale równie nieodgadnioną miną. Jako królowa Białego

Dworu była pełnoprawnym potworem. Była inteligentna, zmotywowana i cholernie niebezpieczna. Podobno miała w kieszeni całą armię amerykańskich polityków, a ambicja pchała ją coraz wyżej. Niewątpliwie mogła zażądać ode mnie czegoś, co wykraczało poza granice ludzkiego sumienia.

Ale Lara była też wyjątkowo sprytna. Musiała wiedzieć, że mam swoje ograniczenia, a pakt z Mab tego nie zmienił. Jeżeli każe mi zrobić coś niewyobrażalnego, powiem jej, gdzie może sobie wsadzić swoje życzenie.

A wtedy zostanę zabity. Całkowicie. Na śmierć.

Obejrzałem się na Mab. Jej twarz była niewzruszona, jak z granitu.

Lara rządziła zgodnie z postanowieniami Przymierza, Konwencji Genewskiej nadprzyrodzonego świata. Gdybym w jej obecności sprzeciwił się Mab, czekałby mnie przynajmniej los Prometeusza. Ale gdybym się zgodził, mógłbym się wpakować w jeszcze większe kłopoty. Spłacanie długów w społeczności elfów nigdy nie jest prostą sprawą.

Nie miałem dobrego wyjścia z tej sytuacji. Nic nowego.

– Dobrze – odezwałem się. – Niech będzie.

– Doskonale – odrzekła Mab. – Panno Raith?

Lara pokiwała głową, nie odrywając dużych lśniących oczu od mojej twarzy.

– Może być.

– A więc na razie nie mamy więcej spraw do omówienia – stwierdziła Mab.

Nagle zerwał się lodowaty wiatr, zupełnie nie na miejscu w ten letni wieczór, szyby samochodu zaszły parą, a ja musiałem zamrugać i osłonić oczy dłonią.

Kiedy odzyskałem wzrok, Mab i Lara już odeszły i siedziałem sam w Munstermobilu.

– Co za efekciarstwo – mruknąłem i odsunąłem szyby. Po kilku minutach były czyste, a ja ruszyłem w drogę powrotną do mieszkania, mrużąc pod nosem przekleństwa pod adresem bezlitosnej natury elfich królowych.

Kiedy dzieliły mnie dwie przecznice od ambasady, usłyszałem syreny. Zaniepokojony lekko dodałem gazu.

Ogarnął mnie jeszcze większy niepokój, gdy na niebie zobaczyłem chmurę dymu, a kiedy ujrzałem wozy strażackie zatrzymujące się przed budynkiem, niepokój zmienił się w czystą panikę.

Języki ognia strzelały na kilkanaście metrów nad płonący gmach. W ambasadzie szalał pożar, a moja córka była w środku.

Zaparkowałem w odległości jednej przecznicy i puściłem się biegiem. Nie chciałem, by zatrzymał mnie jakiś życzliwy strażak, więc biegłem pod zasłoną. Nie miałem także ochoty zwlekać, więc biegłem z szybkością olimpijczyka. Zapewne zachowałbym się bardziej dyskretnie, gdybym nie przeskoczył maski ostatniego radiowozu stojącego mi na drodze. Policjant stojący obok drzwi kierowcy wytrzeszczył oczy i sięgnął po krótkofalówkę, co jest zrozumiałą reakcją, gdy mija nas coś, co przypomina niskobudżetowego Predatora.

Nie ma sensu dysponować zagrażającym duszy źródłem mocy, jeśli nie możesz z niego skorzystać, gdy twoja córka jest w niebezpieczeństwie.

Właśnie taka logika wpakowała cię w kłopoty, prawda?

Przymknij się, Dresden.

Ciemne elfy prawdopodobnie wyłączyły wszystkie osłony na terenie wokół budynku, w przeciwnym razie wozy straży pożarnej nie mogłyby się do niego zbliżyć. Austri zapewne nie mógł przeboleć, że wpuszcza bandę ludzi. Minałem opustoszałą budkę strażnika.

Drzwi frontowe budynku były otwarte i biły z nich kłęby dymu, które ograniczały widoczność do około dziesięciu metrów. Dwa oddziały strażaków z węzami już stały przed drzwiami i zalewały je wodą, najwyraźniej przygotowując się do wejścia. Nie miałem zamiaru zostać powalony strumieniem wody ani spłonąć, dlatego okrążyłem budynek. Z boku znajdowało się wyjście ewakuacyjne, a z tyłu drugie wejście dla dostawców.

Ziemia pod moimi stopami nagle stała się płynna i musiałem zwolnić, by się w nią nie zapaść. Ciemne elfy potrafią manipulować gruntem w taki sam sposób, w jaki ludzie kształtują tworzywa sztuczne, tylko oczywiście za pomocą magii.

Czym prędzej zdjąłem zasłonę i uniosłem ręce.

– Ejże, to ja! Harry Dresden!

Głowa ciemnego elfa wynurzyła się z ziemi, bez żadnej dodatkowej iluzji, a ogromne oczy zamrugały i skupiły się na mnie.

– Aha – odezwał się elf, a ja rozpoznałem ten głos. To była Evanna, siostra Etriego, jego zastępczyni. Miała blade włosy, tak jedwabiste, że wydawały się rzadkie. Wsunęła się z gruntu ubrana w prostą sukienkę takiego samego koloru jak jej włosy. – Magu, miałam cię wypatrywać. Powinieneś pójść ze mną.

– Moja córka – odrzekłem. – Muszę ją znaleźć.

– Właśnie – zgodziła się Evanna zdecydowanym tonem i wyciągnęła do mnie rękę.

Zazgrzytałem zębami.

– Będziemy wędrować przez ziemię?

– Jeśli ci to nie przeszkadza – odpowiedziała.

– Nienawidzę tego – odparłem. – Bez obrazy. – Potem wziąłem głęboki wdech i chwyciłem ją za rękę.

Potrafię wędrować przez ziemię. Formalnie rzecz biorąc. Gdybym naprawdę tego pragnął, umiałbym to zrobić. Magowie są zdolni do niemal wszystkiego, co potrafią inne nadprzyrodzone istoty, jeśli tylko się przyłożymy.

Ale dlaczego miałbym chcieć to robić?

Evanna pociągnęła mnie w dół i zapadłem się w ziemię, jakby ta nagle zmieniła się w galaretę. O smaku piachu. Zaczęliśmy się przemieszczać, a ziemia przenikała nas w wyjątkowo nieprzyjemny sposób. Czułem jej szorstki dotyk na każdym centymetrze skóry, zupełnie jakbym przedzierał się przez drobny piasek, a moje ubranie nie było w stanie złagodzić tego doznania. Co gorsza, piasek ocierał się o moje rzęsy, przez co musiałem stale mrugać i zasłaniać oczy dłonią – co również nie na wiele się zdało.

Najgorsze było złudzenie, że mam ziemię w ustach, nosie i gardle. Podejrzywałem, że Evanna za pomocą magii sprawia, iż cząsteczki naszych ciał omijają cząsteczki ziemi, ale w praktyce miałem wrażenie, że znalazłem się w środku burzy piaskowej, która torturowała nawet moje kubki smakowe przytłaczającymi mineralnymi bodźcami.

Nie żartuję. To odrażające.

Wynurzyliśmy się spod ziemi w jednym z mieszkalnych korytarzy pod głównym budynkiem, który zapewne wesoło płonął gdzieś nad

nami. Tutaj nic na to nie wskazywało. W powietrzu nie było dymu, nie słyszeliśmy huku pożaru ani nie ciekła na nas woda.

Miałem ochotę splunąć, kiedy Evanna puściła moją dłoń i z rozbawieniem spojrzała na moją wykrzywioną twarz.

– Wiem, że dla śmiertelników to nieprzyjemne. Chcesz się napić wody?

Uniosłem brew i popatrzyłem na nią z góry. Z bardzo wysoka. Evanna była o piętnaście centymetrów niższa od Karrin, chociaż obie były równie muskularne.

– Traktujesz mnie protekcjonalnie?

– Magu, naprawdę uważasz, że zrobiłabym coś takiego?

Ruszyła przed siebie, a ja podążyłem za nią.

– Nigdy nie byłem na tym poziomie – zauważyłem.

– Jesteśmy poniżej mieszkań dla gości i pracowników. To kwatery rodzinne – odpowiedziała Evanna. – Mieszkamy tutaj z Etrim, naszymi partnerami i dziećmi, czasem dołączają kuzyni – wyjaśniła.

Stąpaliśmy bezgłośnie po kamiennej posadzce.

– Czy wszyscy nie powinni stąd wyjść? Przecież na górze szaleje pożar.

Evanna przekrzywiła głowę i obejrzała się na mnie.

– Zabezpieczyliśmy się.

– Jak to?

– Wydawało się to rozsądne, skoro gościmy ludzi twojego pokroju – odpowiedziała całkowicie beznamiętnie. – Słyszeliśmy plotki o pożarach w innych budynkach. Górne poziomy są odizolowane od dolnych kwater. Nawet jeśli biura doszczętnie spłoną, te piętra nie ucierpią.

Gwałtownie odetchnąłem z ulgą.

Evanna skłoniła głowę.

– Twoja córka jest bezpieczna. Tak podejrzewamy.

– Jak to podejrzewacie? – spytałem.

– Kiedy wybuchł pożar, ochrona próbowała dostać się do twoich kwater, ale Strażnik nie pozwolił nam jej zabrać.

Nagle zrobiło mi się niedobrze.

– Myszek. Chyba nic mu nie...

Evanna wbiła we mnie wzrok. Potem wyraz jej twarzy nieco złagodniał.

– Oczywiście, że nie. Wszyscy dobrze znają charakter Strażników Świątyni. Nie skrzywdzilibyśmy takiej istoty, gdyby to nie było absolutnie konieczne. Poza tym nie krzywdzimy dzieci. Właśnie dlatego zostałam po ciebie posłana.

Uniosłem brew.

– Chwileczkę. Chcesz powiedzieć, że nie udało wam się do niej dostać?

Evanna wzruszyła szczupłymi ramionami.

– Strażnik był bardzo zdeterminowany.

Zrobiłem kilka kroków pogrążony w myślach. Miała rację co do Myszka. Był grzecznym psem, ale potrafił bezbłędnie ocenić, kiedy ktoś albo coś ma złe zamiary. Prędzej by zginął, niż pozwolił, by Maggie spotkała jakąś krzywda.

A skoro bronił jej przed ciemnymi elfami...

Musiałem wziąć pod uwagę, że one coś knują. To bardzo zamknięta rasa, odmienna od ludzi. Możliwe, że podchodzą do rozmaitych spraw inaczej od naszych oczekiwań. Mieszkałem pośród nich już od dłuższego czasu i chociaż czułem się swobodnie w ich towarzystwie, nie łudziłem się, że ich znam.

Evanna przyglądała się mojej twarzy i nagle zrozumiałem, że stara się odczytać, o czym myślę. Sama miała całkowicie obojętną minę, pozbawioną wszelkich emocji.

– Co tu się dzieje? – spytałem ostrożnie.

– Ty mi to powiedz – odrzekła.

Westchnąłem z rozdrażnieniem.

– Na dzwony piekieł, Evanno, skąd mam wiedzieć? Przez cały wieczór byłem u swojej dziewczyny. Dopiero przed chwilą wróciłem.

Gwałtownie odwróciła się w moją stronę i stanęła mi na drodze, zupełnie jakbym nie był od niej cięższy o sto kilogramów.

– Stój – rzuciła ostro.

Posłuchałem.

Zmrużyła oczy.

– Powtórz to, co powiedziałeś.

– Dlaczego wszystkich tak szokuje to, że mam dziewczynę? – spytałem.

Na chwilę zamknęła oczy, jakby w myślach liczyła do trzech.

– Nie chodzi o to, tylko o twoje wytłumaczenie tych wydarzeń.

– Aha.

Zacząłem mówić, ale powstrzymałem się w ostatniej chwili i zastanowiłem. Znałem Evannę tylko z widzenia, ale sprawiała wrażenie wyjątkowo emocjonalnej jak na standardy ciemnych elfów – a to oznacza, że starała się ze wszystkich sił nie zdradzać niczego za pomocą swojej mimiki czy mowy ciała. Ciekawe, co jeszcze ukrywała.

Rozejrzałem się. Potem skupiłem się i użyłem magicznych zmysłów, zaglądając głębiej. Poczułem poruszającą się wokół nas energię oraz zakłócenia w kilku punktach kamiennej posadzki.

Evanna nie była sama. Śledziło nas pół tuzina ochroniarzy ambasady.

Ciemne elfy zachowały się grzecznie i wysłały po mnie ładną i uroczą osobkę, ale nagle uświadomiłem sobie, że jestem eskortowanym więźniem. Moje następne słowa miały ogromne znaczenie.

W takich chwilach zazwyczaj mówię prawdę, ponieważ nie jestem na tyle bystry, by spamiętać wszystkie kłamstwa. One się spiętrzają.

– Przez cały wieczór byłem u swojej dziewczyny – powiedziałem.

– Przed chwilą tutaj wróciłem. Nie wiem, co się dzieje.

Kiedy mówiłem, Evanna zamknęła oczy. Potem powoli je otworzyła i odezwała się cicho: – Mówisz prawdę.

– Co ty nie powiesz! – burknąłem. – Evanno, wiem, że jestem gościem, ale naprawdę zaczynasz mnie przerażać. Chcę się zobaczyć ze swoją córką, proszę.

– Rzeczywiście podlegasz prawom gościny – odrzekła cicho i skinęła głową. – Tędy.

Wspięliśmy się po schodach, powędrowaliśmy korytarzem, a następnie przeszliśmy przez drzwi i nagle znaleźliśmy się w znajomym miejscu – w holu przed wejściem do mieszkania. Przed drzwiami stało kilku elfich ochroniarzy pogrążonych w rozmowie.

–... nie ma sensu – powiedział jeden z nich. – Zamek został zwolniony. Powinny się otworzyć.

– Na pewno jakieś zakłęcie blokuje mechanizm – wtrącił drugi.

Pierwszy demonstracyjnie przekręcił gałkę. Obróciła się swobodnie, jak w otwartych drzwiach.

– Proszę bardzo.

– A więc użyjmy tarana – zaproponował drugi ochroniarz.

– Zniszczycie drewno – odezwałem się, podchodząc bliżej. – A i tak nie dostaniecie się do środka.

Drugi z ciemnych elfów odwrócił się w moją stronę z grymasem na twarzy.

– Zainstalowałeś dodatkowe środki bezpieczeństwa i nie poinformowałeś ochrony?

– Na to wygląda.

– To wbrew obowiązującym zasadom!

– Och, daj już spokój, Gedwigu – odparłem. – Jak na gościa, który rozkłada magiczne miny przeciwpiechotne na swoim trawniku, jesteś strasznie drażliwy.

– Mogłeś narazić wszystkich na niebezpieczeństwo.

Pokręciłem głową.

– To całkowicie bierna bariera energetyczna. Rozciąga się także na sąsiednie ściany. Nie robi nikomu krzywdy, ale potrzebowalibyście czołgu, żeby ją sforsować. – Jej zainstalowanie kosztowało mnie cały weekend ciężkiej pracy.

Gedwig się skrzywił.

– Taki pokaz braku zaufania można uznać za obrazę gościnności ciemnych elfów.

– Mówisz o moim braku zaufania? – warknąłem. – Chyba sobie żartujesz... – Uniosłem brew i zwróciłem się do Evanny. – Czy w języku twojego ludu nie ma słowa „ironia“?

– Spokój, Gedwigu – odezwała się Evanna. – Dresden, czy jesteś w stanie otworzyć te drzwi?

– To proste, jeśli ma się klucz – odrzekłem. Wyjąłem z kieszeni metalowy kluczyk i odwróciłem go, żeby mogła zobaczyć pentagram wyrzeźbiony na podstawie. – Chyba będzie najlepiej, jeśli wejdę sam i porozmawiam z Myszkiem. Zgoda?

Evanna skinęła głową.

– Niech będzie.

– Ależ, moja pani – zaprotestował Gedwig.

Machnęła dłonią i strażnik natychmiast się uciszył.

Pokiwałem głową i dotknąłem kluczem gałki w drzwiach. Moc zaklęta w kluczu przeniknęła metal i zakłóciła przepływ energii w barierze.

– Zaraz wrócę – powiedziałem i otworzyłem drzwi, jednocześnie obserwując dwóch ochroniarzy.

Miałem wrażenie, że Gedwig chce się obok mnie przepchnąć, ale został za plecami Evanny, kiedy wszedłem i zamknąłem za sobą drzwi.

– Tato! – zawołała Maggie. – Wróciłeś! Co się dzieje?

Moja córka siedziała na stole jadalnym, najbliżej środka, jak się dało, a jej opiekunka, Hope Carpenter, przysiadła obok niej i obejmowała ją ramieniem. Myszek miarowo krążył wokół stołu z opuszczonym łbem, posapując przez nos. Podniósł na mnie wzrok i zastrzygł uszami na powitanie, po czym wrócił do patrolowania.

– Harry – odezwała się Hope.

Była bardzo poważną młodą kobietą, dla której wiek dojrzewania okazał się niespotykanie szczodry. Przez ostatnie cztery miesiące zostałem wytrawnym ojcem, dlatego dobrze wiedziałem, że Michael wkrótce będzie się martwił tym, jak świat potraktuje jego uroczą blond córkę, zwłaszcza że...

Na gwiazdy i kamienie, Maggie wcale nie była dużo młodsza od Hope. Czy za kilka lat to ja będę się wił z rodzicielskiego niepokoju? Na pewno. Ta myśl mnie przerażała. A może zawstydziała. Albo jedno i drugie.

Ech, masz już wystarczająco dużo kłopotów, Dresden, nie musisz dokładać sobie nowych.

– Cześć, Hobbicie – odpowiedziałem i uśmiechnąłem się do niej uspokajająco. – Dlaczego siedzicie na stole?

– Ponieważ próbują przedostać się przez podłogę i nas dopaść!

– wyjaśniła Maggie głosem drżącym ze strachu.

W tej samej chwili Myszek gwałtownie się obrócił, powiewając szarą grzywą. Mniej więcej metr od stołu kamienna posadzka

zafalowała i jeden z ciemnych elfów wyłonił się spod ziemi. Myszek dopadł do intruza, w ostatniej chwili stanął na tylnych łapach, a następnie opadł przednimi łapami na elfa, wydając z siebie dźwięk kojarzący się z grzechotem naczyń, który tylko teoretycznie można było nazwać szczekaniem, gdyż bardziej przypominał wybuchowy ryk. Niebieskie iskry strzeliły z grzywy psa w chwili ciosu, a pokój przeszyła fala nadprzyrodzonej energii, niczym widmowa błyskawica. Zdążyliśmy zobaczyć, jak ciemny elf się wzdryga, a potem posadzka znów była posadzką, Myszek zaś wrócił do krążenia wokół stołu.

– Właśnie tak – powiedziała Maggie. – Przecież nie złamałyśmy żadnych zasad. Bierz ich, Myszek!

– Od jak dawna to się dzieje? – spytałem.

Hope pokręciła głową.

– Od dwudziestu minut? Pół godziny? Siedziałyśmy sobie na kanapie, gdy nagle te istoty spróbowały nas pochwycić. Udałoby im się, gdyby nie Myszek.

Zacisnąłem szczęki tak mocno, że moje zęby zaprotestowały z piskiem. Potem obróciłem się i wziąłem do ręki laskę.

– Zostańcie tutaj – poprosiłem. – Dobra robota, piesku, rób tak dalej. Spróbuję to wyjaśnić.

Myszek sapnął potakująco, nie przestając patrolować pokoju.

Odwrociłem się i wyszedłem na korytarz. Możliwe, że wyglądałem na nieco rozgniewanego, ponieważ Gedwig i jego towarzysz na mój widok dobyli broni – każdy z nich w jednej dłoni trzymał pistolet, a w drugiej sztylet o smukłym, pofalowanym ostrzu – po czym odsunęli się od siebie, żeby móc mnie zaatakować z dwóch stron. Nie wycelowali broni ani nie próbowali rzucić się na mnie z nożami, ale ich mowa ciała wskazywała, że strzelą bez wahania, jeśli będą do tego zmuszeni.

Evanna nie ruszyła się z miejsca, tylko patrzyła na mnie z obojętnym wyczekiwaniem.

Nie podniosłem głosu, choć nie usiłowałem ukryć gniewu.

– Dlaczego twoi ludzie straszą dwoje dzieci? Czym one was obrażyły?

– Niczym – odrzekła Evanna. – Chcieliśmy tylko zapewnić im ochronę i wyprowadzić z budynku tunelem ewakuacyjnym.

– Mówiłaś, że pożar im nie zagraża.

– Rzeczywiście – przyznała Evanna.

– Właśnie widziałem, jak jeden z twoich ludzi spróbował je schwytać – dodałem. – Każ im przestać. Natychmiast.

Evanna zamrugała, a potem odwróciła się i warknęła coś do Gedwiga. Zacisnął zęby, ale przytaknął, schował broń do kabury i zapadł się w podłódze.

– Niepotrzebnie się na nas gniewasz, magu – odezwała się Evanna urywanym głosem. – To nie ciebie skrzywdzono. Przelano krew, a odpowiedzialne osoby zostaną zmuszone do spłaty długu.

– Co to ma wspólnego ze mną? – zapytałem ostro.

Evanna spojrzała na mnie olbrzymimi ciemnymi oczami.

– Pokażę ci, jeśli chcesz.

– Chcę.

Nakazała drugiemu strażnikowi, żeby opuścił broń, a następnie odwróciła się i ruszyła korytarzem. Poruszała się bardzo szybko jak na tak drobną osobę i z trudem dotrzymywałem jej kroku.

– Dziś wieczorem do twierdzy przeniknął zabójca – oznajmiła.

– Co takiego? – spytałem. – Jak to się stało? Przecież macie obłędne zabezpieczenia.

– Stało się to tak jak zazwyczaj – odparła. – Za sprawą zdrady. Zabójca dotarł do służbowych komnat mojego brata. Doszło do wybuchów, które wzniciły pożar. Kilku strażników zostało rannych. Jeden zasłonił Etrięgo własnym ciałem i zapłacił życiem za swoją lojalność.

Odchyliłem do tyłu głowę i poczułem, jak gniew wyparowuje, gwałtownie zmieniając się w czysty niepokój. Ktoś próbował zabić głowę państwa i prawie mu się udało. Etri był znaczącą postacią w nadprzyrodzonym świecie – największą szychą pośród swojego ludu, który zasłynął jako najbardziej utalentowani kowale, rękodzielnicy i projektanci na planecie. Psiakrew, sam regularnie kupowałem od nich materiały potrzebne do wytwarzania magicznych składników. Były drogie, ale warte swojej ceny, nawet wtedy, gdy

jeszcze nie trzymałem pod materacem skarpety z brylantami na czarnej godzinę.

– Nie wiedziałem – odezwałem się znacznie ciszej. – Kogo straciliście?

– Austriego – odpowiedziała Evanna. – Wiernie służył naszej rodzinie przez siedemset lat.

Poczułem się, jakby ktoś zdzielił mnie pięścią w żołądek. Austri był dziwakiem, ale porządnym gościem i bardzo kochał swoje dzieci.

– Na dzwony piekiel – mruknąłem. – Bardzo... bardzo mi przykro. Evanna skinęła głową.

Poprowadziła mnie korytarzem, w którym jeszcze nigdy nie byłem, do pomieszczenia będącego zapewne pokojem narad.

Była to ogromna komnata, wysoka na sześć metrów i podzielona na wyspecjalizowane strefy. W jednym kącie znajdowała się zbrojownia pełna broni – nie tylko nowoczesnej i archaicznej, ale także takiej, której nie potrafiłem zidentyfikować. Po przeciwnej stronie znajdował się punkt szpitalny, odizolowany od reszty pomieszczenia za pomocą przejrzystych foliowych zasłon, za którymi krzątały się ciemne elfy w zwyczajnych lekarskich fartuchach.

Jedne nosze na kółkach stały na uboczu. Leżała na nich drobna postać zakryta zakrwawionym prześcieradłem.

Austri.

Przeniosłem wzrok na niewielki parking. Stały na nim samochody, coś, co przypominało rydwan, łódź wikingów wykonana z jakiegoś rodzaju połyskującego srebra oraz kilka obiektów, których również nie potrafiłem zidentyfikować. W głębi pomieszczenia znajdowała się strefa dowodzenia z kilkoma stołami ustawionymi w okręgu wokół obszaru roboczego, gdzie lśniły dziesiątki cienkich kryształowych płyt, używanych przez ciemne elfy jako ekrany.

Kiedy tak się rozglądałem, podszedł do mnie Etri, ubrany w typowy strój ciemnego elfa płci męskiej, który nie udawał człowieka – skąpą opaskę na biodra. Wyglądał strasznie. Na jednym z policzków miał siną opuchliznę, a na obnażonym ramieniu oparzenie, z pewnością niezwykle bolesne. Jego ogromne ciemne oczy nie były

spokojne. Krył się w nich gniew, tak głęboki, że ziemia aż drżała pod jego stopami.

Podniósł prawą rękę. Evanna podniosła lewą i na chwilę dotknęła jego dłoni.

– Mój szlachetny bracie.

– Siostró – odpowiedział Etri, po czym popatrzył na mnie. – Czego się dowiedziałaś?

– Wygląda na to, że on nic nie wie – odrzekła.

Etri aż się skrzywił.

– Jesteś pewna?

– Na ile to możliwe.

– Naprawdę nic nie wiem – wtrąciłem się. – Na litość boską, czy myślicie, że próbowałbym was zabić, skoro moja własna córka przebywa w waszej twierdzy?

Etri popatrzył na mnie i warknął. Potem jeden z ciemnych elfów zawołał coś w ich ojczystej mowie, a Etri obejrzał się na centrum dowodzenia.

– Wybacz, siostró, ale muszę iść. – Odwrócił się i rzucił przez ramię: – Nie mamy tajemnic przed naszymi sojusznikami. Pokaż mu.

– Co ma mi pokazać? – spytałem.

– Tędy, proszę – zachęciła Evanna i weszła głębiej do sali narad, aż do jej ostatniej części, gdzie znajdował się ciąg sześciennych klatek o powierzchni około półtora metra kwadratowego każda, wykonanych z grubych prętów z jakiegoś ciemnego metalu. Sześciiany były odgrrodzone dwiema identycznymi kratami – to był areszt.

Żeby dostać się do środka, musieliśmy przejść przez dwie bramy, które zatrzasnęły się za nami z ciężkim metalicznym hukiem, brzmiącym bardzo ostatecznie. Tylko jedna z cel była zajęta, a otaczała ją grupa czujnych, ciężko uzbrojonych ciemnych elfów, ubranych w kamizelki kuloodporne i trzymających w rękach jakieś poskręcane srebrzyste przedmioty o organicznym wyglądzie.

– Zabójca – wyjaśniła Evanna bez emocji. – Istota, która często bywała twoim sojusznikiem.

Moje serce nagle wyskoczyło z piersi.

Pozbawiony koszuli mężczyzna zwinięty w kłębek na podłodze klatki został dotkliwie pobity. Dygotał z bólu, a może także szoku. Nie miał na ciele ani jednego miejsca wolnego od sińców, skaleczeń i zaschniętej krwi. Jedna z jego stóp była... sam nie wiem, jak to określić. Wyglądała, jakby wciągnęła ją jakaś przemysłowa maszyna. Była wykręcona pod nienaturalnym kątem, a kształt nadawał jej tylko okrywający ją but. Rozpoznałem ten but. Widziałem go na plaży tego ranka.

Zabójca podniósł głowę. W zakrwawionych ustach brakowało kilku zębów. Twarz miał groteskowo opuchniętą, a jedno oko się nie otwierało.

To był mój brat.

To był Thomas.

Mój brat również na mnie popatrzył. Jego twarz drgnęła, jakby miał się na niej pojawić smutny, bezsilny uśmiech, ale zaraz wykrzywił ją ból. Jego głowa opadła i zadrżała, zbyt słaby, by ją unieść.

Długo przyglądałem mu się w ciszy, całkowicie oszołomiony. Czułem presję ze strony Evanny.

– Wiem, że czasami tutaj wpadał – odezwałem się.

Mój brat żył w ciągłym strachu, że powoli zabija Justine, karmiąc się jej siłą życiową. Dlatego czasami znajdował inne chętne partnerki. Co w jego sytuacji było być może najbardziej moralnym wyjściem.

Kiedy jesteś inkubem, życie bywa dziwaczne.

– Od czasu do czasu odwiedzał mnie, a także kilka innych kobiet z Dworu – odrzekła Evanna. – Moi ludzie od zawsze ponad wszystko kochają piękno. – Podeszła do klatki. – A ta cudowna istota nie była kochankiem, lecz artystą. Oszalałmiąco pięknym i namiętnym. – Jej głos stał się surowszy. – Rzeczywiście nas oszołomił. Cóż za strata.

Spuściłem wzrok, zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie celę, salę narad oraz najkrótszą nieodciętą przez ogień drogę ucieczki z ambasady. Uzupełniłem tę wizję o posiadaną wiedzę dotyczącą ochroniarzy pilnujących budynku, ponieważ wiedziałem, że po usłyszeniu odpowiedzi na swoje kolejne pytanie być może będę musiał ich wszystkich pokonać.

Właśnie na tym polega problem z mieszkaniem w tak pilnie strzeżonym miejscu. Szczelna ochrona przed zagrożeniami z zewnątrz zarazem oznacza, że trudno jest się wydostać na zewnątrz.

– Co go czeka? – spytałem.

– Sprawiedliwość – odpowiedziała Evanna z charakterystyczną nutą pogardy. – Zaatakował siedem minut po wprowadzeniu zawieszenia broni na czas rozmów pokojowych. Zgodnie z postanowieniami Przymierza takie przewinienie musi zostać

osądzone przez neutralnego wysłannika, który zbada wszystkie okoliczności i wyda wyrok.

Skupiłem wzrok na swoich stopach i nieco się odprężyłem. Skoro takie były wymogi Przymierza, to wciąż mieliśmy czas. Należało wybrać wysłannika, który zostanie zaakceptowany zarówno przez ciemne elfy, jak i Biały Dwór, a dochodzenie również musiało trochę potrwać. To oznaczało, że na razie nie musiałem bohatercko polec.

Evanna zbliżyła się do klatki i przysiadła na piętach naprzeciwko Thomasa.

– Austri był moim drogim przyjacielem. Gdyby to zależało ode mnie, pogrzebałabym cię żywcem, zostawiając tylko tyle powietrza, byś mógł poczuć, jak się dusisz, Thomasie Raith. Zapłacisz za to życiem. Albo wybuchnie wojna, jakiej ten świat nie widział od tysiąca lat.

Potem na niego splunęła.

Moje dłonie zacisnęły się na dębowej lasce i zrobiłem krok naprzód.

Czterej strażnicy natychmiast wycelowali we mnie broń. A zważywszy na to, że nie miałem pojęcia, czym ona jest ani jak działa, trudno byłoby się przed nią obronić.

A zresztą obowiązywało Przymierze. A skoro tak, byłem jednoosobowym państwem, moje działania zaś odbijały się na całej Białej Radzie, jak również na Zimowym Dworze. Do licha. Byłem dwoma państwami w jednej osobie, z czym nie wiązała się żadna władza, a jedynie możliwość wywołania katastrofy.

Na dzwony piekieł.

Evanna nie odrywała wzroku od Thomasa i nie zwracała na mnie uwagi, więc musiała być przekonana, że jej ludzie zdołają mnie unicestwić, zanim jej zaszkodzę. Biorąc pod uwagę, kim były ciemne elfy – ludem, którego nie chcieli drażnić nawet nordyccy bogowie – wolałem jej nie lekceważyć.

– I co, Raith? – spytała cichym głosem. – Masz coś do powiedzenia?

Wyglądało na to, że ani jej gniew, ani jej pogarda, ani jej pytania nie wywierają na nim żadnego wrażenia. Mój brat milczał i trwał w bezruchu, nie licząc bezwiednych skurczy mięśni i dygotania z bólu.

– Miałam o tobie wyższe mniemanie, Thomasie – dodała Evanna. – Jeśli miałeś jakieś zastrzeżenia do mojego ludu, mogłeś przyjść do nas jako przyjaciel.

Wstała i oddaliła się wyprostowana jak struna. Najwyraźniej nie dbała o to, czy za nią podążę, a ja trochę się obawiałem, że jeśli nie skorzystam z okazji, zostanę uwięziony, więc ruszyłem w ślad za nią.

Kiedy odchodziliśmy, rozległo się skrzekliwe wołanie.

– Ha... ay!

Jego głos sprawił mi ból. Zmusiłem się do zapanowania nad nerwami i odwróciłem w stronę brata.

Pojedyncza łza powoli kreśliła bladoszkarłatny ślad na jego zakrwawionym policzku.

– Junghg. S'Jnngh.

Nie potrafił wypowiedzieć imienia Justine.

– W porządku – odrzekłem łagodnie. – Wiem. Zaopiekuję się nią.

Kiedy to powiedziałem, coś w nim pękło. Wstrząsnął nim potężny szloch, który zabrzmiał jak głos zwierzęcia konającego w potwornym bólu.

Zamknąłem oczy i odetchnąłem, powstrzymując łzy. Potem odwróciłem się od niego i zostawiłem go w niewoli u ludzi, którzy tak strasznie go skrzywdzili i zamierzali odebrać mu życie.

Jaki miałem wybór?

Mój brat, mój jedyny brat, właśnie zapewnił zgromadzeniu najstarszych i najpotężniejszych nadprzyrodzonych istot na ziemi doskonały pretekst, żeby go zabiły. W ciągu zaledwie godziny wpakował się w większe tarapaty i naraził bardziej niebezpiecznym ludziom niż ja przez całe swoje życie.

Możecie mi wierzyć. Zajmuję się tym na co dzień, więc wiem, o czym mówię.

Na gwiazdy i kamienie, Thomasie, ty idioto. Co najlepszego narobiłeś?

– Co się stało, tato? – spytała Maggie.

Wróciliśmy do mieszkania, a kiedy ją poprosiłem, posłusznie wyjęła z szafy swoją torbę przygotowaną na wypadek ucieczki.

Tak, wiem, że to lekka paranoja uczyć dziecko, że powinno mieć pod ręką torbę z ubraniami na zmianę, przekąskami, butelkami wody, apteczką i innymi praktycznymi przyborami, na wypadek nagłej konieczności ucieczki. Ale z drugiej strony typowe dziecko nie musi się liczyć z tym, że wrogowie wpadną do jego pokoju, by je porwać.

Wychowuję córkę w taki sposób, by mogła przetrwać sytuacje, jakie czasami mogą być jej udziałem ze względu na to, kim jest jej ojciec, a jak dotąd najlepszą strategią w jej przypadku jest gotowość do ucieczki.

– W tej chwili nie mogę tego wyjaśnić. – Wślizgnąłem się do pokoju i chwyciłem torbę do kręgli, w której znajdowała się drewniana czaszka Bonei, a potem zabrałem resztę swoich nielicznych sprzętów, wliczając własną torbę z zapasami. – Odwieziemy Hobbita do domu i zostaniesz na kilka dni u państwa Carpenterów. Co ty na to?

Maggie przez chwilę patrzyła na mnie z bardzo poważną miną.

– Masz kłopoty?

– Ja nie wpadam w kłopoty – odpowiedziałem, puszczając do niej oko. – Pakuję w nie złych ludzi.

– Wszystko będzie dobrze, skrzacie – odezwała się Hope i objęła małą ramieniem jak siostra. – Jestem do tego przyzwyczajona. Możesz spać w moim pokoju. Mam laptopa. Będziemy do późna oglądały różne fajne rzeczy na Netfliksie.

Maggie przytuliła się do Hope, ale nie odrywała ode mnie wzroku.

– Tato, dlaczego ciemne elfy są na nas złe?

– Nie są złe, ale coś je wystraszyło – odpowiedziałem. – Przez jakiś czas będą nerwowe. Hope, możesz wyjąć trochę tuńczyka z lodówki i postawić go w głębi klatki Mistera, żeby wskoczył do środka? Nie chcę go tutaj zostawiać samego.

– Jasne, Harry – odrzekła Hope i zabrała się do pracy.

– Są nerwowe? Właśnie dlatego mnie odsyłasz? – spytała Maggie.

Byłem gotowy do pośpiesznego wyjścia, ponieważ miałem mnóstwo rzeczy do zrobienia, a sen właśnie stał się nieosiągalnym luksusem, ale podczas swoich przygotowań zapomniałem, że moja córka wciąż jest bardzo mała. Zatrzymałem się, wyrzuciłem z głowy wszystkie inne myśli, a następnie przykląknę przed Maggie i ją przytuliłem. Odwzajemniła mój uścisk, zarzucając mi szczupłe rączki na szyję. Myszek przestał krążyć po pokoju, usiadł za małą i oparł się o nią ramieniem.

– Och, skarbie, wcale cię nie odsyłam – odrzekłem. – Po prostu chcę, żeby ktoś się tobą zaopiekował, dopóki nie wrócę.

– Ze względu na potwory?

– Na to wygląda – przyznałem.

– A ty walczysz z potworami? – spytała.

– Kiedy to konieczne. – Chociaż czasami zaskakująco trudno to rozeznąć.

Przywarła do mnie mocniej i bardziej rozpaczliwie.

– A jeśli nie wrócisz?

W filmach w takiej chwili bohaterski ojciec powinien zapewnić swoją córkę, że nic mu się nie stanie i nie trzeba się o niego martwić. W filmach dużo się dzieje i trzeba szybko posuwać do przodu fabułę, w przeciwnym razie widzowie się znudzą i zaczną pisać SMS-y.

Byłem ojcem dopiero od niedawna. Ale Maggie zasługiwała na coś więcej niż pusty slogan oraz czterosekundowy uścisk, podczas którego będę patrzył zbolałym wzrokiem w obiektyw kamery.

Dlatego odchyliłem się do tyłu, nie zdejmując dłoni z jej ramion. Wydawały mi się takie szczupłe i delikatne, chociaż wiedziałem, że Maggie jest silnym dzieckiem. Miała bardzo duże i bardzo brązowe oczy oraz niepewną minę.

– Przynajmniej przed wszystkim powinnaś mieć świadomość, że twój tata to kawał twardego sukinsyna – powiedziałem cicho.

Wytrzeszczyła oczy.

– Tato!

– Muszę mówić prawdę – odrzekłem. – Będę walczył, żeby do ciebie wrócić. Zawsze. Jestem silny i dosyć sprytny, a także mam mnóstwo twardych i bystrych sojuszników. A poza tym musisz wiedzieć, że zorganizowałem dla ciebie opiekę. Jeśli coś mi się stanie, Michael i Charity zgodzili się tobą zająć. Podpisali dokumenty i tak dalej. No i będziesz miała przy sobie Myszka. Zawsze będziesz kochana. Zawsze.

– Hau – odezwał się Myszek, cicho, ale stanowczo.

– A nawet jeśli umrę, pozostanie tutaj jakaś częśćka mnie – dodałem łagodnie. – Nawet jeśli nie będziesz mnie widziała ani słyszała, będę blisko ciebie. Śmierć mnie od ciebie nie odłączy, skarbie. Będę się tobą opiekował z sąsiedniego pokoju.

Nie żartowałem. Kiedyś nawet współpracowałem z ektomancerem. Gdyby komuś udało się mnie załatwić, moja córka mogłaby liczyć na opiekę wyjątkowo zajadłego cienia, który chroniłby ją przed duchowymi drapieżnikami i strzegł jej snów, korzystając z pomocy archanioła nadzorującego jego stan umysłowy i emocjonalny.

Co więcej, gdyby kiedyś pojawiły się u niej osobliwe uzdolnienia, czekałoby na nią całe grono nauczycieli. Ludzie, których znałem i którym ufałem, a nie psychotyczne elfy Zimy. Przekazałem swoje życzenia Mab, dla której zobowiązania wobec poddanych były czymś pewniejszym niż grawitacja. Zgodziła się załatwić tę sprawę w moim imieniu, gdybym zginął jako jej lojalny sługa, a w tej kwestii całkowicie jej ufałem.

Każdy ojciec, który kocha swoją córkę, postarałby się o takie środki bezpieczeństwa, gdyby miał ku temu okazję.

Ja miałem.

Maggie pokiwała głową, a potem odezwała się bardzo poważnym głosem.

– Czasami bywasz trochę straszny. Powinieneś to wiedzieć. Zwyczajni ojcowie nie mówią takich rzeczy.

Próbowałem się uśmiechnąć, ale moje oczy zasły mgłą.

Znów mocno mnie przytuliła.

– Wolałabym, żebyś był ze mną i smażył dla mnie naleśniki.

– Ja też – odpowiedziałem i pocałowałem ją w głowę.

– Nie pozwól, żeby cię dopadli – powiedziała. – Uporządkuj sprawy i skop im... tyłki.

– Kiedy będziesz miała osiemnaście lat, będziesz mogła powiedzieć „dupy“.

Zachichotała i pokiwała głową.

– Uporządkuj sprawy? – spytałem. – Gdzie się tego nauczyłaś?

– Od pana Carpentera. Wciąż powtarza, że każdy dzień należy zaczynać i kończyć uporządkowaniem wszystkich spraw, a ty właśnie to starasz się zrobić.

– No cóż, to on jest od tego specjalistą – odrzekłem.

– Twierdzi, że raczej ty – odparła Maggie. – No i że jesteś dobrym człowiekiem. Jednym z najlepszych, jakich zna.

Nic nie odpowiedziałem. Nie byłem w stanie. Miałem zaciśnięte gardło. Ogon Myszka uderzał o moją kostkę jak puszysty kij baseballowy.

– Harry! – zawołała Hope. – Mister już jest w klatce.

Zakaszlałem, mruknąłem coś pod nosem i wstałem.

– No dobrze, zabierzcie swoje rzeczy i trzymajcie się blisko mnie – poleciłem. – Znajdziemy dla was schronienie.

– A co potem? – spytała moja córka. Wziąłem ją za rękę i mrugnąłem.

– Potem twój tata zabierze się do pracy.

Zostawiłem dziewczęta u Michaela i Charity. Michael już po trzech sekundach rozmowy zgodził się zaopiekować Maggie, dopóki nie wrócę. A zważywszy na to, że dom emerytowanego Rycerza Krzyża był niezdobytą twierdzą zabezpieczoną przed nadprzyrodzonymi siłami, uznałem, że to najbezpieczniejsze miejsce w mieście.

Jedyną wadą anielskiej agencji ochroniarskiej Michaela był fakt, że nie mogła obronić jego i jego rodziny przed śmiertelnikami, ale właśnie z tego powodu Molly w tajemnicy kupiła dom przy tej samej ulicy i umieściła tam oddział elfów z Zimowego Dworu. Śmiertelnicy zasadzający się na dom Carpenterów musieliby stawić czoło drużynie rozwścieczonych, nadludzko zwinnych elfów wyposażonych w kamizelki kuloodporne i karabiny szturmowe – do których wkrótce dołączyłyby potężne posiłki.

Molly i ja mieliśmy podobne podejście do kwestii ochrony rodziny.

A skoro o tym mowa... Carlos i Rada wkrótce dowiedzą się o tym, co się stało, i nie miałem wątpliwości, że będą chcieli ze mną porozmawiać o konsekwencjach rzekomej próby zamachu na Etriego przez Biały Dwór w przededniu konferencji pokojowej. Kiedy to się stanie, zapewne otrzymam mnóstwo nowych obowiązków, dlatego już teraz musiałem pomóc swojemu bratu.

Wybrałem się do Justine.

Odwiedzałem Thomasa na tyle często, że odźwierny już mnie znał, więc tylko skinął głową i mnie wpuścił. Thomas i Justine mieszkali w jednym z najbardziej eleganckich budynków w Gold Coast.

Wspiąłem się na ich piętro i zapukałem do drzwi, a Justine wpuściła mnie do środka z ciepłym uśmiechem i powitalnym uściskiem. Pachniała jak truskawki.

– Cześć, Harry.

– Justine – odpowiedziałem.

Była kobietą średniego wzrostu, śliczniejszą od modelek na okładkach czasopism. Miała długie włosy, które zbiegały o

czterdzieści lat za wcześnie, duże ciemne oczy i bladą skórę, a wszystko w idealnych proporcjach. Była ubrana w cienką bawełnianą męską piżamę, w której najwyraźniej czuła się bardzo swobodnie, a włosy zaplotła w luźny warkocz, z którego uciekały liczne kosmyki.

Jeszcze nie było po niej widać, że jest w ciąży, chociaż... Czasami mówi się, że od ciężarnych kobiet bije wyjątkowy blask. Nie świecą w dosłownym tego słowa znaczeniu, ale ich aura często zostaje wzmocniona za sprawą obecności nienarodzonego dziecka, dzięki czemu lśni jaskrawiej w oczach każdego, kto jest w stanie ją zobaczyć. Nie próbowałem świadomie przyglądać się tym energiom i nie jestem na nie szczególnie wyczulony, ale nawet ja dostrzegałem barwne widmowe rozbłyski, które tańczyły wokół jej głowy i ramion.

Justine leżała w łóżku, kiedy odźwierny poinformował ją, że przyjechałem, ale chociaż była oszołomiona i zasniona, od razu uświadomiła sobie, że stało się coś złego. Przetrwiała tak długo w świecie potworów dzięki temu, że była bystrzejsza, niż się wydawało, i niezwykle spostrzegawcza. Popatrzyła na moją twarz i zeszywniała. Nie od razu się odezwała – widziałem, że najpierw stara się dojść do siebie i zapanować nad wyrazem twarzy, a kiedy wreszcie przemówiła, ton jej głosu nie zdradzał żadnych emocji.

– Co się stało?

Była słodką i delikatną osobą. Nie miałem ochoty mówić czegoś, co sprawi jej ból. Ale nie dało się tego uniknąć.

Dlatego jej powiedziałem. Używałem krótkich zdań.

Wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczami, całkowicie oszołomiona.

– Czy... – Przełknęła ślinę. – Czy Lara wie?

Uniosłem brew. To było mądre pytanie, ale nie spodziewałem się, że Justine zada je na samym początku. Kiedy ludzie dowiadują się, że bliskim coś zagraża, ich pierwsze reakcje rzadko bywają racjonalne – w pierwszej chwili reagują emocjonalnie, gdy do głosu dochodzi strach, a dopiero później zaczynają myśleć logicznie. Thomas wpadł w tarapaty i istniały dwa sposoby na to, by mu pomóc. Najmądrzej byłoby sięgnąć po rozwiązanie polityczne, a w tej dziedzinie Lara miała o wiele większe wpływy ode mnie.

Mój brat często miewał na pieńku ze swoją starszą siostrą, co wynikało z niechęci do autorytetów, z czym ja sam nigdy nie miałem problemów. Ale ostatnio lepiej dogadywał się z Białą Radą, a dzięki temu także z Larą. Jej zadanie polegało na ochronie własnego ludu przed wszelkimi politycznymi zakusami, dlatego zwrócenie się do niej o pomoc w kwestii politycznego zagrożenia wydawało się logicznym krokiem.

Lara również była potworem. Drapieżcą. Co prawda bardzo atrakcyjnym, sympatycznym, grzecznym i cywilizowanym, ale tylko głupiec mógł choćby na chwilę zapomnieć, czym była w istocie. Nie wolno okazywać słabości drapieżnikom. Nie wolno prosić ich o pomoc. Choćby z tego powodu Lara nie powinna znaleźć się na szczycie listy potencjalnych sojuszników spanikowanej dziewczyny Thomasa.

Ale... poproszenie jej o pomoc zapewne miało najwięcej sensu. Spodziewałem się, że będę potrzebował kilku minut rzeczowej argumentacji, by przekonać do tego Justine. Mój błąd. Być może założyłem, że Justine jest zbyt ładna, żeby być inteligentna, i zbyt zauroczona moim bratem, by myśleć rozsądnie.

Nie warto z góry zakładać takich rzeczy. W mojej branży można za to zapłacić życiem.

– Jeśli nie, to wkrótce się dowie – odrzekłem. – W pierwszej kolejności przyszedłem do ciebie.

Energicznie skinęła głową.

– Jak on się czuje?

– Przeżyje. – Widziałem go w gorszym stanie. Tylko raz. Ale nie było sensu zadręczać ją szczegółami. – Poza tym ciemne elfy to służbiści. Nie zabiją go, tylko będą wierne Przymierzu.

– Jesteś pewien? – spytała.

– Gdybyś je znała, nie zadawałabyś takich pytań – odparłem. – Jestem pewien.

Powoli wypuściła powietrze.

– Przepraszam... gdzie się podziały moje maniery? Wejdz, proszę. Usiądź.

– Dziękuję – odrzekłem i jej posłuchałem.

Mieszkanie Thomasa urządzone w stylu art deco, nie szczędząc nierdzewnej stali. Pod względem estetycznym było doskonałe, ale początkowo w ogóle mi się nie podobało. Dopiero obecność Justine coś zmieniła. Meble stały się bardziej miękkie i wygodne, a w mieszkaniu panował przyjemny nieład, na który składały się książki, rozmaite rozpoczęte projekty rękodzielnicze, a także niewielki kącik szwalniczy w miejscu, w którym niegdyś stała tylko duża i droga waza.

Przysiadłem na brzegu sofy obok małej dwuosobowej kanapy, którą Thomas i Justine zwykli zajmować razem.

Justine usiadła po swojej stronie, podwijając nogi. Sprawiała wrażenie bardzo małej.

– Jest źle – odezwała się cicho. – Prawda?

– Jest... – Odetchnąłem, starannie dobierając słowa. – Trudno. To nie jest jeden z tych problemów, które mogę wysadzić w powietrze albo spalić.

– Myślisz, że z tego wyjdzie? – spytała.

Na dzwony piekieł. Jeśli nawet istniał jakiś sposób, to nie miałem pojęcia, co Thomas może zrobić. Cnoty ciemnych elfów zarazem są ich wadami: ci, którzy starają się zawsze być w porządku wobec innych, sami rzadko przebaczą. Thomas dopuścił się zdrady, więc elfy nie zamierzały spocząć, póki nie zostanie przywrócona równowaga.

– Myślę, że to jeszcze nie koniec – odrzekłem. – Możliwe, że wysłannik znajdzie jakiś sposób na rozwiązanie tego problemu bez dalszego rozlewu krwi.

Przypatrywała mi się uważnie ciemnymi oczami.

– Zakładasz, że właśnie tak się stanie?

– Nie wiem – przyznałem. – Nie rozmawialiśmy zbyt długo, ale Thomas prosił, żebym do ciebie przyjechał i przekazał ci, że cię kocha.

Mruknęła ze zniecierpliwieniem i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Skoro mnie kocha, to dlaczego... – Ugryzła się w język i pochyliła głowę, a na masce opanowania pojawiły się rysy.

Przez chwilę dygotała w milczeniu, a kiedy znów się odezwała, jej głos był cichszy i lekko drżał.

– Dlaczego? Dlaczego, Harry? Nie rozumiem, dlaczego zrobił coś takiego.

Psiakrew. Ja też tego nie rozumiałem. Wszystko toczyło się tak szybko, że nie miałem czasu usiąść i zadać sobie najbardziej podstawowych pytań. Na przykład, dlaczego, u diabła, mój brat próbował zabić króla ciemnych elfów? Czy właśnie tak się stało? A może tak to wyglądało tylko z punktu widzenia ciemnych elfów?

Co robił mój brat? I z jakiego powodu?

Kolejne pytania domagające się odpowiedzi. Jeśli dalej tak pójdzie, będę potrzebował rolki papieru gazetowego, żeby je wszystkie zapisać.

Zatem dobrze. Odpowiedz na kilka z nich. Przede wszystkim, dlaczego mój brat zaatakował ciemne elfy. No i jak to możliwe, że Etri wciąż żyje, skoro Thomas próbował go zabić? Cokolwiek by się myślało o moim bracie, potrafi walczyć. Naprawdę dobrze. Widziałem go ze spluwą albo ostrzem w dłoni więcej razy, niż jestem w stanie zliczyć.

Za każdym przystępowałem do walki trzeźwy i skoncentrowany. Był w tym dobry, ale nigdy nie robił tego dla zabawy. To odpowiadało na jedno z pytań.

– Cokolwiek zrobił, musiał mieć dobry powód – odpowiedziałem.

– Jaki powód? – spytała Justine łamiącym się głosem.

– Nie mam pojęcia – przyznałem.

– Powiedział ci? – odezwała się. – O mnie? O nas? – Położyła dłoń na brzuchu.

– Tak. Eee... moje gratulacje.

– A jeśli... jeśli on nie wróci do domu...

Czułem się całkowicie bezradny.

– Ejże... Justine... Thomas wciąż żyje. Postaram się, by tak pozostało.

Podniosła na mnie wzrok. Kosmyki włosów przykleiły się do jej mokrej od łez twarzy.

– Czyżby?

O rany.

Kiedy na mnie patrzyła, uświadomiłem sobie, że jakaś część mnie już podjęła decyzję, nie konsultując się ze świadomą częścią

mojego mózgu. Ponownie.

Zamierzałem uratować swojego brata albo umrzeć. Nieważne, kto stanie mi na drodze. Nawet jeśli to będą Etri, Mab, Lara i cała Biała Rada.

Ojej.

Zrywał się wiatr. Wokół zbierały się nieprzebrane stada rekinów. Producenci filmowi przygotowywali umowy na kolejne kontynuacje.

– Tak – odrzekłem cicho. – Tak zrobię.

Nachyliła się i popatrzyła na mnie z wyczekiwaniem.

– Obiecujesz, Harry?

– Obiecuję. Masz moje słowo, Justine.

Wtedy się rozsypała i zaczęła szlochać, obejmując rękami swój wciąż płaski brzuch.

Nie mogłem usiąść na miejscu brata, ale uklęknałem po jej drugiej stronie i objąłem ją ramieniem.

– Hej, jestem przy tobie.

Justine oklapła i zalała się łzami.

Kiedy Justine zamknęła za mną drzwi, przez chwilę stałem na korytarzu, czując się fatalnie.

Mój brat umrze, jeśli czegoś nie zrobię.

Justine była bliska załamania. Nie mogłem nic na to poradzić, tylko siedziałem jak olbrzymi drewniany posąg, obejmując ją ramieniem i powtarzając „Już dobrze“.

Najwyraźniej mogłem się pożegnać ze swoim mieszkaniem w ambasadzie ciemnych elfów. Niezależnie od tego, jak się potoczą sprawy z Thomasem, nie zamierzałem trzymać Maggie w pobliżu ludzi, którzy zabili mojego brata albo pałali chęcią zemsty na nim. Dlatego postanowiłem, że jeśli przeżyję kolejne kilka dni, będzie mnie czekała przeprowadzka, z czym zawsze jest kupa zabawy.

Pozostawała jeszcze drobna kwestia rozmów pokojowych z Fomorami, a także politycznych zawirowań w Białej Radzie i groźby, że zostanę z niej wyrzucony. Prawdę mówiąc, nieszczególnie mnie to martwiło. Biała Rada dawała mi się we znaki przez całe życie, ale... zarazem zapewniała mi schronienie w swoich szeregach. Przez lata zyskałem wielu wrogów. Jedną z przyczyn, dla których bez przerwy nie próbowali mnie zabić, była obecność Białej Rady, strażników tajemnic wszechświata, mężczyzn i kobiet, którzy potrafili użyć swoich wpływów w każdym zakątku świata i pognębić swoich wrogów. Kiedy ostatnim razem przedstawiciel jednego ze sprzymierzonych ludów postanowił otwarcie mnie zaatakować, jakiś łobuz ściągnął satelitę z orbity i zrzucił mu ją na głowę.

Owszem, miał ku temu własne powody, ale w oczach świata Biała Rada wysłała prosty i czytelny sygnał: jeśli zdrziesz z jednym z nas, zdrziesz ze wszystkimi.

Gdyby usunęli mnie ze swoich szeregów, mógłbym się pożegnać z tą ochroną. Nikt nie stałby po mojej stronie, nawet teoretycznie.

Nikt poza Mab.

Owszem, wiedziałem, że w pewnych okolicznościach Mab jest w stanie zadbać o moje bezpieczeństwo lepiej niż ktokolwiek inny, ale

nie wątpiłem, że w zamian będzie ode mnie oczekiwała większej podatności na swoje wpływy.

Chciała, żebym stał się bardziej okrutny, zimny, mroczny i zajadły, ponieważ wtedy mógłbym lepiej wykonywać pracę Rycerza Zimy. Wiedziałem, że Mab nie może zmusić mnie do tego siłą, ponieważ rozgniewałaby niektórych członków Rady, a nawet ona nie mogła lekceważyć potęgi zjednoczonej Białej Rady.

Ale gdybym został z niej usunięty... No cóż. Bez ryzyka wybuchu wojny w mojej obronie Mab mogłaby robić znacznie więcej niż kusić mnie ciasteczkami, żebym przeszedł na ciemną stronę.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem. Thomas zaatakował Etrię. Czy to była sprawa osobista? Wątpliwe. Thomas dość dobrze się... dogadywał z ciemnymi elfami. A zwłaszcza z ich kobietami. Nie sądzę, by kiedykolwiek chociaż rozmawiał z Etrim.

Czy zatem powodem mogła być zazdrość? Czy Thomas chciał coś komuś udowodnić albo bronił się przed czymś zazdrosnym partnerem? Albo bratem?

To też mało prawdopodobne. Ciemne elfy nie rozumiały idei monogamii. Łączyły się w pary na podstawie wspólnych cech, biologicznych i innych, a nie licząc sztywnego kodeksu honorowego dotyczącego opieki nad potomstwem, ludzkie podejście do seksualności było dla nich zagadką. Gdybym podczas wspólnej kolacji oznajmił Etriemu, że bzyknąłem jego siostrę, ten zapewne specjalnie by się tym nie zmartwił i tylko spytał, czy dobrze się bawiłem.

No dobrze, teraz powiem coś nieprzyjemnego: mój brat nie jest zbyt skomplikowanym facetem. Najbardziej lubi – właśnie w takiej kolejności – Justine, seks, ćwiczenia fizyczne, jedzenie i picie, a od czasu do czasu także dobrą bójkę, jeśli ktoś się o nią prosi. To ostatnie nie powinno dotyczyć Etrię i jego ludu, który na co dzień jest równie nieszkodliwy jak amisze. A zatem nie było zbyt wielu powodów, dla których Thomas miałby próbować zabić Etrię.

W takim razie może wcale tego nie chciał. Załóżmy, że jestem typowym megalomanem, który stara się zapanować nad światem, i zapragnąłem, by Thomas kogoś dla mnie sprzątnął. Jak mógłbym go do tego skłonić?

Odpowiedź była oczywista. Kiedy wychodziłem, jeszcze ocierała pojedyncze łzy.

Jeśli ktoś zagroził, że skrzywdzi Justine, to pewnie ją obserwuje. Ale kto mógłby to robić?

Żeby poznać odpowiedź na to pytanie, musiałem tego kogoś znaleźć.

Wyłamałem palce i zabrałem się do roboty.

Pośpiesznie przeszukałem korytarz wokół mieszkania, ale oczywiście niczego nie znalazłem. Lara i jej ochroniarze już przeczesali budynek, a mój brat odziedziczył odrobinę mocy po mamie. Nie był magiem, ale nosił w sobie wystarczająco dużą dawkę magii, by wyczuwać działanie czarów, więc trudno byłoby w ukryciu przed nim przez godzinę albo dwie rzucać w tym korytarzu zaklęcia szpiegowskie.

Dla pewności jeszcze dokładniej przeszukałem budynek, a następnie powoli wyszedłem na zewnątrz, starając się otworzyć zmysły na obecność magicznych sił. Nawet przyjrzałem się odźwiernemu za pomocą Wejrzenia – niebezpiecznej praktyki polegającej na otwarciu umysłu na surową energię wszechświata. Wejrzenie pozwala zobaczyć rzeczy takimi, jakimi są w istocie, i zapamiętać wszystko, co się widzi, a żadne zaklęcie nie może się wtedy przed nami ukryć.

Niczego nie wyczułem. Odźwierny był czysty, w magicznym tego słowa znaczeniu, a przynajmniej nie padł ofiarą nadprzyrodzonego ataku, jaki byłby konieczny, by go do czegoś zmusić. Być może ktoś mógłby go przekupić, ale byłem przekonany, że ludzie Lary by się przed tym zabezpieczyli. Do diabła, przecież facet tak naprawdę mógł być jednym z jej ludzi. To byłoby w jej stylu.

Dlatego przeniosłem się na zewnątrz, czujnie wypatrując wszelkich śladów podejrzanych działań, zarówno magicznych, jak i konwencjonalnych. Okrążyłem budynek, wytężając zmysły, i... nic nie znalazłem.

To nie miało żadnego sensu, więc spróbowałem ponownie, tym razem wolniej i bardziej skrupulatnie. Skończyłem dopiero po północy. Wyglądało na to, że w tej okolicy zupełnie nic się nie dzieje. Stwierdzenie tego zajęło mi półtorej godziny.

Mruknąłem pod nosem i postanowiłem powtórzyć poszukiwania, przygotowując Wejrzenie, by tym razem na pewno niczego nie przegapić.

– Kiedy pies łowczy za bardzo skupi się na tropie, nie ogląda się za siebie – usłyszałem męski głos za moimi plecami. – Mag powinien mieć więcej rozumu.

Wcale nie wzdrygnąłem się z zaskoczenia. Ani trochę. Odwróciłem się powoli i z niezwykłą godnością, po czym popatrzyłem na intruza ze stoickim spokojem i nikt z was nie udowodni, że było inaczej.

Zobaczyłem, jak Ebenezar wychodzi spod zasłony z krótką laską w dłoni. Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, a na jego pobrużdżonej twarzy nie malowały się żadne emocje.

– Trochę za późno, żeby zostać twoim uczniem – odezwałem się.

– Zdziwiłbyś się – odrzekł staruszek. – Hoss...

– Jestem zajęty – przerwałem mu. – Pracuję. Jak mnie znalazłeś?

Staruszek zacisnął zęby i przez chwilę wpatrywał się w pustkę.

– Harry, wieści o Thomasie Raithu już się rozniosły. Kiedy dowiedziałem się, kogo uwięziły ciemne elfy, domyśliłem się, że znajdę cię w jednym z dwóch miejsc. Najpierw udałem się tutaj.

– Jeśli chcesz zostać detektywem, mogę cię przyjąć na roczny termin – odparłem. – Wciąż mam aktualną licencję. Szczerze mówiąc, byłem zbyt zajęty, by poświęcać temu miastu tyle uwagi, ile ono oczekuje.

– Hoss, nie odpowiadasz za Thomasa Raitha – rzekł Ebenezar.

A żebyś wiedział, że tak, do cholery.

– A żebyś wiedział, że tak, do cholery – odparłem. – Ocalił mi życie, kilka razy.

– To nieistotne, chłopcze – odpowiedział Ebenezar, z trudem zachowując spokój. – Tutaj nie chodzi o dobro i zło, ale o władzę i terytorium.

Bolały mnie stopy. Poza tym nie byłem dzieckiem, żeby ktoś udzielał mi lekcji na temat tego, jak działa świat.

– To ciekawe, jak często słyszę, że nie chodzi o zło i dobro, od ludzi, którzy zamierzają zrobić coś paskudnego – odrzekłem. –

Zupełnie, jakby wiedzieli, że zrobią coś paskudnego, i chcieli uniknąć konsekwencji swojego wyboru.

Staruszek zacisnął mięśnie szczęki, przez co wyglądał, jakby przemycał w ustach orzechy włoskie.

– Słucham?

– On jest moim sojusznikiem – odparłem. – Moim przyjacielem. Pamiętam, że kiedyś uczyłeś mnie, jak należy reagować na lojalność. Trzeba oddawać to, co się otrzymuje, w przeciwnym razie człowiek zaczyna patrzeć na innych jak na przedmioty, które można wykorzystać.

– Raczej jak na monety, które można wydać – odburknął rozdrażnionym tonem. W ten sposób przyznał, że miałem rację.

Wymieniliśmy spojrzenia, a jego wyraz twarzy powiedział mi, że domyśla się, o czym myślę, i jeszcze bardziej go to rozżłościło.

– Wydaje ci się, że znasz świat – odezwał się staruszek. – Ale jesteś na nim dopiero od niedawna. Jeszcze nie widziałeś, do czego jest zdolny. Jaki potrafi być podły. Jaki okrutny.

Przypomniałem sobie twarz Susan. Jej ostatnie chwile. Ale wypełniająca mnie wściekłość, chociaż żarliwa, była dziwnie odległa, jak fajerwerki, które obserwuje się z przelatującego samolotu. Dotarła do mnie woń dymu, a uliczkę nagle wypełnił zielono-złoty blask bijący od run na mojej lasce.

– Myślę, że jednak widziałem to i owo – odparowałem, a mój głos był idealnie spokojny.

Zmarszczki na twarzy staruszka pogłębiły się w ostrym świetle i jeszcze bardziej spochmumiał. Odezwał się niemal błagalnym tonem.

– Zanurzyłeś stopy w wodzie i wydaje ci się, że znasz ocean. Mój Boże, chłopcze, mam nadzieję, że nigdy nie zobaczysz rzeczy, które ja widziałem. Ale jeśli będziesz dalej zmierzał w tym kierunku, czeka cię jeszcze gorszy los. Próbuję cię ochronić przed błędami, które mnie samego niemal kosztowały życie, a zabiły wielu ludzi, na których mi zależało.

Pomyślałem o Karrin. O Nicodemusie, który rozmyślnie i skutecznie uszkodził jej ciało. Trwale. To był jeden z tych cichych,

dusznych zimowych wieczorów. Byłem na tyle blisko, że słyszałem pękające chrząstki.

Krawędzie run wyrzeźbionych na mojej lasce zaczęły ciemnieć, a moje pole widzenia się zawężyło.

W mojej głowie głos Karrin ostrzegał, że kłótnie z rodziną są znacznie bardziej bolesne. Ale gniew nawoływał głośniejsze. Moc Zimy była w gotowości i z zaciekawieniem patrzyła, co się dzieje, faszując moje ciało kolejnymi dawkami adrenaliny, przygotowując mnie do walki.

Wlałem w swój głos jak najwięcej gniewu, ponieważ tylko tak mogłem dać mu upust.

– Susan próbowała twojej ścieżki. A gdyby Czerwony Dwór działał sprytnie i nie miał obsesji na punkcie zemsty, tamtego dnia mogli zabić Maggie, razem z jej matką i nami dwoma. Dlatego powiedz mi jeszcze raz, jakim świetnym planem jest jej odesłanie.

– Przede wszystkim nigdy nie powinieneś być się zadawać z wampirami – warknął Ebenezar. – Mój Boże, chłopcze. Nie widzisz, co narobiłeś?

– Postąpiłem właściwie – odburknąłem.

– Jak szlachetnie z twojej strony – odparował staruszek. – Jestem pewien, że to bardzo pociesza rodziny tych, którzy z tego powodu stracili życie. – Z frustracją uderzył końcem laski o ziemię, a na betonie pojawiła się siatka pęknięć. – Psiakrew, chłopcze. Przez twoje działania zginęli ludzie. Nadal giną. A jeśli to zrobisz, jeśli staniesz w obronie tego wampira, nie możesz liczyć na dalszą ochronę Białej Rady.

– Jeśli zrobię to, co należy, rzucą mnie wilkom na pożarcie, tak?

– Popatrz w lustro – odparł Ebenezar szorstko. – Sam jesteś wilkiem. Właśnie w tym rzecz.

Jego słowa były jak cios pięścią w żołądek.

Zapadła cisza.

Rozlegał się tylko mój chrapliwy oddech.

– Kiedy Czerwony Dwór porwał Susan, Biała Rada uznała, że nie powinienem reagować – powiedziałem w końcu.

Nie byłem pewien, jak to zabrzmiało. W każdym razie staruszek popatrzył na mnie z miną, jakiej jeszcze nigdy u niego nie widziałem.

A potem bardzo powoli stanął mocniej na nogach i wbił wzrok w moją klatkę piersiową.

– Kiedy zabrali Maggie, Biała Rada oczekiwała ode mnie tego samego – dodałem, czując dziwny ucisk w krtani – To coś innego – odparł Ebenezar, a w jego głosie zabrzmiało wyraźne ostrzeżenie. – Ten wampir nie jest niewinny. Już przelał krew. Sprawiedliwości musi się stać zadość. Nie ma od tego ucieczki.

Sam nie wiem, kiedy przywołałem tarczę, w każdym razie moja miedziana bransoletka nagle trysnęła zielono-złotymi iskrami gotowa do działania.

– Został wykorzystany.

Staruszek zmienił ułożenie ramion i uniósł lewą dłoń z rozczapierzonymi palcami. Nie korzystał z zabawek, tak jak ja, nie licząc swojej laski. Kiedy naczelny rozrabiaka Białej Rady potrzebował tarczy, przywoływał ją siłą woli. Nie potrzebował do tego błyskotek.

– Nie mamy władzy w tym miejscu – ciągnął, jakby próbował wbić te słowa do mojej odpornej głowy. – Nie jest jednym z nas.

– Jest moją rodziną! – krzyknąłem i uderzyłem laską o ziemię, na chwilę wzniecając na niej niewielki ognisty krąg, który osmalił beton.

Staruszek popatrzył na mnie groźnie i wysunął do przodu szczękę.

– Chłopcze, powiedz mi, że nie jesteś na tyle głupi, żeby tego próbować.

Zima natychmiast zażądała krwi, buntu, przemocy.

Zacząłem gromadzić moc.

Staruszek to wyczuł i poszedł w moje ślady.

Kiedy to zrobił, wszechświat delikatnie przechylił się w jego stronę. Poczułem lekkie zakrzywienie światła, zakłócenie grawitacji, drżenie gruntu, gdy Ebenezar sycił się mocą pochodzącą z samej ziemi. Czerpał jej znacznie więcej ode mnie.

W myślach słyszałem tylko wrzask Maggie. Od czasu ataku Czerwonego Dworu na jej przybraną rodzinę często dręczyły ją koszmary. A dla niego ważniejsze są interesy Rady? Ważniejsze od niej?

– Owszem, jestem wystarczająco głupi – rzuciłem przez zaciśnięte zęby.

Nagle wszystkie włoski na moim ciele stanęły dęba, od karku aż po pięty.

Moje ciało pokryło się gęsią skórą, a gadzią część mojego mózgu zalała fala pierwotnej grozy, usuwając wszelkie racjonalne myśli.

Dla maga to... niezbyt korzystne. Kontrola nad myślami i emocjami jest kluczowa. Bez niej mogą się wydarzyć straszne rzeczy. Każda osoba praktykująca magię uczy się w pierwszej kolejności wyciszać i koncentrować myśli. Dlatego w obliczu obezwładniającego strachu cofnąłem się do tej pierwszej lekcji, pozwalając emocjom odpłynąć, poszukując spokoju, cierpliwości, równowagi.

Nie znalazłem ich. Ale zdołałem odepchnąć od siebie grozę i chociaż częściowo odzyskać zdolność racjonalnego myślenia.

To nie był skutek przypadkowego przyływu energii. Tak skoncentrowana groza musiała być parapsychicznym zaburzeniem, mentalnym atakiem, magicznym odpowiednikiem ogłuszającego wrzasku, który może uszkodzić bębenki – a istota, która za to odpowiadała, jeszcze nawet się nie pojawiła.

W śpiącym mieście wokół mnie setki tysięcy ludzi właśnie zostało pochwyconych w szpony koszmarów wypełnionych ucieczką i panicznym lękiem. Ci, którzy nie spali i nie wiedzieli, z czym mają do czynienia, wzięli to za przelotną, straszliwą halucynację, atak migreny albo po prostu zawrót głowy.

Staruszek doszedł do siebie szybciej ode mnie, a kiedy wreszcie się otrząsałem, on już wpatrywał się w ciemność z zaciśniętymi zębami.

– Czy to jest to, co myślę? – spytałem drżącym głosem.

– Intruzi – potwierdził ponuro. – Ktoś właśnie ich wezwał.

– Wspaniale – westchnąłem. – Chociaż raz chciałbym się mylić.

Staruszek parsknął.

– Gdybyś był Intruzem, co byś robił w Chicago w przeddzień wielkiej konferencji pokojowej?

To pytanie w zasadzie nie miało sensu. Intruzi są istotami spoza granic rzeczywistości, spoza naszego wszechświata. Nie są ludźmi. W niczym ich nie przypominają. Są odrażający, niebezpieczni i... zbyt obcy, by ich zrozumieć. Niektórzy Intruzi mają ochotę pożreć twoją twarz, ale cała reszta nie bawi się w takie cklive pieszczoty.

Można powiedzieć, że są demonami. Ale mogą się dostać do naszej rzeczywistości tylko na wezwanie śmiertelników i zawsze mają jakiś cel dotyczący naszego świata, nawet jeśli nie jest on do końca racjonalny.

– Próbowałem jakoś ją zakłócić – zasugerowałem. – Gdyby starszy członek Rady został rozerwany na strzępy przez potwory, wina mogłaby spaść na Fomory.

– To z pewnością kiepski sposób na rozpoczęcie negocjacji – przyznał Ebenezar. – Poza tym nie sądzę, żebyśmy...

Nagle znieruchomiał i na coś się zapatrzył.

Podążyłem za jego wzrokiem.

W jednym z zakątków uliczki, gdzie gzymsy jednego z budynków tworzyły zacienioną niszę, w miejscu zetknięcia się ziemi z dwiema ścianami pojawiły się smugi niebieskiego światła.

– Na dzwony piekieł – westchnąłem. – Czy to jest to, co myślę?

– Zapewne – warknął staruszek, niespokojnie się rozglądając. – Jak dobrze znasz tę okolicę?

– To Chicago – odpowiedziałem.

– Dobrze. Potrzebujemy jakiegoś miejsca, w którym nie ma ludzi ani rzeczy, które mogłyby się zapalić.

Rzuciłem na niego okiem.

– To Chicago.

Światło poruszyło się dziwnie, wypaczyło i zaczęło wirować, tworząc zawijasy i spirale, które powinny istnieć tylko na rysunkach Eschera. Kamienna ściana budynku skręciła się i rozciągnęła, a następnie zafalowała i pokryła bąblami jak ciasto na naleśniki. Coś zaczęło się wyłaniać z powierzchni kamienia na przecięciu trzech linii światła. Poczulem nagłe wibrowanie w piersi, zupełnie jakbym stanął u wylotu rury odpływowej w basenie, a fala mdłości niemal zwała mnie z nóg.

Istota, która prześlizgnęła się do naszego świata, miała rozmiary konia, ale była niższa, dłuższa i smuklejsza. Sylwetką przypominała psa – miała cztery w miarę zwyczajne łapy, ale wszystko inne było w niej nie na miejscu. Wzdłuż jej boków ciągnął się rząd krótkich, potężnych macek. Dłuższa i grubsza macka wiła się na miejscu ogona. Szeroko rozczapierzone chwytne stopy kojarzyły się ze szponami orła, a w miejscu łba znajdował się tylko gęsty kłęb wici. Jej skóry nie pokrywało futro, ale jakby śluzowe łuski, a ciało chlupotało podczas ruchu.

– Ogar narożny – odezwał się Ebenezar z obrzydzeniem. – Przeklęte stwory.

Sprawiał wrażenie znużonego i nieugiętego, jak kamień, który opierał się morzu od ostatniej epoki lodowcowej. Miał rozdrażnioną minę.

Ale po chwili dostrzegłem jedną z najbardziej przerażających rzeczy w moim życiu.

Dłonie Ebenezara McCoya poruszały się niespokojnie.

Koniec jego łaski drżał.

Mój mentor, mój nauczyciel, najgroźniejszy mag na świecie, był przestraszony.

Odgroził mnie od ogara i uniósł lewą dłoń, a stwór przez chwilę stał nieruchomo, tocząc z pyska śluz, który kipiał na ziemi. Dziesiątki małych pysków pełnych karbowanych zębów otwierały się na jego bokach, z trudem chwytając parne letnie powietrze, jakby istota nie była w pełni przystosowana, by nim oddychać.

Potem ogar przysiadł, zwracając się ku nam ze zwinnością węża, a pęk macek wokół jego łba zaczął drzeć i falować, coraz bardziej energicznie. Istota wydała z siebie dziwaczny jęk, który szybko opadał po skali słyszalnych dźwięków, aż w końcu macki zapulsowały unisono i ogar gwałtownie rzucił się na nas przy wtórze odgłosu tak niskiego, że bardziej go wyczułem, niż usłyszałem.

Staruszek podniósł rękę, wypowiadając ostrym tonem pojedyncze słowo, a wtedy rozblęła przed nami ściana czystej ezoterycznej mocy, pokryta symbolami, wzorami i runami, których nigdy wcześniej nie widziałem, tak gęstymi i złożonymi, że po raz pierwszy od lat poczułem się młody i niezdarny.

Coś z impetem uderzyło o tarczę, przeszywając ją falami koncentrycznie rozchodzącej się świetlistej energii, przez co stała się nieprzezroczysta, a ziemia zadrżała tak gwałtownie, że poczułem mrowienie przez podeszwy butów.

– Skupiony ogień jest najskuteczniejszy! – zawołał Ebenezar.

A potem rozbłysło światło, rozległ się donośny dźwięk i niewidzialne tsunami zważyło mnie z nóg.

Kiedy padałem, zobaczyłem, jak tarcza staruszka pęka pod naporem półtonowego Intruza. Strzaskane okruchy światła pomknęły na wszystkie strony, gdy pazury ogara rozerwały ochronną ścianę. Uwolniona energia była potężna i na ciele stwora zatańczyły płomienie w kształcie run, ale istota tylko się otrzepała, strząsając z siebie ogień jak wodę, po czym z nieprawdopodobną szybkością zaatakowała staruszka pazurem.

Leżałem oszołomiony, ale Ebenezar już kilka razy uczestniczył w takim tańcu. Nawet nie próbował dorównać Intruzowi szybkością. Był już poza zasięgiem szponów stwora, kiedy ten postanowił zaatakować, więc uniknął ciosu o kilka centymetrów. Pęk macek wyrastających z szyi istoty popelzł w stronę staruszka, a ciało ogara podążyło za nimi.

Ebenezar podniósł prawą rękę, po czym gwałtownie ją opuścił przy wtórze kolejnego dźwięcznego słowa, a wtedy jakaś niewidzialna siła spadła na ogara z góry jak kafar. Ale kiedy magiczny cios trafił w cel, łuski istoty zafalowały nieprzyjemnie, a macki zamigotały. Rozległ się potężny chrzęszczący huk, a wokół straszliwego ogara beton rozpadł się na żwir, chociaż sam stwór ledwie się zachwiał.

Zanim Intruz zdołał dojść do siebie, staruszek zbliżył koniec laski na kilkanaście centymetrów do jego łba, wykrzyknął jakieś słowo i uwolnił strumień ognia cienki jak nitka i jaśniejszy od południowego słońca.

Narożny ogar przetoczył się i zakłęcie nie rozpołowiło go, tylko odcięło małe macki na boku oraz dwie trzecie ogona.

Pęk szaleńczo dygoczących macek ruszył w stronę Ebenezara i chociaż nie usłyszałem żadnego dźwięku, powietrze zadrżało jak głośniki na koncercie i zafalowało jak nad rozgrzanym asfaltem.

Stożek drżącego powietrza promieniującego z pokrytego mackami pyska Intruza otarł się o mojego dziadka. Staruszek z zaskoczeniem wstrzymał oddech, zachwiał się i upadł.

Nagle ogarnął mnie paniczny strach, który połączył się z dotychczasową frustracją i gniewem, niczym naftowa galaretka podlana benzyną.

Zima z radością rzuciła zapaloną zapałkę.

Wycelowałem swoją laskę w stwora i zawołałem „Forzare!”.

Ogar ponownie przypadł do ziemi, a jego macki zadygotały, ale zaklęcie ognia rzucone przez staruszka spaliło połowę z nich i właśnie w to miejsce trafił mój czar, z siłą pędzącego volkswagena. Rozległ się głuchy odgłos uderzenia i półtonowy Intruz zatoczył się o kilka kroków w bok, szorując szponami po betonie. Stwór był niesamowicie potężny.

No dobrze. Nadprzyrodzona siła ma to do siebie, że aby jej skutecznie używać, trzeba zaprzeć się o ziemię, w przeciwnym razie zadanie potężnego ciosu albo ciśnięcie ciężarówką tylko odrzuci nas do tyłu. Jeśli wytrącisz coś tak potężnego z równowagi lub uniesiesz to w powietrze, przestanie być aż tak groźne.

Dlatego, kiedy narożny ogar ślizgał się po betonie, przywołałem moc, skupiłem ją w małym punkcie, dokładnie wyobrażając sobie jej przeznaczenie, i zawołałem „Forzare!”, wyrzucając bestię w powietrze. Kiedy wystrzeliła w górę, czym prędzej znów przywołałem moc, wycelowałem w bok, który zranił Ebenezar, a następnie skoncentrowałem się i wykrzyknąłem zaklęcie, uwalniając kolejną porcję energii.

Telekinetyczny cios tym razem uderzył z siłą potężnego baseballisty wybijającego piłkę w trybuny, a ogar poleciał wzdłuż alejki, przeciął najbliższą boczną uliczkę i zniknął mi z oczu. Po kilku chwilach usłyszałem, jak z trzaskiem wpada na niemal pusty kontener na śmieci.

Zachwiałem się, walcząc z zawrotami głowy i zmęczeniem, które ogarnęło mnie po szybkim rzuceniu trzech intensywnych zaklęć. Zatoczyłem się i musiałem podeprzeć się laską, by nie upaść, ale zdołałem podejść do Ebenezara i pomogłem mu usiąść.

– Co się stało? – spytałem.

– Atak infrasoniczny – odpowiedział chrapliwym głosem. – To jak ryk tygrysa. Bardzo niskie dźwięki, niesłyszalne dla człowieka, które mogą wprawić twoje organy w drzenie i wywołać rozmaite skutki... – Kilkakrotnie zamrugął z mądrą miną. – Niełatwo powstrzymać coś takiego. Pomóż mi wstać.

Zrobiłem to, chwiejąc się jak pijany.

– Jak wytrzymałe są te stwory?

– Bardzo. – Podparł się laską i jeszcze kilka razy zamrugął, a następnie rozejrzał się i pokiwał głową. – Cholernie trudno je zabić.

– W takim razie nie mamy dużo czasu – odrzekłem.

– Musimy się schować i oddalić od ludzi.

– Parking niecałą przecznicę stąd – zaproponowałem. – Tędy...

Straciłem głos.

– Na gwiazdy i kamienie – westchnął staruszek. – Posłali całe stado.

– Powinniśmy dostać się do mojego samochodu – zaproponowałem.

– Czy są w nim jakieś kąty proste? – spytał Ebenezar. – Bo jeśli tak, to te stwory wyskoczą na nas z deski rozdzielczej albo tylnego siedzenia. – Pokręcił głową. – Naszą jedyną szansą jest ich wygnanie. Ruchy, chłopcze, zabierz nas na ten parking.

Budynki wokół nas wyrzuciły się i wykrzywiły, a w powietrzu rozległ się basowy dźwięk, który zaczął się szybko obniżać, wykraczając poza zasięg ludzkiego słuchu.

– Im szybciej, tym lepiej – dodał stary mag.

– Jasne – odrzekłem i zmusiłem swoje ciało do ruchu. – Chodź.

Pobiegliśmy, a narożne ogary podążyły za nami.

Nie byłem pewien, ile z nich złapało nasz trop. Więcej niż pół tuzina, ale mniej niż dwadzieścia. Zdziwiająco cicho stawiały łapy i wzniewały niewielkie obłoki iskier w miejscach, w których ich twarde jak stal pazury uderzały o beton. Trzymały się ścian budynków jak olbrzymie pająki, dziurawiąc cegły i beton, a szpony bez trudu podtrzymywały ich ciężar.

Poprowadziłem nas w kierunku przeciwnym do miejsca, w które cisnąłem pierwszego z ogarów, a potem przedostałem się na drugą stronę ulicy i potruchtałem wzdłuż kolejnej alejki.

– Nie trzymają się blisko nas – zauważyłem. Treningi kardio się opłaciły. Niemal nie zauważyłem, że moje serce szybko bije i ciężko oddycham.

– Wiedzą, że jesteśmy groźni – wysapał staruszek. – Nie przywykły do działania w naszej rzeczywistości i mierzenia się z istotami, które mogą im zrobić krzywdę. Nic dziwnego, że się wahają.

– Tutaj – powiedziałem i skręciłem na piętrowy parking, omijając drewniany szlaban.

Zwolniłem, żeby staruszek mnie dogonił. Nie biegł tak swobodnie jak ja.

Za nami narożne ogary... nie tyle pędziły, ile dreptały, jakby musiały się zatrzymać i zastanowić przed każdym krokiem. Kiedy się poruszały, były zabójczo szybkie, wręcz promieniowały szybkością, a kiedy przystawały, nieruchomiały jak posągi, nie licząc drżenia drobnych macek na bokach. U pojedynczego z nich wyglądało to nieco idiotycznie, ale ten sam ruch powtórzony u kilkunastu stworów stawał się niepokojący. Było w nim coś wyjątkowo pierwotnego, gadziego, wręcz owadziego. Czułbym się przez to nieswojo, nawet gdyby ogary miały rozmiary beagli, a skoro dorównywały rozmiarami koniom, byłem przerażony.

– Ogień działa najlepiej – ciągnął staruszek, dotrzymując mi kroku z ponurą miną. – Potrafią w pewnym stopniu odeprzeć każdy

magiczny atak. Ale naturalny ogień jest przeciwko nim skuteczny.

– Dlaczego to ma znaczenie, skąd pochodzi ogień? – spytałem.

– Ponieważ potrafią uniknąć wszystkiego, co tworzymy za pomocą naszej woli – wyjaśnił. – Nie mam teraz czasu wygłaszać wykładu na temat różnic między intencjami a naturalnym sposobem działania wszechświata, przynajmniej dopóki nie ukończysz mojego kursu „dlaczego to głupota ufać wampirom“.

Parking znajdował się pod budynkiem mieszkalnym, a górny poziom był niemal całkowicie wypełniony. Nie było tutaj miejsca do walki, co oznaczało, że musimy zejść niżej. Podczas ucieczki z reguły nie warto kierować się w górę ani w dół. Im wyżej lub niżej się znajdujemy, tym mniej mamy dróg wyjścia, a kiedy coś nas ściga, większy wachlarz możliwości może nam uratować życie.

Z niepokojem zerknąłem na staruszkę i pobiegłem w dół. Obejrzał się i doszedł do tego samego wniosku co ja.

– Nie ma wyjścia, Hoss. Na dół.

– Nie musimy w to wplątywać Białego Dworu – stwierdziłem, biegnąc przodem. – Jeszcze nie są w to zaangażowani.

– Jesteś tutaj, ponieważ sądzisz, że chronisz konkubinę wampira – gderał staruszek. – A niewykluczone, że to oni przyzwali te stwory i posłali je twoim tropem.

Obejrzałem się w chwili, gdy trzy pierwsze ogary wyłoniły się zza rogu na szczycie rampy i wydały z siebie mrozący krew w żyłach zew świadczący o tym, że nas znalazły. Przed nami, w miejscach, gdzie ściany spotykały się z sufitem i podłogą, rozblęskło bladoniebieskie światło.

– To nie w stylu Lary – wydyszałem, sprowadzając nas na kolejny poziom. – Nie stroni od intryg w polityce, ale wobec osobistych wrogów jest przewidywalna. Gdyby chciała mojej śmierci, zaatakowałaby mnie nożem. W tych sprawach jest bardzo bezpośrednia.

– Dopóki nie zmieni zdania, a wtedy będziesz zbyt martwy, żeby narzekać, jak nieprzewidywalne są wampiry – warknął Ebenezar.

Wpadliśmy na najgłębszy poziom parkingu. Był niemal zupełnie pusty. Znajdowaliśmy się blisko dolnej granicy solidnego gruntu w tej części miasta. W zagłębieniach w betonie stała zatęchła woda, która

cuchnęła pleśnią. Zapewne zeszliśmy do poziomu jeziora albo nawet nieco niżej.

– Takie miejsce niezbyt dobrze zniesie eksplozje – zauważyłem, rozglądając się.

– A nie jesteśmy na tyle głęboko, by móc zalać ogary wodą – dodał staruszek. – No dobrze, chłopcze. Najwyższy czas zacząć cię uczyć o zrodzeniu pod gwiazdami.

Zamrugalem i niemal potknąłem się o własne stopy.

– Zaraz, co takiego? Zaczynasz o tym mówić... właśnie teraz?

Z irytacją zdzielił mnie w ramię.

– Mamy jakieś pół minuty. Chcesz trochę powspominać?

– Cholerni magowie – poskarżyłem się, masując ramię. – Dobrze, opowiadaj.

– Co dwa albo trzy pokolenia magów gwiazdy ustawiają się we właściwy sposób i na ziemię świeci coś w rodzaju reflektora punktowego – mówił Ebenezar. – Każde dziecko, które urodzi się w tym świetle...

– Jest zrodzone pod gwiazdami – przerwałem mu. – Rozumiem. Ale co to znaczy?

– Ma moc, by przeciwstawić się Intruzom – warknął staruszek. – Jego umysł nie może zostać magicznie skażony przez kontakt z czymkolwiek pochodzącym z Zewnętrzza. A to oznacza...

Szerzej otworzyłem oczy.

– Na dzwony piekiel – mruknąłem.

Widzicie, z istotami pochodzącymi spoza naszej rzeczywistości można sobie radzić tylko na kilka sposobów. Przede wszystkim one wcale nie są tutaj obecne w czysto fizycznym sensie. Przychodzą spoza śmiertelnego świata, więc muszą stworzyć dla siebie ciało z ektoplazmy i napełnić je energią oraz siłą woli, by mogło służyć jako awatar nadprzyrodzonej istoty, która pozostaje bezpieczna w swoim macierzystym świecie. Właśnie tak uczyniły narożne ogary, gdy przybyły do Chicago, żeby nas dopaść.

Walka z kimś takim często bywa trudna. Ciało takich istot zazwyczaj nie muszą odczuwać bólu, a zadanie im odczuwalnego ciosu wymaga znacznej energii. Żeby skutecznie walczyć z nimi na

poziomie fizycznym, trzeba zniszczyć maszynerię ich ciała, połamać stawy i kości, aż nie będą mogły dalej funkcjonować.

W przypadku stworzeń tak dużych i wytrzymałych jak narożne ogary, ma się znacznie większą szansę na ich spętanie i przegnanie – przeciwstawienie im swojej woli i wypchnięcie ich z zajmowanych ciał. Ale to przypomina szorowanie umysłem po toalecie na dworcu autobusowym – nigdy nie wiadomo, czym można się zarazić. Magowie, którzy często walczą z Intruzami (a nawet z co dziwniejszymi bytami pochodzącymi z naszej rzeczywistości) przeważnie są nieco stuknięci, za sprawą skażenia, jakiego doznają przez bezpośredni kontakt z obcymi, nieludzkimi inteligencjami. Właśnie dlatego jedno z Praw Magii dotyczy kontaktów z Zewnątrzem.

Ale gdybym był odporny na takie wpływy...

Czy to z tego powodu Nemezis mi się ukazał, ale nigdy mnie nie zaatakował, by przejąć kontrolę nad moimi myślami i działaniami? Ponieważ nie był w stanie tego zrobić? To miało sens, zwłaszcza w kontekście moich dotychczasowych doświadczeń z Intruzami, gdy jako jedyny nie doznawałem paraliżu i mogłem działać. A zatem nie tylko byłem w stanie opierać się ich wpływom, ale też mogłem toczyć z nimi psychiczną walkę bez ryzyka zwarcia w mózgu.

Staruszek chciał, żebym je wygnał, uwięził wewnątrz kręgu i siłą woli wyrzucił z tej rzeczywistości.

– W jaki sposób umieścimy je wewnątrz kręgu? – spytałem.

Ebenazar oparł laskę o swoje ciało i wyjął z kieszeni płaszcza scyzoryk.

– Przynęta.

Wbił sobie ostrze w rękę i przekręcił. Z rany wypłynął cienki strumyk krwi i skapnął na ziemię. Pierwszy z ogarów pojawił się na szczycie rampy za nami i wydał z siebie przeciągły jęk, a jego macki zadrżały w rytmie spadających kropel. Gwałtownie zbliżył się o metr, rozmywając się w powietrzu, a potem ponownie znieruchomiał, jak jakiś dziwny drapieźnik z morskich głębin.

– Oto na czym polega ćwiczenie – rzekł Ebenazar i podał mi nóż. Jeśli nawet cierpiał, nie dało się tego usłyszeć w jego głosie. – Najpierw obronny krąg. Zrobimy to równocześnie. Woń krwi

doprowadzi je do szaleństwa i będą próbowały mnie dopaść. Wtedy nakreślisz krąg i go aktywujesz, a następnie je wypędzisz. – Zerknął na mnie. – A dla pewności postaraj się, by w żadnym punkcie planu nie pojawiły się wampiry.

Wszystkie kąty na najniższym poziomie parkingu rozjarzyły się nieprzyjemnym niebieskim światłem.

– Tak jest – warknąłem, biorąc nóż.

Pochyliłem się i pośpiesznie okrążyłem staruszkę, szorując czubkiem ostrza po betonie i kreśląc nierówny okrąg. Wszedłem do jego wnętrza, dotknąłem śladu na ziemi i przywołałem nieco siły woli, czując, jak magiczny krąg pojawia się wokół nas na podobieństwo niewidzialnej ściany.

– Na wszystko jest właściwy czas i miejsce. To nie jest taka chwila.

Oddałem mu nóż rękojeścią do przodu. Staruszek kilka razy zacisnął pięść, upewniając się, że krew płynie z rany. Potem złożył i schował scyzoryk, chwycił laskę obiema rękami i ustawił ją pionowo, by nie wystawała poza krąg. Ogary zaczęły wdzierać się do naszego świata. Kolejne pół tuzina dołączyło do tego, który schodził po rampie, przemieszczając się za pomocą chaotycznych zrywów. Stwory przypadły do ziemi i czekały.

– Jesteś pewien? – spytał Ebenezar. – Może lepiej poprosimy o pomoc któregoś z twoich lojalnych wampirzych sojuszników, którzy zawsze są przy tobie w potrzebie?

Popatrzyłem na niego gniewnie.

– To był cios poniżej pasa.

– Jedenaście, dwanaście – liczył staruszek. – No tak, trzynaście. Jest całe stado. Teraz przestaną się bawić.

– Myślisz, że te stwory są inteligentne? – spytałem.

– Jak cholera. Ale są tak skupione na celu i tak bardzo się od nas różnią, że trudno to zauważyć.

– A więc spróbują mnie powstrzymać przed aktywowaniem kręgu – zauważyłem. – Potrzebujemy zasłony dymnej... tylko że one nawet nie mają oczu. Prawda? Nie mają oczu w gardle albo czegoś w tym rodzaju?

– Wolałbyś nie wiedzieć – odrzekł staruszek.

Nagle trzy z ogarów błyskawicznie się do nas przybliżyły, wymachując mackami. Jeden uderzył w otaczającą nas tarczę. Rozbłysło światło, trysnęła wściekła fontanna iskier, rozległ się przeszywający basowy ryk bólu, a potem trzy ogary ponownie znieruchomiały. Ten z przypaloną macką znajdował się nieco ponad pół metra ode mnie.

Przełknąłem ślinę i pośpiesznie przyjrzałem się kręgowi. Magiczny krąg chroni przed istotami przywołanymi do świata śmiertelników, także przed Intruzami, ale gdyby jakikolwiek przedmiot upadł na wyżłobiony rowek, krąg straciłby ciągłość i stał się bezużyteczny, a my bylibyśmy zdani na łaskę potworów.

– Kierują się dźwiękami? – spytałem.

– Jak nietoperze.

Najbliższy ogar stanął na tylnych łapach, ostrożnie wyciągając przed siebie macki, jakby szukał sposobu na obejście osłony, jaką zapewniał nam krąg. Rozległa się seria ostrych trzasków, gdy końcówki macek otarły się o ścianę energii, i istota cofnęła się przy wtórze tryskających iskier i niskich pomruków bólu.

– Nie mają zębów – zauważyłem, czując, że zaschło mi w gardle.

– Z czystej niezdrowej ciekawości, co się z nami stanie, jeśli nas... dopadną?

– Wciągną nas w jeden z tych kątów – odrzekł Ebenezar. – A następnie zawloką tam, skąd pochodzą.

Przełknąłem ślinę.

– A potem?

Staruszek sprawiał wrażenie lekko zaniepokojonego i powiedział coś, co u magów jest równoznaczne z grubym przekleństwem.

– Nie wiem.

Zamrugąłem i wytrzeszczyłem oczy.

– Aha. – Ponownie przełknąłem ślinę. – To silne istoty. Nie wiem, czy poradzę sobie ze wszystkimi naraz.

– To nie jest grupa stworzeń – odparł Ebenezar. – Raczej jedno, które zajmuje kilka różnych ciał. Są ze sobą połączone, Hoss. Jeśli wygnasz jedno, wygnasz je wszystkie.

Popatrzyłem ponad ramieniem Ebenezara na starego pickupa, jedyny samochód zaparkowany na najniższym poziomie.

– W takim razie musimy zwiększyć presję – powiedziałem, wskazując auto.

– Krąg ognia? – spytał staruszek.

– Krąg ognia – przytaknąłem. – Szkoda, że nie mam wia...

Kichnięcie całkowicie mnie zaskoczyło. Pojawiło się znikąd i było głośniejsze, niż powinno, przerywając mi w pół słowa. Poczułem gwałtowny przyptyw napięcia i energii, oszałamiające nieświadome wyładowanie magicznej mocy, a z mojego nosa trysnęło zdecydowanie zbyt wiele ektoplazmy.

Rozległ się brzęk i cynkowane dwudziestolitrowe wiadro spadło obok moich stóp i potoczyło się po ziemi. Ebenezar zaklął pod nosem i dźgnął je laską, zatrzymując je na kilka centymetrów przed kręgiem, zanim zdążyło go przerwać i nas zabić.

– Wiadra – dokończyłem słabo, czując, że mam nos całkowicie zatkany ektoplazmą. Uch. – Przepraszam. Za chwilę zniknie.

Staruszek popatrzył na wiadro.

– Na dzwony piekiel, chłopcze. Czarodziejski katar? W twoim wieku?

– Czarodziejskie co? – spytałem.

Staruszek podniósł prawą rękę i wyszeptał jakieś słowo, jednocześnie wykonując skomplikowany ciąg gestów palcami, a wtedy fala jego siły woli otoczyła wiadro, które nie zadrżało i nie zmieniło się w kałużę ektoplazmy, tylko utrzymało kształt, dzięki czemu Ebenezar mógł je podnieść.

– Czarodziejski katar. Mówiłem ci o nim.

– Nie wydaje mi się – odparłem.

Staruszek się skrzywił.

– Na pewno? Może po prostu nie słuchałeś. Tak jak w dniu wampirów.

– Serio? Naprawdę? – odparowałem i wskazałem nadchodzące, pokryte mackami poczwary. – Właśnie teraz?

Wysunął do przodu podbródek i machnął w moją stronę wiadrem.

– Za każdym razem, kiedy się z nimi zadajesz, pakujesz się w tarapaty – odrzekł. – Chłopcze, kiedy wreszcie zaczniesz używać mózgu?

Zabrałem mu wiadro.

Nagle, bez żadnego odgłosu ani sygnału, wszystkie ogary identycznie przypadły do ziemi, a ich macki zaczęły wspólnie wibrować.

– Ruszaj! – ryknął Ebenezar. – Szybko!

No dobrze. Czas się skupić. Ogary co prawda nie mogły fizycznie nas dopaść, ale gdyby cała trzynastka potraktowała nas basem, z pewnością nie wyszlibyśmy z tego parkingu żywi.

W idealnym świecie mógłbym przerwać krąg, uczynić się niewykrywalnym i wymknąć na zewnątrz, by nakreślić nowy krąg, podczas gdy staruszek odwracałby uwagę wroga.

Ale musiałem się zadowolić urodzinowym żartem, który przygotowywałem dla Buttersa.

Po pierwsze, wyjść z kręgu.

Kiedy to zrobiłem, ogary wyraźnie się napięły, a ich mięśnie i macki zadygotały.

W tym samym czasie Ebenezar zaczął się cofać i oparł się plecami o najbliższy filar, jednocześnie stawiając przed sobą kolejną niewidzialną zasłonę.

– No dalej, paskudy!

Złożone z macek łby odwróciły się, śledząc staruszkę, a powietrzem wstrząsnęły dudniące i wibrujące infradźwięki, od których zakręciło mi się w głowie.

Wstałem i przywoławszy siłę woli, uniosłem lewą dłoń z rozcapierzonymi palcami, po czym warknąłem: „Consulere rex!”.

To nie było zbyt złożone zaklęcie. Praktycznie powieliło efekt klaksonu na sprężone powietrze. Tylko... na nieco większą skalę. Poza tym odgrywało melodię.

Musicie mi zaufać: tyranozaur ryczący „Sto lat” na pełny regulator to jak najbardziej odpowiedni prezent urodzinowy dla Waldo Buttersa.

Dźwięk, który zabrzmiał na parkingu, nie przypominał głośnością klaksonu. Ani orkiestry marszowej. Ani syreny pociągu. Miał około stu sześćdziesięciu decybeli. Nie sto sześćdziesiąt pięć, ponieważ wtedy rozsadziłyby wszystkie szklanki w kuchni i podpalił mi włosy.

Nie żartuję.

Dla porównania, to mniej więcej taki sam hałas, jaki robi startujący samolot pasażerski. Wyobraźcie sobie, że słyszycie go w stosunkowo niewielkiej, zamkniętej, odbijającej dźwięki przestrzeni.

Albo nie zadawajcie sobie trudu. Jeśli czegoś takiego nie doświadczyliście, i tak nie zdołacie sobie tego wyobrazić.

To nie był zwykły hałas, ale odczucie przypominające wrzucenie do ogromnej kadzi z wazeliną. Natychmiast straciłem oddech. Czuję nacisk na całą powierzchnię skóry i ból w uszach, jak podczas nurkowania na dno głębokiego basenu. Upuściłem laskę na ziemię, żeby zakryć uszy dłońmi, ale nie na wiele się to zdało. Taki dźwięk jest jak broń atakująca całe ciało. Jakimś cudem nie zgubiłem wiadra.

Zamierzałem pobiec do samochodu, ale nie spodziewałem się, że zakłęcie okaże się tak głośne. Dlatego ruszyłem chwiejnym krokiem, ledwie trzymając się na nogach i utrzymując prosty kurs.

Ogary ucierpiały jeszcze mocniej. Pod naporem mojej Serenady Dinosaurów skuliły się w bólu, wymachując rozpaczliwie wiciami i mackami na łbach, niczym agamy kołnierzaste potraktowane prądem. Przestały wyć, zresztą i tak nikt by ich nie usłyszał.

Czasami najlepszą obroną jest tyranozaur.

Zataczając się jak pijak, dotarłem do samochodu i tylko dwa razy przewróciłem się po drodze. Teraz przyszła kolej na najtrudniejszą część planu.

Musiałem oderwać dłonie od uszu, chociaż miałem wrażenie, że ta... muzyka zaraz rozsadzi mi bębunki. Odstawiłem wiadro, przykucnąłem obok auta i przywołałem moc Zimy.

Bycie Rycerzem Zimy to żadna przyjemność. Dysponowanie tą mocą na co dzień oznaczało, że musiałem stale walczyć o pozostanie sobą. To cholerstwo podsuwało mi myśli, których wolałbym uniknąć, i pragnienia, których wolałbym nie mieć. Bycie Rycerzem Zimy nie pomaga w byciu dobrym ojcem ani smażeniu smaczniejszych naleśników. Nie pomaga w lepszym zrozumieniu filozofii, tworzeniu pięknych rzeczy ani zdobywaniu wiedzy.

Zamiast tego czyni cię niezwykłym w walce.

Chwyliłem krawędź samochodu, osłaniając dłonie skrajem zabezpieczonego zakłębieniem płaszczka, napiąłem mięśnie pleców

oraz nóg i wstałem.

Było ciężko. Bolało jak cholera, kiedy krawędzie podwozia i masa samochodu wrzynały się w moje dłonie, pomimo osłony płaszcza. Mięśnie gwałtownie protestowały, ale dotkliwy ziąb Zimowego lodu wypełnił moje myśli i kończyny, tłumiąc ból ciała. A może po prostu włożył mi na barki tak wiele dodatkowego bólu, że zwykłe fizyczne cierpienie stało się nieistotne.

Pickup drżał i trzeszczał w moich rękach, a ja gwałtownie wyprostowałem nogi i ramiona, odwróciłem chwyt i przewróciłem samochód na bok.

Zataczając się pod wpływem niekończącej się Serenady Dinozaura, zacisnąłem prawą dłoń i przyjrzałem się podwoziu auta, aż w końcu znalazłem plastikowy bak z paliwem. Zdzieliłem go pięścią, przebijając ścianę na wylot.

Wyrwałem pięść i drugą ręką podstawilem wiadro. Benzyna popłynęła na moją koszulę, a następnie do wiadra. Dwadzieścia litrów wypływa bardzo szybko przez otwór wielkości pięści. Kiedy wiadro było już pełne po brzegi, odwróciłem się i chwiejnym krokiem ruszyłem w stronę kręgu.

Wtedy moja Serenada Dinozaura się urwała.

Cisza uderzyła mnie jak pałką. Opadłem na jedno kolano, z trudem przytrzymując wiadro, i westchnąłem.

Nagle zauważyłem ogary. Większość otaczała Ebenezara, którego chroniło tak wiele warstw energii, że widziałem go w zniekształconej postaci, ale jeden z ohydnych stworów znajdował się niecały metr po mojej lewej stronie.

Kolejny stał piętnaście centymetrów ode mnie po prawej.

Przez krótką chwilę żadne z nas się nie poruszało, a świat wciąż rozbrzmiewał echem dźwięku przypominającego bicie dzwonu o rozmiarach drapacza chmur. A potem mój żałośnie nieciekawym głosem odezwał się śpiewnie w ciszy, która zapadła po wygaśnięciu zaklęcia: „Niech żyje naaaaa-aaaaaaam!”.

Wici zafalowały z podniecenia.

Macki poruszyły się agresywnie.

Puściłem się biegiem, rozchlapując benzynę z wiadra.

– Halo! – wrzasnąłem.

Jeden z ogarów skoczył na mnie – pół tony macek, szponów i mięśni.

Zrobiłem unik, szybki jak huk wystrzału w bezchmurny zimowy wieczór.

Pazury przeorały mi plecy.

Zakłęcia ochronne na płaszczu wytrzymały, a cały wysiłek i wszystkie niewygody tego wieczoru stały się warte zachodu.

Ebenazar tymczasem przetrwał uderzenie infradźwięków, które stado zaczęło wysyłać w jego stronę tuż przed wygaśnięciem mojego zakłęcia, i od tamtej pory nie marnował czasu. Wypowiadając pojedyncze słowo, wskazał betonową podłogę parkingu, a wtedy w powietrze wzbił się obłok drobnych okruchów o kształcie idealnego okręgu. Staruszek za pomocą siły woli wydrążył rów o głębokości pięciu i szerokości dziesięciu centymetrów.

Trzy ogary dopadły do niego, jeszcze przed chwilą nieruchome, a już za moment szybkie jak węże kierowane tą samą straszliwą wolą. Staruszek odrzucił jednego ciosem laski skierowanym ku górze, a detonacja kinetycznej energii wbiła Intruza w betonowy sufit, spod którego spadł pośród deszczu gruzu. Drugi z ogarów trafił Ebenezara pazurami w pierś, a wtedy rozległ się brzęczący trzask wyładowania energii, który zabrzmiał jak odgłos elektrycznej pułapki na owady o rozmiarach transformatora Tesli. Stwór cofnął się z osmalonymi szponami. Ale trzeci z ogarów zdołał trafić Ebenezara w nogę i chociaż tarcza ochroniła staruszkę przed zranieniem, nie zdołał uniknąć skutków pierwszej zasady dynamiki Newtona. Padł na ziemię z głośnym sapnięciem, a kolejne trzy ogary błyskawicznie przemieściły się w pobliże filara, skąd mogły zaatakować ofiarę.

Intruzi zbliżali się do mojego dziadka, wymachując pazurami i mackami. Powietrze wypełniły rozbłyśki światła, brzęczenie wyładowań elektrycznych, smród przypalonego ciała i basowe jęki, gdy staruszek stawiał opór napastnikom, osłonięty zbroją czystej woli, w porównaniu z którą moje zakłęcia obronne wydawały się niedopracowane i prymitywne.

Puściłem się sprintem, żeby mu pomóc, a wtedy w plecy uderzył mnie infradźwiękowy ryk, osobliwe doznanie, które przypominało trafienie strumieniem wody o niskim ciśnieniu.

W jednej chwili poruszałem się bez przeszkód, a potem nagle zachwiałem się i parking rozmasał mi się przed oczami. Moje wnętrzności zmieniły się w wodę, a kolana w galaretę. W ostatnim momencie zdołałem podeprzeć się jedną ręką, żeby nie upaść i nie rozlać zawartości wiadra. Kiedy przemieszczałem się naprzód, ziemia wirowała przeciwnie do ruchu wskazówek zegara i chociaż mój racjonalny mózg upierał się, że to niemożliwe, moje ucho środkowe nie chciało go słuchać.

Ogary podążyły za mną, poruszając się nagłymi zrywami.

Pełznąąc jak Gollum, przeciąłem krąg, który staruszek wyżłobił w podłodze. Ogary wciąż pędziły moim śladem, a kolejne dwa skoczyły w moją stronę z przeciwległego krańca kręgu. Już wzbiły się w powietrze.

Staruszek wykrzyknął coś spod przytłaczającej go sterty wrogów i nagle zerwał się potężny wiatr. Podmuch uderzył w dwa ogary z taką siłą, że poderwał je z ziemi, przeniósł nad moją głową i cisnął w ścigające mnie stado, na chwilę je powstrzymując.

Ebenazar zrobił to, choć dziewięć stworów przygniatało go i próbowało pochwycić mackami, żeby rozerwać go na strzępy.

Oto prawdziwy mag, ludzie.

Dotarłem do skraju kręgu położonego wyżej. Nie mogłem wylać benzyny na dolnym krańcu, ponieważ grawitacja by nam nie pomogła. Jak najszybciej opróżniłem wiadro, starając się nie wychłapywać benzyny poza rowek wyżłobiony w betonie.

Jeden z ogarów zaczął boleśnie zawodzić, a połowa istot przygniatających Ebenezara oderwała się od niego i rzuciła w moją stronę.

Ogary zapewne powinny dobrze się zastanowić, zanim dały nieco przestrzeni człowiekowi tak uzdolnionemu jak mój dziadek. Jedno wykrzyczane słowo uwolniło z powierzchni jego ciała rozszerzającą się falę niebiesko-białego ognia i najbliższe stwory szybko się cofnęły. Staruszek uderzył prawą dłoń o ziemię, wywarkując jakieś zaklęcie, a wokół zbliżających się do mnie ogarów nagle zwiększyła się grawitacja i stwory zaczęły bezsilnie zmagać się z własnym ciężarem.

Ogary, które otaczały Ebenezara, otrząsnęły się z uderzenia płomieni i ponownie na niego skoczyły. Nie mógł się bronić, przynajmniej dopóki istoty polowały na mnie.

Intruzi rzucili się na niego, a wtedy ponownie błysnęło światło, gdy osobista tarcza staruszka groźnie strzeliła iskrami. W tej chwili mojego dziadka dzieliła od śmierci tylko moc umysłu i woli.

Cztery stwory, które zaatakowały mnie na początku, błyskawicznie dołączyły do walki i zaczęły krążyć wokół pola zwiększonej grawitacji wiążącego ich towarzyszy.

Podniosłem wzrok na rozmazujące się w powietrzu sylwetki ogarów, które zbliżały się do mojej twarzy, a następnie wsunąłem głowę do wnętrza kręgu, ponieważ właśnie tam chciałem je zwabić. Jednocześnie obróciłem się, żeby widzieć ogary, które skoczyły w moją stronę tak zwartą grupą, że dotykały się nawzajem, wyciągając przed siebie szpony i macki. Miałem wrażenie, że ta chwila trwa całe wieki.

Kiedy ich ogony minęły krawędź okręgu, skupiłem na nim siłę woli, pstryknąłem palcami i zawołałem „Flickum bicus!”.

Moja wola poniosła ogień do benzyny w wyżłobionym rowku, pojedyncza oślepiająca iskra wzbudziła płomień, który zamruczał nisko jak jakaś potężna bestia wciągająca powietrze, a następnie pomknął po obwodzie kręgu, lśniąc wyraźnym, lodowato błękitnym światłem.

Praca z magią wewnątrz kręgów to nie przelewki. A czarowanie wewnątrz ognistego kręgu przypomina... przebywanie w pomieszczeniu ze ścianami, podłogą i sufitem pokrytym lustrami, w których wirują odbicia. Każde magiczne działanie wewnątrz ognistego kręgu prowadzi do bardzo gwałtownego nagromadzenia mocy, a okruchy energii odbijają się od wnętrza kręgu i łączą ze sobą w potężny i nieprzewidywalny sposób – tak potężny i nieprzewidywalny, że chociaż teoretycznie nie mamy do czynienia z czarną magią, technika ta znajduje się na liście metod, z których Strażnicy korzystają, by ocenić potencjał danego maga na zostanie czarnoksiężnikiem. To aż tak niebezpieczna zabawa.

Pomyślcie o ognistym kręgu jak o... eksperymentalnym reaktorze fuzyjnym. Tak czy inaczej, na pewno wydarzy się w nim coś

wielkiego. Gdyby próba wygnania Intruzów wymknęła się spod kontroli, w środku dzielnicy Gold Coast doszłoby do wybuchu małej bomby atomowej.

Na szczęście dobrze się znałem na tym rodzaju magii – przenoszeniu potężnych ilości energii w linii prostej. Co więcej, jako że Intruzi znajdowali się razem ze mną wewnątrz kręgu, nie potrzebowałem fragmentów ich ciał, by stworzyć kanał dla zaklęcia.

Oczywiście oznaczało to także, że mogły mi rozerwać twarz.

Boże, uwielbiam pracować pod presją.

Kiedy pierwszy z ogarów się do mnie zbliżył, usunąłem mu się z drogi, przy okazji z całej siły kopiąc go obcasem w kłębowski macek. Dzięki temu nieco odepchnąłem się od stwora i zdołałem go zdezorientować, co pozwoliło mi krzyknąć: – Narożne ogary, wypędzam was!

Napełniłem swój głos siłą woli, a dotychczas niewidzialna zasłona kręgu nagle rozbłysła wstęgami zielono-złotych płomyków, które wzniosły się aż do sufitu, ale zamiast pozostać w postaci trwałej kolumny, zapulsowały, rozszerzyły się i ponownie opadły. Iskry trysnęły z kamienia w miejscu, gdzie wola Ebenezara przytrzymała cztery ogary w grawitacyjnym potrzasku. Kolejne iskry zawirowały w powietrzu wokół jego obronnych zaklęć. Coraz większe i jaśniejsze, poruszały się jak świetliki, w niesamowity sposób imitując celowość żywych istot.

Kiedy dołączyłem do tego swój głos, płomienie stały się niemal nieznośnie intensywne. Z trzynastu krtani wydobył się jednocześnie basowy skowyt, a wszystkie ogary zwróciły się w moją stronę.

Kiedy staruszek uwolnił się od napastników, natychmiast podniósł lewą dłoń i uderzył nią w betonową posadzkę. Ta jęknęła, gdy zwiększona grawitacja znów pociągnęła stwory w dół, pomimo prób oporu bezlitośnie wgniatając je w grunt.

Twarz staruszka zrobiła się fioletowa z wysiłku i wykrzywił ją bolesny grymas.

Mój Boże, być może on właśnie zabija się na moich oczach.

– Narożne ogary, słudzy Zewnętrznej Nocy, ten świat nie jest miejscem dla was! – wykrzyknąłem. – Wypędzam was!

Ponownie rozległ się chór basowych jęków, ale bezradne ogary nie mogły wyrwać się spod działania woli Ebenezara McCoya.

Nie licząc jednego, który był najbliżej mnie.

Staruszek, utrzymując osłony i jednocześnie posługując się magią ziemi, której przywołanie zajęłoby mi co najmniej minutę, rzucił drugie zaklęcie z taką precyzją, że wyłączył mnie spod działania silniejszej grawitacji, a wszystkie ogary schwytał w sieć swojego umysłu.

No cóż, dwanaście na trzynaście. Ostatni zaczął się wyczołgiwać ze studni grawitacyjnej i zbliżyć do mnie. Kiedy tylko wysunął przednie łapy z pułapki, natychmiast wstał i przygotował się do skoku, którego celem było moje gardło. W końcu uwolnił się i skoczył.

Z ognistego kręgu zaczęło się wydobywać wycie, a ogień migotał i pulsował całą gamą zaskakujących barw. W powietrzu nagromadziło się tak wiele energii, że swędziały mnie oczy, a przecież jeszcze nie dodałem do tej mieszanki swojej własnej siły woli. Gdybym przerwał zaklęcie wypędzania i spróbował obronić się przed ogarem, nie sposób przewidzieć, co stałoby się z tą całą nagromadzoną energią.

Dlatego nie ruszyłem się z miejsca, gdy ogar wyrwał się z grawitacyjnej pułapki.

– Ogary Tindalosa, wracajcie do Pustki, która was oczekuje! Wypędzam was! – Obiema rękami uniosłem laskę i zacząłem uwalniać siłę woli.

Wtedy ich poczułem. W swojej głowie.

Poczułem Zewnątrz.

Nawet nie będę próbował wyjaśnić, jakie to uczucie. Jeśli coś takiego się wam nie przytrafiło, nie mamy wspólnego punktu odniesienia.

Cierpiałem. Tyle mogę wam powiedzieć. Moc Zimy nie miała szans powstrzymać takiego bólu. Myślę, że można nazwać to doświadczenie bólem. Gdy dotykałem ich myśli, czułem się, jakbym lizał zamarznięte żelazo, a głowa pękała mi jak po zjedzeniu lodów.

Ich myśli, a raczej szaleństwo, które chciało za nie uchodzić, zaczęły pożerać mój umysł. Miałem wrażenie, że przeżuwa go rój

mrówek. Aż nagle, przez krótką chwilę, obcy sposób myślenia nabrał sensu i zobaczyłem jakiś obraz z ich punktu widzenia – istotę zbudowaną ze spójnego światła, kolumnę z lśniących ośrodków energii i czystej grozy, stojącą jak obelisk przed ogarami, ze straszliwymi błyskawicami wokół uniesionych pięści, głowy i ramion, niczym miniaturowy front burzowy.

Zobaczyłem to, co one widziały, gdy patrzyły na mnie.

Poczułem ich strach.

Moc Zimy zawyła łakomie i wpłynęła we mnie, a szron pokrył wszystkie powierzchnie na parkingu, trzeszcząc jak basen pełen strzelających cukierków. Zalała mnie pewność, poczucie celowości zjednoczonej z wolą, pragnieniem i wiarą – pewność, że właśnie dla takich chwil istnieję.

– PRECZ! – ryknąłem i uderzyłem o ziemię laską, uwalniając siłę woli.

Wewnątrz ognistego kręgu rzeczywistość zmieniła się w burzę widmowej energii, przypadkowych wyładowań światła i dźwięku, błyskawic światła i koloru. Poczułem, że ogary przeciwstawiają mi swoją wolę, która kruszy się jak stary chleb kukurydziany. Wyrwałem je z ektoplazmicznych ciał i posłałem ich niewidzialne, niematerialne dupska z powrotem do Pustki poza wszelkim Stworzeniem.

Pazury trzynastego ogara znajdowały się jakieś dwadzieścia centymetrów od czubka mojego nosa, gdy wewnątrz kręgu zawirowała energia, a zakłęcie wygnania dopadło stwory. Wokół nas rozległ się odgłos przypominający gwałtowne wciągnięcie powietrza, wszystko zadrżało i ogary po prostu zniknęły.

Dlatego nie zostałem rozczłonkowany przez półtonowego potwora, tylko pół tony obrzydliwej, lepkiej ektoplazmy trafiło mnie w klatkę piersiową, przewróciło i przepchnęło trzy metry po podłożu.

Ektoplazma pochodząca z kolejnych dwunastu ogarów wylała się z wygasłego kręgu i rozpląnęła po całym parkingu.

Ebenazar osunął się na bok, a następnie przetoczył na plecy, dysząc ciężko, jakby właśnie wbiegł po schodach. Obok niego przepłynęła głęboka na dziesięć centymetrów fala ektoplazmy. Jak na imprezie po zakończeniu zdjęć do Bloba.

Próbowałem strząsnąć maź z palców, ale bezskutecznie. Była jak gluty, ale bardziej lepka i gdyby nie fakt, że rozpływała się w powietrzu w ciągu kwadransa, przez parę lat zrujnowałaby mi garderobę.

Ale na razie byłem pokryty przezroczystą galareta.

Obaj przez chwilę milczeliśmy, aż w końcu Ebenezar wychrypiął:
– Widzisz? Nie były potrzebne żadne wampiry.

Zerknąłem na niego wycieńczony takim wydatkiem energii.

– Dlaczego tak bardzo ich nienawidzisz? – spytałem.

Przez chwilę wpatrywał się we mnie z namysłem.

– A dlaczego ty nienawidziłeś tamte ghoule, które zabiłeś w Obozie Bum Bum?

Zmarszczyłem czoło i odwróciłem wzrok. Nie byłem dumny z tego, co zrobiłem tamtego dnia. Ale nie byłem pewien, czy dziś postąpiłbym inaczej. Wciąż robiło mi się niedobrze na myśl o tym, co ghoule zrobiły dwójce dzieciaków, które pomagałem szkolić.

A także na myśl o tym, jaka spotkała je kara.

Użyłem mrówek.

Staruszek westchnął. Kiedy znów na niego popatrzyłem, miał zamknięte oczy. Jego policzki jakby się zapadły. Jeszcze nigdy nie widziałem go tak znużonego. Kiedy się odezwał, nie otworzył oczu.

– Już rozumiesz? Znasz powód. Nienawidzę ich, ponieważ je znam. Ponieważ kogoś mi odebrały.

– Mamę? – spytałem.

Napiął mięśnie szczęki.

– Ją też. To, co zrobiłeś z Czerwonymi, było niesamowite, Hoss. Ale ta częśćka mnie, która dobrze je zna, zdaje sobie sprawę, że to dopiero dobry początek. Na Boga, czasami przyznaję jej rację.

– Członkowie Czerwonego Dworu stali się tym, czym byli, poprzez zabicie człowieka. Każdy z nich, bez wyjątku. Biały Dwór jest inny. Oni się tacy rodzą. Nie wszyscy są tacy sami.

– Od dawna grają w tę grę, Hoss – odrzekł Ebenezar. – Sam się przekonasz. Jeśli tego dożyjesz.

Odetchnął i usiadł. Potem podniósł swoją laskę i dźwignął się na nogi. Jego twarz nie wyglądała zdrowo. Już nie była fioletowa, ale zbyt blada, a usta poszarzały. W oczach krył się wilczy głód.

– Najlepiej zrobimy, jeśli zejdziemy z ulicy i ukryjemy się za osłonami – rzekł. – Jeśli ten, kto je posłał, ma nieco oleju w głowie i wystarczająco dużo zasobów, to spróbuje ponownie.

– Nie – odparłem. – Dopóki nie dowiem się czegoś więcej o zrodzeniu pod gwiazdami.

Staruszek kilka razy zacisnął zęby.

– Już ci mówiłem. Urodziłeś się we właściwym czasie i miejscu. Na skutek tego... – Westchnął, jakby nie potrafił znaleźć właściwych słów. – Twoja energia życiowa rezonuje z częstotliwością, która stanowi lustrzane odbicie energii Intruzów i ją neutralizuje. Są podatni na działanie twojej mocy. Psiakrew, możesz nawet dzielić ich pięścią, a oni to czują.

No cóż. Kopniak w ten niby-pysk rzeczywiście sprawił, że ogar wahał się przez trzy czwarte sekundy.

– Uznajmy to za plan B – stwierdziłem.

– Dobry pomysł – zgodził się Ebenezar.

Zmarszczyłem czoło.

– Czy do takiego zrodzenia pod gwiazdami często dochodzi?

Staruszek długo zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Raz na sześćset sześćdziesiąt sześć lat.

– Dlaczego? – zdziwiłem się. – Czemu to służy? Co się zbliża?

Pokręcił głową.

– Koniec lekcji na dzisiaj. Już powiedziałem więcej, niż powinienem.

– Zaczekaj chwilę – sprzeciwiłem się.

– Hoss, nie możesz nic zrobić dla tego wampira, najwyżej pograżyć się razem z nim – odrzekł głosem cichym i twardym jak granit. – Daj spokój. – Zamknął oczy i zacisnął zęby. – Albo cię do tego zmuszę.

Spodziewałem się, że jego słowa wzbudzą we mnie wściekłość. Nie reaguję dobrze na władcze gesty.

Ale nie poczułem się rozgniewany.

Jedynie... zraniony.

– Nie ufasz mojemu osądowi – odparłem cicho.

– Oczywiście, że tak – odpowiedział naburmuszonym tonem. – Ale martwię się o ciebie, a w tej chwili tkwisz po uszy w sadzawce z

aligatorami i nie myślisz rozsądnie. – Odgarnął kulkę ektoplazmy, która spływała mu do oczu. – Znasz mnie. Nie chcę ci tego robić, Hoss. Nie zmuszaj mnie.

Zastanawiałem się, co odpowiedzieć.

Zawsze uznawałem Ebenezara za szorstkiego, irytującego, twardego, nieustraszonego i niezwykle serdecznego człowieka, jeszcze zanim dowiedziałem się, że jest moim dziadkiem.

Chciałem mu opowiedzieć o jego drugim wnuku. Ale rozumiałem nienawiść, którą odczuwał. Rozumiałem, ponieważ sam również ją czułem. Takiej nienawiści większość mieszkańców pierwszego świata nigdy nie musi doświadczać, gdyż rodzi się ona z krwi i śmierci, krzywdy i utraty najbliższych. To klasyczna nienawiść. Pierwotna. Groźna jak broń.

Nie wiem, jak bym zareagował, gdyby ktoś mi wyjawiał, że ghoul jest moim dzieckiem, ale z pewnością nie zachowałbym się rozsądnie i coś by spłonęło.

Nie mogłem liczyć na dziadka. Niewykluczone, że byłem jedyną nadzieją dla swojego brata.

– Znasz mnie – odezwałem się w końcu. – Kiedy ktoś, na kim mi zależy, ma kłopoty, robię wszystko, co w mojej mocy, by mu pomóc. – Ściszyłem głos do szeptu. – Nie zmuszaj mnie, żebym usunął cię z drogi.

Ebenazar zmrużył oczy.

– Myślisz, że dasz radę, Hoss?

– Jak dotąd dobrze mi idzie.

– Powiedział facet spadający z trzydziestego piętra.

Obaj przez chwilę staliśmy nieruchomo, ociekając ektoplazmą.

– Na gwiazdy i kamienie – westchnął staruszek. – Ochłoń trochę. Przemyśl to. Prześpij się z tym. – Jego głos stał się surowszy. – Może wtedy zmienisz zdanie.

– Może któryś z nas to zrobi.

– Jeden z nich... – Wypluł to słowo, jakby paliło go w ustach. – Nie jest wart tego, żeby twoja córka została sierotą.

– Nie chodzi o to, kim oni są – odrzekłem cicho. – Chodzi o to, kim ja jestem. I jaki daję przykład.

Przez chwilę wpatrywał się we mnie z nieodgadnioną miną.

Potem odwrócił się i powoli odszedł z przygarbionymi ramionami i zaciśniętymi zębami. Wkrótce zniknął za zasłoną, która, jak większość jego magii, znacznie przekraczała moje możliwości. Zostałem sam na pustym parkingu.

Rozejrzałem się po zrujnowanej okolicy i zamknąłem oczy.

Rodzina wszystko komplikuje.

Cholera.

– A więc ogary Tindalosa istnieją naprawdę? – spytał Butters. – Dziwne.

– Na to wygląda – odrzekłem. – Lovecrafta wyrzucono z Venatori Umbrorum za majstrowanie przy badaniach Towarzystwa Thule. Nie znam szczegółów, ale najwyraźniej to nie nowotwór pożarł jego wnętrzności, tylko coś... bardziej dosłownego.

Siedziałem przy stoliku w kuchni Buttersa. Zdjąłem płaszcz i opierałem otwarte dłonie na blacie. Butters siedział naprzeciwko mnie w luźnym stroju treningowym. Obok niego stała skrzynka z przyborami medycznymi. Przyglądał się moim dłoniom przez grube okulary, które miały postać zamocowanych na głowie sportowych gogli.

Butters był drobnym facetem po czterdziestce, jeszcze drobniejszym, odkąd wrócił do formy. Teraz składał się z samych mięśni. Miał niewiele ponad metr sześćdziesiąt wzrostu, ale jeśli ważył więcej niż sześćdziesiąt kilogramów, byłem gotów zjeść swój płaszcz bez soli. Miał ciemne, kręcone, potargane włosy, ale być może wpłynął na to fakt, że pojawiłem się u niego po godzinach.

– Boże – mruknął, próbując oczyścić nawilżaną chusteczką głębokie, krwawiące skaleczenia na moich dłoniach. – Masz olej samochodowy w ranach.

– To niedobrze?

Posłał mi zaspane, niewesołe spojrzenie.

– Biorąc pod uwagę to, ile w nim zanieczyszczeń, owszem. – Westchnął. – Muszę usunąć martwą tkankę. Wybacz, stary.

Pokiwałem głową.

– Miejmy to już za sobą.

Przez dwadzieścia minut traktował ranę i jej okolice wodą, roztworem betadyny i pędzlem o sztywnym włosiu. Mogło być gorzej. Mógł użyć jodyny. Mogło być gorzej, ale i tak nie było wesoło. Dłonie są czułe.

Dwadzieścia minut później wciąż pocilem się i marudziłem, a Butters z niezadowoleniem patrzył na moje obrażenia.

– Nic więcej nie zrobię. Założę opatrunek, ale będziesz musiał codziennie zmieniać bandażę i uważnie wypatrywać wszelkich oznak zakażenia. A na wszelki wypadek, póki nie masz niezniszczalnej skóry, kup sobie rękawice, żeby chronić dłonie, twardzielu.

– Niezła myśl – przyznałem. – Jak poważne są uszkodzenia?

Mam problem z odczuwaniem bólu. To jeden ze skutków bycia Rycerzem Zimy. Kiedy coś się ze mną dzieje, zauważam to, ale długotrwały ból po prostu rozmywa się w tle. Dlatego mogą się ze mną dziać złe rzeczy, a ja ich nie zauważę, jeśli nie użyję głowy.

– Myślę, że struktura twoich dłoni nie została naruszona – odrzekł Butters. – Ale ludzkie ciało nie jest przystosowane do przewracania samochodów, stary. Osiągnąłeś... maksymalny potencjał siły dla swojego wzrostu i sylwetki, ale wciąż masz ludzkie stawy. Chrzątki nadal są tylko chrząstkami i chociaż twoje obrażenia się goją, to ciało ma ograniczenia. Poza tym twój szkielet nadal jest zbudowany z kości. – Pokręcił głową. – Mówię poważnie. Pewnego dnia spróbujesz podnieść coś zbyt ciężkiego i chociaż twoje mięśnie temu podołają, kości i stawy dadzą za wygraną.

– Jak to będzie wyglądało? – zastanowiłem się na głos.

– Jak wypadek w fabryce – odrzekł Butters. Ponownie dokładnie wytarł moje dłonie, a potem zaczął opatrywać rany. – No dobrze, zatem Biała Rada chce ci dopiec. To nic nowego.

Butters nie był świadom istnienia Czarnej Rady, tajnego ugrupowania magów, nieokreślonych i trudnych do zidentyfikowania, którzy dążyli do własnych, w najlepszym przypadku nikczemnych celów. Tę wiedzę ukrywali magowie, którzy poświęcali życie na walkę z nimi. Częściowo dlatego, że mieliśmy niewiele solidnych dowodów dotyczących Czarnej Rady, jej dążeń oraz członków, a częściowo dlatego, że złoczyńcom było trudniej się bronić, skoro nie byli pewni, kto dokładnie jest ich wrogiem.

Butters był godny zaufania, ale Czarna Rada to problem magów.

– Owszem – przyznałem. – Poznaj nowego szefa. Takiego samego jak stary.

Butters zerknął na mnie podejrzliwie, ponieważ nie jestem dobrym szpiegiem, a okłamywanie przyjaciół nie przychodzi mi

naturalnie. Ale wzruszył ramionami i postanowił nie drążyć tematu.

– No dobrze. – Ziewnął. – Kiedy zadzwoniłeś, wspomniałeś o kłopotach ze zdrowiem. W liczbie mnogiej. Co jeszcze cię niepokoi?

Opowiedziałem mu o swoim kichaniu i czarodziejskim katarze.

Butters zmrużył oczy.

– Nie starasz się zrobić żartu nowemu facetowi w branży? Ponieważ trochę się tego spodziewam.

– Co takiego? Nie bądź śmieszny – odparłem, próbując nie myśleć o Serenadzie Dinozaura, którą przygotowałem na jego urodziny. – To prawdziwy problem.

– Jasne – odrzekł Butters, zdejmując gumowe rękawiczki i zaczynając sprzątanie. – Niech ci będzie.

Nie spodziewałem się, że ze wszystkich szalonych rzeczy, które działały się w moim życiu, akurat nieświadome wyczarowywanie przypadkowych przedmiotów przykuje czyjąś uwagę. Tyle się ostatnio działo, a właśnie w tej sprawie Butters postanawia zakwestionować moje słowa?

Ponownie kichnąłem. Mocno.

Rozległ się potężny huk i fragment kamiennej ściany o powierzchni mniej więcej pół metra kwadratowego runął na podłogę kuchni z takim impetem, że stoły i krzesła aż podskoczyły. Butters wrzasnął i spadł do tyłu z krzesła, po czym przetoczył się i stanął tuż obok stojaka z nożami. Położył dłoń na ręczce noża, zanim zdążyłem stanąć na nogi.

Drobny koleś, ale szybki. Nie wolno lekceważyć Rycerzy Miecza.

– Właśnie – odezwałem się, niezdarnie ocierając nos przedramionami. – Teraz rozumiesz?

Butters wbił wzrok w kamienną ścianę. Zadygotał, kiedy zadrżała, zrobiła się przezroczysta, a potem rozpadła na kilka litrów ektoplazmy. Nadprzyrodzona galareta powoli rozlała się po podłodze, jakbyśmy byli na planie filmowym nowej wersji Bloba.

– No dobrze – rzekł Butters. – Coś się wyraźnie dzieje. – Przyjrzał się ektoplazmie, potem popatrzył na mnie i pokręcił głową. – Twoje życie, Harry. Co to ma być, u diabła?

– Mnie nie pytaj – odpowiedziałem. Brnąc przez chlupoczącą maź, poszedłem po papierowe ręczniki i starannie wydmuchałem

nos. Nie był to przyjemny widok. Zużyłem kilka ręczników, zanim znów mogłem swobodnie oddychać. – Nie mogę tak po prostu wyczarowywać rzeczy z powietrza.

– Jestem lekarzem sądowym – jęknął Butters. – Chryste, Harry! Czy to jakiś wirus, który wchodzi w reakcje z twoim układem nerwowym, mózgiem albo podświadomością? Z czymś takim powinieneś się zgłosić do Kliniki Mayo lub na Uniwersytet Johns Hopkinsa. Albo może do szkoły profesora Xaviera.

– Oni nie zajmują się aż tak dziwacznymi przypadkami. To twoja specjalność.

Odłożył nóż i załamał ręce.

– No dobrze. Zawsze towarzyszy temu kichnięcie?

– Jak dotąd tak – odrzekłem.

– W takim razie kup lekarstwo, którego zazwyczaj używasz, kiedy jesteś przeziębiony. Może, jeśli powstrzymasz kichanie, powstrzymasz także wyczarowywanie przedmiotów.

Popatrzyłem na niego zamglonym wzrokiem.

– Sam mogłem na to wpaść – odpowiedziałem urażonym tonem.

– Dziwne, może jednak jesteś dorosłym człowiekiem, który potrafi sam podejmować rozsądne decyzje dotyczące własnego zdrowia.

Pokazałem mu środkowy palec, przy okazji zwracając uwagę na ból w zranionej dłoni.

– A co z nudnościami? Czuję się, jakbym utknął na karuzeli.

– Infradźwięki to zwariowana i wciąż niezbadana dziedzina – odrzekł Butters. – Mają mnóstwo potencjalnych zastosowań militarnych oraz komunikacyjnych i trudno je mierzyć, dlatego nie opublikowano zbyt wielu wyników badań. Ale w paranecie znalazłem kilka osób zajmujących się badaniem Wielkiej Stopy, którzy twierdzą, że Wielka Stopa często używa takich dźwięków, by skłonić ludzi do opuszczenia danego terenu. Z kolei tygrysy i inne duże drapieżniki wplatają je do swojego ryku. Słyszałeś, że ludzie zamierają bez ruchu, gdy słyszą ryk tygrysa? Właśnie tak infradźwięki wpływają na układ przywspółczulny.

– Dzięki za potwierdzenie, że infradźwięki naprawdę istnieją i wywierają wpływ na ludzi – odpowiedziałem. – Ale tego sam się domyśliłem. Jak możemy temu zaradzić?

– Według tych ludzi od Wielkiej Stopy, żeby dojść do siebie, wystarczy się wyspać. Jeśli więc uparłeś się, żeby traktować mnie jako swojego osobistego lekarza, to radzę, żebyś zażył dwie aspiryny i zadzwonił do mnie rano.

Skrzywiłem się.

– Sen niestety też nie wchodzi w grę.

– Oczywiście, że nie. – Butters westchnął.

Podszedł do jednej z szafek, wyjął z niej plastikową buteleczkę i mi ją rzucił.

– Lekarstwo przeciwalergiczne? – spytałem z powątpiewaniem.

– A więc jesteś lekarzem? – Butters podszedł do zlewu i napełnił kubek wodą.

– Może tylko lekarzem sądowym.

Zanurzył palec w wodzie i pstryknął w moją stronę, a potem ostrożnie do mnie podszedł, brodząc w szlamie, i postawił kubek na stole.

– Difenhydramina – wyjaśnił. – Kichanie to zazwyczaj reakcja uczuleniowa, a to jest lek przeciwhistaminowy. Powinien pomóc. Weź dwie tabletki.

Posłuchałem go bez marudzenia, udowadniając tym samym, że wcale nie jestem upartym i niesfornym buntownikiem, który odrzuca wszelkie autorytety. Teraz to już udokumentowane. Sprawa rozstrzygnięta.

Usłyszałem jakiś cichy dźwięk, a kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem w drzwiach kuchni młodą kobietę. Andi miała długie, pofalowane rude włosy i zabójczą figurę. Była ubrana w szmaragdowy szlafrok z tkaniny frotte, który przytrzymywała jedną ręką, miała zaspane oczy i zapewne była najbardziej uroczym wilkołakiem, jakiego znałem.

– Waldo? Co to był za hałas? Co się stało z podłogą? Och, Harry. – Jeszcze szczelniej otuliła się szlafrokiem i zawiązała pasek. – Nie wiedziałam, że tu jesteś.

– Andi – odezwałem się. – Wybacz, nie chciałem cię obudzić.

Posłała mi zmęczony uśmiech.

– Podobno sytuacja staje się coraz bardziej napięta.

– To prawda – potwierdziłem. – Warto, żebyś się dobrze wyspała, na wszelki wypadek.

– A mnie obudziłeś – zaprotestował Butters.

– Ty mogłeś się wyspać wczoraj – odparłem. – Teraz cię potrzebuję.

Rozległy się ciche kroki i usłyszałem drugi kobiecy głos.

– Wszystko w porządku?

Pojawiła się kolejna młoda kobieta, o szczupłej, ale silnej budowie ciała, z nogami długodystansowej biegaczki, ubrana w T-shirt z Avengersami, tak duży, że mógł jej służyć za sukienkę. Miała delikatne brązowo-popielate włosy do ramion i duże brązowe oczy, które mrużyła z powodu braku okularów. Wąską twarz znaczyły ślady po poduszce na jednym policzku.

– Ojej – zdziwiła się. – A niech mnie. Witaj, Harry. Eee... nocuję tutaj. Byłam na LAN party. Zraniłeś się w dłoń?

– Marci – odezwałem się do zapewne drugiego najbardziej uroczego wilkołaka, jakiego znałem. – Cześć. Tak, doktor Butters sprawdził, czy wciąż jestem na gwarancji.

– Aha – odrzekła Marci. – Rozumiem.

Zapadła długa niezręczna cisza, podczas której Butters zrobił się tak różowy na twarzy, że mógłby wziąć udział w reklamie badań mammograficznych, a Marci patrzyła na wszystko w mieszkaniu oprócz mnie.

– Och, na litość boską – zachnęła się Andi. – Przecież on jest dorosły. A ja jestem zmęczona. Sam wyciągnij wnioski, Harry. Na pewno zbyt szybko się nie pomylisz. Poza tym nie mam zamiaru tego sprzątać.

Odwróciła się, wzięła Marci za rękę i pewnym krokiem ruszyła w stronę sypialni. Marci poczerwieniała na twarzy, ale poszła razem z nią.

Popatrzyłem na Buttersa, którego płatki uszu przypominały kawałki czerwonej papryki, i uniosłem brew.

Facet wziął głęboki wdech, a następnie odezwał się spokojnym, szczerym tonem.

– Harry, jeśli będziesz się ze mnie naśmiewał albo to popsujesz, powybijam ci zęby.

Dobrze powiedziane. Trudno jest szczerze przekazać chęć zrobienia komuś krzywdy. Większość ludzi uważa, że w tym celu należy wrzeszczeć i wymachiwać rękami. Mylą się. Ktoś naprawdę niebezpieczny nie musi o tym krzyczeć. Szczere przekazanie takiej groźby wymaga pewności siebie, która bierze się z doświadczenia.

Butters miał miecz dopiero od końca zimy. Wypełniał obowiązki Rycerza od około miesiąca. Ale widziałem na własne oczy, jak zmierzył się z jednym z najstraszniejszych i najgroźniejszych złoczyńców, jakich znam – i wygrał.

A teraz stał przede mną rozdrażniony jak borsuk. Kazał mi się wycofać, a ja zapragnąłem to zrobić.

Psiakrew. Facet naprawdę urósł w moich oczach.

Uniosłem dłonie w pokojowym geście.

– W porządku. Ale rezerwuję sobie prawo do porozmawiania o tym później.

– Mój Boże, naprawdę musimy? – Butters zaczął grzebać w lodówce, niespokojny i speszony jak uczeń, którego przyłapano z czasopiśmie dla dorosłych. – Nie afiszujemy się z tym.

– Nie afiszujecie się, tak?

– Posłuchaj – odrzekł uspokajającym tonem. – Naprawdę nie wiem, jak to się stało, ale nie pozwolę, żeby ktokolwiek to spieprzył.

– Butters. – Zaczekałem, aż odwróci się w moją stronę. – To nie ty siedzisz w mojej kuchni i prosisz o pomoc. Nie wątpię, że potrafisz kierować swoim życiem. Zresztą w tym domu jest za dużo szkła, żebym rzucał w kogokolwiek kamieniami.

Przez chwilę badawczo przyglądał się mojej twarzy, aż w końcu nieco się rozluźnił.

– No tak. W porządku. Wybacz, stary.

– Nie masz za co przepraszać. – Obejrzałem się w stronę sypialni, w której zniknęły kobiety, i otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale tylko z namysłem przesunąłem językiem po zębach i znów zacisnąłem wargi.

To niesamowite, jak wielu kłopotów można w ten sposób uniknąć. Powinienem to robić częściej.

– No dobrze – odezwał się Butters, wracając do wcześniejszej rozmowy. – W paranie rozesłano ostrzeżenie. Każdy, kto się

czegoś dowie, ma dać znać. Znasz więcej szczegółów?

Pokiwałem głową i opowiedziałem mu o rozmowach pokojowych między stronami Porozumienia oraz o tym, co spotkało Thomasa.

Słuchał mnie z coraz bardziej zatroskaną miną.

– Wygląda na to, że może być... ciekawie.

Coś w jego głosie sprawiło, że podniosłem wzrok.

– Naprawdę?

– Sania jest w mieście – wyjaśnił Butters. – Zatrzymał się w hotelu przy lotnisku. Zamierzał tylko się przesiąść, ale jego lot został opóźniony. Siedmiokrotnie.

Obecnie na świecie działało dwóch Rycerzy. Tylko dwóch. A jednak Rycerze Miecza (albo Krzyża, zależnie od tego, jak patrzyło się na ich zawodowe priorytety) czystym zbiegiem okoliczności zawsze trafiali właśnie tam, gdzie byli najbardziej potrzebni. Prawdę mówiąc, działało się to tak przypadkowo, że nie mogło być przypadkiem. Mam wątpliwą relację z Bogiem, ale sądząc po wyczuciu czasu Jego Rycerzy, mógłby być diabelnie dobrym agentem turystycznym.

– Aha – odezwałem się. – Może mógłby wpaść na dwa dni. Wymienilibyście się opowieściami o pracy Rycerza i tak dalej.

Butters posłał mi krzywy uśmiech.

– Jasne. Jak mogę ci pomóc?

Pokręciłem głową.

– Już zrozumiałem, że pojawiacie się dopiero wtedy, gdy tego chce Wszechmogący, a ja jestem na tyle bystry, żeby nie wchodzić nikomu w paradę. Dlatego pozostawiam to tobie. W jaki sposób możesz najlepiej przysłużyć się sprawie?

Patrzył na mnie przez chwilę.

– Najbardziej martwię się o ludzi z paranetu – odrzekł cicho.

Z magicznym talentem jest tak samo jak z każdym innym – nie każdy otrzymuje go w takiej samej ilości. Istnieją ludzie tacy jak ja, którzy potrafią swobodnie bawić się siłami wszechświata, ale także tacy, którzy, pomimo niewątpliwych uzdolnień, nie są w stanie zbyt wiele osiągnąć. Ta biedota magicznego świata jest na godnej pożałowania pozycji – zdaje sobie sprawę z istnienia nadprzyrodzonej rzeczywistości, ale nie może na nią wpływać.

A przynajmniej nie mogła do czasu powstania paranetu. Dostęp do internetu dał wykluczonym coś, czego nie mieli nigdy wcześniej – zjednoczył ich. Spotykanie ludzi, nawiązywanie znajomości, koordynowanie działań, to wszystko stało się możliwe we względnie bezpiecznych warunkach i doprowadziło do stworzenia czegoś równie potężnego jak wrodzony talent magiczny: społeczności. Nadprzyrodzeni drapieżcy obecnie mieli znacznie mniejsze szanse przeciwko wykluczonym, którzy koordynowali działania i informowali się nawzajem o potencjalnych zagrożeniach, a także łączyli skromne siły, dzięki czemu pod pewnymi względami stawali się niemal tak potężni jak magowie.

Ale chociaż dysponowali wystarczającą siłą, by bronić się przed pojedynczymi atakami, nie mieli szansy przetrwać nadciągającej zawieruchy.

– Racja – odrzekłem cicho. – Poza tym oni cię znają. Ufają ci. Współpracuj z nimi. Zdobywaj informacje i dziel się nimi z Murphy.

– A co z Thomasem? – Butters nie wiedział, że Thomas jest moim bratem, ale wiedział, że wielokrotnie był naszym sojusznikiem i nie możemy go zostawić na lodzie.

– Pracuję nad tym – odrzekłem. – Możliwe, że najlepsze będzie rozwiązanie dyplomatyczne.

Butters poślizgnął się i prawie runął na tyłek. W ostatniej chwili przytrzymał się blatu. Popatrzył na mnie, powstrzymując uśmiech.

– Kim jesteś i co zrobiłeś z Harrym Dresdenem?

Popatrzyłem na niego surowo i wstałem, z trudem utrzymując równowagę na zalanej ektoplazmą podłodze. Maź powoli znikła. Było jej już o połowę mniej. Włożyłem płaszcz.

– Wcale nie lubię wszystkiego wysadzać w powietrze i puszczać z dymem. Po prostu tak się dzieje.

Butters pokiwał głową.

– Jaki będzie twój kolejny ruch?

– Będę negocjował – odpowiedziałem. – Z Królową Wampirów.

– Chyba nie wybierasz się do jej posiadłości sam?

W posiadłości Raithów mieściła się lokalna siedziba Białej Rady.

– Owszem.

Butters westchnął.

- Wezmę swoją torbę.
- Nie trzeba. Mab i Lara zawarły układ, a Mab wyraźnie zaznaczyła, co Larze wolno, a czego nie. Będzie grzeczna.
- Butters zmarszczył czoło.
- Jesteś pewien?
- Pokiwałem głową.
- Odpocznij. Być może za kilka dni naprawdę będę cię potrzebował.
- Przeniósł wzrok na drzwi sypialni, wyraźnie zmagając się ze swoim sumieniem.
- Dobrze – odrzekł w końcu. – Powodzenia, Harry.
- Będę go potrzebował. – Skinąłem głową, zabrałem swoją laskę i ruszyłem na spotkanie z Larą Raith.

Posiadłość Raithów znajduje się o około godziny drogi na północ od miasta, w wiejskiej okolicy, w której najbliższy sąsiad mieszka zbyt daleko, by usłyszeć twoje krzyki. Otacza ją gęstwina potężnych drzew, głównie dębów, które wyglądają, jakby przesadzono je z Sherwood.

Biorąc pod uwagę pieniądze i władzę, jakimi dysponuje Biały Dwór, to niewykluczone.

Podjechałem Munstermobilem pod bramę posiadłości, której strzegło pół tuzina mężczyzn wyposażonych w sprzęt wojskowy i ubranych w kamizelki kuloodporne. Sprawiali bardzo poważne wrażenie. Kiedy się zatrzymałem, pięciu mężczyzn wycelowało we mnie z karabinów, a szósty podszedł do samochodu. Miał wyprostowane plecy i ramiona, ale sprawiał wrażenie odprężonego. Lara zatrudniała jako swoich ochroniarzy niemal wyłącznie byłych wojskowych, najchętniej z piechoty morskiej. Mężczyzna, który do mnie podszedł, łączył w sobie wysportowaną młodzieńczą sylwetkę z ogorzałym obliczem świadczącym o doświadczeniu. Nawet nie próbował przyjaźnie się uśmiechać. Już wcześniej go spotkałem. Nazywał się Riley.

– Czym mogę panu służyć?

– Wyglądają jak karabiny szturmowe – odezwałem się, zerkając spod przymrużonych powiek na skierowaną w moją stronę broń. – Ale mają wyjątkowo duże lufy. To beowulfy?

Riley wzruszył ramionami.

– Czym mogę panu służyć? – powtórzył.

– Chciałbym porozmawiać z panią Raith.

– Posiadłość jest zamknięta na noc.

Popatrzyłem na niego i oparłem rękę na otwartym oknie, jednocześnie wygodnie rozpierając się na siedzeniu. Lara nie zatrudniała byle kogo, więc miałem do czynienia z zawodowcem. W takich sytuacjach zazwyczaj reagowałem... nieprzychylnie. Ale przyjechałem szukać dyplomatycznego rozwiązania. Była to dla mnie nowość, lecz miałem wrażenie, że zrobienie afery i

spowiewanie ludzi Lary nie stanowiłoby najkorzystniejszego początku.

Poza tym mogłem się założyć, że pozostałych pięciu albo sześciu gości, których na razie nie widziałem, miało wyrzutnię rakiet lub coś podobnego, a nie miałem ochoty wydłużać swojej listy problemów o wysadzenie w powietrze.

Dlatego tylko uśmiechnąłem się do strażnika.

– Posłuchaj, poznaliśmy się przy okazji sprawy Luthera. Nie zakończyła się ona najlepiej dla twojej szefowej, ale udało ci się uniknąć kompletnej katastrofy i obaj dotrzyaliśmy słowa.

Riley zmierzył mnie wzrokiem i mruknął potakująco.

– Przyjechałem, by wam pomóc – dodałem. – Zadzwoń do posiadłości. Nie pożałujesz.

Przez chwilę mi się przyglądał. Potem podszedł do stróżówki i zaczął rozmawiać z kimś przez telefon, podczas gdy lufy ciężkich karabinów, które są w stanie powstrzymać nadjeżdżający pojazd, wciąż celowały w moją twarz. Po chwili Riley pobladł, po czym machnął ręką do pozostałych strażników, a ci opuścili broń i usunęli się z drogi. Wskazał na mnie, a potem na bramę, która zabrzęczała i zaczęła się otwierać.

Zanim zdążyłem wrzucić bieg i wjechać, z ciemności za ogrodzeniem wyjechał czarny wojskowy humvee z karabinem maszynowym browning M2 na dachu. Wyprzedził mnie, a kiedy ruszyłem, za mną przystanął drugi taki samochód. Riley wskoczył na zewnętrzny schodek, trzymając w jednym ręku karabin gotowy do strzału. Wyglądało na to, że miałem eskortę.

Jechaliśmy trzy kilometry przez las Sherwood, aż w końcu znaleźliśmy się na trawniku przed ogromną posiadłością, którą już kilkakrotnie odwiedzałem. Po drodze czułem delikatne magiczne sieci oplatające drogę. Jechaliśmy zbyt szybko, żebym mógł je dokładniej zbadać, ale wnioski nasuwały się same – Lara pokryła teren magicznymi zabezpieczeniami.

Ale gdzie znalazła kogoś, kto to dla niej zrobił?

Posiadłość Raithów była ponurym domostwem, wybudowanym w wiejskim francuskim stylu z osiemnastego wieku, tylko z większą liczbą gargulców i gotyckich elementów, które przywodziły na myśl

katedrę Notre-Dame. Oczywiście przed pożarem. Zaparkowaliśmy przed wejściem, a Riley podszedł, żeby otworzyć moje drzwi.

– Zaopiekujemy się samochodem, kiedy pan będzie w środku – rzekł i wyciągnął rękę po kluczyki.

„Zaopiekowanie się samochodem“ mogło oznaczać wiele rzeczy, między innymi rozebranie go na części w poszukiwaniu podsłuchów i bomb. Zmierzyłem go wzrokiem.

– Najpierw poproszę o uznanie mojego statusu gościa – odparłem.

– Jest pan gościem pani Raith i znajduje się pod jej ochroną – potwierdził Riley.

Mruknąłem pod nosem i wręczyłem mu kluczyki. Potem wspiałem się po schodach, wciąż czując oddech Riley'a na karku, otworzyłem drzwi i pewnym krokiem wszedłem do domu, jakbym był u siebie.

W ogromnej posiadłości panowały mrok i ponura atmosfera, nawet w słoneczny dzień. Nocą przypominała plan kreskówki Scooby-Doo. Nieliczne źródła światła rozmieszczono tylko obok dzieł sztuki. Chciałem zapytać Riley'a, gdzie są wszyscy, ale został za drzwiami i ostrożnie je zamknął, pozostawiając mnie samego w ciemności.

Nie byłem sam zbyt długo. Po chwili rozległ się donośny stukot obcasów na drewnianym parkiecie. Wolałem nie zakładać, że to kobieta. Posiadłość Raithów to specyficzne miejsce.

Wysoka postać w obcisłym czarnym kostiumie zbliżyła się do mnie, przechodząc przez jedną z plam słabego światła. Miała krótko przyszczyżone ciemnorude włosy i przenikliwe oczy o morskim kolorze z bliznami w kącikach. Poruszała się jak atletka i wyglądała na trzydzieści lat, ale coś w jej spojrzeniu mnie niepokoiło i zwróciłem uwagę na blizny na jej knykciach.

– Dobry wieczór, panie Dresden – odezwała się z subtelnym uśmiechem. – Proszę za mną, zaprowadzę pana do pani Raith.

– Dobrze – odrzekłem i ruszyliśmy w głąb posiadłości.

Wnętrza wyglądały, jakby urządził je kustosz Luwru. Żyłem w mieszkaniach, które kosztowały mniej niż kilka metrów kwadratowych tego domostwa.

Dopiero po jakichś dwudziestu sekundach domyśliłem się prawdy.

– Vadderung miał promocję na wynajem używanych walkirii?

– Firma Monoc Securities oferuje usługi konsultacyjne w wielu miejscach – odrzekła rudowłosa. Posłała mi uśmiech, w którym dostrzegłem co najmniej cztery zęby za dużo, a jej głos zmienił się w pomruk. – Ale chętnie dowiem się, co pan miał na myśli, mówiąc o używanych walkiriach.

Walkirie są nadludzko silne, zwinne i wytrzymałe, a poza tym dysponują doświadczeniem, które przychodzi wraz z długowiecznością. Nie tylko lubią walczyć, ale wręcz tego pożądamy. Już kiedyś widziałem walkirię w akcji i nie miałem ochoty zmierzyć się z jedną z nich bez powodu. Tym bardziej że ta walkiria kroczyła z taką pewnością siebie, że nawet ściany wolałyby zejść jej z drogi.

– Nie miałem zamiaru pani obrazić – odrzekłem. – Żartowałem.

– Wyglądam, jakbym lubiła żartować? – spytała.

– Raczej jakby pani lubiła ostrą grę.

Roześmiała się donośnie.

– Masz oczy i umiesz z nich korzystać, seirmadr. – Popatrzyła na mnie badawczo. – Większość mężczyzn nie potrafi okazać szacunku.

– Ma pani dużo kłopotu z ustawianiem ich do pionu?

– Nieszczerólnie – odparła. – Siostra mówi, że dobrze pan sobie radzi w trudnych sytuacjach.

– Siostra? – spytałem. – Ach, Sigrun Gard?

– Oczywiście – odrzekła i wyciągnęła rękę. – Freydis Gard.

– Harry. – Uścisnąłem jej dłoń. Miała uchwyt jak pneumatyczne szczytce, a moje obandażowane dłonie wciąż były czułe. – Au, trochę delikatniej.

Ponownie się roześmiała.

– Słyszałam co nieco o tobie. Musisz być kimś wyjątkowym. Lara nie każdemu pozwala przeszkadzać sobie o tej porze dnia.

– To prostsze niż remont całej posiadłości – stwierdziłem.

– Pewnie właśnie o to chodzi – przyznała Freydis. Zatrzymała się przed jakimiś drzwiami i wskazała je tajemniczym gestem w stylu gospodyni Koła fortuny. – Jesteśmy na miejscu.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do dojo Raithów.

W końcu jeśli masz pierdyliard pokojów w swoim domu, jednym z nich musi być dojo. To oczywiste.

Pomieszczenie było jasno oświetlone, czym wyraźnie kontrastowało z resztą wnętrza. Na białych ścianach wisiały białe jedwabne sztandary, na których namalowano czarne znaki kanji. Potrafiłem je rozpoznać, ale nie wiedziałem, co oznaczają. Gładki drewniany parkiet w większości pokrywała mata tatami.

Na środku maty treningowej stała kobieta w białym kimono z gładkim kijem bó w rękach. Wykonywała układ treningowy, w którym broń wirowała wokół niej z sykiem, rozmywając się w powietrzu. Poruszała nią szybciej, niż byłby to w stanie robić zwykły człowiek.

Odwróciła się i popatrzyła na mnie, nie przestając obracać kijem i zadawać ciosów oraz pchnięć. Kości policzkowe Lary Raith mogłyby rozszczepiać atomy, szaro-srebrzyste oczy potrafiłyby przewiercić stal, a uśmiech bywał okrutniejszy niż narzędzia tortur. Miała niebiesko-czarne długie włosy, które sięgałyby karku, gdyby nie związała ich w nierówny kok. Nagle zamarła w połowie układu, zmieniając się z derwisza w manekina. Ten pokaz idealnej kontroli był imponujący. I ciekawy.

Ale właśnie taka była Lara. Kiedy byłem w jej towarzystwie, zawsze czułem do niej silny pociąg i niekoniecznie dlatego, że była wampirzycą Białego Dwom i ze wszystkich istot po tej stronie piekła najbardziej przypominała sukkuba. Chodziło o nią samą. Była piękna i niebezpieczna jak głodna tygrysica i bardzo, bardzo bystra.

Popatrzyła mi w oczy i uśmiechnęła się nerwowo.

– Jeśli chcesz ze mną porozmawiać, Harry, zdejmij buty i chwytaj bó.

– Daj spokój – odparłem.

Uniosła brew.

– Nie zamierzam rezygnować dla nikogo ze swojego treningu. To mój dom. Przyszedłeś do mnie. Dostosuj się do moich warunków albo wyjdź, Dresden.

Wypuściłem powietrze.

To, co zaproponowała, było akceptowalnym sposobem na ominięcie ochrony, jaką tradycyjnie zapewniał mi status gościa. W

końcu, gdyby coś złego przytrafiło mi się podczas treningu w dojo, byłby to tylko pożałowania godny wypadek. Sztuki walki to niebezpieczna sprawa. Albo Lara mogłaby stwierdzić, że próbowałem ją zabić, tak jak Thomas, gdy zaatakował Etriego. Taka próba zaciemnienia obrazu poprzez zaaranżowanie podobnej sytuacji, a następnie zasugerowanie spisku wydawała się logiczna na swój nedorzeczny sposób. Piramidalna bzdura, ale ktoś, kto rozpaczliwie próbował pomóc swojej rodzinie, mógłby zdobyć się na coś takiego.

Przygryzłem wargę. Ale nie Lara Raith. To nie w jej stylu.

Była najbardziej nieobliczalnym i skrytym wampirem wśród tej bandy psychotycznych socjopatów. Nie uważałem jej za takiego samego hedonistycznego potwora jak inne wampiry z Białego Dworu, z którymi miałem do czynienia – była znacznie groźniejsza. Zdyscyplinowana i opanowana, nie poddawała się demonicznemu pasożytowi, który czynił ją potworem, ani nikomu innemu, kto zechciałby uczynić ją kimś, kim nie chciała być.

Gdyby pragnęła mojej śmierci, już byłbym martwy. Stałoby się to gwałtownie, szybko i sprawnie, a ja nawet nie miałbym szansy zareagować. Może nawet nie uświadomiłbym sobie, co się stało. Widziałem Larę w akcji, a ona widziała mnie. Żadne z nas nie dałoby drugiemu okazji do obrony.

Ale zależało mi na czasie. Spieranie się z Larą o zasady nie mogło mi pomóc ocalić brata. Dlatego zacisnąłem zęby i zrzuciłem sportowe buty.

Lara uśmiechnęła się nieco szelmowsko.

– Grzeczny chłopiec.

– Teraz grasz w otwarte karty – odrzekłem i usiadłem, żeby ściągnąć skarpety.

Potem wstałem i nie zdejmując płaszcza, wziąłem kij z prostego drewnianego stojaka obok maty. Rozciągnąłem uszkodzone dłonie i skrzywiłem się, ale ból już stawał się mniej wyraźny, gdyż moc Zimy zalała falą chłodu zakończenia nerwowe.

Okrążyłem Larę i stanąłem przed nią w gotowości, lekko zaciskając dłonie na kiju, który wyciągnąłem przed siebie na wysokości pasa, jakbym trzymał widły z sianem.

Lara odwróciła się w moją stronę i z uśmiechem zgięła się w pasie.

– Styl europejski.

Murphy pokazywała mi także mnóstwo azjatyckich technik, ale nie chciałem zdradzać tego Larze.

– Trenowałem w Hog Hollow w Missouri – odpowiedziałem. – Ale mój pierwszy nauczyciel był Szkotem.

– Spędziłam dużą część osiemnastego wieku w Japonii. – Lara również stanęła w gotowości, trzymając kij pionowo z dolnym końcem lekko przechylonym w moją stronę.

– Myślałem, że wtedy osoby z zewnątrz nie miały tam wstępu.

Uśmiechnęła się i lekko zakręciła biodrem, a ja zapragnąłem rzucić się do panicznej ucieczki.

– Przyjrzałeś mi się?

– No tak – odrzekłem.

Jej uśmiech stał się nieco serdeczniejszy.

– Czego chcesz, Harry?

Wykonałem proste pchnięcie kijem. Z łatwością je sparowała i odpowiedziała mocnym uderzeniem, które niemal wytrąciło mi broń z rąk. Zdołałem ją utrzymać i odzyskałem równowagę, cofając się przed ciosem, który trafił w matę w miejscu, w którym przed chwilą stała moja bosa stopa. Uderzenie było tak silne, że w pomieszczeniu rozległ się trzask jak przy trafieniu kijem baseballowym w piłkę.

– Na dzwony piekieł, Laro! – rzuciłem.

– Ból jest najlepszym nauczycielem – odrzekła. – Nie powstrzymuj się i ty też nie powinienesz.

Zaatakowała mnie błyskawicznie na wysokości kostek. Zatrzymałem uderzenie końcem kija i odepchnąłem jej broń.

– Słyszałaś o Thomasie.

– A także o tym, że go odwiedziłeś, a potem pojechałeś do Justine – odpowiedziała. – Co ci powiedział?

Pokręciłem głową.

– Powiedział tylko „Justine“. Zresztą z wielkim trudem, ponieważ zmasakrowali mu usta.

Rozpocząłem kolejną wymianę ciosów i wykorzystując przewagę zasięgu, zmusiłem Larę do cofnięcia się. Była wysoka jak na kobietę,

ale ja przewyższam wzrostem niemal każdego. Miałem nad nią niemal trzydzieści centymetrów przewagi i zacząłem to wykorzystywać. Kije zderzały się z trzaskiem, a ja ledwie unikałem zmiążdżenia knykcii. Lara była ode mnie szybsza i lepiej wyszkolona technicznie. Ale nie tylko to ma znaczenie w prawdziwej walce. To było starcie niedźwiedzia z pumą – gdyby dała się zaskoczyć i pozwoliła mi zrobić użytek z siły i wytrzymałości, wpadłaby w tarapaty. Nie przestawałem spychać jej w stronę narożników maty, a ona stale się wymykała, nie opuszczając pola walki, zawsze o jeden krok przede mną.

Jednakże istnieją inne sposoby na spowolnienie przeciwnika.

– Moi ludzie pilnują Justine – odezwała się Lara. – Jest tak bezpieczna, jak to tylko możliwe bez zamknięcia jej tutaj.

– Jest w ciąży – odrzekłem.

Lara zgubiła krok, a ja byłem na to przygotowany. Pchnąłem czubkiem kija w jej kolano. Zablokowała cios łydką i syknęła z bólu. Odpowiedziała ciosem w głowę, którego unikałem, a następnie stanęła na jednej nodze. Zmrużyła oczy, trzymając broń w pogotowiu.

Gdybyśmy walczyli na poważnie, wkrótce byłoby po wszystkim. A przynajmniej skończyłaby się ta gra wstępna. Oboje uciekliśmy się do naszych nadludzkich zdolności i Bóg raczy wiedzieć, jaki chaos by się rozpętał. Cofnąłem się, oparłem koniec kija o ziemię i lekko zgiąłem się w pasie.

Lara popatrzyła na mnie czujnie, a następnie powtórzyła mój ruch, starając się zrobić to na jednej nodze, co doskonale jej wyszło.

– Jesteś pewien? – spytała, kilkakrotnie obracając stopą w kostce.

– Thomas był.

– A oni mi nie powiedzieli... – Mocno zacisnęła usta. Potem przybrała bardziej agresywną postawę, podobną do mojej, a ja odpowiednio się osłoniłem. Przez chwilę krążyliśmy wokół siebie, wymieniając ciosy i kontry. – Powiedziałeś o nim swojemu dziadkowi?

Te słowa wytrąciły mnie z równowagi, a Lara trafiła mnie w sprzączkę pasa i wywróciła na tyłek.

Przez chwilę siedziałem na podłodze, zerkając na Larę, która oparła kij o matę i ukloniła się identycznie jak ja przed chwilą. Obserwowała mnie przy tym ze spokojem.

Wiedziała o Thomasie i o mnie. Oczywiście zdawałem sobie z tego sprawę, ale najwyraźniej udało jej się także odkryć, kim jest Ebenezar. Biały Dwór miał reputację podstępnych wywrotowców. Powiązania z nimi, niezależnie od ich źródła, w większości nadprzyrodzonego świata wzbudzały zdrową podejrzliwość. Gdyby związki Ebenezara (i moje) z Białym Dworem wyszły na jaw, konsekwencje dla naszej obecnej sytuacji mogłyby się okazać... niewesołe.

Poza tym Ebenezar i ja nie mieliśmy po prostu na pieńku z wampirami. On od dawna był z nimi na wojennej ścieżce. To wszystko stanowiło receptę na doskonałą katastrofę.

– Wiedziałam od początku – odezwała się zniecierpliwionym głosem, jakby czytała mi w myślach. – Byłam tutaj, kiedy mój ojciec wpadł w obsesję na punkcie twojej matki. Zmuszał mnie do niańczenia Thomasa. Często słyszałam ich rozmowy, ponieważ nikt w mojej rodzinie najwyraźniej nie rozumie, jak śmiercionośną bronią może być czujne ucho. Pewnego razu zostawiła Thomasa pod moją opieką, gdy odwiedzała McCoya. Po jej śmierci pomogłam ojcu zawiesić jej portret w jego chorej galerii samouwiełbienia.

Pokiwałam głową.

– Nigdy o tym nie wspominałaś. Nie wykorzystałaś tego, żeby zyskać przewagę.

– Nie – przyznała. – Ponieważ to ja zmieniałam Thomasowi pieluchy, kiedy jego matka uciekła od naszego ojca. Ubierałam go. Karmiłam. Uczyłam go czytać. – Pokręciła głową, skupiając wzrok na jednym ze sztandarów. – Jestem wyjątkowo okrutną osobą, Dresden, ale nawet ja mam zasady. Większość z nich dotyczy rodziny.

– Dlatego nie wykorzystałaś tego przeciwko niemu – odrzekłam.
– Ale dlaczego nie użyłaś tego przeciwko mnie?

– Nigdy nie dałeś mi powodu do nieczystej gry – odparła. – Zresztą wtedy naraziłabym na kłopoty także swojego brata.

– A zatem wiesz, dlaczego chcę mu pomóc.

– Oboje tego chcemy.

– Więc go wydostań – odrzekłem. – Możesz to zrobić, prawda?
Dogadać się z Etrim i jego ludźmi?

Wyraz jej twarzy delikatnie się zmienił. Nieco poblądła, tak że bardziej przypominała marmurową rzeźbę niż żywego człowieka.

– To niemożliwe.

– Nic nie jest niemożliwe – odrzekłem.

Uniosła szczupłą białą dłoń.

– W tej sytuacji owszem. Widziałam wstępnie zgromadzone dowody. Thomas wszedł do ich ambasady pod fałszywym pretekstem, niecałe dziesięć minut po ogłoszeniu zawieszenia broni z powodu rozmów pokojowych, a następnie usiłował zamordować ich króla. Na oczach kamer. Jeśli nie potępię jego działań, Etri z pewnością uzna, że to ja posłałam Thomasa, by go zabił.

– Ludzie Etriego sprawiają wrażenie nadętych, ale są drażliwi jak wikingowie – odrzekłem cicho.

– Owszem – zgodziła się Lara. – Jeśli uwierzą, że próbowałam skrzywdzić Etriego, rozpętają wojnę, na którą nie mam zbyt wielkiej ochoty. – Zaśmiała się nieco histerycznie. – Thomas nie mógłby bardziej tego spieprzyć, nawet gdyby planował to przez cały rok.

– Musi być coś, co możesz zrobić – powiedziałem. – A główszczyzna?

Lara się skrzywiła.

– Ciemny elf, który zginął...

– Austri – wtrąciłem. – Miał na imię Austri.

Przez chwilę przyglądała mi się z zatroskaną miną.

– Niech będzie Austri. Zginął w obronie swojego władcy. To była zbrodnia przeciwko całemu narodowi, a nie pojedynczej osobie. Główszczyznę płacą przywódcy, gdy pragną uniknąć konfliktu. Etri tego nie chce. – Ponownie pokręciła głową. – Nasz brat jest poza moim politycznym zasięgiem.

Skrzywiłem się.

– A od czego masz piechotę morską?

Popatrzyła na mnie, jakbym był dzieckiem, które nie potrafi złapać nawet najwolniej rzuconej piłki.

– Gdybym spróbowała siłą wyrwać go z terytorium ciemnych elfów, nie tylko wpakowałabym się do jaskini lwa, ale także naruszyła suwerenne terytorium, zgodnie z postanowieniami Przymierza. Mab nie pozostałaby neutralna, tylko musiałaby im pomóc. Być może nawet wysłałaby moim tropem specja od czarnej roboty. – Pokręciła głową. – Jeżeli nie będzie innego wyjścia, jestem gotowa stawić czoło Etriemu i jego ludziom w obronie swojego durnego brata, ale nie mam zamiaru zmusić moich ludzi do masowego samobójstwa, przeciwstawiając się jednocześnie ciemnym elfom, Mab i reszcie sprzymierzonych nacji. – Odwróciła wzrok w stronę jednego ze sztandarów i przez chwilę sprawiała wrażenie zawstydzonej. – Nawet w swoim własnym Dworze mam ograniczoną władzę. Gdybym spróbowała czegoś tak irracjonalnego, zdymisjonowałoby mnie.

Powoli wypuściłem powietrze.

Lara przez chwilę milczała.

– Dlaczego? – spytałem. – Dlaczego on to zrobił?

Pokręciła głową.

– Miałam nadzieję, że ty będziesz wiedział coś, czego ja nie wiem, magu. To nie była moja sprawka, a on nie uprzedził mnie w żaden sposób, że to robi – zapewne po to, by odsunąć ode mnie podejrzenia i uniknąć wojny. Co sugeruje, że pomimo idiotycznego postępowania miał dobre intencje.

– Zatem walka nie wchodzi w grę – odrzekłem.

– Zgadza się.

– Podobnie jak negocjacje.

– Na to wygląda.

– Ale coś musimy zrobić.

Twarz Lary nie wyrażała żadnych emocji.

– To oczywiste. Jestem otwarta na sugestie.

– Musimy dać sobie więcej możliwości – stwierdziłem.

Pokiwała głową z namysłem.

– Podczas jutrzejszej fety wypytam gości. Być może uda mi się zdobyć jakieś wsparcie.

– Być może? – Pokręciłem głową i wstałem. – Nasz brat umrze, jeśli czegoś nie zrobimy. Jeśli nie stać cię na...

Lara ruszyła na mnie jak czarno-biała błyskawica o srebrzystych oczach i pokonała dzielącą nas odległość, zanim zdążyłem mrugnąć. Chwyła połę mojego płaszcza bladymi dłońmi i rzuciła mnie na matę z taką siłą, że zobaczyłem gwiazdy. Zanim pozbyłem się kilku z nich ze swojego pola widzenia, już na mnie siedziała z jedną ręką zaciśniętą na moim płaszczu, a drugą – sztywną jak ostrze – uniesioną nad moim gardłem.

– Nie mów mi, ile jest dla mnie warta moja rodzina – syknęła, nachylając się nade mną. – Ani co jestem gotowa dla niej zrobić.

Nie miałem na to odpowiedzi. Przez chwilę oboje tylko dyszeliśmy. Zorientowałem się, że patrzę na jej usta.

Oczy Lary rozbłysły jak lusterka. Wbiła we mnie wzrok, ciężko dysząc po tak dużym wysiłku.

Wyraźnie zdawałem sobie sprawę z jej ciężaru. Podobnie jak moje... ciało. Ale moje ciało zawsze reaguje zbyt entuzjastycznie.

Co gorsza, Zima we mnie dostawała szału. Nie tylko daje mi ona dostęp do użytecznej mocy elfów oraz większej siły i szybkości, ale też jest duchowym domem wszystkich pierwotnych instynktów. To moc myśliwych, najeźdźców, grabieżców. W Zimowym Dworze lepiej nie szukaj kogoś, kto cię przytuli, ponieważ skończysz z połamanymi zębami. Ale jeśli chcesz dzikiego, zwierzęcego seksu, to trafiłeś we właściwe miejsce. Owszem, możesz zostać rozerwany na strzępy, ale taka już jest Zima.

Zima uznała, że Lara to doskonały pomysł. Że potrzebuje kogoś, kto zerwie z niej ubranie i przez kilka godzin zaangażuje się z nią w intensywny wysiłek fizyczny, a tym kimś powinienem być ja. Moje ciało poparło ten wniosek, i to z takim zapałem, że napięło się zmysłowo i nieco mocniej do niej przywarło.

– Och – cicho westchnęła Lara. Jej oczy rozbłysły jak lusterka.

Spuściłem wzrok, nie chcąc, żeby sprawy jeszcze bardziej się skomplikowały. Niewiele to dało. Teraz widziałem jedną z jej nóg, która wysunęła się spomiędzy fałd kimona. Miała nieskazitelną bladą skórę i cudowne mięśnie. Nawet jej stopy wyglądały ślicznie.

Nachyliła się jeszcze bardziej i wypuściła powietrze nosem. Od tej bliskości zakręciło mi się w głowie – a także poczułem kilka innych rzeczy.

Skoncentrowałem się, próbując zignorować... no cóż, jeszcze nie był to ból, ale narastająca potrzeba zmierzała w jego kierunku. Odepchnąłem od siebie idiotyczne pomysły ciała i odezwałem się spokojnym, zrównoważonym głosem.

– Laro.

– Tak? – westchnęła.

– Robisz to nieświadomie czy rozmyślnie próbujesz mnie skusić?

Starłem się mówić pogodnym, niezobowiązującym tonem, ale mój głos okazał się znacznie cichszy i bardziej chrapliwy, niż zamierzałem. Ponieważ w tej chwili potrafiłem myśleć tylko o tym, jak bardzo pragnę rzucić ją na łóżko i zacząć zrywać z niej ubranie. Nie stała za tym żadna logiczna myśl ani emocja – tylko pierwotna fizyczna potrzeba ciała domagającego się zaspokojenia.

Zastanawiałem się, czy ona czuje coś podobnego.

Jej blade oczy wpatrywały się nieruchomo w moją twarz i wyglądała, jakby myślała o czymś innym. Dopiero po kilku chwilach oblizła usta i odpowiedziała.

– Jedno i drugie... Potrafię używać tego na zawołanie, ale nie zawsze jestem w stanie to powstrzymać.

Przełknąłem ślinę.

– W takim razie zejdź ze mnie – zdołałem wykrztusić. – To wizyta zawodowa. Chcę znaleźć sposób na to, by pomóc Thomasowi, a nie zabawić się z seksualnym drapieżcą.

Lara zamrugnęła, a jej oczy pociemniały o kilka odcieni. Na usta powoli wypłynął szczery uśmiech.

– Jak mnie nazwałeś? – spytała.

– Słyszałaś – odparłem.

Nieco się rozluźniła. Po chwili płynnym ruchem wstała i cofnęła się o kilka kroków. Musiałem zmusić się do tego, żeby nie chwycić jej za ubranie i nie pociągnąć z powrotem.

– No cóż, masz rację – stwierdziła.

Powoli wypuściłem powietrze i zapędziłem Zimę i jej idiotyczne pierwotne żądze z powrotem na tylne siedzenie. Nie byłem pewien, czy cieszę się, że Lara się wycofała, ale tak było niewątpliwie prościej.

Odwróciła się ode mnie.

– Im większą ktoś ma moc, tym mniej jest ona elastyczna, magu.
– Pokręciła głową. – Biały Dwór należy do mnie. Ale nie mogę doprowadzić do jego zniszczenia tak lekkomyślnym postępowaniem. Nawet dla ratowania swojego durnego brata. – Znowu pokręciła głową. – Jeśli nic się nie zmieni, będę zmuszona się go wyprzeć.

– Bez twojego wsparcia nie ma żadnej szansy – odrzekłem bardzo cicho.

Zamknęła oczy i westchnęła. Potem odwróciła się w moją stronę i posłała mi intensywne spojrzenie, a jej oczy pociemniały niemal do błękitu.

– Nie, Harry. Jedna wciąż mu pozostała.

Przełknąłem ślinę.

– No tak.

Ja.

Munstermobil nie powstał z myślą o szybkości. Nie imponował układem kierowniczym ani hamulcami – tylko mocą silnika – i palił prawie pięć litrów benzyny na kilometr.

Przygotowałem się do podróży powrotnej. Riley i jego rewia hummerów z karabinami maszynowymi odstawili mnie do bramy. Opuściłem posiadłość i wjechałem na nieoświetloną wiejską drogę, która miała mnie doprowadzić do autostrady. Nastąpiła godzina duchów, a letnie niebo było zachmurzone, ociążone od upału i deszczu, który nie spadł. Szyby zaczęły parować, gdy oddalałem się od wampirzego Graceland, więc opuściłem je z wysiłkiem.

Mój brat wpadł w tarapaty, a Lara nie zamierzała mu pomóc.

Rozmyślałem gorączkowo, jak mogę go uwolnić. Wiedziałem, że Biała Rada nie zapewni wsparcia, dopóki Lara nie zwróci się do nich z oficjalną prośbą, a taki publiczny gest ludzie Etriego uznaliby za przyznanie się do winy. Mab także nie zamierzała pomóc Thomasowi. Widziała go jedynie w roli rezerwowego Rycerza, na wypadek gdyby spotkało mnie coś złego, a być może nawet w tej kwestii mnie oszukiwała. Nie robiła niczego z dobroci serca. Zdawałem sobie sprawę, że dopóki nie uzna, że ocalenie mojego brata przysłuży się Zimie, Thomas będzie dla niej wart tyle, co podłoga pod jej stopami.

Moje oba źródła nacisków dyplomatycznych były bezużyteczne, a z pewnością nie byłem w stanie samotnie dostać się do pilnie strzeżonej twierdzy ciemnych elfów i wydostać z niej Thomasa. To byłaby samobójcza misja, podobnie jak akcja mojego brata. Czy gdybym zabrał ze sobą przyjaciół jako wsparcie, zmieniłaby się w samobójstwo rozszerzone?

Boże, miałem wszystkiego dosyć. Byłem wyczerpany. Durne ogary. Durne środki na alergię.

Co powinienem zrobić?

Zaburczało mi w brzuchu. Rozważałem wpadnięcie do całodobowej restauracji z hamburgerami przy autostradzie. Z jednej

strony moje ciało potrzebowało paliwa. Z drugiej mój żołądek zapewne stanowczo by zaprotestował.

Szukałem w kieszeni monety, którą mógłbym rzucić, gdy nagle na drodze przede mną pojawiły się jakieś wysokie szare kształty. Wcisnąłem hamulec i zatrzymałem potężnego grata, pozostawiając na asfalcie szerokie pasy spalonej gumy.

Stałem w poprzek jezdni, oświetlając jaskrawymi reflektorami kawałek szosy i gęste drzewa rosnące na poboczu.

Wyłączyłem silnik i wyjrzałem przez okno na czterech Strażników zagradzających mi drogę.

Ramirez stał w środku i nieco z przodu, podpierając się laską i wpatrując we mnie ciemnymi oczami. To on jako pierwszy spotkałby się z moim zderzakiem, gdybym nie zdołał wyhamować. Pozbył się cywilnych ciuchów i miał na sobie wyposażenie taktyczne w wersji Białej Rady oraz szarą pelerynę Strażnika.

Po jego prawej stronie stał „Dziki Bill“ Meyers. Zbliżając się do trzydziestki, znacznie nabrał ciała i mięśni. Zapuścił brodę i już nie był chudym chłopaczkiem ze szczątkowym zarostem. Przypominał mi słynnego człowieka gór Grizzly Adamsa. Jego peleryna wydawała się krótsza niż wtedy, gdy wspólnie wypowiedaliśmy wojnę Czerwonemu Dworowi – Dziki Bill wciąż nie przestawał rosnać. Zamiast jednego z zaklętych mieczy, jakich używała większość Strażników, nosił nóż myśliwski, nad którym cierpliwie pracował od lat. Przypasał go naprzeciwko potężnego rewolweru na naboje .45-70, który ważył tyle samo, co moja noga.

W cieniu po lewej stronie drogi stała Yoshimo, która nie pozwalała, by ktokolwiek nazywał ją po imieniu. Ramirez dopiero po dwóch latach dowiedział się, że dziewczyna ma na imię Yukie, a ona z pewnością wciąż mu tego nie wybaczyła. Pochodziła z Okinawy, miała nieco ponad metr sześćdziesiąt wzrostu i była uzbrojona w katanę na biodrze oraz karabin szturmowy na ramieniu. Z obu potrafiła korzystać równie sprawnie jak gwiazdy kina akcji z Hongkongu.

Czwarty członek drużyny Ramireza stał po jego lewej stronie i wbijał wzrok w reflektory samochodu. Był to szczupły, elegancki młodzieniec, ubrany w żółtobrązowy garnitur szyty na zamówienie w

komplecie z melonikiem. Chandler lubił także eksperymentować z zarostem i obecnie nosił gęste wąsy w stylu Freddie'ego Mercury'ego. Mogłyby wyglądać idiotycznie w połączeniu z tym strojem, ale Chandler zawsze pozostawał szykowny. Być może pomagała mu w tym ozdobna laseczka. Jako jedyny z całej czwórki nie był w stroju bojowym, ale w końcu zawsze przywiązywał nadmierną wagę do przestrzegania norm cywilizowanego zachowania.

Każdy z nas niemało przeszedł w życiu, chociaż Chandler zazwyczaj nie brał udziału w akcjach, tylko był naszym opiekunem i kontaktem.

Żaden ze Strażników się nie uśmiechał.

Potrafiłem rozpoznać pokerowe oblicza.

Harry, powiedziałem do siebie w myślach. Niewykluczone, że te dzieciaki chcą ci zrobić krzywdę.

Przez chwilę siedziałem w samochodzie, słuchając postukiwania silnika.

– W przyszłości poszukajcie przejścia dla pieszych – odezwałem się w końcu. – Albo poproście kogoś dorosłego, żeby was przeprowadził za rękę.

– Musimy porozmawiać, Harry – rzekł Ramirez. – Masz chwilę?

Zmierzyłem go wzrokiem.

– Jak ci się udało rzucić zaklęcie tropiące? – spytałem, nie kryjąc zdziwienia.

– Prawy nadgarstek – odpowiedział.

Przyjrzałem mu się, a potem popatrzyłem na swoją prawą dłoń. Kiedy obróciłem kciuk, dostrzegłem kropkę czarnego tuszu po zewnętrznej stronie nadgarstka.

Ramirez uniósł swoją prawą dłoń i poruszył małym palcem, który znaczyła identyczna kropka.

– Kurczę – odezwałem się rzeczowym tonem. – Nie ufaliście mi od samego początku, co?

Wzruszył ramionami.

– Nie kryłem swoich zamiarów – odparł. – Jeżeli nie chcesz, żeby inni uważali cię za podejrzanego typa, być może nie powinieneś robić podejrzanых rzeczy w podejrzanym towarzystwie, zwłaszcza

w tak podejrzanych czasach. – Wskazał głową w stronę posiadłości, od której jechałem. – Daj spokój, Harry. Przecież to my. Nie komplikuj sytuacji. Porozmawiaj ze mną.

– Być może nie wiesz, że moje życie uwielbia komplikacje – odrzekłem, zerkając na Ramireza, a potem na pozostałych. – Cześć, chłopaki. Co słychać?

Yoshimo zrobiła minę samuraja. Dziki Bill uniósł podbródek w niemal nieświadomym geście pozdrowienia. Chandler przewrócił oczami i wystąpił naprzód, wyciągając rękę.

– Harry, dobrze znów cię widzieć, człowieku – odezwał się z precyzyjnym oksfordzkim akcentem.

Ramirez i pozostali stężeli, kiedy Chandler stanął na linii ognia – co w przypadku magów można rozumieć dosłownie. Skorzystałem z okazji i wysiadłem z Munstermobilu. Przyjrzałem się wyciągniętej dłoni, sceptycznie unosząc brew.

Kobaltowe oczy Chandlera rozbłysły i uniósł rękę, pokazując palce. Zlustrowałem je wzrokiem, a następnie energicznie uściśniłem jego dłoń, jednocześnie spoglądając ponad jego głowę na Ramireza.

– Jak doktorat? – spytałem.

– Zjadliwie polityczny – odrzekł z uśmiechem. – Historia to wyjątkowo problematyczna kwestia na kontynencie.

– Ale większość ludzi raczej nie może porozmawiać z jej świadkami.

– No właśnie – zgodził się Chandler. – Doprowadza mnie to do szału. Przepraszam, że to robimy, Harry, ale musisz przyznać, staruszkule, że miałeś wyjątkowo dziwny dzień. A przynajmniej tak to wygląda z zewnątrz.

Odpowiedziałem przyjaznym uniesieniem brwi i nieudolnie odwzorowałem jego akcent.

– Czyżby? A dlaczego, jeśli można wiedzieć?

Chandler nie przestawał się uśmiechać, ale jego twarz stężała jak granit.

– Nikt nie jest aż tak nieszczerzy, Dresden. Zimowa Pani załatwia ci kwaterę w ambasadzie ciemnych elfów. Wkrótce potem znany agent Lary Raith i twój częsty sojusznik dostaje się do środka i

próbuję zabić Etriego. Kilka godzin później odwiedzasz partnerkę zamachowca, a następnie spotykasz się z panią Raith.

– Eee... jasne, kiedy tak to przedstawiasz, rozumiem, że może to wyglądać nieco podejrzanie...

– W mojej ojczyźnie mamy długą tradycję pokrętnego myślenia – rzekł Chandler. – Być może uczyniło mnie to cynicznym i nieżyczliwym, ale mam wrażenie, że te zdarzenia niepokojąco wiele łączą. Można się zastanawiać, czy byłeś z nami całkowicie szczerzy.

Podniosłem nadgarstek, pokazując czarną kropkę, którą umieścił tam Ramirez.

– Będziecie mnie pouczać na temat otwartości i szczerości? Serio, naznaczyliście mnie po tym, jak ostatnio mieliśmy prawdziwego zdrajcę w Radzie? Co wam przyszło do głowy?

Chandler uniósł brew, a następnie obejrzał się przez ramię na Ramireza.

– Słuszna uwaga. – Zbliżył się o krok i ściszył głos. – Ale to niczego nie zmienia, Dresden. To cholernie osobliwa sprawa. Być może powinieneś wreszcie wyłożyć kawę na ławę – tak się chyba potocznie mówi?

Przez chwilę przyglądałem się twarzy Chandlera, a potem popatrzyłem na pozostałych Strażników.

– Jak wybieracie, kto będzie dobrym gliną? – spytałem cicho. – Gracie w papier, kamień, nożyce?

– Nie bądź śmieszny – odparł Chandler. – Jako pracownik naukowy regularnie mam do czynienia z wybuchowymi potencjalnymi szaleńcami. To był oczywisty wybór. No i zagraliśmy w marynarza.

– Szaleńcami, tak? – spytałem.

– Owszem, pojawiły się wątpliwości co do tego, w jakim stopniu zachowujesz wolną wolę – szczerze odparł Chandler.

– Jestem panem własnego losu, mniej więcej – zapewniłem.

– No cóż, na pewno chciałbyś w to wierzyć – odrzekł Chandler z kwaśnym uśmiechem. – Rozumiesz swoje położenie. Dzieją się rzeczy, które nie do końca pojmujemy. Nam tylko zależy na tym, by dowiedzieć się jak najwięcej.

Ten nacisk na nam był czymś nowym. Wypowiedział to słowo w taki sposób, jakby chciał podkreślić, że ja nie należę do tej grupy.

Odnosił się do mnie jak do kogoś spoza Białej Rady. Jego niebieskie oczy patrzyły niemal błagalnie, gdy to mówił, jakby chciał, żebym koniecznie zrozumiał przesłanie. Kiedy przetrawiałem jego słowa, dostrzegłem w nich komunikat: „Uważaj, Harry. Biała Rada obecnie uważa cię za zagrożenie“.

To nie nastrajało mnie optymistycznie przed głosowaniem.

– Rozumiem – powiedziałem, pośpiesznie odwracając wzrok. Podziękowałem Chandlerowi lekkim skinieniem głowy, a on znacząco uniósł brwi. – Panowie, niepotrzebnie się martwicie. Powiedzieliście, że chcecie, abym był przedstawicielem Zimy. Zgoda. Właśnie pełnię tę rolę. Mab kazała mi mieć oko na Larę. – Była to mniej więcej prawda. – Dlatego pojechałem z nią porozmawiać.

Ramirez pokiwał głową.

– Czego się dowiedziałeś?

– Twierdzi, że nie ma pojęcia, dlaczego on to zrobił – odrzekłem.

– W tej chwili wygląda na to, że zamierza się go wyprzeć wobec członków Przymierza.

– A ty jej wierzysz? – spytał Ramirez.

– Nie mam powodu, by tego nie robić.

Yoshimo syknęła.

– Wampirom nie wolno ufać.

Jej słowa były tak intensywne, że zabrzmiały jak groźba.

– Wcale nie ufam wampirowi – odparowałem. – Ufam swojemu rozsądkowi. Lara Raith od zawsze wspiera Przymierze. Te rozmowy pokojowe będą wielkim sprawdzianem jego trwałości, dlatego nie zrobiłaby niczego, co mogłoby wywołać takie trzęsienie ziemi jeszcze przed ich rozpoczęciem.

– Chyba że ma jakieś ukryte plany, a to dopiero ich część – zauważył Ramirez. Zerknął na Yoshimo i pokiwał głową.

Yoshimo popatrzyła na mnie, zmarszczyła czoło i zaczęła coś mówić. Dziki Bill położył dłoń na jej ramieniu. Obejrzała się na niego, a jej twarz stężała, by po chwili znów upodobnić się do gładkiej

maski. Potem podeszła do mnie z pustymi rękami i zatrzymała się w odległości pół metra. Poczułem, że moje ciało się napina.

Yoshimo i Dzik Bill unieśli broń i chociaż nie celowali we mnie, a palce nie spoczywały na spustach, lufy znajdowały się tylko o włos od mojej piersi. Z takiej odległości zawodowcy nie zwykli pudłować.

– Spokojnie – odezwał się Chandler niezwykle łagodnym głosem.
– Wszyscy się uspokójmy. Nie zmieniamy tego w coś, czym nie musi się stać.

– Co tu się dzieje, do diabła? – spytałem.

– Próbujemy ci pomóc, Harry – odpowiedział Ramirez głosem twardym jak kamień. – Ale za cholere nie chcesz nam tego ułatwić.

– Umieszczając na mnie nadajnik? – spytałem, znacznie spokojniej, niż można by się spodziewać w tych okolicznościach. – Zatrzymując mój samochód? Celując we mnie z broni? Masz osobliwą wizję tego, jak wygląda pomoc, Carlosie.

– Musimy mieć pewność, że się nie sprzeniewierzyłeś – wyjaśnił Chandler takim samym uspokajającym tonem. – Dresden, bądź rozsądny. Ostatnim razem, gdy członek Rady o twojej randze dopuścił się zdrady, związał dowódcę Strażników magiczną przysięgą i przekazał wrogom ogromne ilości tajnych informacji, co poskutkowało dziesiątkami tysięcy ofiar, oraz przywołał zabójczą mgłę, która mogła zabić większość Białej Rady.

– Uważasz, że jestem kolejnym Peabodym – warknąłem.

– Uważam, że wszyscy tutaj chcą dowieść Radzie, że tak nie jest – odparł Chandler. Bezradnie uniósł dłonie. – Żyjemy w niepewnych czasach i gramy o bardzo wysokie stawki, Harry.

– Jesteśmy przyjaciółmi – zauważyłem.

– Więc pozwól nam traktować cię jak przyjaciela – rzekł Chandler niemal błagalnym tonem.

– Yoshimo tylko zbiera dowody – odezwał się Ramirez. – Nie zamierza cię skrzywdzić.

Kilkakrotnie zacisnąłem zęby.

Kiedy ostatnim razem miałem przeciwko sobie tylu Strażników, przyszli mnie aresztować po śmierci Justina DuMorne'a. Miałem wtedy szesnaście lat. Dobrze pamiętałem, jak przerażające były te ponure spartańskie postaci.

A tamci Strażnicy nie przeżyli wojny, podczas gdy ci goście walczyli jak szaleni przeciwko nieustępliwemu Czerwonemu Dworowi, zawsze w defensywie, z trudem utrzymując się przy życiu, by w końcu doprowadzić do długotrwałego i nieprzyjemnego pata. Niewykluczone, że patrzyłem na najbardziej doświadczoną w walce i niebezpieczną drużynę Strażników na świecie.

Znałem ich.

Oni też mnie znali.

Nasze starcie byłoby szybkie i paskudne i nikt nie grałby fair ani nie walczył na pół gwizdka. Sam ich tego nauczyłem.

– Pamiętajcie, że każde zakłęcie, które na mnie rzucicie, zostanie rzucone na lewą rękę Mab i jej osobistego kapitana. Jeśli zaatakujecie z zaskoczenia, ona może to odebrać osobiście. Może nawet się tym zdenerwować.

Przez kilka kolejnych sekund można było usłyszeć, jak oddychają drzewa. Dziki Bill i Chandler wymienili spojrzenia.

– Zrób to – odezwał się Ramirez.

Yoshimo opuściła karabin, który zawisł na pasku. Potem uniosła rękę, wykonała kilka gwałtownych gestów i mruknęła coś cichym, chrapliwym głosem. Tak jak się spodziewałem, ruchy jej dłoni wywołały podmuchy wiatru, najpierw wokół mnie, a potem także wokół Yoshimo. Kobieta nakreśliła w powietrzu kilka precyzyjnych geometrycznych kształtów, a wokół mnie rozbłysły iskry czerwonego i bursztynowego światła. Yoshimo przyglądała im się przez chwilę ze zmarszczonym czołem, a następnie przecięła powietrze dłonią, kończąc zakłęcie. Odwróciła wzrok.

– No i co? – spytał Ramirez.

– W ciągu ostatnich kilku godzin był z przynajmniej jedną partnerką seksualną – odpowiedziała Yoshimo. Jej głos pozornie był łagodny i spokojny, ale pod spodem kipiał jadowity gniew.

Kiedy zdałem sobie sprawę z tego, co robią, sam również poczułem niebezpieczny przypływ złości. Rada wtykała nos w moje sprawy przez całe moje dorosłe życie. Ale nie musiała wchodzić z butami akurat tutaj. Serce szybciej mi zabiło.

– Kto to był? – spytał Ramirez surowym tonem.

– Co za tupet – warknąłem.

– Czy to była Lara? – naciskał. Jego zaciśnięta szczęka była jak z kamienia. – Harry, czy ona cię uwiodła?

Zacisnąłem palce na lasce aż zatrzeszczało drewno.

– Przekraczasz granicę, Carlosie.

– Harry – zaczął Chandler uspokajającym głosem. Wyciągnął rękę, żeby przyjacielsko poklepać mnie po ramieniu.

Odrąciłem ją.

Chandler syknął i cofnął dłoń, po czym przycisnął ją do ciała.

– Musimy wiedzieć, Dresden – rzekł Ramirez. – Z kim dzisiaj spałeś?

– Czepiasz się mnie, ponieważ twoje własne życie seksualne jest katastrofą – warknąłem.

Twarz Carlosa pobladła, ale jej wyraz nie uległ zmianie.

– Myśl, co chcesz. Kto to był?

– Nagle przypomniałem sobie, dlaczego mam problemy z uznawaniem autorytetów – odparłem. – Pierdol się, Ramirez. A przy okazji powiedz temu, kto rozkazał wam tak mnie potraktować, żeby spadał na drzewo.

– Rozkaz wydała kapitan Luccio – odpowiedział Ramirez cicho. – Ona wciąż jest twoją przyjaciółką. Chce ci pomóc.

– Nie potrzebuję takiej pomocy. Powinniśmy być po tej samej stronie.

– Jesteśmy – odrzekł Chandler z naciskiem. Potem spochmumiał. – Chyba że... nie jesteśmy.

– Wszystko, co wam powiedziałem, jest prawdą – odburknąłem. A przynajmniej nie kłamstwem. – Mam dosyć bzdur Białej Rady jak na jeden wieczór.

– Harry, załatwmy to z panią kapitan – zaproponował Chandler. – Wróć z nami do Edynburga. Obgadamy całą sprawę, co ty na to?

To była racjonalna propozycja, ale nie do zaakceptowania, ponieważ nie mogłem zostawić Thomasa, by spędzić cały dzień na składaniu raportu w Edynburgu. Takie rozmowy były skrupulatne i wyczerpujące. Przytrafiły mi się już kilka razy.

Nie pozostawiali mi wielkiego wyboru.

– Już powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia – odparłem. – Ale wy nie słuchacie. Problem leży po waszej stronie. –

Posłałem Ramirezowi nieprzychylnie spojrzenie. – Mam dużo pracy. Zejdźcie z drogi. Albo mnie aresztujcie. – Oparłem łaskę o ziemię i wytrząsnąłem bransoletę z tarczami z rękawa. – Jeśli zdołacie.

Zapadła cisza. Nikt nie odrywał ode mnie wzroku, ale wszyscy skupili się na Ramirezie.

Carlos powoli odetchnął.

– Mój Boże, Harry, nie ułatwiasz nam pracy.

– Który z nas potraktował drugiego niesprawiedliwie? – spytałem.

– Podejrzewasz, że mogłem zrobić coś niewłaściwego. Ty niezaprzeczalnie zrobiłeś coś takiego, próbując zdobyć informacje. Poza tym zrobiłeś to pierwszy.

– Jako Strażnicy obaj dopuściliśmy się czynów, których żałujemy – odpowiedział. – Na tym polega ta praca. – Pokręcił głową i pokuśtykał na pobocze, ciężko opierając się na lasce. – Jutro o szóstej, zebranie dotyczące bezpieczeństwa w hotelu Four Seasons przy barze. Zameldowaliśmy się pod nazwiskiem McCoy.

Przekrzywiłem głowę i zmrużyłem oczy.

– Wciąż jestem członkiem drużyny, co?

– Lepiej trzymać przyjaciół blisko siebie – odrzekł Ramirez.

Parsknąłem, udając śmiech, a następnie odwróciłem się w stronę samochodu.

– Harry – odezwał się Ramirez.

Zatrzymałem się, nie oglądając się na niego.

– Mam nadzieję, że się mylę – powiedział. – Mam nadzieję, że później będę musiał cię przeprosić. Boże, byłoby wspaniale. Uwierz, że chociaż to jest prawdą.

Przez chwilę czułem się potwornie zmęczony.

Tajemnice to ciężkie brzemie. Jeśli dźwigamy ich zbyt wiele i zbyt długo, w końcu wycisną z nas życie.

Miałem ochotę pozbyć się wszystkich, porozmawiać z Ramirezem na osobności i wszystko mu wyznać. Carlos był dobrym człowiekiem. Chciał postąpić właściwie. Ale zawodowa paranoja Białej Rady mu to uniemożliwiła. Cholera, jeśli uznali, że przeszedłem na stronę wroga, to sama chęć rozmowy na osobności będzie dla nich dowodem na to, że próbuję przekabacić Ramirezę. Pozostali Strażnicy mogą nie dopuścić do takiej rozmowy. A jeśli

Carlos naprawdę sądzi, że jestem czyjąś marionetką, może pogadać ze mną, a następnie przekazać wszystko, co mu powiem, Radzie, próbując odkryć, w jaki sposób próbuję ich zwieść. Jeżeli dowie się, że zamierzam uwolnić Thomasa, będzie miał doskonały powód, by mnie zatrzymać i zapobiec incydentowi, który może wymknąć się spod kontroli.

Strach jest więzieniem. Ale kiedy połączysz go z tajemnicami, staje się szczególnie toksyczny i zjadliwy. Zamyka nas w izolatce, tak że nie słyszymy się nawzajem.

„Mylisz się“ – odrzekłem bezgłośnie.

Potem wsiadłem do auta i odjechałem.

Sam.

Byłem zmęczony i zniesmaczony, a w takim stanie trudno skupić się na pracy wymagającej skrupulatności, ale nie miałem innego wyjścia.

Chrzanić to. Jeśli będę musiał to zrobić sam, to trudno.

Zacząłem planować swoje działania.

Po posileniu się fast foodem zatrzymałem się na parkingu dla ciężarówek przy autostradzie i wziąłem prysznic. Oplukałem się bardzo dokładnie, upewniając się, że zaklęcie tropiące Ramireza przestało działać. Poza tym startłem plamkę tuszu razem z dwiema warstwami skóry, by zabezpieczyć się przed ponownym namierzeniem. Kiedy skończyłem, zrobiłem zakupy i ruszyłem w dalszą drogę.

Potrzebowałem odosobnienia, więc pojechałem w przypadkowym kierunku, byle z dala od tłumów, słuchając swojej intuicji, dopóki nie zapewniła mnie, że nikt mnie nie śledzi. Dotarłem do parku narodowego Illinois Beach, gdy niebo na wschodzie zaczynało się robić granatowe po kilku godzinach czerni. Plaża ciągnie się przez kilkanaście kilometrów na wybrzeżu jeziora Michigan i składa się głównie z kamyków, wydm i mokradeł porośniętych niskimi zaroślami oraz nielicznymi kępami drzew. Zaparkowałem przed pobliskim kościołem, zabrałem laskę i udałem się do parku. Wciąż był zamknięty, więc musiałem mieć się na baczności przed strażnikami i innymi wścibskimi amatorami. Zawodowcy byli po naszej stronie.

To bardzo dobrze – kiedy wzywasz potężną istotę z innego wymiaru, bierzesz na siebie ogromną odpowiedzialność.

Przede wszystkim sprowadzasz na świat coś potężnego i niebezpiecznego. Nie ma znaczenia, czy próbujesz przywołać anioła, czy jednego z Upadłych, musisz wziąć to pod uwagę. Nawet życzliwe istoty, jeśli są wystarczająco duże, mogą cię zabić, zanim zdadzą sobie sprawę z tego, co robią. Nieprzyjazne istoty z pewnością spróbują to zrobić. Dlatego tak ważny jest wybór miejsca, które przede wszystkim musi ci zapewnić szansę ucieczki. Jeżeli znajdziesz takie, które w jakiś sposób odpowiada naturze

przywoływanej istoty, będziesz mieć nad nią przewagę, a jej wezwanie będzie kosztowało mniej energii.

Po drugie, opanowanie istoty. Podobnie jak w pierwszym przypadku, musisz zadbać o to, by wezwany byt nie wydostał się i nie zaczął działać na własną rękę. Większość istot w takiej sytuacji po prostu odchodzi, uznając podróż na pustkowie za stratę czasu.

Na koniec potrzebna jest jakaś motywacja. Istoty spoza świata śmiertelników zazwyczaj nie pracują za darmo. Kiedy już je przekonasz, by nie odeszły ani nie zabiły cię na miejscu, musisz czymś je zachęcić.

Znalazłem doskonałe miejsce nad brzegiem jeziora, gdy zmieniające się światło zaczęło ogłaszać nadejście świtu, choć wciąż nie robiło się jaśniej. Trafiłem na piaszczystą i kamienistą plażę, wzdłuż której rosła gęstwina drzew. Pod największym z nich leżały pozostałości domku na drzewie, który ktoś nielegalnie zbudował dziesięć albo dwadzieścia lat temu. Zobaczyłem przybite do pnia deski tworzące prowizoryczną drabinę.

Idealnie.

Postawiłem torbę z przyborami i zacząłem je rozkładać wewnątrz okręgu, który nakreśliłem laską na piasku. Z jednej strony kręgu postawiłem świecę, a obok niej położyłem czasopismo z wizerunkiem najbardziej osobliwej piosenkarki pop z tamtych czasów – miała na sobie strój złożony głównie ze starych opon i wyglądała, jakby strasznie marzła. Obok drugiej świecy umieściłem puszkę zimnego „Dra Peppera“. Kiedy ją otworzyłem, ciszę przedświtu zmącił syk uwalnianego ciśnienia, a następnie entuzjastyczne trzeszczenie bąbelków. Obok kolejnej świecy umieściłem arbuzowego lizaka „Ring Pop“ w foliowym opakowaniu. Zdjąłem folię i położyłem na niej smakołyk w kształcie pierścionka, a powietrze wypełnił słodki zapach sztucznego owocowego aromatu.

Obok następnej świecy rozłożyłem arkusz papieru ściernego, szorstką stroną ku górze. Położyłem na nim dłoń i delikatnie nią przesunąłem, czując, jak papier lekko zaczepia się o moją skórę. Przy piątej i ostatniej świecy postawiłem słoik nutelli.

Sprawdziłem rozmieszczenie składników, upewniłem się, że krąg jest zamknięty, a następnie dotknąłem go palcem, przywołując siłę

woli. Energia zawirowała wokół kręgu i stworzyła niewidzialną zasłonę, odcinając kolistą obszar piasku od śmiertelnego świata.

Zamknąłem oczy, oczyściłem umysł i zacząłem szeptać Imię.

– Margaret Katherine Amando Carpenter – skandowałem rytmicznie. – Przywołuję cię.

Płomienie świec zamigotały i zakołysały się, chociaż nie było wiatru. Zaczęły zmieniać barwę, pozornie przypadkowo, przechodząc przez całą gamę odcieni.

– Margaret Katherine Amando Carpener – powtórzyłem. – Potrzebuję cię.

Coś gwałtownie poruszyło się między drzewami, a ja wzdrygnąłem się i obróciłem. Stado sępów, którym zakłóciłem wieczorny odpoczynek, wzbiło się w powietrze przy wtórze grzmotu łopoczących skrzydeł. Potrzebowały kilku sekund, żeby odlecieć, aż w końcu zniknęły w ciemności, pozostawiając za sobą tylko dreszcze i kilka opadających czarnych piór.

Wzięłem głęboki wdech i wzmocniłem siłę woli.

– Margaret Katherine Amando Carpenter – odezwałem się głośniejszym i bardziej stanowczym głosem. – Musimy porozmawiać. No dalej, Molls.

Po trzecim przywołaniu fala energii wypłynęła z mojego ciała i wniknęła w krąg. Świece trysnęły deszczem iskier o dziesiątkach kolorów, aż musiałem zamrużyć i odwrócić wzrok.

Kiedy znów popatrzyłem w ich stronę, w kręgu mocy stała najmłodsza królowa elfów.

Molly Carpenter była wysoką młodą kobietą, a kiedy obecnie na nią patrzyłem, zawsze myślałem o mieczach i nożach. Bardzo wyszczupiała, gdy żyła na ulicach i walczyła z najazdami Fomorów po mojej śmierci, i chociaż jej sytuacja uległa polepszeniu, nie można było powiedzieć tego samego o jej sposobie odżywiania. Jej kości policzkowe były tak ostre, że wzbudziłyby niepokój podczas kontroli bezpieczeństwa na lotnisku, a szyję pokrywały nieco zbyt głębokie cienie. Niebieskie oczy zawsze były piękne, ale teraz stały się nieco skośne. A może to tylko umiejętnie nałożony makijaż?

Zimowa Panna miała na sobie szarą spódnicę oraz buty na niewysokim obcasie i stała z wysuniętym do boku biodrem, na

którym opierała pięść. Srebrzysto-białe włosy zaplotła w nienaturalnie równy, przylegający do głowy warkocz, z którego nie wystawały żadne kosmyki. Miała obojętną minę i trzymała w dłoni dymiący telefon komórkowy.

Przyjrzała mu się, westchnęła i upuściła bezużyteczny przedmiot na ziemię.

– Cześć, Molls – odezwałem się.

– Harry, właśnie po to mam telefon.

– To sprawa zawodowa – odrzekłem cicho. – Między Rycerzem a Panną.

Molly powoli wciągnęła powietrze.

– Aha... rozumiem.

– Sytuacja staje się napięta – ciągnąłem. – Strażnicy uznali mnie za zagrożenie. Jestem monitorowany, a oni robią coś dziwnego z komórkami. Nie mogłem ryzykować, że Ramirez podsłucha naszą rozmowę.

Na twarzy Molly pojawił się paskudny grymas, gdy wspomniałem o Strażnikach. Pokręciła głową i położyła dłoń na brzuchu.

– Uch. Bycie wezwanym to najdziwniejsze uczucie.

– Na to wygląda – odrzekłem. – Przepraszam za niewygody.

Zimowa Panna wpatrywała się we mnie przez niepokojącą sekundę, po czym odezwała się głosem Molly.

– Przyjmuję przeprosiny. – Rozejrzała się po wnętrzu kręgu, oglądając zgromadzone przedmioty, i czym prędzej chwyciła słoik nutelli. – Aha! Zapłata. Teraz jesteśmy kwita. – Otworzyła słoik, chwyciła lizaka w kształcie pierścionka i założyła go sobie na palec. Następnie zanurzyła go w nutelli, zamknęła oczy i oblizwała. – Mój Boże – westchnęła. – Nie jadłam od przedwczoraj.

– Na dzwony piekieł, padawanko! – zawołałem. – W takim razie lepiej nie zaczynać od nutelli i syropu kukurydzianego.

– Pewnie masz rację – zgodziła się i nabrała jeszcze większą porcję. – Wypuścisz mnie z tego kręgu czy jak?

– Prawdę mówiąc, trochę mnie ciekawi, czy dasz radę sama się wydostać – odrzekłem. – Przecież wciąż jesteś człowiekiem. Krąg nie powinien utrzymać Molly.

Uniosła brwi.

– Harry, mógłbyś wrzucić mnie do rębaka, a i tak dojdę do siebie. Jestem teraz nieśmiertelna, pamiętasz? – Uniosła dłoń i dotknęła powierzchni kręgu. Czubek jej palca rozpląszczył się, jakby przycisnęła go do szyby. – Jestem człowiekiem, ale ta moc nie przypomina twojej. Jest nieporównywalnie bardziej złożona. Nie da się jej włożyć jak peleryny. Ona mnie wypełnia. Jestem z nią spleciona. – Pokręciła głową ze smutkiem. – Myślę, że mogłabym wyjść z tego kręgu, ale musiałabym pozostawić w tyle największą część siebie. To, co by zostało, nie byłoby... właściwe. Znajdź sobie inny obiekt eksperymentów.

Przeniknęło mnie lodowate uczucie, które zrodziło się tuż za sprzączką paska.

Ponieważ ten krąg nie powinien powstrzymać Molly.

A to oznaczało, że istota, która ze mną rozmawiała... nie była nią. A przynajmniej nie taką Molly, jaką pamiętałem. Molly przyjęła moc Zimowej Panny i stała się czymś nieludzkim. Władowała siłami, których nie byłem w stanie pojąć. Możliwe, że ta presja zmieniła jej kształt, uczyniła ją czymś innym, czymś niebezpiecznym.

Właśnie tak Ramirez myśli o mnie, zrozumiałem.

Molly niewątpliwie stała się kimś mroczniejszym i groźniejszym.

Ale wciąż była Molly. Dziewczyną, którą poznałem przed laty, młodą kobietą, którą szkoliłem i która walczyła u mojego boku więcej razy, niż byłem w stanie zliczyć. Intuicja podpowiadała mi, że powinienem się jej obawiać. A moja intuicja się nie myliła.

Jednakże ludzie często są więcej niż jedną rzeczą. Molly stała się bardzo ładnym i bardzo niebezpiecznym potworem. Ale była także padawanką. No i moją przyjaciółką.

Nachyliłem się i przerwałem krąg dłonią, zwracając jego energię wszechświatowi przy wtórze niesłyszalnego pyknięcia.

Molly wypuściła powietrze i spokojnie wyszła z kręgu. Przyglądała mi się przez dłuższą chwilę.

– Boże, wyglądasz na zmęczonego – odezwała się w końcu.

Przekrzywiłem głowę i nagle się uśmiechnąłem.

– Chciałaś powiedzieć „starego“.

– Nadszarpniętego zębem czasu – odparła. – Jak Aragorn.

Roześmiałem się. Jako mag mogłem się spodziewać trzystu lat życia. Co najmniej. Dopiero za ponad dziesięć lat osiągnę wygląd, jaki będzie mi towarzyszył przez większość moich dni.

– Chcesz poznać tajemnicę?

– Zawsze.

– Tylko młodzi uważają, że nazwanie kogoś starym stanowi obrazę – odrzekłem, nie przestając się uśmiechać. – Jestem tym, kim jestem, niezależnie od tego, jak inni to nazwą. Nikt nie może tego zmienić. A to oznacza przede wszystkim, że jak dotąd nic nie zdołało mnie zabić.

Molly posłała mi gorzki uśmiech.

– Z jednym wyjątkiem.

– Poprosiłem cię wtedy o pomoc – odparłem surowo. – Musiałaś podjąć cholernie trudną decyzję i wybrałaś lojalność wobec przyjaciela. Nigdy tego nie zapomnę, Molly.

– Ja też – odpowiedziała cicho.

Zacisnąłem usta. Nic nie może się równać z poczuciem winy maga, ponieważ nikt nie jest bardziej arogancki. Tak przywykliśmy do posługiwania się olbrzymią mocą i zmieniania rzeczywistości, że wszystko uznajemy za swoją odpowiedzialność. Jeśli dodamy do tego odrobinę ludzkiej przyzwoitości, która nakazuje przejmować się tym, jak nasze działania wpłyną na innych, skutkiem są potężne wyrzuty sumienia.

Ponieważ to bardzo trudne, a wręcz niemożliwe, by używać mocy bez nieprzewidzianych skutków. Nie ma znaczenia, jakiego rodzaju jest to moc – magia, siła mięśni, wpływy polityczne, elektryczność, autorytet moralny. Jeśli z niej korzystamy, wokół nas dzieją się rzeczy nieoczekiwane.

Kiedy skutkiem jest przepalona żarówka, nie jest to duży problem.

Ale czasami ludziom dzieje się krzywda. Czasami ktoś umiera. Czasami ktoś niewinny. Czasami przyjaciele.

Molly zapewne nie potrafiła sobie wybaczyć, że przyłożyła rękę do czegoś, co okazało się bardzo złożoną i niemal udaną próbą samobójczą. Tamte wydarzenia odbiły się szerokim echem. Molly ponosiła za nie niewielką odpowiedzialność, ale aktywnie się do nich

przyczyniła i zapewne żałowała tego równie mocno jak ja, mimo że mnie dotknęło to w bardziej bezpośredni sposób.

Jako mag miałem potworne wyrzuty sumienia, że ją w to wpakowałem. Nie miałem wtedy wielkiego wyboru, jeśli chciałem ocalić życie córki, ale chociaż cel uświęcał środki, Molly musiała zapłacić słoną cenę.

Tak słoną, że skusiła się na zostanie nową Zimową Panną.

Nagle zacząłem się zastanawiać, czy nie byłem wobec siebie zbyt pobłażliwy. W końcu, kiedy zostałem Rycerzem Zimy, sam dokonałem wyboru. Znajdowałem się pod ścianą i miałem kiepskie perspektywy, ale to ja zaproponowałem Mab układ.

Molly nikt nie zapytał o zdanie, a Mab miała bardzo jasne podejście do odmiennych opinii: „Pogódź się z tym albo zgiń“.

Oczywiście dla niepoprawnych buntowników odpowiedź na bzdurne ultimatum Mab była prosta: „Pogódź się z tym albo mnie zabij“. O Mab można powiedzieć wiele rzeczy, ale nie można jej uznać za nieracjonalną, więc dopóki łatwiej było jej akceptować moje wybryki niż znaleźć zastępstwo, zachowywaliśmy stan równowagi. Podejrzywałem, że Molly wypracowała z nią podobny układ.

Położyłem dłoń na jej ramieniu, lekko ścisnąłem i ponownie się uśmiechnąłem.

– Hej, wszystkim było ciężko. Ale wyszliśmy z tego obronną ręką. A wszystkie te blizny czegoś nas nauczyły, prawda?

– Nie jestem pewna, czy ta logika trzyma się kupy – odparła z cierpkim uśmiechem.

– Nazywam ją optymizmem idioty – odrzekłem i zerknąłem na jaśniejące niebo. – Jesteś na bieżąco z ostatnimi wydarzeniami?

Również podniosła wzrok.

– Przez dwa tygodnie pracowałam we wschodniej Rosji. Jestem cholernie zajęta.

– No dobrze.

Zapoznałem ją z sytuacją. Opowiedziałem o wszystkim, nie licząc Buttersa, Andi i Marci, ponieważ Butters mnie o to prosił, a poza tym sam nie byłem pewien, co o tym myśleć.

– Zanim przejdziemy dalej, muszę się dowiedzieć, czy moje mieszkanie spłonęło? – spytała.

– Nie.

Pokiwała głową i odetchnęła.

– A więc... pomyślmy... – Zamknęła oczy i przez chwilę zastanawiała się nad tym, co jej powiedziałem. – Mój Boże, zamierzasz wyciągnąć Thomasa, prawda?

– Najpierw chcę wyczerpać wszystkie metody dyplomatyczne – odparłem.

Posłała mi nieufne spojrzenie.

– Lubię ciemne elfy – wyjaśniłem. – To porządny lud. No i mają dzieci. Nie zamierzam urządzać strzelaniny w ich ambasadzie.

Molly uniosła brwi.

– Uważasz, że ja mogę coś zrobić?

– Ciemne elfy cię lubią – odrzekłem. – Z tego, co mi wiadomo, jesteś honorową ciemną elfką. Poza tym każdy z nich ma słabość do ładnych dziewczyn, a ty jesteś ładna.

Skromnie przyznała mi rację nieznacznym ruchem dłoni.

– Myślę, że przeceniasz moje wpływy w obliczu takiej sytuacji. Etri i jego ludzie są staroświeccy. Przelano krew, więc konieczna jest zapłata, koniec, kropka. Nie będą chcieli słyszeć o miłosierdziu.

– A ty nie doceniasz tego, jak bardzo wierzę w twoją pomysłowość, inteligencję i zaradność, Molly.

Skrzywiła się.

– Chyba rozumiesz, że nie będę mogła przyłożyć ręki do jego uwolnienia. Gdyby Królowa Elfów tak otwarcie pogwałciła postanowienia Przymierza, te przestałyby obowiązywać. Na całym świecie zapanowałby chaos.

– Wiem o tym – przytaknąłem.

Uśmiechnęła się krzywo.

– Nie prosisz o wiele, prawda?

– To nie może być trudniejsze niż powrót do domu rodziców ze świeżym zestawem kolczyków i tatuaży.

Przekrzywiła głowę, przyznając mi rację.

– Rzeczywiście, wtedy wydawało mi się to niemożliwe.

– Pomóż mi. – Nachyliłem się i podałem jej puszkę „Dra Peppera”. – Przyniosłem ci nutellę i tak dalej.

– W ten sposób tylko dałeś mi pretekst, by dać ci po łbie za to, że ośmieliłeś się mnie wezwać – odrzekła szczerze. – Serio, mam swoje obowiązki. I to dosyć ważne. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby ludzie cały czas mi przeszkadzali.

Upiła łyk napoju.

– Chodzi o Thomasa – przypomniałem.

– Owszem, chodzi o Thomasa – zgodziła się i odetchnęła. – Rozumiesz, że poprosiłeś mnie o pomoc. Wiesz, co to znaczy?

– Zobowiązanie.

– Tak, będziesz miał wobec mnie dług. A te rachunki będą musiały zostać wyrównane. To... jak swędzenie, które nie da mi spokoju, dopóki się go nie pozbędę.

– Wciąż jesteś sobą, nowicjuszko.

Przyglądała mi się przez chwilę nie do końca ludzkimi, niepokojąco pięknymi oczami, ogromnymi i lśniącościami na wychudłej twarzy. Potem odezwała się szeptem, który ostatnio słyszałem w rozświetlonej zielonym blaskiem, poprzecinanej korzeniami jaskini na wyspie.

– Nie zawsze.

W moim wnętrzu przemieściło się coś lodowatego.

Pokręciła głową i nagle znów zmieniła się w nowicjuskę.

– Zrobię, co będzie w mojej mocy, żeby ci pomóc. Czy jesteś gotów się zrewanżować?

– On jest moim bratem – odrzekłem. – Co to za pytanie?

Pokiwała głową.

– Czego ode mnie oczekujesz?

Powiedziałem jej.

Długo się nie odzywała.

– Trudna sprawa – powiedziała w końcu. – Będzie ciężko.

– Gdybym potrafił sam sobie poradzić, nie wzywałbym ciebie, nowicjuszko. Dasz radę to zrobić?

Wypiła kolejny łyk napoju, a jej zmrużone oczy rozbłysły.

– Kwestionujesz moje fenomenalne kosmiczne moce?

– Jesteś taka zajęta przemierzaniem świata i pracą Zimowej Panny – odrzekłem przeciągłym głosem. – Powiedzmy, że ciekawi mnie, czy nie zaniedbałaś swoich magicznych mięśni.

– Ha! – odrzekła z szerokim uśmiechem, ale po chwili spoważniała. – Ostatnio wykonywałam podobne zadanie. Problemem nie są umiejętności. – Nachyliła się i wbiła we mnie wzrok. – Harry, musisz być całkowicie pewien. Kiedy zawrzemy układ, nie będzie odwrotu. A ja zmuszę cię do dotrzymania słowa. – Na ułamek sekundy z jej twarzy zniknęła pewność siebie. – Nie mam w tej kwestii wyboru.

– On jest moim bratem – odrzekłam. – Jestem pewien.

Zimowa Panna pokiwała głową, a jej oczy nagle rozbłysły, tak że mężczyzna mógłby się w nich zatracić. Potem podeszła do mnie, stanęła na palcach i przyciągnęła moje usta do swoich. Delikatnie mnie pocałowała, na dziewięćdziesiąt dziewięć procent jak siostra, po czym szepnęła: – Gotowe.

Poczułem się tak, jakby coś w moim wnętrzu trafiło na swoje miejsce, jakbym był zbudowany z klocków lego, jeden z nich się poluzował, a Molly właśnie wcisnęła go z powrotem. Lekko zadrżałem, gdy nasza umowa została przypieczętowana.

A tak w ogóle, na dzwony piekieł, musiałem przyznać, że dziewczyna ma niesamowicie miękkie usta, choć oczywiście nie powinienem o tym myśleć.

Odsunęła się ode mnie znacznie wolniej, nie podnosząc wzroku. Otarła dłonią usta.

– Mab będzie wściekła, jeśli nie poprawię statystyk leszych, ale...

– Pokiwała głową. – Zbuduję dla ciebie twoją zabawkę.

– Jesteś najlepsza.

– Jestem świetna – zgodziła się. – Ale ta sytuacja to niezłe bagno. Nie wiem, na ile będę w stanie to zmienić.

– W tej chwili przyjmę każdą pomoc.

Odwiozłem Molly do miasta i wysadziłem ją przed ambasadą ciemnych elfów, gdzie strażnik o podejrzenie pospolitej twarzy powitał ją z ogromnym szacunkiem. Wciąż nie byłem pewien, co nowicjuszka zrobiła dla ciemnych elfów, by zasłużyć na takie uwielbienie, ale najwyraźniej zaimponowało im, że okazała się kimś więcej niż zwykłą ślicznotką.

Upewniłem się, że bezpiecznie weszła do budynku, jakbym był nastolatkiem, który odwozi swoją dziewczynę do domu pięć minut przed czasem, a następnie odjechałem.

Czułem się fatalnie.

Naprawdę, naprawdę fatalnie.

Chciałem wrócić do domu.

„Dom“ należy do słów, które są tak ważne, że nie potrzebują więcej niż jednej sylaby. Jest częścią ludzkiej natury. Nieważne, czy jesteś wampirem, magiem, sekretarką czy nauczycielką, musisz mieć dom, choćby formalnie – punkt zerowy, który będziesz mógł zestawiać ze wszystkimi innymi miejscami.

Może on być czymś dobrym, co pomoże ci się nie pogubić w przytłaczającym świecie. Jeśli nie wiesz, na czym stoisz, nie rozpoznasz, dokąd zmierzasz, gdy w końcu ruszysz z miejsca. Ale może też okazać się czymś złym, gdy napotkasz miejsca tak odmienne od domu, że wywołają w tobie strach i złość. To także część bycia człowiekiem.

Ale dom ma też głębsze znaczenie. Prostsze i bardziej pierwotne.

Tam spożywasz najlepsze jedzenie, ponieważ inni drapieżnicy nie mogą ci go odebrać.

Tam ciebie i twojego partnera łączy największa intymność.

Tam wychowujesz swoje dzieci, z dala od strasznych rzeczy, które może im wyrządzić świat.

Tam bezpiecznie śpisz.

Tam się odprężasz.

Tam marzysz.

W domu akceptujesz teraźniejszość i planujesz przyszłość.
Tam trzymasz książki.

A przede wszystkim tam budujesz świat, jakiego pragniesz.

Jechałem ulicami Chicago wczesnym rankiem i żałowałem, że nie mogę czuć się otępiały. Głowa bolała mnie od niewyspania i zbyt małej ilości zbyt mało pożywnego jedzenia. Bolało mnie ciało, zwłaszcza dłonie i przedramiona. Kręciło mi się w głowie z powodu choroby lokomocyjnej, a żołądek wysyłał częste skargi.

Mój brat wpadł w tarapaty, a ja nie wiedziałem, czy zdołam mu pomóc.

Przypomniałem sobie smutek i lęk Justine oraz ufność, która pojawiła się w jej oczach, gdy obiecałem uratować Thomasa, i nagle poczułem się bardzo zmęczony.

Zapraгнаłem wrócić do domu.

Ale go nie miałem.

Moje przytulne mieszkanie zniknęło, zburzone przez Gentlemana Johnniego Marcone'a, by zrobić miejsce dla jego durnego zameczku i Stowarzyszenia Większej, Lepszej i Jaśniejszej Przyszłości. Co prawda, Czerwony Dwór też niedawno spalił mój dom, ale w tym przypadku szybko wyrównałem rachunki.

Brakowało mi mojej kanapy i wygodnych foteli przed kominkiem. Tęskniłem za wielogodzinnym czytaniem u boku smacznie śpiącego Myszka i z Misterem mrużącym pomiędzy moimi stopami. Tęskniłem za swoim zagraconym, ale bardzo funkcjonalnym magicznym laboratorium w piwnicy, gdzie na półce spoczywał Bob. Tęskniłem za takimi prostymi problemami jak zbuntowany czarnoksiężnik usiłujący dowodzić własnym kartelem narkotykowym.

Brakowało mi także tego, że nie obawiałem się o los ludzi, których kochałem.

Kiedy zatrzymałem się na czerwonym świetle, pochyliłem głowę i zapłakałem. Facet stojący za mną musiał zatrąbić, żebym podniósł wzrok. Miałem ochotę popsuć mu silnik z czystej złośliwości, ale się powstrzymałem. To ja stałem na zielonym świetle.

Nie wiedziałem, co robić.

Czułem się zmęczony, zagubiony i chory. Dlatego pozostało tylko jedno miejsce, do którego mogłem się udać.

Wschodnie niebo właśnie zaczęło zabarwiać się na złoto, gdy podjechałem pod dom Carpenterów. Kiedy wysiadłem z samochodu, jeden z sąsiadów, starszy pan ubrany we flanelową koszulę i czerwoną czapkę z daszkiem, wyszedł z domu i pokuśtykał podjazdem po poranną gazetę. Posłał mi nieprzychylnie spojrzenie, jakbym osobiście pomieszał strony jego gazety, a następnie starannie ją złożył i sztywnym krokiem wrócił do domu.

Kurczę. Chciałbym być taki stary, żeby móc bez powodu czepiać się jakiegoś przypadkowego faceta na ulicy. Mogłem mu popsuć silnik.

Nie zapukałem do drzwi, tylko udałem się na podwórko na tyłach. Tam znalazłem domek na drzewie, który tkwił na potężnym starym dębie i wyglądał jak budowla rodem z filmów Disneya. Nieco dalej znajdował się warsztat, którego obrotowe drzwi były otwarte na oścież. Stare radio grało klasycznego rocka, a na ławeczce treningowej ćwiczyła ze sztangą jedna z najszlachetniej szych istot ludzkich, jakie znam.

Michael Carpenter od szyi w górę był po pięćdziesiątce, miał srebrzyste włosy, szare oczy i zadbaną brodę przyprószoną siwizną. Od szyi w dół mógłby być o dwadzieścia albo trzydzieści lat młodszy. Wyciskał sztangę, na której wisiało ponad sto dziesięć kilogramów. Wykonywał powolne powtórzenia.

Nie wiedziałem, kiedy zaczął, ale naliczyłem czternaście powtórzeń, zanim ostrożnie odłożył sztangę na stojak, więc pewnie wykonywał serie po dwadzieścia. Rozpory ławki lekko zatrzeszczały pod wpływem ciężaru.

Michael podniósł na mnie wzrok i się uśmiechnął. Usiadł, dysząc ciężko, ale miarowo.

– Harry! Wcześniej wstałeś czy jeszcze się nie kładłeś?

– Jeszcze się nie kładłem – odrzekłem i zderzyłem się z nim pięściami. – Dzisiaj się oszczędzasz?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Jak prawie każdego ranka. Chodzi o moje ramiona. Już sobie nie radzą z dużymi ciężarami.

Zerknąłem na sztangę.

– No tak, ale z ciebie mięczak.

Roześmiał się.

– Chcesz spróbować?

Czułem się fatalnie i działało mi to na nerwy. Moc Zimy nie dbała o to, czy się wysypiam i dobrze czuję. Chciała tylko, żebym zabijał i uprawiał seks. Najbliższym, co mogłem jej dać, były ćwiczenia fizyczne. Psiakrew.

– Jasne.

Wstał grzecznie, podpierając się aluminiową laską leżącą obok ławki. Parę lat temu na wyspie zarobił kilka kulek z karabinku szturmowego. Nie powinien był przeżyć, a jednak wyszedł z tego jedynie z niesprawnym biodrem, niewładną nogą, przez którą solidnie kulał, i popsutym jednym okiem, przez co jako pierwszy Rycerz Krzyża w historii przeszedł na emeryturę jeszcze za życia.

Pokuśtykał do końca ławki, żeby mnie asekurować. Zdjąłem płaszcz, położyłem się i zacząłem ćwiczyć.

– Wyglądasz na... – Michael przez chwilę ważył słowa. – Rozproszonego.

Był moim przyjacielem. Powiedziałem mu, co się dzieje. Wysłuchał mnie z ponurą miną.

– Harry, ty idioto – powiedział grzecznie. – Idź się wyspać.

Popatrzyłem na niego surowo i dalej ćwiczyłem.

Był jedną z niewielu osób w moim życiu, na których moje surowe spojrzenie nie robiło wrażenia.

– Tej sprawy nie załatwisz siłą, a w takim stanie nie możesz polegać na swojej głowie. Pomóż bratu. Wyśpij się.

Zastanawiałem się nad tym, dopóki chłód Zimy nie wsączył się w moje ręce oraz pierś i nie zacząłem dyszeć jak parowóz. W końcu odłożyłem sztangę.

– Ile było powtórzeń? – spytałem.

– Przestałem liczyć po czterdziestu. – Michael położył mi dłoń na ramieniu. – Wystarczy, Harry. Odpocznij trochę.

– Nie mogę – odpowiedziałem szorstkim głosem. Potem gwałtownie usiadłem. – Ktoś wpakował w to mojego brata. W jakiś sposób. Muszę tego kogoś powstrzymać. Stawić mu czoło.

– Tak – odrzekł Michael cierpliwym głosem. – Musisz to zrobić mądrze, a nie siłowo.

Skrzywiłem się i obejrzałem się na niego przez ramię.

– Już nie jesteś dzieckiem, Harry. Posłuchaj rady kogoś, kto bardzo długo zajmował się takimi rzeczami: Wysypiaj się, kiedy tylko będziesz miał okazję. Nigdy nie wiadomo, kiedy będziesz musiał się bez tego obyć.

Pokręciłem głową.

– A jeśli coś się stanie, kiedy będę spał? Jeśli te kilka godzin zaważy na tym, czy zdołam go ocalić, czy...

– A jeśli jutro na tę planetę spadnie meteoryt? – odpowiedział pytaniem Michael. – Harry, możemy panować tylko nad nielicznymi rzeczami w tym świecie. Musisz rozpoznawać, kiedy docierasz do kresu swoich możliwości zmiany sytuacji.

– Kiedy docierasz do kresu możliwości, być może należy je zwiększyć – odpowiedziałam cicho.

Zapanowała bardzo długa cisza.

W końcu Michael odezwał się szczerym tonem.

– Jak dobrze się to sprawdziło ostatnim razem?

Lekko przekrzywiłem głowę, z honorem przyjmując cios.

– Harry, przez lata wielokrotnie rozmawiałem z tobą o chodzeniu do kościoła.

– Bez końca – przyznałem.

Wesoło pokiwał głową.

– Zaproszenie wciąż obowiązuje. Ale zawsze chciałem tylko pomóc ci w rozwijaniu wiary.

– Nie jestem pewien, czy mam w sobie choć odrobinę katolicyzmu, który mógłbym rozwinąć – odparłem.

Michael machnął ręką.

– Nie mówię o religii, Harry, tylko o wierze. W wierze nie chodzi tylko o Boga... jakiegokolwiek boga.

Popatrzyłem na niego ze zdziwieniem.

– W mojej owszem – dodał. – Ta ścieżka jest dla mnie słuszna. Dała mi cudowne życie. Ale być może nie jest jedyna. W końcu dzieci zdobywają wiedzę na bardzo różne sposoby. Uważam, że Bóg jest na tyle znakomitym nauczycielem, by brać to pod uwagę. –

Pokręcił głową. – Ale wiara to coś więcej. Spójrz na przykład na Waldo.

– Co masz na myśli? – spytałem.

– Nie jest szczególnie religijnym człowiekiem, a jednak nigdy nie spotkałem kogoś bardziej oddanego idei, że dzień jutrzejszy może być lepszy od dzisiejszego. Że ludzie, wszyscy, są w stanie ulepszać świat, a przyjaciele zawsze powinni sobie pomagać. Pomimo całej brzydoty, którą widział, zarówno w swojej pracy, jak i w ramach innych... zainteresowań, wciąż trzyma się tej wiary.

– Polka w kostnicy – odrzekłem.

Michael się uśmiechnął.

– Owszem, właśnie tak. Ale chyba nie rozumiałeś, o co mi chodzi.

Przekrzywiłem głowę z wyczekiwaniem.

– On wierzy w ciebie, Harry Dresdenie. W ścieżkę, którą ty kroczysz, a którą on teraz naśladuje.

Poczułem, że moje brwi unoszą się z przerażenia.

– Co takiego?

Michael pokiwał głową. Był wyraźnie rozbawiony.

– Jesteś wzorem. Dla Waldo. – Jego głos stał się łagodniejszy. – Dla Molly.

– No tak – westchnąłem.

– Pomyśl o nich, kiedy będziesz planował kolejne kroki. No i spróbuj samemu choć trochę uwierzyć.

– W co?

– W siebie, stary – odpowiedział, prawie wybuchając śmiechem.

– Harry, czy naprawdę uważasz, że dotarłeś do tego miejsca za sprawą przypadkowych kaprysów wszechświata? Nie zauważyłeś, jak często odnosisz zwycięstwa?

– Owszem – przyznałem. – Mniej więcej.

– Więc być może jesteś właściwą osobą we właściwym miejscu i we właściwym czasie – dodał Michael. – Uwierz w to. I prześpij się.

Wbijałem w niego wzrok przez minutę.

– To potwornie egotystyczny sposób patrzenia na wszechświat – odparłem ponurym głosem.

– Jak może być egotystyczny, skoro to ja ci go podsunąłem? – zaprotestował Michael.

Radził sobie w takich rozmowach lepiej ode mnie. Posłałem mu nieprzychylny spójrzanie, a on odwzajemnił się kpiącym uśmiechem.

– Postaram się trochę przespać. Ale niczego nie obiecuję.

– Dobrze. – Pokuśtykał do małej lodówki i wyjął dwie butelki wody. Podał mi jedną, a ja ją przyjąłem. Przez chwilę razem piliśmy w ciszy. – Harry?

– Tak?

– Widziałeś się ostatnio z Molly?

– Przez chwilę – odrzekłem.

Zawahał się, a potem powoli dodał: – Mógłbyś... poprosić ją, żeby czasem się do nas odezwała?

Uniosłem brwi.

– A nie robi tego?

– Nie osobiście. Już od dłuższego czasu.

– Wiem, że jest bardzo zajęta w swojej nowej pracy, dużo podróżuje... – zacząłem.

Michael popatrzył na mnie z naciskiem.

– Harry, proszę, nie zakładaj, że nie zdaję sobie sprawy z tego, że ona ma przede mną jakieś tajemnice. Tolerancja to nie to samo co ignorancja. Ale ufam tobie i Molly.

Domyśliłem się, co się dzieje.

– Aha, ale Charity nie.

Michael się speszył.

– Ona... martwi się, że jej córka w tak młodym wieku wchodzi do świata, który karze cierpieniem za niedoświadczenie. Chciałaby zadbać o to, by jej córka była bezpieczna. A ja wcale nie jestem pewien, czy to nie jest rozsądne podejście.

Zaczęło mi świtać, że Molly wciąż nie powiedziała rodzicom o swojej pracy Zimowej Panny. A przecież pełniła tę rolę już... Od jak dawna?

Na dzwony piekieł. Poczułem lekki ucisk w żołądku. Nie byłem pewien, jak Charity i Michael zareagują na wieści, że ich córka dała się wciągnąć w tryby Zimowego Dworu. To znacznie poważniejsza sprawa niż wplątanie się w złe towarzystwo. Gdyby na samym

początku z tym do nich przyszła, być może od razu by to obgadali. Ale po ponad roku wątpliwości, milczenia, uników i zmartwień... Kurczę.

Rodzina wszystko komplikuje.

A przecież oboje mieli pełne prawo martwić się o córkę.

Psiakrew, ja też się o nią martwiłem.

– Może masz rację – przyznałem.

– Dziękuję. Wiem, że ona jest już dorosła, jednak... wciąż jest naszą małą córeczką.

– Jestem pewien, że przewróciłaby oczami, gdyby to usłyszała – odrzekłem.

– Niewątpliwie – przyznał Michael z nieco smutnym uśmiechem.

– Ale być może spełni nasze pragnienie.

– Porozmawiam z Molly – obiecałem.

Po czym ziewnąłem.

Tak jest. Właśnie tak zrobię. Bądź rozsądny. Bądź sprytny. Wyśpij się i staw im czoło z jasnym umysłem, Harry.

Jeśli odkryjesz, kim oni są.

Carpenterowie obecnie dysponowali wieloma wolnymi pokojami, więc przenocowałem w dawnej sypialni Daniela. Po wylizaniu się z ran i uniknięciu potencjalnie poważnego konfliktu z prawem Daniel ponownie wstąpił do wojska. Stacjonował w bazie gdzieś na południowym zachodzie i miał żonę, która wkrótce miała urodzić Carpenterom pierwszego wnuka.

W jego dawnym pokoju panowała atmosfera samotności – na ścianach wisiały plakaty zespołów, które większość ludzi już zapomniała. Ubrania wiszące w szafie dawno wyszły z mody i wiernie czekały na kogoś, na kogo być może i tak nie będą pasować. Łóżko wydawało się za małe dla mężczyzny, który na moich oczach walczył z prawdziwą ciemnością, a potem zapłacił słoną cenę za swoją odwagę. Z całą pewnością było za małe dla męża i ojca, którym się stał.

Mogłem się jednak założyć, że pokój będzie idealny dla wnuków, gdy kiedyś wpadną z wizytą do swoich marudnych dziadków, tych nudziarzy, którzy nigdy nie robią niczego ciekawego.

Ha.

Tymczasem doskonale się nada dla zmartwionego i udręczonego maga.

Spałem zbyt krótko, ale bardzo głęboko, a kiedy się obudziłem, zobaczyłem tuż przy sobie drobną twarzyczkę oświetloną późnopołudniowym słońcem wpadającym przez okno.

– Cześć – odezwała się Maggie, kiedy zdołałem otworzyć jedno oko.

– Hmph – odpowiedziałem tak łagodnie, jak to było możliwe.

– Już się obudziłeś? – spytała.

Zamrugalem. Osiągnięcie tego zajęło mi jakieś pięć minut.

– Na to wygląda.

– To dobrze – powiedziała poważnym głosem. – Miałam ci nie przeszkadzać, dopóki się nie obudzisz. – Zeskoczyła z łóżka i wybiegła z pokoju.

Postanowiłem zastanowić się nad tym, kiedy będę miał trzeźwieszy umysł, a po chwili usłyszałem tupot jej stóp na schodach. Niosła duże pudło owinięte białym papierem i przewiązane srebrnym sznurkiem. Stękając z wysiłku, rzuciła je na łóżko w okolicy moich bioder z wrodzoną precyzją, jaką posiadają małe dzieci i większość zwierząt.

Wzdrygnąłem się i złapałem pakunek, zanim wyrzucił mi większą krzywdę. Usiadłem, wciąż otępiały.

– Co to jest?

– Stało na werandzie dziś rano – odpowiedziała Maggie. – Myszek uważa, że to nie jest bomba ani trucizna.

Przyjrzałem się pudełku. Znajdowała się na nim papierowa etykieta. Zmrużyłem oczy i odczytałem pismo Molly.

WIEM, ŻE W KOŃCU ZAMIERZAŁEŚ GO SOBIE KUPIĆ. M.

– Hmm... – odezwałem się i otworzyłem pudełko, podczas gdy Maggie obserwowała mnie z żywym zainteresowaniem.

– Ojej – jęknęła z rozczarowaniem chwilę później, gdy wyjąłem z opakowania nowy garnitur. – To tylko ubrania.

– Nie ma nic złego w ubraniach – odparłem.

– Wiem, ale to mógł być nóż, pistolet, magiczny miecz albo coś.

– Westchnęła. – No wiesz, czadowe gadżety magów, które pomogą ci walczyć z potworami. – Skubnęła palcami srebrno-szary szorstki materiał marynarki. – Dziwna tkanina.

Przesunąłem dłońią po ubraniu.

– Dlaczego dziwna?

– Po prostu... jest dziwaczna w dotyku i nietypowo wygląda. Przyjrzyj się tylko. Widziałeś coś takiego w telewizji?

– To pajęczy jedwab – odrzekłem z namysłem. – To chyba garnitur z pajęczego jedwabiu.

– Fuj. – Maggie gwałtownie cofnęła dłoń. Potem znów przycisnęła ją do ubrania, jeszcze mocniej. – Ale ohyda.

– Poza tym jest zakłęty – powiedziałem z namysłem.

Czułem subtelne prądy energii przenikające tkaninę pod moimi dłońmi. Zamknąłem oczy i rozpoznałem znajome kształty własnych osłon, takich samych, jakie wplotłem w swój skórzany płaszcz. Nauczyłem nowicjuszkę podstaw zaklinania sprzętu za pomocą

mojej autorskiej formuły. Zapewne była jedyną osobą na świecie, która potrafiła tak doskonale skopiować moje dzieło.

– Widzisz? Kiedy go włożę, będzie gromadził energię pochodzącą z ciepła mojego ciała oraz moich ruchów i wykorzysta ją, by pomóc mi odbić wrogie ataki.

Maggie popatrzyła na mnie sceptycznie.

– No cóż. Zaklęty garnitur pewnie jest lepszy niż zwykły.

– Owszem – zgodziłem się.

Zajrzałem do pudła. Znajdowały się w nim także wszystkie dodatki, od guzików i spinek do mankietów po sygnet na mały palec, ozdobiony migoczącymi granatowymi opalami, które uwielbiał Zimowy Dwór.

Sygnet pulsował nagromadzoną mocą, skondensowaną magiczną energią. Czułem ją na skórze niczym promienie malutkiego słońca. Ostrożnie schowałem przedmiot do kieszeni, ale po chwili zmieniłem zdanie i go założyłem. Jeśli będzie mi potrzebny, to najlepiej zacząć z niego korzystać tout de suite.

– Uszyto go z tego samego materiału co peleryny Strażników. – Odłożyłem garnitur i zmarszczyłem czoło. – A więc Molly chce, żeby mój strój wysyłał wyraźny sygnał.

– Że nie boisz się pajaków? – spytała Maggie. – A o czym innym mógłby świadczyć?

Zacisnąłem usta.

– Wiesz co... nie jestem pewien.

A zatem pod powierzchnią krążyły też inne prądy, o których nikt nie wspominał. To normalne w kontaktach z Mab, ale przywykłem do bardziej otwartej komunikacji z Molly. Tylko że... przyjęcie mocy Zimowej Panny dało mojej byłej padawance ogromną potęgę, a z tą zazwyczaj wiąże się więcej zobowiązań, zarówno w nadprzyrodzonym, jak i każdym innym świecie. Molly być może już nie miała całkowicie wolnej woli, przynajmniej w tradycyjnym znaczeniu tego słowa.

Mab uwielbiała mieć tajemnice. Jeśli koniecznie chciała je zachować, Molly zapewne nie była w stanie ich zdradzić.

A może po prostu miałem paranoję.

No nic. Uznając swoją paranoję za uzasadnioną, jak dotąd całkiem nieźle sobie radziłem z przetrwaniem w trudnych warunkach. Może wykupienie polisy ubezpieczeniowej nie byłoby złym pomysłem.

– Tato? – odezwała się Maggie. – Co się stało? Od jakichś trzech minut patrzysz w dal.

Zamrugalem.

– Mogłabyś pobiec do Michaela i powiedzieć mu, że muszę wykonać osobisty telefon z jego gabinetu? – poprosiłem.

– Dobrze. – Zerwała się z miejsca z energią typową dla dziecka w słoneczne popołudnie.

Myszek ciężko wstał, z radością dotknął potężnym zaślinionym pyskiem mojej twarzy i poczłapał za Maggie.

Przez chwilę rozglądałem się bezradnie, a potem wytarłem twarz kołdrą i wyjąłem portfel, a kiedy okazało się, że jest pusty, zacząłem przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu drobnych.

Ubrałem się i zadzwoniłem ze spartańskiego, uporządkowanego gabinetu. Kiedy zamknąłem za sobą ciężkie drewniane drzwi, odgłosy telewizora w salonie oraz stukanie drewna o drewno dobiegające z podwórza niemal całkowicie ucichły.

– Mówi Dresden – odezwałem się, kiedy odebrał.

– Ojej.

– Potrzebuję twojej pomocy.

– W czym?

– W dobrej sprawie.

Sprawił wrażenie sceptycznie nastawionego.

– Aha, to jedna z tych spraw.

– Jest pewna urocza dziewczyna.

– Już mi się podoba.

– Nie możesz jej dostać – odparłem.

– To podoba mi się mniej.

– Wchodzisz w to czy nie?

– Zapłata jak zwykle – odrzekł.

– Wiesz, ile ukradłem klejnotów.

Parsknął.

– Więc poszukaj kogoś innego.

– Zabijasz mnie, człowieku.

– Ale tylko w dobrej sprawie. Opowiedz mi o tej dziewczynie.

Powiedziałem mu, gdzie może znaleźć Justine, i jak ona wygląda.

– Rozumiem, że to typowa femme fatale, prawda?

Uniosłem brew.

– Raczej... nie.

– Aha – mruknął.

– Ona taka nie jest.

– Klient ma zawsze rację. Jaki efekt chcesz osiągnąć?

Lekko zadrzałem. Dla niego nie miałyby żadnego znaczenia, czy poprosiłbym o jej uratowanie, czy zabicie. Ale im większe zdobywałem doświadczenie, tym częściej dochodziłem do wniosku, że potworne skłonności bądź ich brak są mniej istotne od tego, czy potwór dotrzymuje słowa.

Ten dotrzymywał.

– Dyskretny nadzór. Zadbaj o to, żeby nic złego jej się nie stało.

– Jestem szpiegiem czy ochroniarzem?

– Tak.

– Płaczesz się w zeznaniach.

Nic z tych rzeczy.

– Nic z tych rzeczy – odparłem z pewnością w głosie. – Po prostu... potrzebuję więcej informacji, nim zacznę działać.

– Aha – powtórzył, tym razem bardziej irytującym tonem. –

Przeciwnicy?

– Nieznani.

Przez chwilę milczał.

– Do ciebie – rzekł.

– Tak.

– Teraz.

– Tak.

– Tutaj.

– Tak.

– Świetnie – stwierdził.

– Jeśli będę miał jakieś łatwe zlecenie, zadzwonię do pośredniaka.

– Nie mieszam się w politykę – zaznaczył. – Działania w dobrej sprawie zazwyczaj takie nie są.

– To biorę na siebie – odparłem. – Skup się wyłącznie na dziewczynie... oraz dziecku. Ona jest w ciąży. Nie dopuść, żeby coś im się stało.

– No tak – odrzekł, jakbym właśnie ułatwił mu zadanie. – Jakieś zasady postępowania?

– Myślę, że powinienesz...

– To było podchwytliwe pytanie – przerwał mi i się rozłączył.

Zerknąłem na telefon.

Potem sięgnąłem do kieszeni, wyjąłem dolarowy banknot, który przeżył wizytę w pralni i zmienił się w miękką kawałek niby-drewna. Włożyłem go do koperty, a następnie zakleiliśmy ją i napisałem na wierzchu GREY różowym zakreślaczem. Schowałem kopertę do kieszeni.

To będzie prawdziwy kulek w serce.

Wstałem i wyszedłem z domu.

Butters był małym wiercipiętą – szybkim, skocznym, z błyskiem w oku.

Mężczyzna, który gonił go po podwórku Carpenterów, bardziej przypominał niedźwiedzia – olbrzymiego, potężnego i zbyt szybkiego jak na swoje rozmiary. Jego ogolona na łyso głowa miała kolor ciemnej czekolady i pokrywały ją kropelki potu, a blask palącego popołudniowego słońca przesadnie podkreślał mięśnie. Sania budową ciała przypominał futbolistę drugiej linii, a podczas walki z jego ust nie schodził szeroki uśmiech.

Na moich oczach obaj mężczyźni zmagali się ze sobą, trzymając w dłoniach kawałki drewna przypominające kształtem miecze samurajów. Butters trzymał swój oburącz wysoko nad głową. Był ubrany w sportowe gogle, podkoszulek bez rękawów i obcisłe treningowe spodnie. Wyglądał jak bohater starego filmu kung-fu – umięśniony, ale zarazem cienki jak ostrze brzozy i elastyczny, co zapewniało mu niezwykłą szybkość reakcji.

Sania, ubrany w znoszone niebieskie dzinsy i buty do jazdy na motocyklu, jedną ręką zakręcił nad głową treningowym mieczem i

przybrał postawę szermierczą z wolną ręką wyciągniętą za plecami, trzymając się nieco poza zasięgiem własnego ciosu.

– Poruszasz się znacznie swobodniej – zagrzmiął z wyraźnym rosyjskim akcentem.

– Ale nie szybciej – odparł Butters.

Jego drewniany miecz rozmazał się w powietrzu, opadając ku Sani. Ten sparował uderzenie, choć miał taką przewagę masy, że zapewne nie musiał. Jego kontra ześlizgnęła się po rękojeści miecza Buttersa, tak szybko, że trafiła go w kciuk. Waldo wrzasnął i odskoczył do tyłu, potrząsając dłonią, ale nie upuścił broni.

– Swoboda niemal zawsze jest lepsza od szybkości – rzekł Sania, cofając się i unosząc dłoń, żeby zasygnalizować przerwę w treningu. – Swoboda wynika z umiejętności technicznych. Elegancji. Pozwala ci myśleć podczas walki.

– To takie ważne? – spytał Butters.

– Najważniejsze – odparł Sania. – Walka to najmniej cywilizowana czynność, jakiej możemy się oddawać. Nasz umysł nie jest do niej przystosowany. Doświadczyłeś tego, da?

– Tak. To coś przerażającego.

– Da – zgodził się Sania. – Niełatwo zdać egzamin, gdy jakaś cuchnąca istota trzyma twoją głowę pod swoją cuchnącą pachą. – Ostrożnie oparł miecz treningowy o ścianę warsztatu Carpenterów, a następnie wziął do ręki starą, zużytą szablę kawaleryjską o rękojeści owiniętej drutem, tkwiącą w podniszczonej skórzanej pochwie. – Trudno jest myśleć podczas walki. – Dźgnął palcem jeden ze swoich bicepsów. – Mięśnie mogą być użytecznym narzędziem albo balastem. – Dźgnął palcem swoje czoło. – Ale tutaj kryje się najgroźniejsza broń.

Butters przez chwilę przyglądał się znacznie potężniejszemu mężczyźnie.

– Owszem, każdy ją ma.

– Otóż to – zgodził się Sania. – Ziemia to niebezpieczne miejsce. A ludzie to niebezpieczne zwierzęta. – Uśmiechnął się lubieżnie. – Bądź bardziej ludzki od przeciwnika. Weź do ręki Miecz.

Butters uniósł brew.

– Na pewno chcesz się nimi bawić? Nie zapewniają żadnego marginesu błędu.

– W życiu nie mamy marginesu błędu – odrzekł Sania spokojnie.

Dobył starej szabli. Chociaż była zużyta, jej ostrze lśniło efektownie w świetle dnia. Esperacchius, Miecz Nadziei, zaśpiewał pogodną, cichą pieśń mocy, którą poczułem na twarzy i piersi jak promienie słońca.

– Stary – szepnął Butters. Podszedł do leżącej na ziemi torby i sięgnął do środka. – Nie jestem pewien, co on zrobi z Esperacchiusem.

Sania roześmiał się donośnie.

– Ja też nie. Ale nie trać wiary.

Butters zmarszczył czoło.

– Ale co, jeśli...?

Rosjanin pokręcił głową.

– Jeśli istnieje jakiś miecz, któremu mój nie może się przeciwstawić, muszę o tym wiedzieć.

– Co się stało z nietraceniem wiary? – spytał Butters.

Sania posłał mu skonsternowane spojrzenie, ale po chwili znów się uśmiechnął.

– Powiedzmy, że nie mam nic przeciwko wierze, gdy brakuje nam wiedzy – odrzekł. – Ale wiedza też jest dobra, da?

– Da – odpowiedziałem stanowczo.

Obaj mężczyźni obejrzeni się, ale nie zdziwiła ich moja obecność. Po prostu byli zajęci. Butters kilkakrotnie podrzucił w dłoni rękojeść Fidelacchiusa i zmarszczył czoło.

– Jesteś pewien?

– Warto się dowiedzieć, prawda? – spytałem. – Na świecie jest mnóstwo zaklętych mieczy. Bardzo długo pozostawały najważniejszym rodzajem oręża. Z tego, co mi wiadomo, proces wypełniania Mocą tych kawałków stali został całkiem dobrze zoptymalizowany. Jeśli to, co stało się z Mieczem Wiary, stanowi istotną zmianę, a nawet rewolucję, powinniśmy to sprawdzić.

– Nie chcę, żeby Bóg na mnie nakrzyczał, jeśli popsuję jego sprzęt. – Butters westchnął.

– Zakładając, że istnieje – odparł Sania.

Butters posłał mu obojętne spojrzenie.

– Bardzo dziwny z ciebie człowiek.

– Da – zgodził się Sania wesoło. Potem ze skupioną miną podniósł Miecz. – En gardę.

Butters się skrzywił, ale przyjął postawę szermierczą i uniósł Fidelasschiusa. Potem rozejrzał się ostrożnie, upewniając się, że nikt z sąsiadów go nie obserwuje.

– Ale tylko przez chwilę. Dobrze?

– Da, da – odrzekł Sania.

Butters skinął głową z ponurą miną, a potem rozległ się szum płynącej energii i błysnęło światło, gdy lśniące ostrze Miecza Wiary wysunęło się z pękniętej rękojeści. Butters uniósł je nad głowę, a każdemu ruchowi miecza towarzyszyły łagodnie falujące widmowe chóralne zaśpiewy.

– Zawsze trzymasz gardę wysoko – zauważył Sania.

– Wszyscy są ode mnie wyżsi – odparł Butters.

A potem zamachnął się Mieczem Wiary na rękę Sani.

Sania płynnie sparował, przeciwstawiając swojemu rywalowi siłę stali Miecza oraz swojej ręki.

Błysnęło światło, jak refleks słońca w lusterku przejeżdżającego samochodu, a widmowy chóralny zaśpiew na chwilę zwiększył głośność i intensywność. Ze stali trysnęły iskry, a miejsce zetknięcia się ostrzy rozjarzyło się białym, czystym światłem, jakiego być może nie widziano od miliardów lat. Niewykluczone że od chwili, gdy Ktoś powiedział: „Niech się stanie światłość“.

Potem walczący się rozdzielili. Sania wyciągnął ostrze w bok i uważnie mu się przyjrzał, ale stał wciąż lśniła w taki sam sposób.

Butters zmarszczył czoło. Potem zwrócił się w stronę starego pniaka stojącego na podwórzu, który wciąż nosił na sobie ślady po przytwierdzonym do niego kowadle. Mniej więcej połowa kowadła została odcięta pod kątem. Butters przez chwilę się w nie wpatrywał, a potem wziął płytki wdech i zamachnął się Mieczem Wiary. Ostrze zawyło, trysnęła fontanna iskier i skwierczący z gorąca kawałek kowadła o grubości talerza upadł na podwórze, gdzie od razu zapalił kępę wysuszonej letniej trawy. Butters wrzasnął, chwycił butelkę z

wodą i zgasił pożar, czemu towarzyszyło głośne syczenie, trochę tupania i niewielki obłok pary.

Na twarzy Sani tymczasem zagościł jeszcze szerszy uśmiech, a kiedy obejrzał się na Buttersa, jego oczy lśniły.

Waldo popatrzył na niego czujnie, a potem również się uśmiechnął.

– No tak – rzekł. – Dobrze.

Dwaj Rycerze bez słowa zaszarżowali na siebie nawzajem, wznosząc Miecze nad głowę.

Ostrza ponownie się zderzyły, ale tym razem walka przebiegała inaczej. To nie Sania dominował – przewaga należała do Buttersa. Esperacchius żądlił i wirował z niezwykłą płynnością, ale chociaż Sania był szybki, jego stalowy miecz nie był pozbawiony wagi.

Co innego Fidelacchius, Miecz Wiary.

Butters atakował zaciekle, nie odpuszczając Rosjaninowi ani na chwilę, gdy już zmusił go do odwrotu. Sania cofał się, parując i kontrując, gdy tylko mógł, ale nacierający Butters rzadko dawał mu ku temu okazję.

Potężny Rosjanin potknął się o wiadro stojące obok kranu z wodą, przetoczył się po ziemi i w ostatniej chwili zerwał się na nogi, by zablokować Esperacchiusem ostrze Miecza Wiary. Parsknął śmiechem, widząc, że Butters nie przestaje nieustępliwie nacierać. Błyskawicznie poruszał szablą, ograniczając się wyłącznie do obrony.

– To niesprawiedliwe! Cudownie!

Butters roześmiał się w odpowiedzi, a kiedy to zrobił, Sania uciekł się do podstępu. Wyższy z Rycerzy kopnął mniejszemu w twarz kępą trawy, wybijając go z rytmu. Następnie zaryzykował i zdecydowanie ruszył do przodu z idealnym wyczuciem czasu. Zbliżył się do Buttersa, osłaniając się ostrzem i zamachnął się na jego głowę wolną ręką.

Nie docenił szybkości przeciwnika. Butters poruszał się instynktownie, a lśniące ostrze jego miecza uderzyło z boku.

Prosto w nadgarstek Sani.

Olbrzym wrzasnął i padł na kolana, zginając się w pół.

– Sania! – wykrzyknął Butters.

Przez chwilę przypatrywał się Iśniącemu mieczowi przerażonym wzrokiem, a potem go upuścił. Ostrze zgasło i zniknęło, gdy tylko rękojeść odbiła się od trawnika. Waldo podbiegł do swojego potężnego kompana.

Odwróciłem się w stronę domu i ryknąłem: – Potrzebny lekarz!

Potem dołączyłem do Buttersa i Sani.

Olbrzym kołysał się w przód i w tył, mocno dygocząc, a na jego plecach i ramionach wyraźnie odznaczały się mięśnie.

– No tak, ostrzegali nas, ale nie posłuchaliśmy – mruknąłem. – Ile już widzieliśmy odciętych rąk?

– Wiem – odrzekł Butters przerażonym głosem. – Sania, stary, daj spokój. Pozwól mi rzucić okiem.

– Nic się nie stało – odpowiedział Sania przez zaciśnięte zęby. – Do walki szablą potrzebuję tylko jednej dłoni. Wciąż mogę być Rycerzem.

– Boże, ale ze mnie idiota – wyszeptał Butters. – Nie powinienem był dobywać tego ostrza, dopóki nie stoję naprzeciwko zła. Pokaż, stary.

– Nie obwiniaj się, Waldo – odrzekł Sania ponurym głosem. – Nie uważam się za chrześcijanina, ale podobają mi się ich pomysły dotyczące przebaczenia. Przebaczam ci, bracie.

Wstałem gwałtownie, skrzyżowałem ręce na piersi i uniosłem brew.

– Mój Boże, Sania – rzekł Butters. – To był wypadek. Tak mi przykro... – Nagle zmarszczył czoło. – Ejże.

Sania ryknął bulgoczącym śmiechem, który zrodził się gdzieś w okolicach jego palców u nóg, przetoczył przez brzuch i klatkę piersiową, a potem wylał ustami. Uniósł palce swojej „okaleczonej” dłoni i pomachał nimi radośnie.

– Och – westchnął Butters. – Och, ty palancie.

Sania wstał, nie przestając się śmiać, i przesunął dłonią po ogolonej głowie. Podszedł do odrzuconej pochwy na szablę. Z małego futerału na pasie wyjął szmatkę, wytarł ostrze i zręcznie wsunął je do pochwy.

– Tak właśnie myślałem.

– Co myślałeś? – spytałem.

Wzruszył ramionami.

– To była intuicja. Nie czułem zagrożenia ze strony tego miecza.

– Intuicja? – ostro spytał Butters. Przeczesał palcami potarganą czuprynę. – Na miłość boską, człowieku. Gdybyś się mylił...

– Ale się nie myliłem – zauważył Sania z uśmiechem.

Butters westchnął z rozdrażnieniem i chwycił rękojeść Fidelacchiusa, ale wciąż miał oszołomioną minę.

– Co się właściwie stało?

– Jak widać, nie udało ci się go skaleczyć – odrzekłem. – Pytanie brzmi: „dlaczego?”.

Rozejrzałem się po podwórzu. Raczej nie groziło nam, że ktokolwiek zobaczy, co robimy. Dzięki różnym krzewom zasadzonym wzdłuż płotu, kępom zarośli, potężnemu drzewu oraz wysokiemu ogrodzeniu na tyłach domu trudno było zajrzeć do środka. Michael wszystko zaplanował.

Zupełnie jakby ta myśl go przywołała, wyszedł tylnymi drzwiami, pośpiesznie kuśtykając i podpierając się laską. Niósł na ramieniu dużą apteczkę. Kiedy zobaczył naszą mowę ciała, zwolnił i posłał mi pytające spojrzenie.

– Sania sobie z nas zażartował – wyjaśniłem.

– Nie mogłem się powstrzymać. – Rosjanin zachichotał. – Takie z was wieśniaki.

Zdzieliłem go pięścią w ramię, a Butters w tej samej chwili kopnął go w pizczel. Sania tylko się roześmiał.

– Co się stało? – spytał Michael spokojnie.

Butters mu opowiedział.

– Hmm... – Michel uniósł brwi. – Czy kiedykolwiek dotykałeś ostrza miecza?

– Na Boga, nie – odrzekł Butters. – To znaczy... daj spokój. Po prostu nie.

– Ale już wcześniej raniłeś nim ludzi, prawda? – spytałem.

– Tak – zaczął Butters, ale szybko urwał. – Nie. Nie raniłem ludzi, tylko potwory.

Przez chwilę zastanawialiśmy się nad tym całą czwórka.

– No to go odpał – zaproponowałem. – Spróbujemy.

– Chyba nie ma innego wyjścia – stwierdził Butters.

Uniósł miecz, a ten zbudził się do życia z chóralnym zaśpiewem.

Nie wahając się ani chwili, Sania wyciągnął dłoń i wsunął ją w ostrze.

Nic się nie wydarzyło. Ostrze przeszło przez jego ciało i wyłoniło się z drugiej strony, jakby nic go nie blokowało.

– Dziwne – mruknął Butters. Lekko dotknął ostrza małym palcem, a potem również wsunął w nie całą dłoń. – Hmm, jest tylko trochę ciepłe.

Jako następny spróbował Michael, który spokojnie przesunął całą prawą dłonią przez ostrze.

– Ciekawe.

– Moja kolej – powiedziałem i dźgnąłem ostrze poblížnionym palcem wskazującym lewej dłoni.

Poczułem nieprzyjemne, ale znośne ciepło, jak podczas mycia naczyń w gorącej wodzie. Wyczuwałem surową energię miecza, który kipiał od nagromadzonego potencjału, jakby zakłęto w nim moc gwiazdy.

– Ale on wciąż przecina przedmioty – zauważyłem, wskazując przekrojone kowadło. – Zrobił to niecałe pięć minut temu.

Michael zacisnął usta. Potem popatrzył na mnie.

– Zachowanie energii.

Zmarszczyłem czoło i po chwili zrozumiałem, o co mu chodzi.

– No tak, na pewno masz rację. To ma sens.

Butters pokręcił głową.

– Co ma sens?

– Prawa wszechświata – wyjaśniłem. – Materii i energii nie da się stworzyć ani zniszczyć. Można je tylko przemieniać.

– Jasne – odrzekł Butters. – Ale co to ma wspólnego z Mieczem?

Zmarszczyłem czoło, próbując znaleźć dobre wytłumaczenie.

– Wszystkie Miecze mają... coś w rodzaju nadprzyrodzonej masy, prawda? Ona odzwierciedla ich moc i rolę w świecie. Zgadza się?

– Jasne – odpowiedział Butters powoli.

– Kiedy Miecz był podatny na uszkodzenie i Nicodemus złamał Fidelacchiusa, nie zniszczył go. Być może nie był w stanie tego zrobić. Może mógł go tylko przemienić. Gdyby dopisało mu

szczęście, zmieniłby go w coś bezużytecznego. Ale Miecze należą do najpotężniejszych artefaktów, z jakimi miałem do czynienia. Przedmioty o takiej mocy zazwyczaj trudno przemienić, tak jak trudno przesunąć obiekty o dużej masie.

– Chcesz powiedzieć, że Miecz się obronił – rzekł Butters.

– On chce powiedzieć, że kluczowym członem w nazwie Miecza Wiary nigdy nie był Miecz – stanowczo odpowiedział Michael.

Posłałem mu karcące spojrzenie.

– Chcę powiedzieć, że chociaż Miecz Wiary został złamany, jego nadprzyrodzona moc wciąż pełni tę samą funkcję – wspiera wiarę i broni bezsilnych przed złem. Kiedy... znajdował się w zmiennym stanie i był podatny na uszkodzenie, wciąż próbował dążyć do tego celu. Myślę, że gdy go dotknąłeś, Butters, zajrzał w twoje serce nerda i znalazł sposób na to, by dalej wypełniać swoją misję.

– Co takiego? – spytał Butters z niedowierzaniem, spoglądając na lśniące ostrze.

– Miecz popatrzył na ciebie i dostrzegł rycerza Jedi – odezwał się Sania refleksyjnym tonem. – Znalazł sposób na dalsze prowadzenie walki. Dlatego stał się mieczem świetlnym.

– Potężniejszym od prostego stalowego ostrza – dodał Michael. – Ale zarazem słabszym.

Pokiwałem głową.

– Ponieważ równowaga musi zostać zachowana. Nie mógł stać się ani silniejszy, ani słabszy.

– Teraz sięga głębiej do duchowego świata – ciągnął Michael. – A co za tym idzie, ma mniejszy wpływ na świat materialny.

Pokręciłem głową.

– Nie materialny, ale śmiertelny. Bez problemu przecina stal, natomiast nie wchodzi w reakcje z ludźmi.

– Jak odróżnia ludzi od potworów? – spytał Butters.

– Być może rezonuje z pewnymi rodzajami energii. Złe istoty zazwyczaj emanują negatywną energią – czarną magią. Możliwe, że miecz na nią reaguje. Nie mam pojęcia, jak to działa, ale być może ktoś mądrzejszy i lepszy ode mnie nie będzie miał takiego problemu.

– Odchyliłem się do tyłu i zatopiłem w myślach. W końcu

powiedziałem powoli: – Albo zastosujmy brzytwę Ockhama. Może miecz zna różnicę.

Michael zmarszczył czoło.

– Harry?

– Każdy z Rycerzy Poczerniałego Denara nosi przy sobie jeden ze srebrników Judasza z uwięzionym w środku upadłym aniołem – wyjaśniłem. – Wy jesteście ich... przeciwieństwem. Każdy z was nosi miecz wykonany z pomocą jednego z gwoździ z Krzyża... – Wykonałem zachęcający gest ręką.

– Z aniołem w środku – rzucił Butters.

W naszym małym kręgu zapadła oszołomiona cisza.

– Równowaga – dodałem. – Myślę, że miecz po prostu to wie.

– Mój Boże – szepnął Butters. – Kiedyś przypadkowo wsadziłem go do prania.

Sania roześmiał się donośnie.

Michael ponownie dotknął ostrza Fidelacchiusa, tym razem z większą czcią.

– Aniołom nie wolno interweniować w sprawy ludzi i wpływać na ich wolną wolę – stwierdził. – Jeśli masz rację, Harry... to świetne ostrze jest bezpośrednim wyrazem woli anioła. Nie może naruszać wolnej woli śmiertelnika. Może tylko walczyć ze złymi istotami, które same tego pragną.

– Ludzie też mogą być źli – odrzekł Butters. – Czy miecz pociąłby Chucka Mansona?

– Ludzie mogą być źli albo dobrzy – odpowiedział Michael. – Mają wybór. To jedna z rzeczy... które czynią nas ludźmi. – Pokręcił głową. – Przez lata nauczyłem się wyczuwać obecność zła. Prawdziwa ciemność bardzo się różni od zwykłego gniewu, terroru czy chciwości, od żądzy zemsty. Spotkałem tylko garstkę śmiertelników, którzy byli naprawdę źli. Nicodemusa i jemu podobnych.

Pokiwałem głową.

– Anioły są istotami absolutnymi. Według ich standardów trudno być wyłącznie złym albo dobrym. Właśnie dlatego tak bardzo lubią Michaela.

Michael wzruszył ramionami i pokiwał głową.

– A więc... – zaczął Butters. – Co z tego wynika?

– Twój Miecz będzie bezużyteczny przeciwko śmiertelnikom – odpowiedziałem cicho. – Lepiej niż kiedykolwiek sprawdzi się przeciwko potworom, ale jeśli któryś z nich wynajmie śmiertelnego osiłka, ten rozsmaruje cię po suficie.

Sania poklepał Buttersa po ramieniu, przepychając go o kilkanaście centymetrów.

– Najwyższy czas kupić kałasznikowa – zasugerował.

– Fantastycznie – mruknął Butters. Schował miecz i westchnął. – Czy powinniśmy... z nim porozmawiać albo coś w tym stylu? Mam wrażenie, że byłem dla niego bardzo niemiły.

– Dobre maniery nigdy nie zaszkodzą – odrzekłem.

– Wyczytałeś to w jakiejś książce, magu? – spytał Sania niewinnym głosem. – Może bardzo dawno temu?

– Jeśli anioły wnikają w ostrza mieczy, to robią to już od dawna – Michael pocieszył Buttersa. – Na pewno rozumieją nasze ograniczenia.

– Ale przecież by nam o tym powiedziały? – spytał Butters. – No cóż... sprawa wydaje się poważna. Na pewno dałyby nam znać, prawda?

Michael wzruszył ramionami.

– Uriel zazwyczaj niechętnie udziela informacji. Toczy wojnę. Najważniejszą z wojen. To wymaga od niego dyskrecji.

– Ale dlaczego? – spytał Sania. – Co by to zmieniło, gdybyśmy wiedzieli?

Wzruszyłem ramionami.

– Hej, ja tylko próbuję ustalić, dlaczego Butters ma miecz z bezpiecznikiem.

Butters się rozpogodził.

– Rzeczywiście tak to wygląda – przyznał.

– Ja pozostanę przy stali – odrzekł Sania. – Oraz ołowiu, rzecz jasna.

Zerknąłem na słońce.

– Na dzwony piekieł. Muszę się zbierać. Dzisiaj wieczorem odbywa się przyjęcie rozpoczynające rozmowy pokojowe.

– Czego od nas oczekujesz, Harry? – spytał Butters.

Zastanawiałem się przez chwilę, a potem położyłem dłoń na jego ramieniu.

– Wciąż działam po omacku. Ale wy jesteście Rycerzami Krzyża. Jeśli coś wymyślę, przekażę wam szczegóły. Do tego czasu róbcie swoje i miejmy nadzieję, że wszystko wyjdzie w praniu.

Butters popatrzył na mnie niepewnie.

– Da, dobry plan – odrzekł Sania. Klepnął mnie w ramię tak mocno, że przydałaby mi się wizyta u kręgarza. – Dresden częściej pomagał Rycerzom w ich pracy niż wy. To dobry plan. Mag wie, o czym mówi.

– Wcale nie – odrzekłem. – Właśnie w tym problem.

– Ale wiesz, że tego nie wiesz – zauważył Michael. – To oznaka mądrości.

Parsknąłem.

– Jeśli świadomość własnej ignorancji ma być oznaką mądrości, to jestem jak cholerny Salomon, Walter Cronkite i sędzia Judy w jednym.

Sania uniósł dłonie i ułożył z nich ramkę, przez którą popatrzył na moją twarz jak fotograf.

– Zawsze uważałem, że najbardziej przypominasz Judy.

Pożegnałem się z Rycerzami, byłymi i obecnymi, pogłaskałem Myszka, uściskałem Maggie, powiedziałem jej, że ją kocham, i poprosiłem, żeby była grzeczna, a następnie wyszedłem.

Czas na przyjęcie.

O osiemnastej odbyliśmy nudne formalne zebranie, przyjęcie rozpoczęło się dokładnie o dziewiętnastej trzydzieści, ale nikt nie pojawił się do dwudziestej, a biedna delegacja ciemnych elfów przez pół godziny zapewne zastanawiała się, czy trafiła pod niewłaściwy adres.

Nie potrzebowałem wskazówek. Przyjęcie odbywało się w siedzibie głównej Stowarzyszenia Jaśniejszej Przyszłości, niewielkim, ale prawdziwym zamku, który Gentleman Johnnie Marcone sprowadził drogą lotniczą ze Szkocji, kamień po kamieniu, i odbudował w miejscu, w którym kiedyś stał pewien pensjonat.

Mój dawny dom.

Zniszczony.

Spalony.

Tęskniłem za nim.

Jechałem znajomymi ulicami, które prowadziły do mojego dawnego domu, i czułem ból w piersi. Potem zobaczyłem zamek i moje głupie serce zrozumiało, ponownie, że domu już nie ma.

To nie był zamek w stylu tych, które można zobaczyć w Disney World. Zbudowano go na poważnie, z kamiennych bloków, w których widniały wąskie, zakratowane okna zaczynające się dopiero od drugiego piętra. Zamek przycupnął na działce jak tłusta żaba na liściu lili wodnej. Ściany były oddalone o niecałe dwadzieścia centymetrów od chodnika, przez co górował groźnie nad przechodniami, mimo że miał tylko trzy kondygnacje.

Pasował do estetyki mojego dawnego sąsiedztwa jak meksykański zapaśnik do wiktoriańskiego przyjęcia.

Dziś wieczorem w zamku zapalono reflektory i snopy złocistego światła tańczyły na kamiennych murach. Kiedy zapadnie zmrok, zamek Marcone'a będzie wyglądał, jakby trzymał latarkę pod brodą. Obsługa w czerwonych marynarkach parkowała samochody. Zostawiłem swoje auto na ulicy. Wolałem wiedzieć, gdzie ono jest i jak do niego wrócić.

Przez kilka minut siedziałem za kierownicą, obserwując przyjeżdżające i odjeżdżające samochody, aż w końcu pojawiły się dwie białe limuzyny ze złotymi zdobieniami na bokach. Zatrzymały się przed zamkiem, a obsługa mszyła do akcji, otwierając drzwi i podając ręce.

Wysiadłem z samochodu niemal w tym samym momencie, co mój dziadek. Miał na sobie oficjalny strój, powłóczytą ciemną szatę maga z fioletową etolą zwieszającą się z ramion. Ze względu na krępą budowę ciała i szerokość muskularnych ramion, wyglądał w tym stroju jak wańkawstańka. Zgolił zwyczajową obwódkę srebrnych włosów, dzięki czemu wyglądał młodziej, a w prawym ręku trzymał laskę.

Ebenazar przyjrzał się zamkowi spod przymrużonych powiek, a potem rozejrzał się energicznie i skinął głową, gdy mnie zobaczył.

– Hoss – odezwał się.

– Witam.

Odwrócił się, żeby pomóc wysiąść kolejnej osobie, a ja obejrzałem się na drugą limuzynę. Pośpiesznie wysiedli z niej Ramirez i jego ludzie, którzy spokojnie zajęli obronne pozycje wokół pierwszego samochodu. Carlos grzecznie skinął głową, gdy mnie mijał.

Zobaczyłem wysoką, krzepką kobietę o ciemnej skórze i gęstych srebrnych włosach, która machnęła ręką, odrzucając wyciągniętą dłoń Ebenezara. A kiedy to nie poskutkowało, wyjęła z auta kulę i dźgnęła nią mojego dziadka w brzuch.

– Nie jestem wędnącym fiołkiem, Ebenezarze McCoy. Odsuń się.

Dziadek wzruszył ramionami i spokojnie cofnął się o krok, podczas gdy Martha Liberty z wysiłkiem wysiadła z limuzyny. Ona także była ubrana w czarną szatę z fioletową etolą, ale oprócz tego miała na prawej nodze staroświecki biały gips, który najwyraźniej unieruchamiał jej kolano. Nie znałem jej zbyt dobrze, ale zawsze uważałem ją za surową, krytykancką i mniej więcej uczciwą. Wyjęła nogę z auta, postawiła kule na chodniku i wstała, trzymając niesprawną kończynę nieco nad ziemią.

Zerknęła na mnie i skinęła głową.

- Strażniku Dresden.
- Pani radna – odpowiedziałem grzecznie, odwzajemniając gest.
- Przepraszam bardzo – dobiegł męski głos z wnętrza limuzyny.
- Chciałbym dogadać się z Etrim, zanim ten zdąży się nakręcić.

Martha Liberty odsunęła się, wypuszczając z samochodu Cristosa w identycznej szacie z etolą. Nowo mianowany starszy członek Rady miał gęste, przyprószone siwizną włosy, które zaczesane do tyłu opadały mu na kołnierzyk. Pod oficjalną szatę włożył drogi garnitur, był ponadprzeciętnie wysoki i muskularny i zapewne miał ponadprzeciętne związki z Czarną Radą. Wymienił obojętne spojrzenia z Ebenezarem, skinął sztywno głową do mnie i pośpiesznie ruszył w stronę wejścia do zamku.

– Zawsze mu się śpieszy – odezwał się ktoś w limuzynie. – Cześć, Hoss Dresden. Podaj rękę staruszkowi.

Uśmiechnąłem się, podszedłem do auta i chwyciłem dłoń Słuchającego Wiatru. Był jednym z najstarszych i najbardziej lubianych członków Rady. Jako rdzenny Amerykanin i szaman widział upadek swojego ludu oraz narodziny nowego świata i przeżył je z podniesioną głową. Miał skórę koloru przydymionej miedzi, pokrytą mapą zmarszczek. Jego srebrne warkocze wciąż były grube, a ciemne oczy lśniły jasno na pobrużdżonej twarzy. Miał na sobie taki sam strój jak pozostali, chociaż nie zamienił sandałów na oficjalne obuwie.

– Miło cię widzieć – odrzekłem szczerze.

Słuchający Wiatru uścisnął moją dłoń i posłał mi zmęczony uśmiech.

– Ciebie także. Wyglądasz lepiej niż ostatnim razem, gdy się widzieliśmy. Jesteś swobodniejszy.

– Może trochę – przyznałem.

– Mamy tutaj wspólnego przyjaciela – stwierdził. – Ale nie przepada za tłumami. Może w którymś momencie razem mu pomożemy.

– Jasne – odrzekłem. – Eee, kto to jest?

– Ha – mruknął. – Idziemy, Mattie?

Martha Liberty uśmiechnęła się i oboje pewnym krokiem ruszyli w stronę zamku.

Ebenezar stanął obok mnie i odprowadził ich wzrokiem.

– Stary dobry Słuchający Wiatru – odezwał się. – Uwielbia swoje żarty. – Odchrząknął i zawołał: – Strażnicy, do mnie!

Ramirez do nas podszedł i dał znak pozostałym, którzy również dołączyli.

– No dobrze, ludzie – rzekł Ebenezar. – Pamiętajcie, że to przyjęcie zorganizowano w zgodzie z zasadami Przymierza. Obowiązuje prawo gościnności, więc oczekuję, że będziecie go skrupulatnie przestrzegali. Zrozumiano?

Rozległ się pomruk aprobaty.

– Jednocześnie nie zakładajcie, że inni będą równie praworządni. Miejcie oczy szeroko otwarte.

– A jeśli zauważymy coś podejrzanego? – spytał Dzik Bill.

– Trzeźwo oceńcie sytuację – odrzekł dziadek. – Pamiętajcie, że w pomieszczeniu będzie się znajdowała Mab, która potrafi skutecznie dopilnować przestrzegania zasad Przymierza.

Prychnąłem.

– Ona bierze do siebie wszelkie naruszenia prawa.

Młodszy Strażnicy wymienili niepewne spojrzenia.

– Najmądrzej będzie bezwarunkowo przestrzegać Przymierza i prawa gościnności – dodał Ebenezar. – Jeśli nie złamiecie przepisów jako pierwsi, będziemy mogli powołać się na prawo do uzasadnionej samoobrony.

– Jeżeli będziemy czekali, aż to wróg jako pierwszy złamie przepisy, możemy nie zdążyć się obronić – zauważył Ramirez.

– Nikt nie mówił, że będzie łatwo – odparłem. – Jedynie, że się wzbogacimy.

Rozległy się zduszone śmiechy. Strażnicy byli podle opłacani.

– Spokojnie, panowie – rzuciłem. – Uwierzcie mi, że wszyscy pozostali tak samo boją się narazić Mab. Bądźcie czujni i grzeczni, a przed dziesiątą wrócimy do domu.

– Strażniku Ramirez – odezwał się Ebenezar.

– Słyszeliście, co powiedział, ludzie. – Ramirez westchnął. – Wmieszajmy się w tłum.

Technicznie rzecz biorąc, to nie była moja pierwsza wizyta w małej fortecy Marcone'a, ale po raz pierwszy pojawiłem się tutaj fizycznie. Podczas ostatnich odwiedzin byłem martwy albo prawie martwy, albo w śpiączce, i wysłałem swojego ducha czy coś w tym rodzaju.

Staram się nie wchodzić w szczegóły.

Ale kiedy podszedłem do drzwi wejściowych, uderzyły mnie dwie rzeczy: Po pierwsze, przytwierdzona do ściany skromna tabliczka z brązu ze słowami STOWARZYSZENIE LEPSZEJ PRZYSZŁOŚCI, które wypisano dwucentymetrowymi literami. Po drugie, fakt, że moje magiczne zmysły zostały porażone mocą obronnych zaklęć, które najwyraźniej wbudowano w każdy kamień zamku. Musiałem na chwilę przystanąć i postawić delikatną mentalną osłonę, żeby obronić się przed tą nieznaną mocą. Miałem wrażenie, że inni magowie zrobili to samo.

Ktokolwiek zbudował to miejsce, zainstalował w nim zabezpieczenia co najmniej tak silne, jak te w siedzibie głównej Białej Rady w Edynburgu. Mógłbym atakować to miejsce czarami przez cały zakichany dzień, a dałoby to tyle, co rzucanie piaskiem w metalową płytę. Zamek był równie dobrze zabezpieczony przed duchowym wtargnięciem, a wejście było możliwe tylko przez silnie strzeżone drzwi, które znacznie uszczelniono od czasu, gdy wślizgnąłem się otwartym wejściem w niematerialnej formie.

Teraz nic nie mogło przedostać się do środka. Zamek był cholernie skutecznym punktem obronnym.

Albo pułapką, dodała podejrzliwa część mojej natury, ponieważ nic się z niego nie wydostanie.

– Ha – odezwał się Ebenezar, patrząc na zamek spod przymrużonych powiek. – To stara konstrukcja. Naprawdę stara.

– Myślisz, że to dzieło naszych ludzi? – spytałem.

– Nnn – odrzekł, co oznaczało, że tak nie uważa. – Może to Tylwyth Teg. Albo nawet Tuatha.

– Tuatha?

Jeden z kącików ust staruszka się uniósł, a w oczach pojawiły się zaduma i aprobata.

– To odwieczni wrogowie Fomorów – wyjaśnił.

– Aha – odrzekłem. – Zatem to deklaracja.

– Stowarzyszenie Lepszej Przyszłości? – spytał Ramirez, spoglądając na plakietkę.

– M... Baron Marcone, Biały Dwór i użytkownicy paranetu w ostatnich latach zawiązali w Chicago sojusz przeciwko Fomorom – wytłumaczyłem. – Zaginęło zbyt wiele dzieciaków.

Dziki Bill spochnurniał.

– Więc zwrócili się o pomoc do przestępców i Białego Dworu?

Wyprostowałem się i powoli odwróciłem w stronę Dzikiego Billa.

– Porywano ich dzieci. A my im nie pomagaliśmy.

Dziki Bill szybko odwrócił wzrok. Zapadła niezręczna cisza.

– Przyczyną tych rozmów jest próba cofnięcia licznych błędnych decyzji – rzekł Ebenezar znużonym tonem. – Chodźcie, dzieci. Bierzmy się do pracy.

Wszedłem do środka u boku staruszka. Za drzwiami znajdował się przedsionek, w którym grzecznie przywitał nas przystojny młodzieniec o pochodzeniu tak mieszanym, że nie dało się go przypisać do konkretnego kontynentu, choć można by użyć określenia „śródziemnomorskie“. Miał rozjaśnione blond włosy i niepokojące oczy, w których mieszały się kolory metalicznego złota i dojrzałego bluszczu. Był ubrany w szary jedwabny garnitur, na którym nie było widać żadnych śladów ukrytej broni. Już kiedyś mu się przyglądałem, gdy byłem martwy. To był jeden ze specjalistów Marcone'a i nazywał się Childs.

Obok niego spokojnie stał owczarek niemiecki w prostej czarnej nylonowej uprzęży z rączką.

– Witaj, Childs – odezwałem się. – Jak ci idą sztuczki? – Wyciągnąłem rękę do owczarka, który grzecznie ją powąchał, a następnie popatrzył na mnie ze spokojem i profesjonalizmem, o jakich mogłem tylko pomarzyć.

– Dobry wieczór, panie i panowie – odezwał się mężczyzna uprzejmie. – Czy my się znamy?

– Spotkaliśmy się już kiedyś, Childs – odrzekłem. – Po co ten pies?

Popatrzył na mnie z wyraźnie speszoną miną.

– Mój pracodawca najbardziej obawia się tego, że ktoś mógłby dzisiaj wnieść do środka materiały wybuchowe – wyjaśnił spokojnie.

– No tak. Byłoby do dupy, gdyby wszystko wyleciało w powietrze i spłonęło – zgodziłem się. – Wiem z doświadczenia. – Być może wyszczerzyłem zęby, mówiąc te słowa.

– Hoss – łagodnie skarcił mnie Ebenezar.

Childs przełknął ślinę, co w tej sytuacji zapewne przyszło mu z trudem, ale posłał nam uprzejmy uśmiech.

– Życzę państwu miłego wieczoru.

– Dzięki... – mruknął Ebenezar i ciężkim krokiem wszedł do środka.

Pozwoliłem, żeby młodszy Strażnicy podążyli za starszym, a sam zabezpieczałem tyły.

– Dobra robota – odezwałem się do psa, kiedy go mijalem. Wskazałem kciukiem Childsa. – Upewnij się, że później dostanie smakołyk. Jest takim gentlemanem.

Owczarek po psiemu przekrzywił głowę i uderzył ogonem o nogę Childsa. Agent uśmiechnął się do mnie kwaśno i wymownie skupił uwagę na drzwiach wejściowych.

Przeszliśmy do głównego holu. Zamek wyglądał tak, jak go zapamiętałem: ponure mury bez tynku ani farby, zbudowane z grubo ciosanych bloków wielkości ludzkiego tułowia. Co kilka kroków drogę oświetlały tkwiące w lichtarzach świece, które wydzielały woń wosku oraz delikatny kwiatowy aromat. Na ścianach nie było żadnych ozdób, a moc zaklęć obronnych była tak silna, że czułem mrowienie w podszwach stóp.

Ramirez obejrzał się na mnie przez ramię.

– Żadnych strażników.

– Nie licz na to – odrzekłem. – Marccone ma w gotowości pluton Einherjaren. Pamiętasz?

– No tak – rzucił Ramirez ponuro. – Ci goście.

– Jacy goście? – spytał Dziki Bill.

– Duchy wikingów o wielowiekowym doświadczeniu w sztuce wojennej wszelkiego rodzaju – wyjaśniłem. – Ci sami, którzy walczą i uczują w Walhalli. Nie boją się śmierci. Mają w tej kwestii doświadczenie.

– Możesz ich uznać za najniebezpieczniejszych śmiertelnych wojowników na świecie – warknął Ebenezar. – Tacy właśnie są. Postaraj się mieć z nimi jak najmniej do czynienia. Wielu z nich to berserkerzy, których lepiej zostawić w spokoju.

Ramirez uniósł brew, pokiwał głową i ponownie zamilkł. Po chwili skręciliśmy za róg i korytarzem w naszą stronę popłynęła muzyka dobiegająca zza otwartych na oścież podwójnych drzwi, za którymi jaśniały światła.

Ebenezar podniósł na mnie wzrok i nastroszył posiwiałe brwi.

– Hoss. Wszystko w porządku?

Wzięłem się w garść, próbując nie zdradzać emocji.

– Kiedy ostatnio byłem na takim przyjęciu, wszystko poszło nie tak – odpowiedziałem.

– Ha – mruknął staruszek. – Miałem tak samo. Po prostu pamiętaj, czego cię nauczyłem.

– Nigdy nie zaczynaj bójki, ale zawsze ją kończ.

– Nie o to chodzi.

– Ściel łóżko i wykonuj prace domowe?

– Nie.

– Coś tam, coś tam, nie pozwól, żeby zobaczyli, że się pocisz.

Na pomarszczonej twarzy staruszka na chwilę zagościł uśmiech.

– Blisko.

Chwycił grubą laskę i ruszył w stronę tłumu.

Wzięłem głęboki wdech.

Potem podążyłem za nim.

Pokażną część parteru w zamku Marccone'a zajmowała ogromna sala balowa.

Pomieszczenie oświetlono kawałkami lśniącego kryształu osadzonego w lichtarzach. O ile się nie myliłem, było to dzieło Małego Ludku: odłamki białego kwarcu – które same w sobie mogą stanowić silną ochronę przed mroczną magią, gdy są właściwie dostrojone – zabarwione na delikatny odcień wiosennej zieleni i żółci. Od razu zwróciły moją uwagę. Ręka Letniego Dworu była tutaj wyraźnie widoczna.

Baron Marccone najwyraźniej przekonał ich, by udzielili mu wsparcia.

Gdzieś niedaleko rozbrzmiewała muzyka, grana na żywo, być może w jakiejś niszy skrytej za zasłonami. Nie rozpoznawałem kompozytora tego kameralnego utworu na orkiestrę, a więc zapewne nie był to Vivaldi. Mogłem tylko zgadywać, że pewnie chodziło o jednego z Niemców. Ktokolwiek grał, nie był człowiekiem. Muzyka była zbyt precyzyjna i ułożona, jakby pojedynczy umysł grał na wszystkich instrumentach, a drżące nuty idealnej harmonii przywoływały odwieczny czar muzyki, który nie ma nic wspólnego z magią. Jeśli to nie dzieło sidhe, byłem gotów zjeść własny krawat, a zabójcza precyzja muzyków wskazywała na udział Dwom Unseelie.

Grali na przyjęciu u Marccone'a. Nie robili takich rzeczy dla zabawy – z pewnością spłacali jakiś dług.

Przypomniałem sobie skarbiec w piwnicy pod bankiem Marccone'a, w którym trzymał depozyty powierzone przez co najmniej kilkanaście nadprzyrodzonych nacji. Ile wydał kwitów? Ile prawdziwie przerażających istot miało wobec niego zobowiązania?

Zmarszczyłem czoło. Złodziejski baron z Chicago stawał się coraz bardziej kłopotliwy.

A najgorsze było to, że mieszkańcy mojego miasta przynajmniej częściowo na tym zyskiwali. Chociaż wyrządzał tyle krzywdy na świecie, ludzie Marccone'a przeciwstawili się Fomorom, gdy ci zaatakowali Chicago.

Tłum gości oszałamiał i potrzebowałem chwili, by wszystko przyswoić.

Sufit i ściany ozdobiono różnobarwnymi płachtami jedwabiu, które zwieszały się z góry, imitując wnętrze olbrzymiego namiotu, w jakim starożytne armie negocjowały na polu bitwy. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że liczne barwy i wzory odzwierciedlały poszczególne nacje należące do Przymierza. Rozmieszczono je subtelnie, by goście rejestrowali je wyłącznie podprogowo. Ale oczywiście tutaj wszyscy uważnie się rozglądali. Przyjrzałem się kolorom i wzorom na jedwabiu i zrozumiałem ich znaczenie.

Nasz gospodarz przygotował dla nas miejsca do siedzenia.

A raczej...

Linie frontu.

Srebrne i onyksowe tkaniny zdobione geometrycznymi liniami zwieszały się w tle zacisznego zakątka, w którym ustawiono meble mistrzowsko wykonane z... czegoś, co wyglądało jak drewno w naturalnym kolorze kości słoniowej zdobione srebrem. Na krześle o wysokim oparciu siedział król ciemnych elfów Etri, który przybrał swoją drobniejszą naturalną formę. Szara skóra i olbrzymie czarne oczy wyraźnie odznaczały się na tle zasłony. Miał na sobie nieskazitelny garnitur ze srebrnego jedwabiu w czarne prążki, a w prawej dłoni trzymał lśniąca srebrną laskę.

Etri sprawiał wrażenie zdecydowanego i wyczerpanego. Zmarszczył szerokie czoło, najwyraźniej słuchając starszego członka Rady, Cristosa, który siedział na sąsiednim krześle. Mag przybrał pojednawczą pozę – nachylił się lekko z rozpostartymi dłońmi i cicho przemawiał do przywódcy ciemnych elfów.

Siostra Etriego, Evanna, siedziała tuż obok, ubrana w elegancki czarny kostium, a delikatne srebrzysto-białe włosy spływały na jej ramiona jak płynny metal. Jej czoło przecinała metalowa opaska odbijająca kolory, jakich nie było w pomieszczeniu. Zerknęła w moją stronę i podejrzliwie zmrużyła ciemne oczy.

Pięciu wojowników Etriego dyskretnie rozstawionych za plecami rodzeństwa również zwróciło w moją stronę ciemne oczy. Ich podejrzliwość była namacalną siłą.

– Na co oni się gapią? – mruknął Dziki Bill.

Yoshimo delikatnie położyła dłoń na jego przedramieniu.

– Spokojnie. Niczego nie zrobili.

– Pętaki – szepnął Bill.

– Otacza nas kamień – odezwał się Ramirez. – To nie najlepsze miejsce na walkę z tą ekipą. Zwłaszcza że Mab stanęłaby po ich stronie.

Dziki Bill posłał Ramirezowi nieprzychylnie spojrzenie, ale ustąpił.

– Po prostu nie lubię, jak ktoś patrzy na mnie z ukosa.

– Ależ oni patrzą prosto na nas – zauważyłem. Skinąłem głową do Evanny, na tyle głęboko, by mogło to uchodzić za ukłon. Przybrała bardziej neutralny wyraz i precyzyjnie odwzajemniła mój gest. Ale jej oczy się nie zmieniły, nawet gdy odwróciła wzrok. – Może lepiej zajmijmy się staruszkami, dzieciaki.

– Tak – odezwał się Ramirez zdecydowanym tonem. – Yoshimo, trzymaj się radnego Cristosa. Bill, ty pilnuj McCoya. Chandler i ja zajmijmy się Liberty i Słuchającym Wiatru.

Aha.

– A co ja mam robić?

– Pośredniczyć – odparł Ramirez. – Tłumić kłopoty w zarodku. No i zrób mały zwiad. Już kiedyś spotkałeś część tych ludzi.

Na chwilę zacisnąłem usta.

– Kogo tutaj chronisz, Carlosie?

Lekko klepnął mnie w ramię.

– Mam nadzieję, że wszystkich. Oczy szeroko otwarte. Do dzieła, ludzie.

Młodzi Strażnicy rozeszli się pewnym krokiem. Skrzywiłem się, zabrałem kieliszek szampana z tacy przechodzącego kelnera, grzecznościowo dotknąłem ust krawędzią naczynia, po czym wróciłem do nieśpiesznego studiowania sali.

Naprzeciwko barw ciemnych elfów wisiał jedwabisty śnieżnobiały sztandar, na którym wyszyto srebrną nicią wężykowane wzory. Opadał do kilku podobnie zdobionych sof, na których zasiedli Lara Raith i jej świta. Lara miała na sobie prostą białą obcisłą sukienkę z wycięciem ukazującym spory fragment nogi, a granatowo-czarne loki elegancko upięła na czubku głowy. Szkarłatne klejnoty na jej uszach

i nadgarstku migotały krwistoczerwonym ogniem. Siedziała na środku jednej z sof jak na tronie.

Freydis, ubrana w przylegający do ciała biały kostium i męską marynarkę, siedziała na podłodze u stóp Lary jak egzotyczne zwierzątko, a jej lśniące zielone oczy kontrastowały z krótko przyciętymi rudymi włosami. Walkiria sprawiała wrażenie rozkojarzonej i śpiącej, ale wcale taka nie była. Za Larą stali Riley oraz czterej szczupli, groźnie wyglądający ochroniarze o identycznie przyszczyżonych włosach, ubrani w garnitury, pod którymi nie było widać broni, choć z pewnością się tam znajdowała.

Lara podniosła wzrok, popatrzyła mi w oczy i poważnie skinęła głową. Otwartą prawą dłonią lekko wskazała sofę obok siebie. Przystaknąłem i zbliżyłem się do niej.

– Harry – odezwała się swobodnym, zachwyconym tonem. – Jak miło cię widzieć. Przysiądziesz się na chwilę?

– To bardzo miło z twojej strony – odpowiedziałem i przysiadłem na skraju kanapy, by w razie czego móc szybko się podnieść. Nie dotykałem Lary. – Co taka miła dziewczyna robi w takim chlewie?

Lara odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się dziewczęco. Zabrzmiało to jawnie fałszywie, ale zarazem uroczo.

– Jesteś taki zabawny. Zawsze mnie rozśmieszasz, Harry.

Zamrugąłem. Lara nie była roztrzepaną imprezowiczką, ale cholernie dobrze ją udawała.

Od razu wyczuła, że coś się święci. Podążyła wzrokiem za Ramirezem, który powoli kuśtykał za Słuchającym Wiatru i Marthą Liberty, podpierając się laską. Jej oczy zmieniły barwę z szarej na bardziej jaskrawą z metalicznymi srebrnymi refleksami.

– Och, cóż za biedny chłopiec. Taki ładny, poraniony i udręczony. Jesteś pewien, że to nie prezent dla mnie?

Usłyszałem cichy, ostry trzask, jakby ktoś złamał kilka wykałaczek. Rozległ się szept uwalnianej mocy, którą ledwie byłem w stanie wyczuć, a po chwili Freydis schowała do kieszeni marynarki złamaną drewnianą tabliczkę.

– Droga wolna – odezwała się stanowczo.

Lara przestała chichotać i uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Mamy mniej więcej minutę, nim minie iluzja beztroskiej rozmowy. Co dla mnie masz?

Wyteżyłem zmysły i wyczułem wokół nas elegancką kombinację zakłęcia chroniącego prywatność i zewnętrznej iluzji.

– Niewiele. Przydzieliłem Justine zaufanego człowieka.

– Moi ludzie jej pilnują.

– Ostrożności nigdy za wiele – odrzekłem.

Lara się skrzywiła.

– Cristos zapewnia Etriego, że Biała Rada udzieli mu w tej sprawie pełnego poparcia. Pewnie proponuje, że wykopie grób dla mojego brata.

– Etri nie ma w zwyczaju zlecać innym swojej pracy – zauważyłem. – Poza tym jest wściekły.

Lara zmrużyła oczy i popatrzyła na króla ciemnych elfów, który znajdował się po drugiej stronie dużego pomieszczenia.

– Musi być jakiś sposób, żeby przemówić mu do rozsądku.

– Teoretycznie tak, ale w tej chwili ma dobry powód, żeby być rozgniewanym.

– Ma mojego brata – warknęła Lara.

– Etri i jego ludzie wyglądają jak banda słabeuszy, ale akurat ty powinnaś wiedzieć najlepiej, że nie można dać się zwieść pozorom. Gdyby byli słabi, ktoś już by ich sprzątnął.

Lara zacisnęła zęby.

– Jeśli sama nie stworzę dla siebie jakichś szans, Thomas zgnije w lochu. – Wciągnęła powietrze. – Albo będę musiała zmienić podejście.

Co stanowiło elegancki odpowiednik „będę musiała zacząć zabijać“.

Przez chwilę wpatrywałem się w Larę z obojętną miną. Być może wcale nie kierowała się chłodną polityczną kalkulacją, jak podejrzewałem. Może to nie było takie proste, gdy w grę wchodził los jej młodszego brata.

Byłem pewien, że ostatnio nie przyczyniam się do powodzenia procesu pokojowego, więc starałem się dobrze to przemyśleć.

– Kiedy masz jeden problem, po prostu jesteś w tarapatach – odezwałem się refleksyjnym tonem i skinąłem głową w stronę

Cristosa. – Kiedy masz dwa problemy, czasami jeden z nich staje się ukrytym rozwiązaniem.

Lara zerknęła na mnie i zmrużyła oczy.

– Cristos uważa się za męża stanu, który pracuje na rzecz pokoju i sprawiedliwości. – Wzięłem głęboki wdech. – Poproś go o pomoc.

– Dlaczego miałby mi pomóc?

– Zrobi dobre wrażenie, jeśli uda mu się nakłonić obie strony do ustępstw – odrzekłem. – Zależy mu na dobrej reputacji. Etri pragnie sprawiedliwości i jest tak rozwścieczony, że nie myśli rozsądnie. Jeśli nie uda ci się tego wykorzystać, nie jesteś osobą, za jaką cię miałem.

Lara popatrzyła na mnie bez słowa. Wyczułem formujące się spojrzenie w duszę i odwróciłem wzrok, zanim zrobiło się zbyt intymnie.

– Przedstaw mnie – poprosiła.

– Chętnie służę ci radą – odrzekłem. – Ale nie sądzę, żebyś miała pożytek z...

– Masz wobec mnie długi – przerwała mi surowym tonem. – Jesteś w obowiązku je spłacić.

Głęboko w moim wnętrzu coś poruszyło się niespokojnie, jakby słowa Lary sięgnęły do moich trzewi i je skopały, a następnie dla lepszego efektu zaczęły podtapiać moje sumienie. Moc Zimy zbudziła we mnie przeświadczenie, że rzeczywiście mam dług wobec Lary, a jego niespłacenie byłoby niesprawiedliwością nie do zaakceptowania. Niezależnie od tego, z jak wielką niewygodą lub upokorzeniem się to wiązało.

Kurczę. A więc tak to wygląda z perspektywy elfów.

Nic dziwnego, że za mną nie przepadają.

– Dobrze – warknąłem napiętym głosem. Potem wstałem i wyciągnąłem do niej rękę, rozpraszając otaczającą nas iluzję. – Chodź.

– Niech wszyscy tutaj zostaną – poleciła stanowczo. Podniosła wyprostowany palec, uciszając gwałtowne protesty Freydis i Rileya.

– Nie, pójdę sama.

Wstała, delikatnie położyła dłoń na moim przedramieniu i skinęła głową. Poprowadziłem ją przez salę.

– Żałuję, że cię tak potraktowałam – odezwała się cicho po kilku krokach. – Ale on jest moją rodziną.

– Mnie też się to nie podobało – odrzekłam. Wciąż czułam lekkie mdłości, chociaż nieprzyjemne uczucie zaczęło gwałtownie słabnąć, gdy tylko uległam. – Rozumiem. Ale nie przechodźmy nad tym do porządku dziennego.

Lekko ścisnęła moją rękę przez pajęczy jedwab i podniosła na mnie wzrok ze smutnym uśmiechem, w którym nie było ani odrobiny żalu. Jej bladoszare oczy były pełne determinacji.

– Tylko jeśli to będzie konieczne.

Udaliśmy się do miejsca, w którym siedział Etri, i podeszliśmy prosto do króla ciemnych elfów.

Cristos, który właśnie mówił coś z wielkim przekonaniem, popatrzył na mnie i zmarszczył czoło.

– Strażniku Dresden.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale dostrzegłem okazję do pomocy naszym sąsiadom – powiedziałem.

Cristos uniósł brew i zaczął coś mówić, ale Etri uniósł dłoń i mężczyzna zamilkł. Yoshimo, która stała dwa metry za plecami Cristosa, popatrzyła na mnie pytająco.

– Etri – odezwałem się. – Przedstawiam ci Larę Raith, córkę Lorda Raitha i jego kanclerz w Białym Dworze.

– Wiem, kim ona jest – odpowiedział Etri, patrząc na mnie spokojnie i bez wrogości. Skinął głową do Lary, która odwzajemniła gest. – Obawiam się, że nie mamy sobie nic do powiedzenia, Lady Laro.

– To zależy od tego, co powiemy – odparła Lara. – A kiedy spotyka się dwoje potencjalnych wrogów, obecność zaufanego sojusznika obu stron może złagodzić podejrzenia i obawy. – Ukłoniła się Cristosowi. – Pańska reputacja jako specjalisty od takich kwestii jest powszechnie znana. Jestem przekonana, że wie pan o napięciu między naszymi kramami w tych delikatnych czasach. Być może tutaj może się rozpocząć proces jakże wyczekiwanego pojednania między ludem króla Etriiego a dworem mojego ojca.

– Absurd – rzuciła Evanna łamiącym się głosem.

Etri posłał siostrze znużone spojrzenie i ponownie uniósł dłoń.

– Lady Laro, uważam, że są małe szanse na inne rozwiązanie tej sprawy, niż nakazuje Przymierze.

Cristos uniósł brwi i z namysłem skrzyżował ręce na piersi.

– A jednak małe szanse to nie brak szans. Być może to dobry początek. Z pewnością nie zaszkodzi porozmawiać, dopóki wszystkich nas chroni prawo gościny.

Ciemny elf ze znużeniem pomasaował czoło palcami, wyraźnie poirytowany, a następnie podniósł na mnie wzrok.

– Harry Dresdenie – odezwał się. – Jesteś gościem i przyjacielem mojego ludu. Byłeś przyjacielem Austriego. Czy tej osobie można zaufać?

Zerknąłem na Larę, a następnie zwróciłem się z powrotem do Etrięgo.

– Jeśli ona daje ci swoje słowo, to go dotrzyma.

To... nie do końca było kłamstwo. Lara dotrzymywała słowa. Podobnie jak Mab. A także Etri. A jednak niespecjalnie ufałem komukolwiek z nich.

Ale tak naprawdę cóż innego mi pozostało? I na co więcej mogłem liczyć?

Etri przyglądał mi się przez chwilę, a potem pokiwał głową, a ja odniosłem wrażenie, że domyślił się, co dokładnie chciałem powiedzieć. Zaciśnął usta najwyraźniej niezbyt zachwycony tą perspektywą, ale postanowił potraktować nas uprzejmie.

– Doskonale. Lady Laro, proszę do nas dołączyć. Czy mam posłać po coś do picia?

Lara uśmiechnęła się ciepło i usiadła na krześle, które przyniósł jeden z ludzi Etrięgo, tak że ona, Etri i Cristos utworzyli wierzchołki trójkąta.

– Dziękuję za przedstawienie, Strażniku Dresden.

– Nie ma sprawy – odpowiedziałem.

– Nie chcemy dłużej odciągać pana od obowiązków – dodał Cristos łagodnym tonem, ale z rozdrażnieniem w oczach.

– Jasne – odrzekłem, nieco głośniejszym i bardziej nosowo, niż to było konieczne. – W porządku. Na razie.

Strzeliłem w Yoshimo z palca wskazującego i odszedłem. W kącie sali znajdował się szwedzki stół. Mój nos wyczuł coś

smakowitego i poinformował o tym żołądek, który natychmiast zaczął hałasować. Uświadomiłem sobie, że od rana byłem zbyt zajęty, żeby cokolwiek zjeść. Zdecydowanie powinienem już wyrosnąć z takich zachowań.

No nic. Nie było sensu głodować, a podejrzewałem, że im więcej czasu spędzę z ustami pełnymi jedzenia, tym mniej czasu będę musiał zmarnować na tym głupim przyjęciu. Ruszyłem do stołu.

Sala stawała się coraz bardziej zatłoczona. Pod bladozielonym sztandarem siedzieli przedstawiciele klanu LaChaise, zgromadzeni wokół krępego mężczyzny o rumianej twarzy i bujnych bokobrodach, który wyglądał, jakby uwielbiał mięso i ziemniaki w dużych ilościach. Carter LaChaise był przywódcą dużej rodziny ghoulów, prowadzącej wiele nadprzyrodzonych interesów w Arkadianie. Zasiadli przy stole i żarłocznie raczyli się tatarskim – a przynajmniej mam taką nadzieję – i w osobliwy sposób przypominali malowidło z Ostatnią Wieczerzą.

Przez chwilę rozważałem, czy ich wszystkich nie podpalić, aż w końcu zaczęli na mnie dziwnie zerkać. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, jak szeroko się uśmiecham, i odszedłem od stołu.

Czarny sztandar ozdobiony czarnymi kamieniami szlachetnymi zwisał z sufitu, tworząc zacienioną półkolistą niszę wokół olbrzymiego krzesła. Siedział na nim wysoki i potężny mężczyzna po pięćdziesiątce, który w milczeniu przyglądał się zgromadzeniu, swobodnie trzymając w ręku fajkę, najwyraźniej zgaszoną, chociaż przy każdym oddechu wydmuchiwał dym z nozdrzy. Jego oczy odbijały światło jak ślepiec kota. Ferrovox, smok zamaskowany w ludzkiej postaci. Ostatnio widzieliśmy się na podobnym przyjęciu, a on sponiewierał mnie jak szmacianą lalkę. Starłem się unikać jego spojrzenia, a on śledził mnie wzrokiem z kpiącym grymasem. Moje wyczyny sprzed kilku miesięcy odbiły się na jego skarbach składowanych w skarbcu Marcone'a. Miałem wrażenie, że uznawał to za osobistą obrazę.

Zadrzałem na samą myśl. Byłem pewien, że skutki tamtego zlecenia jeszcze długo będą się za mną ciągnęły.

W sali znajdowała się oszałamiająca liczba innych delegacji. Elfy z Letniego Dworu zajmowały kąt pomieszczenia położony dokładnie naprzeciwko przedstawicieli Zimowego Dworu. Obie grupy

zgrupowały się wokół centralnie stojących tronów, ale przywódcy na razie nie zajęli miejsc – siedziało jedynie pięciu sidhe ubranych w zbroje w barwach swoich królowych – granatowe, zielone i fioletowe w przypadku Zimy oraz wiosennozielone i złote w przypadku Lata.

Po całej sali krążyły rozmaite istoty. Rozpoznałem jedną z nag, które spotkałem podczas pewnego trudnego weekendu kilka lat temu, tutaj zamaskowaną w postaci kobiety o przyćmionej skórze, ubranej w uroczą białą suknię wieczorową. Gawędziła z Ivy, która wyglądała o wiele starszej niż podczas naszego ostatniego spotkania i miała na sobie czarną suknię wieczorową bez biżuterii ani innych dodatków.

Czy Ivy już powinna mieć biodra? Policzyłem w myślach, powstrzymując chęć użycia palców, i uświadomiłem sobie, że owszem, minęło aż tyle czasu od naszego ostatniego spotkania. Teraz wyglądała jak dziewczyna wybierająca się na bal absolwentów, tylko była bardziej pewna siebie i najwyraźniej przyszła sama, nawet bez ochroniarza, z którym zawsze tworzyli nierozłączną parę, jak kawa z pączkami. Gdzie był Kincaid? Spróbowałem nawiązać z Ivy kontakt wzrokowy, ale albo była zbyt pochłonięta rozmową, albo mnie zignorowała.

Czułem się niezręcznie. Nigdy nie byłem lwem salonowym.

Minąłem powiewający błękitny sztandar ozdobiony mglistą bielą i lśniąco złotymi liniami, zawieszony naprzeciwko zacisznej niszy Ferrovaxa, i przywitałem się skinieniem głowy z Vadderungiem, prezesem Monoc Securities, który siedział na wygodnym fotelu, idealnie nadającym się do czytania. Vadderung wyglądał jak wysoki muskularny mężczyzna po sześćdziesiątce, który potrafiłby dźwignąć motocykl. Miał na sobie grafitowy garnitur i wyglądał zawadiacko z długimi wilczo-szarymi włosami, przystryżoną bródką oraz okiem przesłoniętym czarną opaską na rzemyku. Podobnie jak Ferrovax siedział sam, bez strażników, ze sporym kieliszkiem wina w jednej i tłącą się fajką w drugiej dłoni.

Wymieniliśmy skinienia głowy, a on bezgłośnie rzucił „Później“.

Dotarłem do szwedzkiego stołu, nie doprowadzając po drodze do żadnych dyplomatycznych incydentów, co jak na mnie było niezwykłym osiągnięciem. Wziąłem talerz i zacząłem od tacy z

malutkimi połędwiczkami. Oczywiście w założeniu były to tylko przekąski, ale jeśli zebrało się kilkanaście sztuk, mogły uchodzić za prawdziwy stek.

Właśnie rozglądałem się za jakimś smakowitym dodatkiem, gdy włochata dłoń o rozmiarach tacy, pokryta bliznami i mięśniami, opadła na moje prawe ramię.

Niemal wyskoczyłem z butów ze strachu, a mój spanikowany mózg cofnął mnie o kilka miesięcy do chwili, gdy właściciel takiej dłoni tropił mnie w płonących ruinach jednego ze skarbców Króla Podziemnego Świata, samego Hadesa. Genoskwa od tamtej pory zajmował szczególne miejsce w moich koszmarach, a nagły przyływ adrenaliny uwolnionej przez Zimę błyskawicznie przygotował moje ciało do walki.

Jednakże było za późno. Palce, grube jak serdelki, już się zacisnęły. Dopadł mnie.

– Dresden – zagrzmiął donośny głos. – Dobrze. Wreszcie będę mógł ci się właściwie odpłacić.

Kiedy ktoś nas chwyci, warto zastosować podstawową zasadę, której dawno temu nauczyła mnie Murphy. Należy skrócić część ciała, która została pochwycona, w stronę kciuka napastnika, ponieważ łatwiej przeciwstawić się sile samego kciuka niż czterech palców, które on wspiera. Chwył Genoskwy był niesamowicie potężny, ale moc Zimy w takich sytuacjach dodawała mi siłę, a sam też nie byłem ułomkiem.

Jego prawa dłoń spoczywała na moim ramieniu. Dlatego gwałtownie się schyliłem, okręcając się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, i mocno szarpnąłem do tyłu i w dół, przeciwstawiając kciukowi potwora całą swoją siłę i ciężar ciała.

Wykonałem to doskonale, a jednak ledwie zdołałem wyrwać się z jego chwytu. Przy okazji potrafiłem szwedzki stół, tak że wszystkie tace zagrzechotały, a potem prawie go wywróciłem tyłkiem, kiedy przykucnąłem, jednocześnie upuszczając talerz, by unieść ręce w bezużytecznym obronnym geście.

Tylko że to nie był Genoskwa.

Przedemną stał cholerny sasquatch, człekokształtny stwór o prawie trzymetrowym wzroście, pokryty ciemnobrązowym futrem i mięśniami. Był ubrany w – wcale nie żartuję – coś, co przypominało smoking z ery wiktoriańskiej, skrojony na jego ogromną miarę. Na szerokim, płaskim nosie miał okulary o szklach jak spodki, które na jego twarzy i tak wydawały się małe. Futro, a przynajmniej tę część futra, która była widoczna, potraktował szamponem i odżywką, a ja przez chwilę miałem wrażenie, że patrzę na wookiego.

– Ha! – zagrzmiął. Na jego twarzy pojawił się speszony uśmiech, a szerokie zęby, które pokazał, mogłyby przegryźć słupek ogrodzenia równie łatwo jak łydygę selera. – Słyszałem, że poznałeś mojego kuzyna.

Zamrugalem kilka razy i nagle zdałem sobie sprawę, że wszyscy w pomieszczeniu na nas patrzą. Upuściłem zarówno laskę, jak i talerz z przekąskami, a pracownicy obsługi stojący za szwedzkim

stołem wyglądali, jakby chcieli dyskretnie zniknąć. Odetchnąłem i stłumiłem wrzask Zimy, która namawiała mnie do krwawej walki.

– Kurczę, Rzeka w Ramionach? To ty?

– Mhm – mruknął Rzeka w Ramionach potakująco. Niezdarnym gestem wskazał smoking. – Musiałem włożyć to błazeńskie wdzianko. Nie chciałem, żeby to było przebranie.

Siła Rzeki w Jego Ramionach był szamanem Leśnego Ludu i żył niezauważony pod nosem wszystkich od setek lat. W przeszłości kilkakrotnie wynajmował mnie do różnych zadań i był porządnym gościem. Poza tym był olbrzymi i straszny.

– Co tutaj robisz? – spytałem.

Wzruszył ramionami, które miały mniej więcej metr siedemdziesiąt szerokości, więc był to imponujący ruch.

– Po tamtym bałaganie w Oklahomie dużo myślałem o tym, co mówiłeś o moim dziecku. Doszedłem do wniosku, że miałeś rację. – Na chwilę zacisnął usta. – Twoje słowa były aroganckie i nie na miejscu, ale prawdziwe.

Poczułem, że się uśmiecham.

– To typowe u magów.

– Raczej u ludzi – uściślił. – Zwołałem naradę swojego ludu. Powiedziałem, żeby zostawili mojego syna w spokoju albo zaczęły rozbijać czaszki. A potem postanowiliśmy dołączyć do Przymierza.

Przekrzywiłem głowę.

– Po tylu latach ukrywania się? – spytałem. – Dlaczego?

Rzeka w Ramionach rozejrzał się po sali, może nieco nerwowo.

– Żebym mógł ci się odpłacić. To, co zrobiłeś dla mnie, dla mojej rodziny, to nie było tylko zlecenie. Wykazałeś się troską. Zaryzykowałeś mój gniew, by pokazać mi, że postępuję głupio, gdy nikt inny nie chciał tego zrobić. Nie odpuściłeś nawet, kiedy rzeczywiście się wściekłem. Tak postępują prawdziwi przyjaciele. No i dałeś mi mojego syna.

Odchrząknąłem i odwróciłem wzrok.

– Cóż, no tak.

– Słyszałem, że walczyłeś z jednym z Leśnych Ludzi i go pokonałeś.

– Zabiłem – odrzekłem.

Rzeka w Ramionach popatrzył na mnie uważnie.

– Pokonałeś.

Przeszył mnie dreszcz.

– Co takiego?

Pokiwał głową.

– Między innymi po to tutaj jestem. Chciałem cię ostrzec.

– Jak to? – spytałem ostro. – Została po nim plama ketchupu.

Rzeka w Ramionach ponownie wzruszył ramionami.

– Nie wiem, jak to się stało, ale widziałem go niecały miesiąc temu. Krew na Duszy nie zapomni. Miej oczy szeroko otwarte, dobrze? – Ponownie niespokojnie się rozejrzył. – Też masz wrażenie, że tutaj zrobiło się za gorąco?

Nagle przypomniałem sobie tajemnicze słowa Słuchającego Wiatru. Rzeka w Ramionach nie był tchórzem, ale musiało mu być ciężko zmienić podejście z ustawicznego ukrywania się na udział w zgromadzeniu najgroźniejszych nadprzyrodzonych istot na Ziemi.

– No tak – przyznałem i odwróciłem się w stronę jednego z pracowników obsługi. – Czy jest tu jakieś spokojniejsze miejsce?

Mężczyzna wciąż wlepił wzrok w Rzekę w Ramionach.

– Eee... tak, jasne. – Zaczął się odwracać.

Rzeka w Ramionach lekko dotknął opuszkami palców jego ramienia.

– Hej, Einherjar.

Mężczyzna zamarł, a następnie odwrócił się i surowym wzrokiem popatrzył na olbrzyma i jego dłoń.

Rzeka pokiwał głową i ostrożnie cofnął rękę.

– Posłuchaj. Grendel był czarną owcą. Podobnie jak jego naśladowcy. Większość mojego ludu uznawała go za szaleńca. Dlatego teraz wszelkie nieporozumienia między nami mają źródło w tobie.

Mężczyzna popatrzył na Rzekę w Ramionach, a potem na jego smoking i okulary. Powoli pokiwał głową.

– Racja. Zapraszam do sali gimnastycznej.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu i zauważyłem, jak wiele czerwonych marynarek swobodnie miesza się z tłumem. Marccone miał tutaj mnóstwo swoich ludzi.

Podążyliśmy za Einherjarem do drzwi, za którymi znajdował się krótki korytarz, a potem wspięliśmy się po schodach do sali gimnastycznej, którą już kiedyś odwiedziłem jako duch. Nie była duża, ale miała wszystko, co potrzebne, wliczając niewielki ring bokserski. Paliły się dwie lampy, ale poza tym sala tonęła w ciemności i ciszy. Nasz przewodnik ponownie z namysłem przyjrzał się Rzece w Ramionach, a następnie w milczeniu się oddalił.

Rzeka w Ramionach westchnął, opadł na kamienną posadzkę i oparł się plecami o ścianę. Zdjął okulary i schował je do kieszeni.

– Po co te okulary? – spytałem.

– Dzięki nim wyglądam mniej groźnie. Jak tamten goryl w grze wideo.

Uniosłem brew.

– Grasz w gry wideo?

– Badam ludzkie kultury – odrzekł. – Sprawdzam, co myślicie o nas i innych istotach, które uważacie za podobne. Goryl z gry wideo ma wyższe notowania niż King Kong. – Pokręcił głową. – Ludzie boją się niemal wszystkiego. Problem polega na tym, że ich pierwszą reakcją na strach...

– Jest zabijanie – dokończyłem, kiwając głową. Przyjrzałem się swojemu niezwykle eleganckiemu strojowi i doszedłem do wniosku, że nie lubię garniturów. Usiadłem na podłodze obok Rzeki w Ramionach. – Znam ten problem.

– Ha. – Olbrzym pokręcił głową. – Dziękuję, że mnie stamtąd wyostałeś. – Skrzywił się. – Tam jest zbyt napięta atmosfera. Za dużo nienawiści. Żądz. Chciwości. Strachu.

Podniosłem na niego wzrok i uświadomiłem sobie, że przerażała go obecność na przyjęciu. Był tam całkowicie odkryty, pośród zgiełku i ruchu, do których nie potrafił przywyknąć. Wiedziałem, że potrafi na swój sposób władać Mocą, a jeśli biedak dodatkowo był empatą, przebywanie w tamtej sali musiało być dla niego torturą.

– Owszem, te przyjęcia to naprawdę coś.

Stęknął, wziął głęboki wdech i wypuścił powietrze. Wydawał odgłosy jak wyścigowy koń.

– Do tego są tutaj Einherjaren. Oni zawsze sprawiają kłopoty.

– Jak to? – spytałem.

Zmarszczył nos i uniół brwi.

– Moi ludzie podążają trzema ścieżkami. – Wskazał na siebie. – Ścieżką nieba, jak ja. Uczymy się. Zapamiętujemy. Obserwujemy gwiazdy. Czytamy. Rozmawiamy z ludźmi, głównie w rezerwacie. Rozmyślamy o różnych sprawach. – Westchnął. – Nie jest nas zbyt wielu.

Zmarszczyłem czoło.

– Jesteście jak magowie pośród ludzi.

Wzruszył ramionami.

– Można i tak na to patrzeć. Pewnie dlatego my dwaj tak dobrze się dogadujemy.

– Kupuję to wyjaśnienie.

– Druga ścieżka to ścieżka lasu. Kroczy po niej większość z nas, może dziewięciu na dziesięciu. Jej przedstawiciele uważają, że ludzie stanowią dobry przykład tego, jak nie należy postępować. Że powinniśmy pozostać blisko natury. Unikać kontaktów. Ognia, narzędzi i tak dalej. Nie rzucać się w oczy, tylko żyć w harmonii z naturalnym światem.

– A ludzie czasami ich widują – odrzekłem.

Rzeka pokiwał głową.

– W rezerwacie lubimy oglądać programy o tym, jak ich szukacie. To całkiem zabawne. A także trochę smutne.

Przekrzywiłem głowę.

– Genoskwa – zgadłem. – On kroczy trzecią ścieżką.

– Ścieżką wojny – przyznał Rzeka. – Uważa, że nasz lud jest pierwszy. Że powinniśmy zabić większość z was, a resztę zmienić w bydło i niewolników. – Przez chwilę nad tym rozmyślał. – To banda dupków – stwierdził szczerze. – Są idiotami, ale nie jest ich zbyt wielu, więc nie mogą postawić na swoim. Zadowolają się włóczęgiem po parkach narodowych, gdzie od czasu do czasu porywają ludzi, gdy przedstawicielom ścieżki nieba nie uda się ich powstrzymać.

– Pierwszy Grendel kroczył ścieżką wojny?

Rzeka pokiwał głową.

– Nauczał swoje plemię. Byli wtedy na tyle liczni, by skutecznie działać. Przedstawiciele pozostałych ścieżek pozwolili im tkwić w

tym obłądnie i przeszli przez lód, by dołączyć do naszego ludu tutaj. Wojownicy Grendela przepędzili ludzi z niektórych ich siedzib. Ludzie byli przywiązani do swoich ziem i upraw. Niewiele mogli na to poradzić.

– Co się wydarzyło?

– Zadarli z niewłaściwymi ludźmi – odrzekł Rzeką w Ramionach.

– Z wikingami. A ci mieli swojego mistrza. Nauczyciela.

– Beowulfa? – spytałem.

– Beowulfa. Vadderunga. Miał wiele imion i twarzy. – Rzeką w Ramionach pokiwał głową. – Żył i walczył jak śmiertelnik. Nauczył ich dzielności. Pomógł zbudować kulturę wojowników. Walczył z olbrzymami. Niektórzy z jego ludzi nawet przekroczyli morze, odnaleźli nas i nie tracili czasu na pogaduszki. Ale było nas tutaj zbyt wielu, więc odeszli.

– Co oznaczała tamta konfrontacja z facetem, który nas tu przyprowadził?

Rzeką w Ramionach pokręcił głową.

– Wielu z Einharjaren dostało się do Walhalli, walcząc z moimi ludźmi ze ścieżki wojny. Oni pamiętają.

– A więc Genoskwa...

– Dajemy nasze słowo, że kroczy ścieżką wojny – odrzekł Rzeką w Ramionach. – Krew na Duszy jest bardziej arogancki niż większość. Również bardziej niebezpieczny. Uważa się za ostatecznego Genoskwę. Niedościgniony wzór. – Zaciął usta z namysłem. – Może jest nim w istocie.

– Jest dużo większy od ciebie – zauważyłem.

– Tak – przyznał Rzeką grzecznie. Ziewnął. Było to zarazem niewinne i przerażające. W jego ustach swobodnie mogłaby się zmieścić piłka do siatkówki. – Jestem strasznym konusem.

– Właśnie tak sobie pomyślałem, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem.

Wyszczerył zęby. To także wyglądało przerażająco, ale zaczynałem się przyzwyczajać.

– Nie przywykłeś do rozmawiania z ludźmi wyższymi od ciebie, prawda?

– Pewnie jest w tym trochę prawdy – przyznałem. – Jak się czujesz?

– Lepiej – odrzekł. – Słuchający Wiatru to dobry dzieciak; pomagał mi się osłonić przed tym całym... – Uniósł dłoń i pomachał nią obok głowy, jakby nie potrafił znaleźć właściwego słowa. – Hałasem. Ale dzisiaj ma do wykonania swoje zadanie.

Dobry dzieciak?

– Ile dokładnie masz lat? – spytałem.

Rzeka w Ramionach zrobił poważną minę i odezwał się z przerysowanym północnym akcentem rdzennego Amerykanina.

– Żyję od wielu księżyców. – Wzruszył ramionami i wrócił do swojego zwykłego głosu. – Czasem trudno to zliczyć. Urodziłem się podczas wędrówki po lodzie. Początkowo mieliśmy mało pożywienia. Pewnie dlatego urosłem taki mały. Myślę, że jestem w średnim wieku.

A zatem był tak stary jak opowieść o Beowulfie. Czyli miał ponad tysiąc. Co najmniej.

Nic dziwnego, że potrafił korzystać z magii w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem.

– Wiesz co, Hoss Dresden?

– Co?

– Zawsze dobrze mnie traktowałeś. Nawet kiedy byłeś przestraszony. Potrzeba nie lada odwagi, by zachowywać się tak wobec kogoś tak odmiennego od siebie.

– Nie tak trudno być grzecznym wobec kogoś, kto może nas jednym ciosem posłać na księżyc.

– Twoja osobista historia świadczy o czymś innym – odparł Rzeka w Ramionach lekko prowokacyjnym tonem. – Jesteś całkiem dobry w sprzeciwianiu się ludziom, którym należy się sprzeciwić. No i coraz sprawniej rozpoznajesz, kim oni są. Słuchający Wiatru mówi, że miałeś ciężkie dzieciństwo.

– Tak jak wielu ludzi – odrzekłem. – Miałem szczęście, że spotkałem dobrego nauczyciela. Wcale nie jestem pewien, czy jestem odważny.

– Wygląda na to, że trochę jednak tak – odparł. – Odwaga to nie wszystko, ale ty zbudowałeś na niej całą resztę. – Popatrzył na mnie

uważnie ze zmartwioną i zarazem zdeterminowaną miną, jak ktoś, kto podjął trudną decyzję. – Jeśli będziesz chciał nauczyć się więcej, znajdź mnie.

– Mam nawoływać i stukać laską w drzewa? – spytałem pogodnie.

Jego oczy rozbłysły pod gęstymi brwiami.

– Lepiej zadzwoń do mojej kobiety – odpowiedział. – Tak będzie szybciej. No i nie wyjdiesz na głupka.

Zmarszczyłem czoło.

– Mówisz poważnie.

– Słuchający Wiatru twierdzi, że warto w ciebie zainwestować. Jesteś po prostu trochę nieokrzesany i musisz się więcej nauczyć. Zwłaszcza ze względu na tę rzecz, którą Mab zawiesiła ci na szyi.

Ponownie zmarszczyłem czoło.

– Słuchający Wiatru także złożył taką propozycję.

– Jasne – odrzekł Rzeka. – Ale ja go nauczałem i dotarł już do kresu swojej ścieżki. – Zrobił zakłopotaną minę. – Wielu znaczących magów stoi nad krawędzią. Kurczowo bronią się przed upadkiem.

Przekrzywiłem głowę.

– Dlaczego?

– To nie czas ani miejsce, żeby o tym mówić, a ja nie jestem właściwą osobą, zrodzony pod gwiazdami.

Zacisnąłem usta.

– Sześćset sześćdziesiąt sześć lat – rzuciłem na próbę.

Rzeka uniósł pobrużdżone brwi, co samo w sobie wymagało nadludzkiej siły.

– Widzę, że dowiedziałeś się kilku rzeczy – zauważył.

– Tego akurat tak – odrzekłem.

– Jesteśmy już blisko tego czasu. Obiecałem, że nic ci nie powiem. Kiepska sprawa, ale to konieczne. Ale na twoim miejscu poważnie bym się zastanowił nad przyjęciem mojej propozycji. – Zerknął w stronę drzwi i zaczął ostrożnie zakładać okulary. – Ktoś idzie.

Dopiero po dobrych dziesięciu sekundach usłyszałem szelest lekkich kroków na kamieniu, a potem do pomieszczenia weszła Molly. Zimowa Panna miała na sobie opalizującą obcisłą suknię,

która bardzo wyraźnie podkreślała, że jest córką mojego najlepszego przyjaciela i nie powinienem na to zwracać uwagi, do cholery.

– Harry! – zawołała, a potem umilkła, spoglądając na Rzekę w Ramionach. – Eee, to znaczy... panie Dresden.

Rzeka w Ramionach wstał płynnym ruchem i lekko się uklonił.

– Na mnie już pora – odezwał się grzecznie. – Zimowa Panno. Hoss.

– Dzięki za rozmowę – odrzekłem. – Następnym razem pogadamy przy ognisku i stekach.

Rzeka w Ramionach skinął głową i wyszedł z pomieszczenia, stawiając długie, swobodne kroki, które pozwalały mu się przemieszczać mniej więcej w takim tempie, w jakim ja biegam.

Molly zaczęła, aż wyjdzie.

– Co, u diabła, Harry? Co tutaj robisz?

– Pośredniczę – odrzekłem. – Słuchający Wiatru prosił, żebym miał oczy szeroko otwarte.

– No cóż, musisz zrobić coś więcej – odparła. – Skrzypkowi spodobała się Strażniczka Yoshimo i próbował rzucić na nią urok.

Wstałem.

– Na dzwony piekieł. Podziałało?

– Nie na długo. Ale trzeba to załatwić publicznie i ty powinieneś się tym zająć.

Jasne. Jako oficjalny mięśniak Mab miałem wymuszać przestrzeganie zapisów Przymierza, chyba żeby naruszenia dopuścił się ktoś spoza mojej ligi.

– No dobrze, prowadź.

Popatrzyła znacząco na moją rękę. Podałem jej ramię i ruszyliśmy do głównej sali.

– Molls, dzisiaj rozmawiałem z twoim tatą.

– Tak? – spytała neutralnym tonem.

– Powiedział, że już od dłuższego czasu nie odwiedzasz domu.

Zerknęła na mnie ukradkiem.

– Jestem zajęta. Nie mam czasu.

Zatrzymałem się, zmuszając ją do tego samego.

– Dzieciaku, lepiej znajdź czas – powiedziałem, marszcząc czoło.

– Nie jesteś moim ojcem, Harry – odparła ostrzejszym tonem. – Nie jesteś też już moim mentorem.

– Nie – zgodziłem się. – Ale jestem twoim przyjacielem.

– Możemy o tym porozmawiać później – rzuciła, ciągnąc mnie za rękę.

Nie ruszyłem się z miejsca.

– Wydaje mi się, że teraz jest właściwa chwila. Twoja rodzina za tobą tęskni. Zasługują na lepsze traktowanie, Molls.

– Harry...

– Po prostu obiecaj mi, że ich odwiedzisz. Na słowie Zimowej Panny można polegać.

– Harry, nie mogę – odrzekła.

– Dlaczego nie?

Zmarszczyła górną wargę.

– To skomplikowane.

– Niedzielny obiad nie jest skomplikowany. – Odwróciłem się i położyłem dłoń na jej ramieniu. – Masz coś cennego. Masz rodzinę, która cię kocha. Pamiętaj, że zapewne będziesz długo żyła na tym świecie bez nich. To głupota marnować okazję do bycia z nimi, póki wciąż możesz.

Odwróciła wzrok, a w jej oczach zabłyśły łzy.

– Daj spokój – odezwałem się grzecznie. – Nie bądź jak te gwiazdki, które zapominają o swoich bliskich, gdy tylko stają się sławne, księżniczko. Na pewno są dumni, że mają kogoś tak znanego w rodzinie.

Molly zamknęła oczy, a łzy spłynęły po jej twarzy.

– Oni nie wiedzą – powiedziała cicho.

Zamrugalem w przesadny sposób.

– Co takiego?

– Nie... nie powiedziałam im. O tym, że zostałam Zimową Panną.

– Tak – westchnąłem. – Wiem. Na gwiazdy i kamienie, Molls, co ci strzeliło do głowy?

Pokręciła głową.

– Po prostu... Oni uznają to za układ z siłami ciemności. Jeśli się dowiedzą...

– Nie jeśli, tylko kiedy – przerwałem jej. – Nie da się wiecznie trzymać czegoś takiego w tajemnicy.

Pokręciła głową.

– Musisz to zrobić – ciągnąłem. – Jesteś im winna prawdę.

– Nie mogę – syknęła i popatrzyła mi w oczy. – Chodzi o tatę. Już wiele razy chciałam mu powiedzieć. Ale on by nie zrozumiał. Wyobrażam sobie... wyraz jego twarzy, gdy się dowiaduje... i to tak bardzo boli, Harry. – Znów zamknęła oczy. – Nie potrafię tego zrobić.

Urwała i przez chwilę płakała w milczeniu.

Bolało mnie jej cierpienie.

Dlatego ją przytuliłem.

Przywarła do mnie z całej siły.

– To cię krzywdzi. A także ich, nawet jeśli jeszcze tego nie wiedzą.

– Wiem – odpowiedziała.

– Trzeba to zrobić – stwierdziłem łagodnie, ale stanowczo.

– Nie mogę.

– Możesz – odparłem. – Będę przy tobie.

Zadrżała i przylgnęła do mnie kurczowo.

– Naprawdę?

– A od czego ma się przyjaciół?

Na chwilę mocniej się na mnie uwiesiła, z wdzięcznością.

– Dziękuję.

– Do usług.

Wróciliśmy do głównej sali, gdzie od razu udałem się do kącika muzyków i z donośnym trzaskiem zdarłem zasłaniającą ich tkaninę.

Muzyka natychmiast ucichła i wszyscy zgromadzeni popatrzyli na mnie z uniesionymi brwiami. Zauważyłem, że Yoshimo, otoczona przez innych Strażników oraz starszych członków Rady, podniosła na mnie zbolały wzrok.

Za zasłoną siedziało pół tuzina sidhe z instrumentami muzycznymi w dłoniach. Milczeli i patrzyli na mnie dużymi oczami przypominającymi klejnoty. Członkowie klasy rządzącej elfów byli szczupli, piękni, wiekowi i śmiercionośni. Najwyższy wśród nich był mężczyzna bardziej urodziwy od dziewięćdziesięciu procent kobiet z

okładek kolorowych czasopism. Miał srebrzysto-białe włosy i bursztynowe oczy. W jednej dłoni trzymał skrzypce.

Bez słowa przywołałem siłę Zimy i kopnąłem go w pierś, zanim zdążył wstać.

Sidhe runął do tyłu na pozostałych członków orkiestry, przewracając krzesła i rozbijając instrumenty, po czym uderzył o ścianę z chrzęstem pękających kości, zatoczył się i upadł na ziemię. Próbował krzyczeć z bólu, ale nie mógł złapać oddechu.

Odwróciłem się w stronę Molly i wskazałem kciukiem przez ramię.

– To ten facet? Wyglądał na największego dupka.

Molly zamrugła i pokiwała głową.

Od wzajemniłem jej gest i zwróciłem się do powalonego sidhe.

– Ci ludzie są gośćmi i podlegają prawu gościny – odezwałem się głosem mającym dotrzeć do wszystkich zakamarków sali.

– Nic złego się nie stało – warknęła jedna z sidhe, która trzymała wiolonczelę. – To była tylko zabawa.

– A więc zabawa się skończyła.

Uniosłem prawą dłoń, ponownie przywołałem moc Zimy i zagrzmiałem: „Infriga!“.

Powietrze głośno zaprotestowało, gdy z mojej ręki wypłynęła fala zimna o temperaturze zera absolutnego i zamknęła powalonego skrzypka w bryle błękitnego lodu. Nawet inni sidhe cofnęli się przed uderzeniem dotkliwego zimna, a ich włosy, uszy i opuszki palców pokryły się lodem. Wszyscy zamarli, jak zamrożeni, ba-dam-bam, dzyń.

Nikt się nie poruszył.

Nie licząc skrzypka. Jego oczy poruszały się rozpaczliwie.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że Molly zbliża się do mnie w postaci Zimowej Panny, krocząc pewnie jak królowa.

– Moja pani, jaka jest twoja wola? – spytałem, skłaniając głowę.

– Takie zachowanie nie może być tolerowane – odezwała się, tak że usłyszeli ją wszyscy goście. – Chociaż sprawca nie jest jednym z moich ludzi, składam najszczerze wyrazy ubolewania na ręce Białej Rady oraz Strażniczki Yoshimo ze względu na ten incydent. – Rozejrzała się po sali. – Baron Marcone jako nasz gość udzielił mi

zgody na załatwienie tej sprawy. Umieście sprawcę na szwedzkim stole. Lodowy posąg to odpowiednia postać dla niego. Jeśli przeżyje, po odtajeniu zostanie wygnany z krain Zimy pod groźbą śmierci.

Podeszła do bryły lodu i przykucnęła, żeby znaleźć się na poziomie wzroku skrzypka. Przez chwilę tylko przyglądała mu się lodowatym wzrokiem, a potem odezwała się bardzo spokojnym i surowym głosem.

– Nieładnie jest traktować tak dziewczęta na przyjęciach.

Wstała i wykonała władczy gest dłonią. Najwyraźniej potrafiła dać innym do zrozumienia, że nie żartuje. Pół tuzina Einherjaren w czerwonych strojach obsługi natychmiast podniosło bryłę lodu i poniosło ją w stronę szwedzkiego stołu.

– Doskonale. – Odwróciła się w stronę gości. – Proszę wybaczyć to zamieszanie, czcigodne panie i panowie. Niestety było to konieczne. – Popatrzyła z uśmiechem na pozostałych muzyków. – Proszę, wracajcie do swoich obowiązków – powiedziała z naciskiem na ostatnie słowo.

Muzyka zabrzmiała tout se suite, wyraźnie odmieniona.

Sidhe są drapieżnikami. Nie wolno okazywać wobec nich słabości ani wahania. Molly potrafiła do nich dotrzeć.

Po chwili Lara podeszła do nas i grzecznie ukloniła się Molly, która odwzajemniła powitanie.

– Zimowa Panno – odezwała się Lara. – Muszę odetchnąć świeżym powietrzem. Zastanawiam się, czy pani Rycerz mógłby mi towarzyszyć przez kilka minut jako obstawa. Potem od razu go odprowadzę.

Molly przez chwilę wpatrywała się w Larę z obojętną miną. Potem lekko skinęła głową.

– Cudownie – powiedziała Lara i uśmiechnęła się do mnie promiennie. – Idziemy?

Podaliśmy jej ramię i wyszliśmy z sali, która znów wypełniła się gwarem rozmów. Chociaż ostentacyjnie prowadziłem Larę, to ona ustalała kierunek, mocno napierając na moją rękę, aż znaleźliśmy się na zewnątrz zamku i ruszyliśmy chodnikiem w kierunku sąsiednich domów.

Zerknąłem na nią i zobaczyłem determinację na jej napiętej twarzy oraz podniecenie w oczach.

– Udało mi się – odezwała się, kiedy oddaliśmy się od zamku na kilkadziesiąt metrów.

– Co się udało? – spytałem.

– Dałam nam więcej możliwości – odrzekła. – Od początku było możliwe, że Etri przetrzymuje Thomasa, ponieważ liczy na okup, ale wygląda na to, że tak nie jest. On pragnie krwi. Nie udało mi się go przekonać, żeby wycofał oskarżenie przeciwko Thomasowi, ale wspólnie z Cristosem przekonaliśmy go, że przetrzymując Thomasa u siebie, sprawia wrażenie, jakby zemsta była dla niego ważniejsza od sprawiedliwości.

Uniosłem brwi.

– Co to zmienia?

– Baron Marcone, jako gospodarz tego zgromadzenia, zaproponował, że uwięzi u siebie mojego brata do czasu, gdy sprawę zgodnie z zasadami Przymierza rozsądzi specjalny wysłannik. – Jej oczy rozbłysły. – Mój brat zostanie przeniesiony do zamku.

– Wciąż nie rozumiem, co to zmienia – odrzekłem.

– Negocjacje zaczną się na dobre jutro wieczorem – wyjaśniła. – Tutaj. Nie na terytorium ciemnych elfów.

Powoli zaczerpnąłem powietrza.

– O nie. Powiedz mi, że nie myślisz o tym, o czym myślę, że myślisz.

– Mój brat będzie tutaj, w budynku, który znam, a wszyscy będą zajęci – odpowiedziała. – Poza tym nie będę musiała naruszać granic terytorium ciemnych elfów. Później mogę dogadać się z Marcone'em. Ma rozsądne podejście do spraw zawodowych.

Zatrzymała się i odwróciła w moją stronę. Jej szare zmrużone oczy były twarde jak kamień.

– Próbowалам działać rozsądnie. Etri odmówił zawarcia kompromisu. Najwyższy czas wywalczyć dla siebie lepszą pozycję. Dlatego jutro wieczorem, kiedy wszyscy będą rozproszeni, odzyskam swojego brata. Nikt mnie nie powstrzyma.

Na dzwony piekieł. Wiedziałem, co się zaraz wydarzy.

To tyle, jeśli chodzi o rozwiązanie dyplomatyczne.

Obnażyła niezwykle białe zęby, widząc, że zrozumiałem.

– Domagam się spłaty drugiego długu. Pomożesz mi, panie Rycerzu.

– Czy ona zwariowała? – spytała Karrin ostro.

Bez przekonania załamane ręce.

Przez chwilę wpatrywała się we mnie niebieskimi oczami, a potem odezwała się spokojnym, rzeczowym głosem.

– Mój Boże. Ty chcesz to zrobić.

– Wcale nie chcę – odparłem. – Ale on jest moim bratem.

Uniosła sprawną rękę i przycisnęła pięść do nosa.

– Boże, Harry, czasami mam ochotę cię udusić.

– Tak – odrzekłem zmęczonym głosem. – Ja też.

Zegar jej babci cykał miarowo na kominku nad niewielkim gazowym paleniskiem o wyłożonych stałą ścianach, które zapewne było ostatnim krzykiem mody, gdy wybudowano ten dom. Karrin zabrała się za sprzątanie, co źle wróżyło, gdyż była to jedna z jej naturalnych reakcji na stres. Jeśli zacznie czyścić broń, będę wiedział, że sytuacja jest niewesoła.

– Sytuacja już jest napięta – powiedziała. – Jeśli to zakłóci rozmowy pokojowe, czekają nas poważne konsekwencje.

– Wiem.

– Uważam, że cała ta konferencja jest pomysłem Marcone'a.

Mruknąłem potakująco.

– On rzeczywiście robi to, co Cristos tylko próbuje osiągnąć – odrzekłem. – Buduje sojusze.

– A jeśli popsujesz plan Marcone'a? – spytała Karrin bez ogródek.

– Ucierpi jego reputacja – odpowiedziałem.

– A on na to zareaguje.

– Marcone'owi nie jest obca koncepcja odwetu – przyznałem.

Karrin posłała mi nieprzychylnie spojrzenie.

– Nie znam wszystkich istot, z którymi masz do czynienia, Harry. Ale znam Marcone'a i on mnie przeraża.

Przez chwilę się jej przyglądałem.

Podejrzewałem, że Karrin nie powiedziała by tych słów do kogokolwiek innego na świecie.

Odwzajemniła moje spojrzenie, a ja musiałem odwrócić wzrok. Zdawała sobie sprawę z tego, co właśnie okazała. Zrobiła to rozmyślnie.

– Hej. – Usiadłem obok niej na kanapie i objąłem ją ramieniem. Idealnie mieściła się u mojego boku.

Na chwilę przycisnęła policzek do mojej piersi.

– Co się dzieje, kiedy sprzeciwiasz się Larze? – spytała.

– To... boli – odrzekłem.

– Ból nie jest ci obcy – stwierdziła. – Co z tobą zrobią?

– Mab też lubi się mścić. Zacznie działać. – Zmarszczyłem czoło.

– Psiakrew, jeśli odkryją, że jej człowiek pomaga Larze zakłócić rozmowy pokojowe, także będzie musiała zareagować. Błyskawicznie i publicznie.

– Biała Rada nie może kazać jej odpuścić?

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem.

– Może mogliby to zrobić. Pytanie brzmi: „czy zechcą?”. Jestem przekonany, że nie.

– Są bezużyteczni – mruknęła.

– Nie jestem ich ulubieńcem. Prawdopodobnie przekazaliby mnie Mab zapakowanego jak prezent, byle tylko jej nie drażnić.

– Twój dziadek nie może położyć temu kresu?

Pokręciłem głową.

– Nie sądzę. Ostatnim razem miał wsparcie Marthy Liberty. Nie wiem, czy teraz mógłby na to liczyć. Jeśli nie, Rada Starszych z pewnością głosowałaby na moją niekorzyść. Musiałby poddać sprawę pod otwarte głosowanie całej Rady, a... no cóż...

– Są bezużyteczni – powtórzyła Murphy jeszcze bardziej stanowczo.

Odepchnęła się ode mnie, wstała i wyszła z pokoju, kuśtykając i podpierając się laską.

Kiedy wróciła, trzymała w dłoniach niebieski plastikowy futerał na broń. Położyła go na stole i usiadła. Potem zdecydowanym ruchem otworzyła futerał.

Ale zamiast pistoletu wyjęła ze środka wielofunkcyjne narzędzie oscylacyjne i rzuciła mi koniec kabla zasilającego.

– Podłącz – poprosiła.

Przez chwilę rozglądałem się za gniazdkiem, aż w końcu znalazłem je między kanapą a stołem. Podłączyłem kabel i nieco się cofnąłem. Magowie i technologia nie przepadają za sobą, ale w ostatnich miesiącach starałem się wyjątkowo nad sobą panować. Jeśli nie zbliżę się zbyt do tak prostego mechanizmu jak elektryczny silnik, zapewne nie zakłócę jego działania, pod warunkiem, że zachowam spokój. Zapewne.

– Co robisz? – spytałem.

Zamiast odpowiedzieć, założyła ostrze na narzędzie, pstryknęła przełącznikiem i natychmiast przyłożyła brzęczący sprzęt do gipsu na swoim ramieniu.

– Karrin – rzuciłem, zrywając się na nogi.

– Cofnij się, zanim coś popsujesz – warknęła. – Najlepiej zaczekaj w kuchni. No już.

– Co ty wyprawiasz, do diabła? – spytałem.

Posłała mi rozdrażnione spojrzenie.

– Oczywiście to zrobisz, chociaż to głupota. Nie będę mogła ci pomóc, jeśli będę wyglądała jak rozgwiazda.

Przycisnąłem sobie pięść do nosa.

– Czasami ja też mam ochotę cię udusić.

– Tylko spróbuj, a złamię ci nadgarstek – odrzekła ponurym głosem.

Zbliżyłem się do niej o krok.

– Nie musisz mi pomagać, niezdaro. Sama sobie poradzę.

– Karrin – odezwałem się.

W moim głosie pobrzmiwało przerażenie.

Zawahała się.

– Karrin – powiedziałem łagodniej. – Murph. Nie możesz dalej sobie tego robić. Jesteś ranna. Potrzebujesz czasu, żeby wydobrzeć. Proszę.

Odwróciła wzrok i zapatrzyła się w dal, mocno zaciskając usta.

– Ręka już się pewnie bardziej nie zagoi – odrzekła słabym głosem.

– Wciąż potrzebuję twojej pomocy – powiedziałem. – Sama koordynacja kontaktów z naszymi przyjaciółmi...

Kilkakrotnie pokręciła głową.

– Nie. Nie, Harry. Nie zmienię swojego stylu życia. To mój wybór. Nie masz prawa mnie pouczać w kwestii głupich planów. Albo mi pomóż, albo usuń się z drogi.

Zalała mnie fala frustracji. Karrin dysponowała niemal nadludzkimi zdolnościami, ale nie była nadprzyrodzoną istotą. Walczyła. Została pokonana. Została ranna. W takim stanie nie powinna angażować się w moje kolejne problemy, zwłaszcza że tym razem groziło to śmiercią. Już nie chroniła jej odznaka ani nie mogła w pełni korzystać ze swojego ciała, który które od lat umożliwiała jej radzenie sobie z wszelkiej maści drapieżnikami.

Miała natomiast mnóstwo wrogów.

Owszem, Karrin Murphy nie była aż tak niebezpieczna ze względu na swoje ręce i nogi, lecz dzięki kierującemu nimi umysłowi. Ale także w tej kwestii miałem wątpliwości. Zawsze chciała wiele udowodnić – zarówno sobie, jak i innym – i nie lubiła okazywać słabości. Czy teraz wpływało to na jej ocenę sytuacji?

A może sprawa była znacznie prostsza?

Może po prostu bała się o człowieka, którego kochała.

Przełknąłem ślinę.

Przez chwilę rozważałem popsucie jej malutkiej piły. Wystarczyło drobne zaklęcie, żeby uczynić sprzęt bezużytecznym. Ale po chwili zrozumiałem, jaki to idiotyczny pomysł. Karrin by mi tego nie wybaczyła, a potem i tak znalazła inny sposób na pozbycie się tego przeklętego gipsu. Zapewne trzymała w garażu drugą piłę, w pudełku oznaczonym napisem ZASTĘPSTWO DLA RZECZY, KTÓRE POSPUŁ HARRY. Zawsze lubiła być dobrze przygotowana.

Nie mogłem jej powstrzymać. Równie dobrze mógłbym jej powiedzieć, że jest słaba i powinna zostać w domu. Że nie jest wystarczająco silna, by mi pomóc. Załamałaby się.

A poza tym.

Nie można wyręczać ludzi w podejmowaniu decyzji. Zwłaszcza jeśli się ich kocha.

Dlatego cofnąłem się za linię oddzielającą drewnianą podłogę salonu od płytek w kuchni.

– Dziękuję – powiedziała Karrin spokojnym głosem.

– Murph – odezwałem się.

Znieruchomiła z ostrzem piły opartym o gips i popatrzyła na mnie.

– Jesteś na straconej pozycji w tym całym zamieszaniu... Nie chroni cię Przymierze. Nie masz odznaki.

Wpatrywała się w moją twarz z bardzo poważną miną.

– To jest dżungla – powiedziałem. – A nikt z graczy nie zawaha się przed usunięciem przeszkód, jeśli dzięki temu uda się utrzymać Przymierze.

– Masz na myśli mnie.

– Mam na myśli ciebie.

– Mogłeś już zakłąć piłę – zauważyła.

– Nie, nie mogłem.

– No cóż, nie jesteś całkowitym idiotą – odrzekła z delikatnym uśmiechem.

– To się jeszcze okaże. Zdaję sobie sprawę, że nie ma sensu próbować cię powstrzymać. Ale... muszę wiedzieć, że wchodzisz w to z szeroko otwartymi oczami, Murph.

Na dłuższą chwilę spuściła wzrok. Potem znów popatrzyła na mnie.

– Muszę to zrobić – oznajmiła.

Przyjrzałem się jej obandażowanemu, połamanemu ciału.

Potem zacisnąłem zęby i skinąłem głową.

– Dobrze – powiedziałam. – Pomogę.

Jej spojrzenie na chwilę złagodniało.

Potem przyłożyła piłę do gipsu i zaczęła go przecinać.

Szybko uporowała się z wykonaniem nacięcia, chociaż kilka razy syknęła pod wpływem nieprzyjemnych doznań.

– Nie skalecz się – ostrzegłem. – Jeśli się wykrwawisz, spędzę cały tydzień na sprzątanii.

– To oparzenia – odparła rozdrażnionym tonem. – Piła nie przetnie ciała, ale rozgrzewa gips. Jestem zbyt niecierpliwa.

– Co ty nie powiesz. – Zaśmiałem się.

– Okej, pomóż mi to ściągnąć.

Tak zrobiłem.

Kiedy nosi się gipsowe opatrunki tak długo i w takiej ilości jak Karrin, efekt końcowy wygląda dość obrzydliwie. Na ciele pojawiły

się białe twarde płaty martwej skóry, które przypominały łuski. Czegoś takiego nie da się opatrzeć.

– Ech – westchnęła Karrin, marszcząc nos, gdy uwolniła rękę. – Niepokoi mnie ten zapach.

– Tak śmierdziało w szafkach w szkolnej sali gimnastycznej – zauważyłem.

– Faj, chłopcy. – Lekko uniosła zranioną rękę i powoli nią poruszyła, krzywiąc się przy tym.

– Teraz noga – zachęciłem.

Z nią było gorzej. Kiedy gips opadł, Karrin syknęła i złapała się za plecy.

– O Boże – szepnęła. – Moje biodra zapomniały, jak się ustawiać pod takim kątem. – Podniosła na mnie zboląły wzrok. – Mam szyny. Powinniśmy je założyć...

Urwała, kiedy ją podniosłem, najdelikatniej, jak potrafiłem. Objęła mnie za szyję sprawną ręką, żeby jak najbardziej mi pomóc.

– Co ty wyprawiasz? – spytała.

– Przygotuję ci gorącą kąpiel – odpowiedziałem. – Nie wierć się. Po prostu... pozwól mi działać. Dobrze?

Jej niebieskie oczy na chwilę złagodniały i spuściła wzrok.

– Tylko na chwilę – odpowiedziała.

Zaniosłem ją do łazienki, odsunąłem na bok cały zgromadzony tam sprzęt i delikatnie posadziłem ją na komodzie. Szybko przygotowałem kąpiel, a następnie pomogłem Karrin zdjąć ubranie i ostrożnie włożyłem ją do wody.

Nic nie mówiliśmy. Powoli polewałem ciepłą wodą jej wysuszoną skórę, czekając, aż dobrze się wymoczy. Miałem pod ręką delikatne mydło i po jakimś czasie z niego skorzystałem. Lekko namydliłem dłońmi okolice rany, starając się nie zerwać warstw skóry osłaniających delikatne ciało.

Karrin początkowo mi się przyglądała. Potem zamknęła oczy i rozluźniła całe ciało. Jej włosy rozpląnęły się po powierzchni wody. Jej twarz i ciało były ściągnięte i wychudzone, ale spokojne.

– Kocham cię – powiedziałem.

Otworzyła oczy i kilkakrotnie zamrugnęła. Potem wysunęła jedno ucho z wody i spytała: – Co mówiłeś?

Uśmiechnąłem się do niej. Następnie zacząłem znów łagodnie wodzić dłońmi po jej rękę, usuwając część martwej tkanki. Wiedziałem, że powrót do normalności zajmie jej kilka dni.

– Aha – dodała, przyglądając się mojej twarzy.

Potem usiadła w wodzie, obróciła się w moją stronę i zarzuciła mi obie ręce na szyję. Przyciągnęła moje usta do swoich z siłą, która już przestała mnie dziwić.

Ale gwałtowna, słodka, niemal rozpacзлиwa miękkość jej pocałunku sprawiła, że prawie wpadłem do wanny.

– Ja też cię kocham – wyszeptała.

Byliśmy mniej więcej w połowie drogi do posiadłości Raithów, gdy Murphy spytała:

– Widzisz?

– Ford crown victoria za nami? Tak.

– No właśnie – rzuciła Murphy zniecierpliwionym tonem. – A także dwa inne samochody.

Zmarszczyłem czoło. Prowadziłem Munstermobil, którym Murphy nie znosiła jeździć, ponieważ nie dało się wyregulować robionego na zamówienie fotela, a jej stopy nie sięgały pedałów. Brakowało niemal trzydziści centymetrów. Starego grata nie zbudowano z myślą o zapewnieniu kierowcy dobrej widoczności, ale i tak uważnie się rozglądałem z posępną miną.

Dopiero po dobrej minucie dostrzegłem to, na co Murphy zwróciła moją uwagę – granatowego forda oddzielały od nas dwa auta. To pewnie Rudolph i Bradley w jednym ze służbowych samochodów Wydziału Spraw Wewnętrznych. Za nimi, w odległości kilkudziesięciu metrów, jechał poobijany jeep, który bardziej by pasował do Gór Skalistych. Kawałek dalej jechało trzecie auto, srebrna minifurgonetka.

– Popularny jesteś – stwierdziła Murphy.

– Na dzwony piekieł – mruknąłem. – To cały zespół obserwacyjny?

– Jeśli tak, to najgorszy na świecie – stwierdziła Murphy. – Kiedy używa się trzech samochodów, nie ma potrzeby, żeby wszystkie przez cały czas pozostawały w zasięgu wzroku.

– Ha – odrzekłem i przez kilka minut przyglądałem się autom. – Czyli nie pracują razem. Śledzą nas trzy osobne ekipy?

– Rudolph i Bradley są tutaj z mojego powodu – odrzekła Murphy. – Kim są ludzie z pozostałych dwóch samochodów?

Przez chwilę z namysłem przygryzałem wnętrze policzka.

– Eee... jeśli zacznę jechać jak wariat, możemy się dowiedzieć.

– W tym gruchocie? – spytała i zadrżała. – Nie, dziękuję. Pozwolimy, żeby nas śledzili?

– Trudno powiedzieć, skoro nie wiemy, kto to – odrzekłem. – Nie dbam o Rudolpha, ale nie chciałabym, żeby Bradley włożył głowę w pętlę. On tylko próbuje dobrze wykonywać swoją pracę.

– Nie zgubisz forda crown victoria tą kupą złomu.

– Racja – przyznałem. – Więc może zrobimy to inaczej.

– Magia? – spytała. – Nie mam ochoty pokonywać reszty drogi piechotą.

Pokręciłam głową.

– Tego gruchota zbudowano niemal sto lat temu – odrzekłem. – Jeżdżę nim właśnie dlatego, że jest w stanie wytrzymać kontakt z magiczną energią i dalej robić brum-brum. – Zmrużyłem oczy i popatrzyłem na drogę. – Przynajmniej przez jakiś czas.

Murphy westchnęła.

– Jaki masz plan, Harry?

– Na chwilę znikniemy im z oczu, a potem okryję nas zasłoną – wyjaśniłem i na chwilę pogrążyłem się w myślach. – Będziemy musieli pozostać na autostradzie. Jeśli zjedziemy na pobocze, nie zdołam zasłonić pyłu i kamyków, które będą nam wylatywały spod kół.

– Ale inni kierowcy też stracą nas z oczu – zauważyła Murphy.

– My również będziemy ich kiepsko widzieć – dodałem. – Zupełnie jakbyśmy jechali w ulewnym deszczu.

Skrzywiła się najwyraźniej niezadowolona z tej całej sytuacji.

– Do tego jedziemy starym grzmotem, którym kiepsko się kieruje.

– Grzmotem, który jest cięższy od większości ciężarówek na tej autostradzie – zauważyłem. – Zbudowanym ze stali. Być może nie przyśpiesza tak dobrze jak nowoczesne auta, ale przynajmniej nie jest zrobiony z gipsu i tektury.

Murphy rzuciła mi zniecierpliwione spojrzenie.

– Harry, czy do ciebie dociera, że dzięki współczesnej inżynierii lżejsze samochody są znacznie bezpieczniejsze od takich pojazdów?

– Nie wtedy, gdy zderzają się z takimi pojazdami – odparłem.

– Owszem, projektanci nie wzięli pod uwagę spotkań z dinozaurami – warknęła.

– Zbliżamy się do zjazdu – zauważyłem. – Do dzieła.

Zjechałem na prawy pas i płynnie przyśpieszyłem, co nie sprawiło staremu samochodowi trudności. Dzięki mojemu dawnemu mechanikowi Mikę'owi i elf im majsterkowiczom, z których usług korzystała Mab, Munstermobil mrucał jak półtoratonowy kociak.

Wjechałem po rampie z pedałem gazu wciśniętym do podłogi, a kierowcy podążających za mną samochodów nie mieli wyjścia i musieli pójść w moje ślady. Doskonale wybrałem moment zjazdu z autostrady. Przywołałem siłę woli, patrząc, jak kilka aut blokuje drogę moim prześladowcom, i dotarłem do szczytu rampy w chwili, gdy zapaliło się zielone światło. Przejechałem przez skrzyżowanie, po czym wróciłem na rampę wjazdową i znów ruszyłem w stronę autostrady, a po drodze machnąłem ręką, wykonując gest przypominający naciągnięcie kaptura na głowę i szepnąłem: „Obscurata“.

Poczułem się dziwnie, jakby przepłynęła po mnie lodowata mgiełka, a wewnątrz auta stało się zamglone, jak gdyby światło przesłoniły gęste chmury, w rodzaju tych, które uniemożliwiają odnalezienie słońca na niebie.

Widoczność drastycznie spadła. Magia jest wspaniała, ale nie daje niczego za darmo – jeśli zmniejszysz ilość światła, która odbija się od twojego ciała, mniej światła dotrze także do twoich gałek ocznych, a poza tym światło w mniejszym stopniu będzie mogło na ciebie oddziaływać, na przykład cię ogrzewać. Samo stanie się niewidzialnym nie jest skomplikowane, ale trudno to zrobić tak, by nie oślepnąć i nie zamarznąć na śmierć. Ograniczyłem się do zaklęcia osłaniającego, które stanowiło kompromis między widocznością a wygodą – oczywiście z wyboru, a nie dlatego, że nie byłem naturalnie utalentowany w tej dziedzinie – i w skutek tego wyglądanie na zewnątrz mojej zasłony było tylko nieco łatwiejsze niż zagładanie do środka. Świat pociemniał, a Murphy wyprostowała się w fotelu i rozbłysły jej oczy.

– Hej – odezwała się. – Czy to zaklęcie powstrzymuje policyjne radary?

– Eee. – Byłem zajęty utrzymywaniem zasłony i prowadzeniem samochodu z niebezpieczną prędkością, więc nie mogłem się bardziej rozpraszać. – Moje nie. Czary Molly są w stanie

powstrzymać niemal wszystko, ale ja skupiam się tylko na widocznym świetle, ponieważ...

Murphy wyciągnęła rękę i z całej siły napała na moje prawe kolano, dociskając pedał gazu do podłogi.

– Szybciej.

Posłałem jej rozdrażnione spojrzenie, ale posłuchałem. Stary silnik warknął i pomknęliśmy rampą wjazdową, gwałtownie osiągając prędkość, która nie pozwoliłaby nam się wykpić zwykłym pouczeniem.

Zerknąłem we wsteczne lusterko i zobaczyłem, jak nasza świta również wpada na rampę...

... w tej samej chwili, gdy nasz mniej więcej niewidzialny samochód minął dwa radiowozy stojące na poboczu i wypatrujące kierowców przekraczających dopuszczalną prędkość pod wiaduktem.

Dostrzegłem, że obaj policjanci nagle się ożywili i wlepili wzrok we wskazania radarów, a potem popatrzyli na pozornie pustą jezdnię. Następnie zwrócili się w stronę naszych prześladowców, którzy stanowili jedyne widoczne źródło tych odczytów.

Przemknąłem obok nich i zanim rozmyli mi się przed oczami za sprawą zasłony, zauważyłem, że włączyli światła na dachu.

– Ojej – rzuciłem do Murphy z podziwem. – To było wredne.

– Prawda? – spytała z uśmiechem i poklepała mnie po nodze. – Dziękuję, że wykonałeś moje polecenie.

Co tak naprawdę znaczyło: „Dziękuję, że mi zaufałeś“.

Przygryzłem wargę. Jeśli będę dalej jechał prawym pasem, będę musiał zwolnić, żeby nie napytać sobie kłopotów, a także unikać wszystkich, którzy będą się kierowali do zjazdów. Jeśli pojedę lewym skrajnym pasem, jakiś idiota może we mnie uderzyć od tyłu. Uznałem, że mam większe szanse przeżyć wypadek przy mniejszej prędkości, więc zbliżyłem się do ciężarówki na prawym pasie, na tyle, żeby kierowca nie mógł mnie zobaczyć w lusterku.

– Nie boisz się, że ludzie doznają szoku, kiedy nagle się pojawisz? – spytała Murphy.

– Nieszczerólnie – odrzekłem. – Ludzie zazwyczaj bardzo się starają nie zauważać nietypowych zjawisk. Zresztą z pewnością już

o tym wiesz. – Wzruszyłem ramionami. – Większość ludzi miała do czynienia z czymś osobliwym, co nie pasuje do ich wizji świata, ale i tak starają się to wyjaśnić, choćby bardzo nieprzekonująco, lub po prostu o tym nie myślą. Każdy mówi, że chciałby, żeby czary były prawdziwe, ale tak naprawdę nikt nie chce czuć się zagubiony i wystraszony ani myśleć całymi nocami o mrocznych siłach, na które nic nie może poradzić.

– A właśnie tym jest magia – odrzekła Murphy.

– Przynajmniej częściowo. Jest w niej także wiele dobrego. To niezwykła potęga, a wszystko zależy od tego, do czego ją wykorzystamy.

– Ale jak każda moc, ona także ma w zwyczaju sprowadzać ludzi na złą drogę.

No cóż. Trudno z tym dyskutować.

Ludzie, którzy są w stanie władać Mocą, albo jakąkolwiek inną mocą, w odpowiedzialny sposób, nigdy nie byli zbyt liczni.

Za mgłą zasłony pojawił się jeep, który wcześniej za nami podążał. Podjechał do nas od tyłu i trzykrotnie zamrugał światłami.

– Poradziłam sobie z pozostałą dwójką – powiedziała Murphy. – Ten jest twój.

– Jasne. – Zerknąłem we wsteczne lusterko, a potem gwałtownie zrzuciłem zasłonę, włączyłem prawy kierunkowskaz i ruszyłem w stronę kolejnego zjazdu.

Murphy uniosła brew i popatrzyła na mnie. Zatrzymałem się na poboczu, a jeep stanął za mną.

– Czy to jest ten człowiek, o którym myślę? – spytała Murphy.

– Aha – potwierdziłem. – Poprosiłem go o pomoc.

Zmierzyła mnie wzrokiem.

– Więc może jednak czegoś się uczysz. W końcu.

– Niesamowite, prawda? – Odchyliłem się do tyłu i otworzyłem tylne drzwi.

Goodman Grey wślizgnął się do auta i ciężko opadł na tylne siedzenie. Był chyba najmniej charakterystycznym człowiekiem, jakiego widziałem. Przeciętny pod każdym względem, średniego wzrostu i budowy ciała, niebrzydki, ale nieciekawej urody, a jeśli przyjrzało mu się uważniej, można było dostrzec, że wśród jego

przodków byli rdzenni Amerykanie. Był także jednym z najniebezpieczniejszych zmiennokształtnych na świecie, brał dolara za zlecenie i ocalił mnie przed paskudną śmiercią w Tartarze.

– Co się dzieje, do cholery? – spytałem, kiedy już się usadowił. – Miałaś pilnować Justine.

– Jak chyba wszyscy – mruknął z niezadowoleniem. – Trzeba było mnie spytać, ile biorę za pracę w zespole. Witam, panno Murphy.

– Goodman – odrzekła. – Widzę, że wciąż pracujesz dla podejrzanych typów.

– Ryzyko zawodowe – odparł Grey.

– Chwileczkę – wtrąciłem się. – Kto jeszcze pilnuje Justine?

– A kto jej nie pilnuje? – zachnął się Grey. – Biały Dwór, gliny, federalni, jakiś dziwak – zboczeniec albo wariat – który obserwuje ją za pomocą zhakowanych kamer monitoringu...

– To pewnie Gary Paranoik – odrzekłem. – On... ma pewne problemy.

Murphy zmarszczyła czoło.

– Zaraz, jakim cudem dowiedziałaś się tego wszystkiego?

Grey wzruszył ramionami.

Murphy uniosła brew.

– To pewne informacje?

– Ależ panno Murphy. – Grey strzepnął nieistniejący pyłek z ramienia i pociągnął nosem. – Podobnie jak Dresden część pracy wykonuję samodzielnie, a do innych zadań oddelegowuję swoich ludzi.

– Ale federalni? – zdziwiła się. – Rozumiem, że sprawą interesuje się lokalna policja, ale dlaczego zaangażowało się FBI?

– Ostrzeżliśmy agenta Tilly'ego, pamiętasz? – spytałem.

Grey pokiwał głową.

– To nie Tilly, ale kilku jego ludzi z lokalnego wydziału.

Stęknąłem.

– Wszyscy wiedzą o sobie nawzajem?

– Znają tylko część prawdy i nie wszystko rozumieją – odrzekł Grey z zadowoleniem. – Ale ja wiem o nich wszystkich.

– Chyba że tylko ci się tak wydaje – zauważyła Murphy.

– Chyba że tak – przyznał Grey, wcale niespeszony. – Ale jeśli ktoś spróbuje dostać się do dziewczyny, zwróci na siebie uwagę trzech grup niebezpiecznych ludzi. Uznałem, że powinieneś wiedzieć, jak się sprawy mają.

– Może masz rację – mruknąłem i na chwilę zamknąłem oczy, pogrążając się w myślach.

– Nie zrób sobie krzywdy – rzekł Grey.

Otworzyłem jedno oko i posłałem mu rozdrażnione spojrzenie, które, z konieczności, miało tylko połowę mocy. Nie zrobiło na nim wrażenia. Ponownie zamknąłem oko i się zamyśliłem.

– Jedną z osób pilnujących Justine jest człowiek, który jej groził – zauważyła Murphy. – Zapewne postawili Thomasowi ultimatum, a on jest takim samym idiotą jak ty, Harry, więc jej o tym nie powiedział.

– Owszem, wygląda na to, że mogło tak być – zgodziłem się.

– Cholera. – Grey westchnął. – Chodzi o próbę zamachu?

– Tak – potwierdziłem. – Myślę, że ktoś go do tego nakłonił, grożąc dziewczynie.

– Hmm... – Grey rozparł się na siedzeniu. – No to już jest trupem. Ciemne elfy się nie patyczkują.

Otworzyłem oczy i popatrzyłem na Greya w lusterku.

Zmiennokształtny wzruszył ramionami i odwzajemnił moje spojrzenie z obojętną miną, pozbawioną wrogości albo strachu.

– Aha, więc to sprawa osobista. Ty i on, co?

– Stał przy moim boku w ciężkich chwilach – odrzekłem.

– No tak – odparł Grey, jakby doznał olśnienia.

Pokiwałem głową, a Murphy zrobiła to samo.

– Więc co chcesz, żebym zrobił? – spytał Grey.

– Nic się nie zmieniło. Chroń Justine.

– Tak – odrzekł, przeciągając to słowo. – Ale w sprawę zaangażowało się wielu graczy. Czasami najlepszą obroną jest atak, prawda?

Skrzywiłem się.

– Kto tutaj wyklada pieniądze?

Grey wzruszył ramionami.

– Wytłumaczysz mu to? – odezwał się do Murphy.

– On jest sam, Harry, chociaż dysponuje niezwykłymi zdolnościami – powiedziała Murphy z namysłem. – Zważywszy na to, jak wiele jej zagraża, jeśli nie będzie stał przy jej boku, niewiele zdoła zrobić, gdy ktoś postanowi strzelić do niej przez okno.

Poczułem bolesne ukłucie w piersi. Czasami się pojawiało, gdy wyobrażałem sobie, że ktoś, kogo znam, zostaje postrzelony. Pojawiało się zawsze, gdy wyobrażałem sobie, że chodzi o mnie.

– Zbliżę się do niej i dowiem się więcej – rzekł Grey. – Dodatkowe informacje mogą nam bardzo pomóc. A jeśli nie uda mi się znaleźć niczego użytecznego ani wykryć prawdziwego zagrożenia, mogę zabrać dziewczynę do bezpiecznej kryjówki.

– Masz taką? – spytała Murphy.

Grey do niej mrugnął.

– Powiedzmy, że mogę ją pożyczyć.

Pokiwałem głową i zmarszczyłem czoło.

– Możesz skorzystać z e-maila?

– Jak chyba każdy... – zaczął Grey, ale zaraz urwał i na mnie popatrzył. – Aha, no tak.

– Murph, dasz mu adres mailowy Gary’ego Paranoika? – poprosiłem.

– Najaktualniejszy, jaki mam, otrzymałam, zanim zostałam ranna – odrzekła.

– Możliwe, że już go zmienił. – Wyjęła notatnik z kieszeni kurtki i przerzuciła kilka kartek. Potem otworzyła pustą stronę i zaczęła pisać. Już od jakiegoś czasu nie służyła w policji, ale jej zwyczaje niewiele się zmieniły. Wyrwała kartkę i wręczyła ją Greyowi. Adres mailowy miał postać ciągu liter i cyfr bez znaczenia. – Proszę. Koniecznie napisz, od kogo dostałeś ten adres, w przeciwnym razie założę, że jesteś jednym z Nich.

Przyjął kartkę, zerknął na nią i oddał Murphy.

– Dlaczego mu ufacie?

– Niewykluczone, że Lara ze mną pogrywa – powiedziałem. – Mogą za tym stać jej ludzie. Miejscowi gliniarze zapewne siedzą w kieszeni Marcone’a, a jemu ani trochę nie ufam. Nie wiem, dlaczego zaangażowali się federalni ani kto wywiera na nich naciski, ale chociaż lubię Tilly’ego, to straszny wapniak i mam wrażenie, że

zachowuje się dziwnie w tej sytuacji. Zresztą nigdy nie czułem się komfortowo w kontaktach z rządowymi agentami.

– A ten gość z internetu jest godny zaufania? – spytał Grey.

– Gary Paranoik to dziwak i śliski typ, ale jest po naszej stronie – odrzekłem.

– Jeżeli to on hakuje kamery, to pewnie może ci pomóc. A jeśli to nie on, to dowie się, kto to robi.

– Jeżeli zechce – dodała Murphy.

– Jasne – odparł Grey niemal jowialnym tonem. – Ponieważ jest paranoikiem.

Pokręcił głową. – No cóż, z tobą nie sposób się nudzić, Dresden.

– Słynę z tego – przyznałem.

– Przynajmniej dobrze płacisz – odrzekł i skinął głową do Murphy.

– Proszę pani.

– W końcu ktoś będzie musiał cię zmienić – zauważyła.

– Tylko jeśli będziemy to robić przez co najmniej dwa tygodnie – odparł, a następnie wysiadł i wrócił do swojego starego jeepa.

– Użyteczny gość – zauważyła Murphy, kiedy odpalił silnik i odjechał, zawracając w stronę Chicago.

– Bardzo.

– Ufasz mu?

– W końcu go wynająłem. Ufam, że się wywiąże.

– Podobnie jak Nicodemus – zauważyła Murphy. – Ale ktoś inny wynajął go wcześniej. A co, jeśli tym razem też tak było?

Skrzywiłem się.

– Dzięki, że mi to przypomniałaś.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Harry. Zbyt łatwo ufasz innym. – Poprawiła się na siedzeniu z grymasem bólu na twarzy.

– Noga? – spytałem.

– Biodro – odpowiedziała krótko. – Nie zapomnij o lekarstwie na przeziębienie.

Murphy siedem godzin temu dała mi coś, co miało usuwać flegmę i przez osiem godzin zapobiegać kichaniu, kaszlowi oraz bólowi. Otworzyłem buteleczkę i zażyłem kolejną dawkę.

– Starzejemy się? – spytałem. – Czy właśnie tak to wygląda?

Uśmiechnęła się lekko i pokręciła głową.

– Takie jest życie. – Popatrzyła na mnie. – Myślisz, że Lara za tym stoi?

– Intuicja podpowiada mi, że nie. Chociaż jest na tyle podstępna, by tego spróbować, a istotą zdrady jest to, że się jej nie spodziewamy. Ale, tak czy inaczej, jest niebezpiecznie blisko narażenia się Mab.

– Wiele nam powie to, jak zareaguje na propozycję – stwierdziła Murphy.

– Czy kiedykolwiek zaangażowałaś się w którąś z moich spraw i czułaś, że toniesz w nadmiarze informacji? – spytałem.

– Racja – parsknęła.

– Być może coś nam to powie – odrzekłem. – Tylko na tyle możemy liczyć.

– Poruszamy się po omacku – zauważyła.

– Być może. – Włączyłem się do ruchu i skierowałem w stronę autostrady. – Ale nie ma sensu tracić czasu.

Freydis czekała na nas przed drzwiami posiadłości Raithów.

– Serio? – spytała. – Po prostu przyjeżdżacie tutaj i idziecie prosto do drzwi? Nie dało się w bardziej oczywisty sposób?

– Ojej, brzmicie tak uroczo, kiedy próbujecie używać potocznej mowy. Ale nie do końca wam wychodzi. Wiesz o tym?

Rudowłosa walkiria popatrzyła na mnie spod przymrużonych powiek.

– Nie zmuszaj mnie, żebym zatrzymała ten samochód.

– Tym razem gorzej, ale zarazem lepiej – odrzekłem z uznaniem. Freydis parsknęła.

– Co to za śmiertelniczka?

– Proszę – odezwała się Murphy. – Wiesz, kim jestem i czym się zajmuję. – Freydis pokazała zęby.

– Einherjaren panią lubią, panno Murphy. Ale to nie sprawia, że jest pani jedną z nas. To sprawy wewnętrzne. Nie dotyczą pani.

– Owszem, dotyczą – odparła Murphy. – Już od lat. Chyba że pani Raith woli, żebym zdradziła sekret dotyczący jej ojca.

– Grozisz mojej pracodawczyni? – spytała Freydis spokojnym głosem.

– Jestem dla niej zagrożeniem – odpowiedziała Murphy równie spokojnie. – Ale nie ma powodu, żebyśmy nie mogli rozwiązać tego w cywilizowany sposób.

– Mogłabym cię teraz zabić – zauważyła Freydis.

– Mogłabyś spróbować – odparła Murphy. – Ale niezależnie od wyniku, twoja szefowa musiałaby się obejść bez pomocy Dresdena.

Freydis zmrużyła oczy, a potem przeniosła wzrok na mnie.

– Co na to powiesz, Dresden?

– Dzień dobry – rzuciłem. – Nie mam nic więcej do dodania.

– Ta kobieta mówi w twoim imieniu?

– W swoim, ale nie widzę sensu powtarzania po niej.

– Jej obrażenia... – zaczęła Freydis.

Wydawało się, że Murphy nie poruszyła się szybko, ale wszystko wydarzyło się z niezwykłą płynnością i precyzją. Zrobiła krok do

przodu i w bok, a następnie zdzieliła Freydis w brzuch łokciem zranionej ręki. Nie było to mocne uderzenie, ale wytrąciło walkirię z równowagi, a Murphy poszła za ciosem, upuszczając laskę na werandę. Przyparła Freydis do drzwi, wyciągnęła pistolet i przystawiła go walkirii do podbródka.

– Jestem już tym zmęczona – powiedziała lekko rozdrażnionym tonem. – Mam dość ludzi, którzy mówią o mnie tak, jakbym przed nimi nie stała.

Freydis przypatrywała się jej przez dłuższą chwilę. Jeśli zmartwił ją pistolet przystawiony do brody, to nie dała tego po sobie poznać. Pokiwała głową i uniosła dłonie.

– Wejdz, wojowniczo.

Murphy popatrzyła jej w oczy i skinęła głową. Cofnęła się ostrożnie, nie odrywając broni od Freydis aż do ostatniej chwili, a potem zrobiła chwiejny krok wstecz. Podniosłem jej laskę i przez chwilę ją przytrzymałem, kiedy chowała pistolet, wciąż nie spuszczać wzroku z walkirii. Przyjęła laskę ze skinieniem głowy.

Wskazałem dom.

– Zatem prowadź.

Freydis uniosła dłoń i pomasowała podbródek w miejscu, w którym lufa broni pozostawiła małe zagłębienie na skórze.

– Spotykasz się z kimś? – rzuciła do Murphy.

Murphy zamrugnęła.

– Śmiertelnicy są najlepszymi kochankami – wyjaśniła Freydis. – A przez tę robotę jestem bez przerwy sfrustrowana seksualnie. Ale trudno jest spotkać śmiertelników, którzy wzbudzaliby mój szacunek.

Policzki Murphy poróżwiały.

– Eee...

Freydis lekko zmarszczyła czoło i przeniosła wzrok z Murphy na mnie i z powrotem.

– Chętnie się podzielę.

– Jestem... jestem katoliczką – wykrztusiła Murphy.

Oczy Freydis rozbłysły łobuzersko.

– Konflikty moralne też mi nie przeszkadzają.

Murphy popatrzyła na mnie rozpaczliwie.

Ha. Teraz już widziałem wszystko. Murphy prosi o ratunek. Nigdy nie bała się potworów ani szaleńców.

Potrzebna była rudowłosa walkiria.

– Najpierw praca, potem przyjemność – zasugerowałem.

– Wszyscy możemy dzisiaj umrzeć – odrzekła Freydis. – Ale jak wolisz.

Freydis zaprowadziła nas na tyły posiadłości i do ogrodów, których nigdy wcześniej nie widziałem. Znajdował się tutaj nawet ogromny labirynt z żywopłotu o wysokości dobrych trzech metrów. Freydis powiodła nas do środka.

– Przepraszam za długą wędrówkę, panno Murphy – odezwała się.

Murphy kuśtykała z ponurą miną, podpierając się laską.

– Nic nie szkodzi.

Freydis pokiwała głową, ale zerknęła w moją stronę i mógłbym przysiąc, że w ciągu kolejnych dwóch minut stopniowo, niemal niezauważalnie zwolniła. W końcu dotarliśmy do środka labiryntu.

Znaleźliśmy się w porośniętym trawą cieniastym zakątku, gdzie kilka jabłonek rosło obok pięknie umiejscowionego... Z całą pewnością nie był to staw, ale jakaś instalacja z abstrakcyjną rzeźbą przedstawiającą parę pozbawionych twarzy kochanków, po których spływała falami woda. Poprzedniego wieczoru najwyraźniej odbyło się tutaj przyjęcie, ponieważ na trawie leżały butelki, talerze i resztki jedzenia, jak również ubrania. Wiele z nich było podartych.

Na środku trawiastego terenu stało... Cóż, z pewnością taki przedmiot miał jakąś oficjalną nazwę, ale wyglądał jak olbrzymie łożo z baldachimem, na którym zmieściłoby się co najmniej pół tuzina osób, a zapewne więcej, gdyby się ścieśniły. Poranne światło rozświetlało przejrzyste białe zasłonki poruszane podmuchami wiatru, który na chwilę pozwalał zapomnieć o czekającym nas kolejnym upalnym dniu.

Na łożku siedziała ze skrzyżowanymi nogami Lara Raith i popijała espresso z malutkiej filiżanki. Była ubrana w zbyt duży niebieski T-shirt i stare skrócone spodnie od dresu z plamami farby. Miała potargane włosy i nie zrobiła makijażu. Kiedy podeszliśmy,

podniosła wzrok, a jej oczy miały kolor szafiru i wyglądem przypominały klejnoty. Przeciągnęła się, jak ludzie zazwyczaj robią po przebudzeniu, chociaż mało kto zdołałoby wyglądać przy tym tak dobrze jak ona w takim stroju, a następnie się do nas uśmiechnęła.

– Harry. Panno Murphy. Dzień dobry.

Rozejrzałem się.

– Długi wieczór?

– Praktykuję dyplomację nie tylko z twoimi ludźmi i ciemnymi elfami – odrzekła. – Poza tym zawsze warto zjeść solidny posiłek przed spodziewanymi kłopotami.

Murphy wsparła się na lasce.

– Przygotowujesz się na kłopoty, uprawiając seks?

– Jestem wampirem, panno Murphy – spokojnie odpowiedziała Lara. – Mam pewne potrzeby fizjologiczne. A więc owszem. To także często niezbędny element świętowania zwycięstwa. Albo dochodzenia do siebie po porażce.

– Dostrzegam tu pewien schemat – zauważyła Murphy oschle.

Lara się roześmiała. To był zwykły śmiech, bez nadprzyrodzonego uwodzicielstwa, jakie wcześniej słyszałem w jej głosie.

– Według naszych informacji jeszcze przez tydzień miałaś być w gipsie.

– Przez cztery dni – poprawiła ją Murphy. – Znudziło mi się. Ale to nie jest wizyta towarzyska.

– Och, jakże nieprofesjonalnie z mojej strony – odrzekła Lara.

Rozejrzałem się.

– Ktoś założył podsłuch w twoim biurze, prawda?

Lara wzniosła toast filiżanką.

– A mówią, że jesteś bezmyślnym osiłkiem.

– Kto tak mówi? – spytałem.

– Nawet gdybym zapragnęła podzielić się z tobą... intymnymi detalami, Harry... – Zatrzepotała rękami. – Dlaczego uważasz, że byłoby to mądre z mojej strony?

– Tak tylko pytam – odrzekłem. – Jak zawodowiec zawodowca.

– Wiem, że to miał być komplement – odpowiedziała cierpkim głosem. – Dlatego wezmę pod uwagę twoje intencje. – Zastanawiała

się przez chwilę, zanim znów się odezwała. – Nie jestem pewna. Ale w ciągu ostatnich tygodni nastąpiło zbyt wiele przecieków. Jestem zabezpieczona przed czysto technicznymi atakami i nigdy nie miałam problemów z lojalnością swoich ludzi.

– Nawet w Czeluści Raithów? – spytałem.

Lekceważąco machnęła ręką.

– Och, to była zwykła zdrada. To co innego.

– Jak to?

– Wszystko zostało w rodzinie. Jest w interesie Białego Dworu, żeby przywódca był jak najsilniejszy i jak najbardziej kompetentny. Rzucanie mu wyzwania w celu przejęcia kontroli nad poczynaniami naszego ludu wychodzi wszystkim na dobre.

– Prawie wtedy zginąłem. – Zagotowałem się. – Zresztą ty też.

– Nie marudź, Harry – zganiła mnie Lara. – Oboje przeżyliśmy. Kiedy moi ludzie zwracają się przeciwko mnie, zachowujemy to dla siebie. Te informacje trafiały na zewnątrz. Oczywiście mam konsultantów od takich spraw, ale nie udało im się znaleźć żadnych magicznych podsłuchów. Podejrzewam, że tylko któryś z twoich ludzi mógłby rzucić zaklęcie, którego nie byliby w stanie wykryć.

Zmarszczyłem czoło. Biała Rada przy każdej okazji starała się prowadzić wojnę informacyjną, choćby wymagało to wytrącania satelitów z orbit i wywoływania wybuchów wulkanów, wychodząc z założenia, że wiedza pozwala zdobyć wystarczającą przewagę, by uniknąć otwartej wojny. Bezczelne i aroganckie podejście, ale skuteczne.

Zazwyczaj.

To jednak nie oznacza, że bycie celem intensywnej inwigilacji jest przyjemne. Wcale mi się nie podobało, gdy na początku mojej kariery bacznie mnie monitorowali.

Magowie potrafią być niezwykle irytujący.

– Napijcie się kawy? – zaproponowała Lara.

Przyjęliśmy propozycję. Freydis przyniosła filiżanki, cały czas nie skupiając wzroku na niczym konkretnym, jakby starała się jednocześnie obserwować wszystko wokół nas.

– A więc co tutaj robicie? – spytała Lara.

– Chodzi o dzisiejszy wieczór – odpowiedziałem.

Posłała mi ostre spojrzenie, a potem zerknęła na Murphy.

– Poprosiłaś mnie o pomoc – dodałem. – Otrzymasz ją. Na moich warunkach.

Coś, co bardzo przypominało gniew, na krótką chwilę zmieniło wyraz jej twarzy, czyniąc ją nieobecna i zimną jak lód.

– Rozumiem. – Przeniosła wzrok na Murphy. – Przykro mi, że zostałam wciągnięta w tę sprawę.

– Więc dlaczego to zrobiłaś? – spytała Murphy.

Przeniosłem ciężar ciała na drugą nogę, napierając biodrem na biodro Murphy. A raczej na jej ramię.

Lara przez chwilę się nad tym zastanawiała, a potem powoli pokiwała głową.

– Rozumiem. Mam nadzieję, że podejdziesz do tej sprawy w sposób profesjonalny...

– Jeśli spróbujesz wbić nam nóż w plecy albo pożywić się kimkolwiek z nas, przedziurawię ci czaszkę – odparła Murphy. – Ale jeżeli potraktujesz nas uczciwie, wszystko będzie dobrze. Lubię twojego brata.

– Czyżbyś groziła mi w moim własnym ogrodzie? – spytała Lara.

– Tylko przedstawiłam nasze stanowisko – odrzekła Murphy.

Lara zerknęła na mnie. Wzruszyłem ramionami.

– Lepiej wyłożyć kawę na ławę niż coś ukrywać.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Podejrzewam, że wszyscy jesteśmy tutaj ze względu na Thomasa, czyż nie?

– Właśnie po to przyjechaliśmy – potwierdziłem. – Nie możemy odbić go siłą.

Lara zmarszczyła czoło.

– Biorąc pod uwagę otaczające go środki bezpieczeństwa, nie widzę innej możliwości.

– Chcesz rozpętać wojnę z ciemnymi elfami? Co się stało z chęcią unikania otwartych konfliktów?

Popatrzyła na mnie zbolałym wzrokiem, a potem gwałtownie odwróciła oczy.

– Sytuacja się zmieniła, kiedy przenieśli mojego brata. Czekają mnie poważne problemy ze strony własnych ludzi, jeśli moje

rodzeństwo zostanie skazane na śmierć. Moi wrogowie w Dworze potraktują to jako uzasadnienie dla ataku na mnie. Jeśli nie jestem w stanie ochronić własnej rodziny, to jak mogę chronić innych, i tak dalej. – Pokręciła głową. – Sojusznicy spoza Dworu także będą się uważnie przyglądali. Krótkotrwały konflikt zakończony zawarciem pokoju może jeszcze bardziej wzmocnić moją pozycję.

– Czyli chodzi wyłącznie o władzę – zauważyła Murphy.

– Również o władzę – poprawiła ją Lara. – Ludzie na takich stanowiskach jak moje stale się troszczą o jej utrzymanie. Tylko że Thomas jest moim jedynym bratem. Często mnie drażni, ale... – Wzruszyła ramionami. – Lubię go. Rodzinę niełatwo tak po prostu odrzucić.

Pomyślałem o staruszku.

– To prawda – odrzekłem cicho. – A gdybym ci powiedział, że możemy uwolnić Thomasa bez rozlewu krwi?

– W jakim celu? – spytała. – Ludzie Etriego szybko by go wytropili i zabili. Wszystkie ludy należące do Przymierza w teorii będą zobowiązane do udzielenia im pomocy.

– Myślę, że zdołam go ukryć – odrzekłem. – Przed nimi wszystkimi.

– Nawet przed twoimi ludźmi?

– Zwłaszcza przed tymi dupkami.

Lara uniosła brwi.

– Jeśli się postaramy, unikniemy przemocy i postawimy wszystkich przed faktem dokonanym – odezwała się Murphy. – Wyrwiemy go z ich rąk i umieścimy poza ich zasięgiem. Będiesz miała czas na uspokojenie sytuacji. A skoro powstrzymasz się przed przelewem krwi, sprzymierzone narody będą naciskały na Etriego, by przywrócił pokój i zgodził się na głów szczyzną.

– Bardzo słoną – zauważyła Lara.

– To i tak bardziej opłacalne niż walka z ciemnymi elfami – odrzekłem. – Albo durnienie kolejnego buntu pośród własnych ludzi.

Lara zmarszczyła czoło, zmrużyła oczy i zastanawiała się przez pełną minutę. Jej podbródek lekko się kołysał.

– Rozumiem, że Mab nie ma nic przeciwko temu?

– Mab potrafi być bardzo kreatywna w kwestii tego, na co zwraca uwagę – odpowiedziałem. – Zwłaszcza jeśli wszystko jest załatwiane zgodnie z protokołem. Uniknięcie rozlewu krwi podczas jej przyjęcia z pewnością ją udobrucha.

– Ale na razie o niczym nie wie – naciskała Lara.

– Właśnie po to ci mnie wypożyczyła, żeby nie kłopotać się takimi rzeczami.

Lara dopiła espresso.

– Czyli... kiedy już będzie po wszystkim, musisz się liczyć z konsekwencjami.

– Zwłaszcza jeśli pokpimy sprawę – przyznałem.

– Jeśli nam się nie uda, moja sytuacja będzie jeszcze gorsza, niż gdybym nie zareagowała – zauważyła Lara.

– On jest twoją rodziną.

Przez jedną groźną chwilę wpatrywała się we mnie szafirowymi oczami, a potem zwróciła się w stronę Murphy.

– Podejrzewam, że to twój plan?

– Nie dbam o to, komu przypadną zasługi – odparła Murphy. – Jeśli tylko plan się powiedzie.

Lara wzięła głęboki wdech.

– W porządku – powiedziała w końcu. – Opowiedzcie, co zamierzacie.

– To nie jest skomplikowane – powiedziała Murphy.

Lara przekrzywiła głowę.

– Proszę, nie zakładaj, że jestem zbyt tępa, by dostrzec oczywiste rozwiązania.

– Bywałeś w tym budynku na zebraniach Stowarzyszenia Jaśniejszej Przyszłości – odrzekła Murphy. – Ja trenowałam tam codziennie przez ponad rok. Ze strażnikami.

Lara uniosła brew.

– Sądziłam, że strzegłeś zagrożonych rodzin, którym udzielano gościny.

– Owszem – przytaknęła Murphy. – Ale przy okazji starałam się jak najlepiej poznać to miejsce. – Parsknęła. – Należy do Marccone'a, a on lubi trzymać swoich przyjaciół blisko.

Lara uśmiechnęła się z uznaniem, a zarazem drapieźnie.

– Więc posiadasz informacje, do których ja nie miałam dostępu, gdy tworzyłam plan.

– Skarbce są w piwnicy – powiedziała Murphy.

– Jest tam tylko jedno wejście – zauważyła Lara.

– To nie pierwszy problem, którym musimy się zająć – odrzekła Murphy.

Pokiwałam głową.

– Zanim wejdziemy, musimy zapewnić sobie drogę wyjścia.

Pojawiłem się w recepcji na czas, ubrany w swój srebrny garnitur i pelerynę Strażnika. Nie był to oryginał, który w pewnym sensie cenilem wyżej. Pelerynę uszyto z połyskującego jedwabiu i nie było na niej żadnych rozdarć, śladów przypalenia ani łat. Ponownie wszedłem do środka razem ze Strażnikami i członkami Rady Starszych, chociaż tym razem Ramirez, ubrany podobnie do mnie, trzymał się nieco z tyłu i mocniej niż poprzedniego dnia opierał się na lasce.

Drapieżcy pewnie uznaliby, że stanowi łatwy cel, gdyż jest odizolowany i wlecze się z tyłu, a to spotkanie śmiało można było

nazwać zgromadzeniem najbardziej śmiercionośnych drapieżców, jakich nosiła ziemia. Dlatego zwolniłem kroku, żeby się z nim zrównać. Dzięki temu nie był sam.

Wieczór był parny i padał drobny deszcz, przez który w powietrzu unosiła się woń rozgrzanego asfaltu, oleju silnikowego i skoszonej trawy. Można się spodziewać opadów, gdy w jednym miejscu przez dłuższy czas przebywają potężni delegaci Lata i Zimy.

– Cześć, stary – odezwałem się cicho. – Wszystko w porządku?

Ramirez zacisnął zęby i pośpiesznie na mnie zerknął.

– Będzie w porządku. Na razie jest ciężko. Ale przynajmniej już nie tkwię na wózku.

– Co się stało? – spytałem.

Mięśnie jego szczęki napięły się, zanim odpowiedział.

– Zadarłem z niewłaściwym potworem.

– Na służbie?

Wzruszył jednym ramieniem.

– Okazało się, że tak.

Zmarszczyłem czoło. Między jego słowami kryły się ogromne pokłady złości i bólu. Kilkakrotnie widziałem, jak Carlos odnosił rany podczas wojny z Czerwonym Dworem. Nigdy nie pozbawiało go to dobrego humoru.

Tym razem tak się stało.

– Przykro mi – powiedziałem.

Mocno zacisnął usta.

– Jasne. – Lekko potrząsnął głową, jakby odpędzał owada. – Słyszałem o głosowaniu w Radzie, stary. Co za bzdura. Wiem, że sprawiasz im kłopoty i nie każdy cię lubi, ale przecież jesteś magiem, Harry.

– Jesteś czarodziejem, Harry! – ryknąłem głosem Hagrida.

Nie uśmiechnął się, ale w jego oczach pojawił się wesoly błysk.

– W każdym razie ja już oddałem głos na twoją korzyść. Podobnie jak większość pozostałych Strażników.

Przez chwilę milczałem, czując, że coś ściska mnie w gardle.

– Aha, dzięki.

– Nie ma sprawy. Jesteśmy ludźmi od walki i brudnej roboty – rzekł z goryczą. – Ale wszystkim magom, którzy przez cały dzień

tylko siedzą na grubych dupskach, rzeczywiście możesz się wydawać groźny.

– Kiedyś tyle nie przeklinałeś – zauważyłem. No i nigdy nie robił tego z taką goryczą. Kurczę.

Coś wyraźnie wstrząsnęło Ramirezem.

Postanowiłem zorganizować butelkę czegoś łatwopalnego i uciąć sobie z Carlosem długą pogawędkę.

– Jak się ma Karrin? – spytał.

– Jak zawsze, tylko jest wolniejsza i bardziej marudna.

– Słyszałem, co zrobiła. Stawiła czoło Nicodemusowi Archleone i przeżyła.

– Było dokładnie odwrotnie, ale masz rację – odrzekłem. – Różnica polega na tym, że ona wciąż może mieszkać w swoim domu.

– Ha. – Błysnął zębami. – No tak. Nie uwierzyłbyś, ilu ludzi przyszło do Rady z prośbą, żebyśmy pomogli im go odnaleźć.

– Naprawdę?

– Jak cholera – odrzekł Ramirez. – Facet jest pieprzonym potworem. I jest śliski jak wąż.

– To by się zgadzało.

– Ktoś go w końcu dopadnie.

– Oby jak najprędzej – odpowiedziałem. – O co chodzi z tym kolejnym przyjęciem? Jedno nie wystarczy? Przecież spotkaliśmy się wczoraj wieczorem.

– Ależ nie – odparł Ramirez. – To było tylko przełamanie lodów. Dzisiaj mamy ceremonię otwarcia.

– Czyli kolejne przyjęcie.

– Oczywiście. Takie spotkanie zapewnia przestrzeń do załatwienia wielu oficjalnych spraw. Nowe kandydatury, zgłaszanie pretensji, oficjalne obwieszczenia, ustalenie celu zebrania i tak dalej. Właśnie temu służą ceremonie otwarcia, po których rozpoczyna się właściwe targowanie.

– Hura – stęknąłem.

– Nie lubisz przyjęć, Harry? – spytał Ramirez. W jego głosie i na twarzy pojawiło się widmo dawnego humoru.

– No cóż, słyszałem, że przynajmniej nie zabraknie ładnych dziewczyn – odparłem.

Bum. Niemal usłyszałem, jak Ramirez zamknął się w sobie.

– Carlosie? – spytałem.

Pokręcił głową.

– Po prostu mnie boli. Po przyjęciu zażyję środki przeciwbólowe.

Pokiwałem głową. Podobnie jak ogień, ból zapewne miał własny przytłaczający ciężar. Magia mogła go stępić lub usunąć, ale nie bez skutków ubocznych, które były niemal równie poważne jak w przypadku leków. Potrzeba było wieków doświadczenia we władaniu taką magią, by korzystać z niej bezpiecznie, a żaden z nas tego nie potrafił. Miałem o osiem lat dłuższy staż od Carlosa, ale według magicznych standardów obaj byliśmy żółtodziobami. Nic dziwnego, że nie chciał mieć przytępionych zmysłów w taki wieczór.

Właśnie dlatego to, co musiałem zrobić, było tak trudne i bolesne.

A także konieczne.

Położyłem dłoń na jego ramieniu.

– Trzymaj się, stary. Kiedy już będzie po wszystkim, może zabierzemy Dzikiego Billa i Yoshimo i pojedziemy razem na kemping.

– Jasne – odrzekł obojętnym tonem. – Może być przyjemnie.

Nie dostrzegłem ampułki w mojej dłoni ani tego, że rozsmarowałem jej płynną zawartość po jego pelerynie i swojej skórze. Nikt nie zwróci uwagi na kolejną mokrą plamę na jego stroju. Opuściłem dłoń, ukrywając pękniętą ampułkę, a Ramirez niczego nie zauważył.

Niby dlaczego miałyby coś podejrzewać?

Był moim przyjacielem. Ufał mi.

Zrobiło mi się niedobrze.

– Na pewno dasz radę to zrobić innemu magowi, Dresden? – spytała Lara z naciskiem.

– Nie widzę powodu, dlaczego to nie miałyby zadziałać – odrzekłem. – A jeśli spróbuję to zrobić komuś, kto nie jest magiem, zdecydowanie przekroczę granicę, jak tamten głupi drań ze skrzypcami.

– Jeśli cię przyłapią...

- Jeśli przyłapią kogokolwiek z nas, będziemy mieli przechłapanie
- przerwałem jej. – Bez ryzyka nie ma nagrody.
- Racja – przyznała Lara. – Co dalej?
- Teraz musimy pod jakimś wiarygodnym pretekstem wydostać was oboje z przyjęcia – powiedziała Murphy.
- Czego potrzebujemy? – spytała Lara.
- Murphy uśmiechnęła się ponuro.
- Oczekiwać.

Minęliśmy Childsa oraz jego psa stróżującego i weszliśmy do głównej sali. Pomieszczenie znów podzielono według obozów, subtelnie wyznaczając granice za pomocą mebli i jedwabnych zasłon, dzięki czemu można się było poczuć jak w cyrkowym namiocie, z tą różnicą, że na samym środku sali, w miejscu doskonale widocznym ze wszystkich obozów, wzniesiono małą okrągłą scenę.

Grała muzyka, ponownie smyczki. Marccone najwidoczniej zdołał wymenić nieokrzesanego elfiego skrzypka. A może darował mu życie? Było mi wszystko jedno.

Sam Marccone również był obecny. Rozmawiał z Etrim, siedząc na ciemnozielonej europejskiej kanapie z sekwoi, obitej skórą i ozdobionej złotymi ćwiekami. Baron Marccone był przystojnym mężczyzną w średnim wieku, ubranym w nieskazitelny szary biznesowy garnitur. Nieco wyższy od przeciętnego człowieka niemal się nie zmienił przez wszystkie lata naszej znajomości. Nieliczne oznaki starzenia, które się u niego pojawiły, sprawiały jedynie, że wyglądał na bardziej powściągliwego, surowego i niebezpiecznego.

Po jego obu bokach jak zwykle siedzieli Sigrud Gard i Hendricks. Gard była wysoka jak koszykarka i umięśniona jak ciężarowiec. Miała na sobie żakiet równie ładny jak strój Marccone'a, a złociste loki zaplotła w ciasny, skomplikowany warkocz, dzięki któremu nie można jej było złapać za włosy. Pod ubraniem wyraźnie odznaczał się topór, który nosiła na plecach, ale wyglądało na to, że żaden obrońca mody nie odważy się zwrócić jej uwagi.

Rudowłosy Hendricks, który stał po drugiej stronie kanapy, przypominał ciężarówkę, którą wciśnięto w garnitur. Miał masywne

łuki brwiowe, krótką brodę o kilka odcieni ciemniejszą od włosów, oraz dłonie jak łopaty. Jego garnitur uszyto na miarę, ale nie w taki sposób, by dokładnie na niego pasował, lecz raczej w celu zamaskowania broni, którą niewątpliwie nosił pod spodem.

Marccone podniósł wzrok na delegację Białej Rady, która weszła do sali, i przez chwilę spoglądał na mnie z neutralnym wyrazem twarzy. Kiedy ostatnio przyjąłem duże zlecenie, poważnie uszkodziłem jego skarbiec, nie wspominając o zawartości, a jeden z jego ludzi zginął z rąk szaleńców, z którymi współpracowałem. Zapłaciłem za niego główszczyznę, ale udobruchanie kogoś a zawarcie pokoju to dwie różne sprawy.

Odwzajemniłem spojrzenie z miną pokerzysty, a potem obaj równocześnie odwróciliśmy wzrok, zupełnie jakbyśmy to zaplanowali. Zacisnąłem zęby. Co za palant. Od zawsze miałem ochotę zdzielić go pięścią w tę silnie zarysowaną szczękę.

Przez chwilę wyobrażałem sobie Marccone'a pozbawionego kilku zębów i siedzącego na fotelu u dentysty, który kuli się pod groźnymi spojrzeniami Gard i Hendricksa, a ta wizja sprawiła, że się uśmiechnąłem. No proszę. Kto powiedział, że nie potrafię dobrze się bawić na przyjęciach? Wiedziałem, że organizacja Marccone'a ma swoich lekarzy. Czy mają także dentystów?

Jeśli którykolwiek mafioso na świecie zapewnia plan stomatologiczny swoim pracownikom, to z pewnością jest to Marccone.

A to przypomniało mi, że powinienem zapisać Maggie na kontrolę dentystyczną, nim zacznie nowy rok szkolny i... Nie, chwileczkę. Skup się, Dresden. Na razie przetrwaj ten wieczór. Później zajmiesz się planowaniem wizyt lekarskich dla Maggie.

Wkroczyłem na przyjęcie. Wymieniłem kilka słów z Rzeką w Ramionach, który rozmawiał z Evanną. Naprzeciwko niebieskich i fioletowych jedwabi Zimy wisiały złote i zielone barwy Lata. Podszedłem do skraju ich obozu, by przywitać się skinieniem głowy z Letnią Panną, Sarissą, oraz uścisnąć dłoń Fixa, Rycerza Lata, mojego odpowiednika po tej stronie barykady i całkiem porządnego gościa. Ochroniarze Lata nie spuszczały mnie z oczu.

Minąłem klan LaChaise, wystawiając się na kilka groźnych spojrzeń, które ochoczo odwzajemniłem. Nie jestem zbyt tolerancyjny wobec ghouli, ze względu na to, że na moich oczach pożarły kilkoro dzieciaków, które uczyłem podczas wojny z już nieistniejącym Czerwonym Dworem. Ten konkretny klan dawał się we znaki ludziom mieszkającym w delcie Missisipi i w przeszłości kilka razy się z nim ścierałem. Niektórzy z członków LaChaise wyglądali, jakby mieli ochotę wszcząć bitkę, ale wystarczyło kilka spojrzeń w stronę wciąż pustego czarnego fotela Mab w obozie Zimy, by zmienili zdanie.

Nie miałbym nic przeciwko walce z nimi, gdyby zaczęli. Nie twierdzę, że dobry ghoul to martwy ghoul, ale nigdy nie spotkałem żadnego, który skłoniłby mnie do pomyślenia inaczej, a widziałem zbyt wiele trupów będących ich dziełem, by zależało mi na zmianie zdania. Jednakże dopóki szanowali rozejm, podlegali prawu gościny i ochronie ze strony gospodarza. Może później, po zakończeniu rozmów, gdy wszyscy będą się rozjeżdżać do domów, przytrafi się jakieś nieporozumienie.

Kilka osób tańczyło na środku pomieszczenia, na otwartej przestrzeni wokół podestu dla mówców. Wyjątkowo osobliwą parę stanowili Evanna i Rzeka w Ramionach, który trzymał ciemną elfkę w powietrzu jedną ręką, jednocześnie ostrożnie i statecznie stawiając kroki walca.

Freydis podkradła się do mnie uwodzicielskim krokiem. Wyglądała wspaniale w białą-srebrnej sukni. Owszem, większość dam nie miała aż tylu blizn, lecz one tylko wzmacniały jej niebezpiecznie seksowną aurę. Rudowłosa walkiria posłała mi oszałamiający uśmiech i przesunęła dłoń po mojej ręce.

– Witaj, seidrmadr. Kogo dziewczyna musi tutaj zadźgać, żeby poproszono ją do tańca?

Uśmiechnąłem się.

– Mab jeszcze nie ma – odpowiedziałem bardzo cicho.

Freydis zignorowała moje obawy i przysunęła się do mnie, kładąc lewą dłoń na moim ramieniu, a prawą chwytając mnie za rękę.

– O nie. Musisz przez kilka chwil potańczyć z zapierającą dech w piersiach kobietą. Co ty zrobisz, biedaku?

No cóż. Miała rację. Uniosłem rękę, położyłem dłoń na jej biodrze i ruszyłem do prostego walca.

Freydis nie znała tego tańca, ale szybko się uczyła i już po minucie sunęła z gracją po parkiecie. Ścisnęła moją dłoń.

– Te blizny to poparzenia? – spytała.

– Wampirzyca z Czarnego Dworu trzymała cały biurowiec w telepatycznej blokadzie – wyjaśniłem. – Jeden z jej Renfieldów miał prowizoryczny miotacz ognia.

– Tylko dłoń? Czy ślady sięgają do samej góry?

– Do nadgarstka z przodu – odrzekłem. – Z tyłu mniej. Tą ręką trzymałem tarczę.

– Rozumiem, że ich zabiłeś?

– Dlaczego tak mówisz?

– Wiem z doświadczenia, że oparzenia wprawiają śmiertelników w mściwy nastrój.

– To... dłuższa historia – odpowiedziałem. – Wampirzyca uciekła. Mavra.

– Aha, ona – rzekła Freydis. – Przez lata wypracowała sobie nie lada reputację.

– Naprawdę?

– Pewnie nie powinnam ci tego mówić za darmo, ale ubóstwiam taniec, rzadko mam okazję mu się oddawać, a mój szef cię lubi – odrzekła Freydis.

Zatrzymałem się, żeby popatrzeć na Vadderunga. Ponownie zasiadał naprzeciwko Ferrovaxa i obaj uważnie się sobie przyglądali.

– Wygląda na kogoś, kto kazałby ci powiedzieć coś takiego, gdyby chciał, abyś przekazała mi jakieś informacje – zauważyłem.

Jej zielone oczy rozbłyły z uznaniem.

– Och, właśnie awansowałeś z trójki na szóstkę, seidermadr. Lubię mężczyzn, którzy spoglądają pod powierzchnię rzeczy. Poza tym umiesz tańczyć.

– Mam szczęście – odrzekłem. – A więc?

– A więc jeśli wystarczająco mnie upijesz i nie zjawi się nikt ciekawszy, mogę pokazać ci wiele interesujących blizn. Jeżeli przyprowadzisz swoją kobietę, możemy nawet darować sobie część picia.

Zrobiło mi się gorąco.

– Eee... chodziło mi o Mavrę.

– Mniej więcej rok temu ją wyśledziliśmy – odpowiedziała Freydis niespeszona zmianą tematu. – Jeśli miałeś nadzieję, że nigdy nie wróci, to się przeliczyłeś.

– Szykują się same spotkania po latach – mruknąłem.

– Och, biedny chłopcze – zakpiła Freydis, wysuwając do przodu dolną wargę. – Gdybyś żył tyle lat, co ja, zrozumiałbyś, że nikomu z nas nie uda się uciec przed przeszłością. Ona zawsze wraca, by nas prześladować.

– Moje doświadczenia też na to wskazują – przyznałem. Utwór dobiegł końca i przeszliśmy z walca do fokstrota, który Freydis także błyskawicznie opanowała. Podczas jednego z obrotów dostrzegłem kątem oka jakiś ruch i odniosłem wrażenie, że temperatura w sali spadła o kilka stopni. – Tam. To ona?

– Lodowata, ładna i przerażająca? – spytała walkiria. – Tak, to ona. Zrobimy to teraz?

– Zaczekajmy, aż się trochę zadomowi – odrzekłem.

Jej zielone oczy intensywnie wpatrywały się w coś ponad moim ramieniem.

– Rozmawia z tym wielkim grendelem.

– On nie jest grendelem – szepnąłem.

Uniosła brew.

– Musisz mi zaufać. Leśni Ludzie różnią się od pobratymców Grendela.

– Wielki, włochaty, silny, śmierdzący... Jeśli chodzi jak grendel i mówi jak...

– Chyba zaraz poważnie się pokłócimy – powiedziałem, patrząc jej prosto w oczy.

Dostrzegłem w nich buntowniczy błysk, ale pierwsza odwróciła wzrok.

– To Rzeka w Ramionach. Jest w porządku. Przekaż to swojemu szefowi.

– Dlaczego sam tego nie zrobisz?

– Ponieważ on także korzysta z usług posłańca – odparłem. – Nie jestem pewien, dlaczego trzyma się na dystans, ale uszanuję to.

Być może nie chce się tutaj ze mną zbyt spoufalać. W każdym razie powiedz mu, że Rzeka w Ramionach nie jest pobratymcem Grendela.

– Jest wystarczająco gadatliwy, by nim być – warknęła Freydis.

Kiedy znów się obróciliśmy, zobaczyłem, że Rzeka w Ramionach swobodnie rozmawia – jakżeby inaczej – z Mab. Słuchała go z wyraźnym skupieniem. Skinęła głową, rzuciła jakieś krótkie zdanie, a potem oddaliła się w stronę swojego krzesła w wyznaczonym obozie. Molly szła po jej prawej stronie, nieco z tyłu. Zatrzymała się przy Rzece w Ramionach, położyła dłoń na jego potężnej ręce i powiedziała coś, co wzbudziło u niego grzmiący chichot. Popatrzyła na niego radośnie, ponownie poklepała go po rękę i dogoniła Mab.

– Już – odezwała się Freydis chwilę później, gdy straciłem Mab z oczu. – Siedzi.

Nachyliłem się do ucha walkirii.

– W takim razie powinniśmy to zrobić.

– To nic osobistego, tygrysie – odszepnęła.

Potem odsunęła się ode mnie, zrobiła wściekłą minę i wymierzyła mi policzek.

No dobrze.

Może wyraziłem się trochę zbyt łagodnie.

Walkiria, która potrafiłaby podnieść i rzucić samochód, uderzyła mnie otwartą dłonią w kość policzkową, wkładając w to całą siłę swojego ciała. Poczułem się, jakbym został trafiony przez zawodowego boksera. Gdybym nie spodziewał się ciosu i za nim nie podążył, pozbawiłaby mnie przytomności.

Zgodnie z planem miałem ją obmacywać, gdy będzie się ode mnie odsuwać, jak można się spodziewać po Rycerzu Zimy, ale byłem tak oszołomiony, że bardziej przypominało to niezręczny towarzyski uścisk, przed którym się broniła. Podeszła do obozu Białego Dworu, prosto do Lary. Wyglądała fantastycznie i zwróciła na siebie uwagę wszystkich gości. Przekazała coś Larze przyciszonym głosem i wskazała mnie palcem, a na jej twarzy wściekłość ustąpiła miejsca nerwowości, a następnie widocznej udręce.

Lara storpedowała mnie wzrokiem i opiekuńczo objęła Freydis ramieniem. Poprowadziła ją przez salę i zatrzymała się przed tymi

samymi drzwiami, przy których znalazłem nieco wytchnienia poprzedniego wieczoru. Porozmawiała z jednym z pracowników obsługi, a następnie wyszła razem z walkirią.

W sali zapanowała cisza, nie licząc muzyków, a wszystkie spojrzenia spoczęły na mnie.

– Panie Rycerzu – odezwała się Mab, bardzo wyraźnie i spokojnie.

Wszyscy zwrócili na nas uwagę, chociaż usiłowali się z tym nie afiszować.

Nawet Vadderung i Ferrovax przerwali swój pojedynek na spojrzenia, by sprawdzić, co się dzieje w sali.

Mógłbym przysiąc, że suknia Mab była ciemnofioletowa, gdy ta wchodziła do sali, ale teraz materiał stał się ciemny jak noc, a srebrzysto-białe włosy królowej były przeplatane czarnymi kosmykami.

Zaczęliśmy wcielać nasz plan w życie dopiero dziesięć sekund temu, a Mab już zmieniała się w sędziego, ławę przysięgłych i kata w jednej osobie. Doskonale.

Zerknąłem w bok i zobaczyłem swojego dziadka. Ebenezar posłał mi spanikowane spojrzenie, jakiego jeszcze nigdy u niego nie widziałem. Chciałem go jakoś uspokoić, puścić do niego oko. Ale nie mogłem pozwolić, by ktokolwiek zauważył ten gest, zważywszy na to, co miało się wydarzyć. Dlatego tylko lekko wzruszyłem ramionami, odwróciłem się do Mab i skłoniłem głowę. Potem pośpiesznie do niej podszedłem.

– Panie Rycerzu – odezwała się poufałym tonem. – Rozdrażniłeś cennego sojusznika. Wytłumacz się.

– Nie chcesz, żebym to zrobił – odparłem podobnym głosem. – Muszę cię prosić o coś, czego nigdy od ciebie nie oczekiwałem ani nie pragnąłem.

Mab uniosła brew.

– To znaczy?

– O zaufanie – wyjaśniłem. – Że działałam w twoim imieniu.

Mab szerzej otworzyła oczy.

– Potrzebuję twojego wsparcia – ciągnąłem. – Popatrz na drzwi, przez które właśnie wyszła Lara, a potem na mnie, tak, jakbyś

chciała mnie zamordować.

– W tym celu nie muszę korzystać ze zdolności aktorskich – mruknęła Mab, ale zwróciła podbródek w stronę drzwi, za którymi zniknęła Lara, a następnie wbiła we mnie spojrzenie dużych ciemnych oczu. – To publiczna pantomima. Grasz o wysokie stawki. – Groźnie zmrużyła oczy. – Nie upokarzaj mnie swoją porażką.

– Nie, moja królowo – odrzekłem, na tyle głośno, by wszyscy w sali to usłyszeli.

Odsunąłem się od niej i zgiąłem się w pasie, a potem zrobiłem minę, która miała wyrażać złość i rozgoryczenie, i pośpiesznie ruszyłem za Larą.

– Co nam da dostanie się do sali gimnastycznej? – zapytała Lara. – Już ją widziałam. Stamtąd nie można zejść do celi.

Murphy uśmiechnęła się kpiąco.

– Już mówiłam, że odwiedziłaś to miejsce kilka razy. Ja tutaj mieszkałam. Zwłaszcza w sali gimnastycznej.

Jeden z ludzi Marcone'a, ubrany w czerwoną marynarkę, wyglądał, jakby chciał mnie powstrzymać przed wejściem na schody prowadzące do sali gimnastycznej, ale uspokoilem go uniesieniem dłoni.

– Muszę to załatwić albo szefowa mnie zabije. Daj mi chwilę.

To był jeden z facetów, których widziałem tutaj poprzedniego wieczoru. Przeniósł wzrok ze mnie na obóz Marcone'a, a chociaż ten nie oderwał się od rozmowy, Hendricks, który siedział po jego prawej stronie, skinął głową.

Strażnik cofnął się z grymasem na twarzy.

– Uważaj na tę Freydis, człowieku. Wypatroszy cię, kiedy tylko cię zobaczy.

– Mówisz jak trójka – odrzekłem, całkowicie zbijając go z tropu. Potem ruszyłem przed siebie.

Wspiąłem się po schodach, podążając za cichym szlochaniem Freydis. Lara stała przy najbliższym narożniku boksiniejszego ringu i obejmowała walkirię ramieniem. Obejrzałem się na schody, by

upewnić się, że nikogo na nich nie ma, a następnie zamknąłem drzwi.

– Droga wolna – powiedziałem.

– Na krew Ody na, powinnam zostać aktorką – odezwała się Freydis zadowolonym głosem, odsuwając się od Lary.

– Einherjaren nie dali się nabrać – odrzekłem. – Wszyscy wiedzą, że coś knujesz.

Lara uśmiechnęła się do mnie kpiąco. Nawet pominąwszy wampiryczny powab, ta kobieta miała zabójczy uśmiech, a w stylowej małej czarnej wyglądała oszałamiająco. Napięła palce jak pazury.

– Oczywiście staram się usidlić Rycerza Mab.

– To jasne – zgodziłem się.

Podszedłem do sterty ręczników na półce w głębi pomieszczenia. Zdjąłem marynarkę i kamizelkę, a następnie buty, spodnie i koszulę, tak że zostałem w samych bokserkach, podkoszulku i skarpetach. To było konieczne.

– Wciąż uważam, że to poważne naruszenie zasad bezpieczeństwa – poskarżyła się Lara, ściągając sukienkę przez głowę i rzucając ją na ławkę. Potem położyła obok buty i została bez niczego. Wyglądała niesamowicie.

Odwróciłem wzrok.

– Nie znasz Einherjaren – upierała się Freydis. – Kiedy postanowią, że coś musi zostać zrobione w dany sposób, nic ich nie przekona. Nie ma innego wyjścia.

Lara brzmiała, jakby mówiła ze zmarszczonym nosem.

– Ale mimo wszystko. Stary szyb techniczny?

– Kiedy uświadomili sobie, że mogą go wykorzystywać do zrzucania ręczników prosto do pralni w piwnicy, zamiast je tam nosić, nie dało się ich powstrzymać – odrzekła Freydis. – Podziurawili ścianę hantlami i zaczęli wrzucać ręczniki do szybu. Marcone musiał się poddać i zainstalował drzwiczki.

Podszedłem do rzeczonych drzwiczek, przesunąłem skobel i je otworzyłem. Gładko przesunęły się do góry, ukazując szyb, który zaczynał się w górze i opadał w ciemność. Nie był zbyt szeroki.

Poczułem niesamowicie cudowny zapach, kwiatów, cynamonu oraz czegoś mroczniejszego i słodszeo, a po chwili Lara stanęła obok mnie, dotykając mojego łokcia obnażonym ramieniem. Łokieć zareagował z entuzjazmem, a Lara odskoczyła i wydała z siebie stłumiony syk bólu.

Zerknęła na swoje ramię, gdzie czerwieniał ślad w kształcie czubka mojego łokcia. Zupełnie jakby otarła się o rozgrzany garnek.

Wampiry z Białego Dworu są silnie uczulone na szczerą miłość, podobnie jak członkowie Czarnego Dworu na kąpiele słoneczne. Bezpośredni kontakt z osobami, które kochają i są kochane, jest dla nich trudny do zniesienia.

A to oznaczało, że...

Aha.

No cóż. Kiedy Karrin i ja się zbliżyliśmy, nie myślałem o tym, że zapewnia mi to dodatkową ochronę, ale z pewnością była to miła świadomość.

Równie miło było wiedzieć, że to coś autentycznego.

– Ała – odezwała się Lara rozdrażnionym tonem. Potem podniosła na mnie wzrok i nagle się rozpromieniła. – Ach, ty i tamta policjantka? Gratuluję, magu.

– Moje związki to nie twoja sprawa – odpowiedziałem naburmuszonym tonem.

Wskazała głową wlot szybu.

– Oboje zaraz tam wejdziemy, więc uważam, że mam prawo wiedzieć, czy zapłacę za to oparzeniami drugiego i trzeciego stopnia. – Z ponurą miną zajrzała do otworu. – Ciasno. Zmieścisz się.

– Nie prowokuj mnie do sprośnych żartów – skarciłem ją. – Dam radę. Na pewno poradzisz sobie ze strażnikiem?

Lara lekko odwróciła głowę w moją stronę, spuściła wzrok i przygryzła wargę, a następnie popatrzyła na mnie. Całe światło zniknęło z pomieszczenia, nie licząc refleksów na jej idealnej bladej skórze.

Nagle tak bardzo jej zapragnąłem, że miałem ochotę wyć i bębnić pięściami w swoją pierś. Potrzebowałem dłuższej chwili, by nad sobą zapanować i zmusić się do odwrócenia wzroku.

– Dam sobie radę – mruknęła Lara, a bolesna presja požądania nagle ustąpiła.

Zazgrzytałem zębami.

– Chodziło mi o detale. Na pewno niczego nie zobaczy ani nie usłyszy?

– Daj mi sześćdziesiąt sekund – odrzekła Lara. – Kiedy znajdę się wystarczająco blisko, nie będzie w stanie zobaczyć niczego innego, nawet gdybyś przeszedł obok niego grając na trąbce i waląc w bęben. A nawet gdyby coś zobaczył, to niczego nie zapamięta.

– Sześćdziesiąt sekund. – Freydis westchnęła. Z mechaniczną precyzją wiązała ręczniki. – Mężczyźni.

Lara zwróciła na nią wzrok, a walkiria nagle wstrzymała oddech i pokraśniała na twarzy.

– Kochanie, to coś zupełnie innego – zamruczała wampirzyca. – Szkoda, że twój zleceniodawca był tak konkretny, w przeciwnym razie kiedyś pokazałabym ci, o czym mówię.

Freydis westchnęła, a potem wróciła do wiązania ręczników ze spuszczonego wzrokiem.

Lara uśmiechnęła się do mnie szelmowsko i wyciągnęła ręce.

– Podsadź mnie, Harry.

– Nie potrzebujesz mojej pomocy – odrzekłem nieco niegrzecznie. Nawet gdy nie używała swojego uwodzicielskiego czasu, Lara Raith i tak nieco mnie oszałamiała.

Monarchini Białego Dworu roześmiała się wesoło i wskoczyła do szybu jak nurek, cicho znikając w ciemności.

– Sześćdziesiąt sekund – wyszeptałem. – Potrzebuję dwa razy więcej czasu, żeby zejść na dół.

– Zwariuję przez tę przeklętą robotę – powiedziała Freydis. – Lina będzie gotowa za pięć minut.

– Iluzja – przypomniałem.

– No tak. – Pokręciła głową, sięgnęła pod sukienkę i wyjęła małą drewnianą plakietkę. – Gdyby moja głowa nie była przytwierdzona do ramion... Jeszcze nigdy nie pracowałam dla tak rozprasającego klienta.

Podniosła moją marynarkę oraz sukienkę Lary i rzuciła je na bokerski ring. Potem dotknęła ich plakietką, wyszeptała coś i

złamała drewno w palcach. Błysnęło oślepiające światło, które wypaliło na mojej tęczówce fioletowy ślad w kształcie nordyckiej runy przypominającej błyskawicę, i nagle pojawiłem się na ringu. Leżałem na Larze i zapalczywie się całowaliśmy.

To była doskonała iluzja. Naprawdę... szczegółowa. Może nawet za bardzo. Odwróciłem wzrok lekko zażenowany.

– Ona naprawdę cię lubi – odezwała się Freydis, z rozbawieniem przyglądając się wizji.

– Z tego, co widzę, lubi głównie siebie – odrzekłem.

– Być może. Ale traktuje cię inaczej.

Stęknąłem.

– Cudownie. Właśnie takiej uwagi mi potrzeba.

A potem wepchnąłem ramiona i głowę do wąskiego, ciemnego kamiennego szybu i zacząłem przeciskać się w dół w samej bieliźnie.

Schodzenie głową naprzód w głąb ciągnącego się przez trzy kondygnacje szybu w całkowitej ciemności nigdy nie stanowi dobrej rozrywki. Musiałem stale napierać na ściany, żeby nie spaść. Z tego powodu brak przestrzeni okazał się użyteczny, gdyż większa część mojego ciała mogła przylegać do ścian, ograniczając nacisk na poszczególne miejsca.

Chyba że wycięty ręcznie w kamieniu szymb w którymś momencie się zwęzi, a ja w nim utknę. Wtedy będę miał przechłapanie. Albo zrobi się dużo szerszy i również będę miał przechłapanie. Twardy ze mnie gość, ale upadek na głowę z trzech pięter nie mógł skończyć się dobrze.

Zacząłem brnąć w dół. Nie było to łatwe, ale ćwiczę dużo kardio.

Lara najwyraźniej zostawiła za sobą otwarte drzwi, ponieważ do szybu wpadało słabe światło, w którym widziałem bezkształtną masę białych ręczników na dnie, a także zarys ścian. Kiedy już zdołałem ocenić odległość, mogłem przyśpieszyć – nieco się odprężyłem i zacząłem się ześlizgiwać.

Kosztowało mnie to kilka obtarć skóry, ale mogło być dużo gorzej. Kamienie, z których zbudowano zamek, były bardzo stare. Czas (i być może inne rzeczy, o których wolałem nie myśleć) wyglądał wiele z szorstkich krawędzi. Wiedziałem, że dopóki nie zacznę krwawić i ściany nie staną się śliskie, wszystko powinno być w porządku.

W porządku. Czuję się jak kulka papieru, która broni się przed wydmuchnięciem ze słomki, ale poza tym wszystko było wyśmienicie.

Schodziłem ostrożnie, przemieszczając jedną kończynę za drugą, jak wasz przyjaciel z sąsiedztwa Spider-Man. Tylko że nie potrafiłem przyczepiać się do ścian. A gdybym się ześlizgnął, nie mógłbym się uratować siecią, tylko skrzyłbym kark.

– „Spider-Man, Spider-Man“ – zanuciłem cicho i przesunąłem się o kolejny kawałek.

Moje ramiona utknęły.

Serce od razu zaczęło bić mi szybciej.

Nie dlatego, że się wystraszyłem. To było zwykłe kardio.

W końcu nie miałem klaustrofobii. Byłem magiem Białej Rady. My nie pozwalamy, żeby rządziły nami emocje.

Zmusiłem się do spowolnienia oddechu, znieruchomienia i namysłu. Utknąłem między ścianami szybu, ponieważ miałem napięte mięśnie. Musiałem je rozluźnić. Ale jeśli to zrobię, spadnę i się zabiję, a to też nic mi nie da. Sztuczka polegała na rozluźnieniu tylko niektórych mięśni i utrzymaniu pozostałych w napięciu.

Wyprostowałem jedną rękę, starając się oderwać ramiona od ścian, ale poczułem, że jeszcze mocniej się klinuję. Zacząłem szybciej oddychać. Napiąłem mięśnie i poczułem zwiększony nacisk na moje stawy.

– „Czy na nitce huśta się?” – wysapałem.

Chwileczkę.

Przestań, Harry. Myśl. Zrób użytek z mózgu.

– „Spójrzcie w górę, mówię wam” – mamrotał mój mózg.

No właśnie. W górę.

To był odpowiednik chińskiej pułapki na palec. Im bardziej się opierałem, tym trudniej było mi się wydostać.

Dlatego napiąłem się i odepchnąłem w górę. Nie było to łatwe, ale walka z podszeptami Zimy miała zbawienny wpływ na moje ciało. Zdołałem cofnąć się o kilkanaście centymetrów, zmienić ułożenie ramion i prześlizgnąć się przez ciasne miejsce.

– „Uwaga!” – westchnąłem. – „Nadchodzi Spider-Man”.

Dalej przesuwalem się w dół, starając się nie myśleć o tym, jak trudno jest mi złapać oddech, że jestem uwięziony z rękami nad głową, a gdyby któryś z tych olbrzymich pajaków (mają tutaj takie; widziałem je) zaczął schodzić szybem za mną, nie mógłbym nic na to poradzić.

Podziękowałem wyobraźni. Miałem za mało problemów, więc byłem jej wdzięczny za to, że wymyśla kolejne, żebym się nie nudził.

Próbowałem oddychać jak najciszej, gdy dotarłem na dół szybu i w słabym świetle zobaczyłem stertę przepoconych ręczników.

No cóż. Nie było sposobu, żeby zrobić to z godnością. Wysunąłem ręce przez drzwi i zacząłem się przeciskać, wyginając

szyję, by odciążyć ramiona.

W końcu moja głowa wydostała się z szybu i zderzyła ze ścianą czystej żądz.

Poważnie. Miałem wrażenie, że znów jestem piętnastolatkiem, moje hormony szaleją, a ja nie mam pojęcia, jak nad nimi zapanować. Moja skóra stała się nadmiernie wrażliwa i nagle wyraźnie poczułem dotyk kamiennych ścian na plecach i nogach oraz zdałem sobie sprawę z pyłu i brudu, które pokryły mnie podczas schodzenia. Ból ciała powrócił gwałtowną falą: nadwerężone mięśnie, które powinny zdecydowanie ograniczać moje ruchy, dawne urazy miarowo pulsujące bólem, a także świeże otarcia na dłoniach. Wszystko to, co zazwyczaj tłumiła moc Zimy.

Wyglądało na to, że kiedy potężna wampirzyca Białego Dworu chce, żebyś zwracał uwagę na to, co czuje twoje ciało, nie masz wyboru. Koniec, kropka.

Odwróciłem głowę i odkryłem, że moje mięśnie reagują z dużym opóźnieniem.

Szyb wychodził na ciemny korytarz, który oświetlała tylko lampka stojąca na biurku obok masywnej plastikowej ramy przypominającej wykrywacz metalu.

Przed biurkiem stał jeden z Einherjaren. Niemal dorównywał mi wzrostem, ale nosił na sobie o ponad trzydzieści kilogramów mięśni więcej. Miał krótko przystrzyżone czarne włosy i najeżoną czarną brodę. Trzymał na ramieniu ciężki wielkokalibrowy karabin szturmowy z lufą skierowaną ku ziemi.

Ale on nie miał znaczenia.

Liczyła się wyłącznie Lara Raith.

Stała jakieś trzy metry od Einheijara, balansując na palcach i powoli wysuwając jedną cudowną nogę do przodu. Pod wpływem tego ruchu jej mięśnie rozciągnęły się i napięły, a cienie rozlały się po ciele w sposób, który nie powinien być możliwy, a już na pewno nie tak szaleńczo podniecający.

Zapomniałem, co robię na tym poziomie zamku.

To nie miało znaczenia.

Liczyła się Lara.

Wbiłem w nią wzrok, w najbardziej pełną życia, niebezpieczną i olśniewającą kobietę, jaką kiedykolwiek widziałem, oddaloną o zaledwie metr, nagą i pulsującą erotyczną energią. Nie przeszkadzały mi smugi brudu na tej bladej, idealnej skórze. Nie przeszkadzało mi, że moje własne ciało jest zabrudzone. Nie obchodziły mnie misja ani koszmarne szyb, którym właśnie się ześlizgnałem, ani dokuczający mi nieznajomy ból, dopóki mogłem podziwiać najbardziej niesamowity widok, jaki mężczyzna mógłby...

Nagle siarczyście kichnąłem, pięć albo sześć razy.

Każdy mimowolny skurcz mięśni wyrzucał ze mnie magiczną energię.

Lara gwałtownie obejrzała się w moją stronę, szeroko otwierając srebrzysto-niebieskie kocie oczy.

Z wnętrza szybu za moimi plecami wyroili się czarne wdowy o odwłokach wielkości piłek do koszykówki – było ich pięć albo sześć.

Szklisty wzrok Einherjara nagle odzyskał skupienie, a lodowate szare oczy zwróciły się w stronę pajaków. Palec przesunął się wzdłuż kolby karabinu na spust.

Sylwetka Lary rozmyła się w powietrzu.

Znalazła się przed strażnikiem, zanim zorientowałem się, że ruszyła z miejsca. Schyliła się i wsunęła między niego a broń, opierając się plecami o jego klatkę piersiową. Zanim zdążył choćby drgnąć, chwyciła karabin i strąciła mu dłoń ze spustu. Przez chwilę walczyli o kontrolę nad bronią. Einherjar w końcu zrezygnował z prób jej odzyskania i zacisnął potężną prawą dłoń na szyi Lary. Mięśnie i ścięgna jego przedramion napięły się jak liny, gdy zaczął miażdżyć jej kark.

Pająki tymczasem zaświergotały, syknęły i skoczyły w stronę najbliższego celu, którym okazałem się ja.

– Gła! – wrzasnąłem po męsku.

Wielkie robale to nie żart. Wyobraźcie sobie, że patrzycie w dół swojego odzianego w samą bieliznę ciała i widzicie wspinające się po nim olbrzymie kraby wymachujące szczypcami. Też byście zakrzyknęli po męsku, żeby przygotować się do walki.

Miałem mało światła i jeszcze mniej czasu. Rozpaczliwie kopnąłem jednego z ogromnych pajaków i odrzuciłem go na bok jak

sflaczała piłkę wypełnioną masłem orzechowym. Drugiego ze stworów strąciłem z powietrza, kiedy skoczył w stronę mojej twarzy, a potem poczułem, jak paskudne ugryzienia pozostałych czterech przebijają moją skórę. Kiedy zęby dziurawią ciało, przez kilka sekund nie czuć bólu, dopóki istota, która cię ugryzła, nie zacznie cię szarpać, rozdzierając ciało. Wtedy masz wrażenie, że płynie przez ciebie prąd, a ugryzioną kończynę przeszywają srebrzyste błyskawice. Zęby się wbiły. Jad popłynął. Moje serce szaleńczo przyspieszyło.

Pozostałe dwie czarne wdowy podniosły się z ziemi i dołączyły do ataku.

A potem, kilka rozpaczliwych oddechów później, sylwetki pajaków zadrżały i rozpadły się w przejrzystą maź. Dziesiątki twardych pajęczych stóp zaczęły dźgać mnie po całym ciele, a pajęcze szczęki zadawać przeszywający ból. Po chwili byłem cały pokryty ekto plazmą oraz małymi rankami.

Cholerny czarodziejski katar.

Musiałem mieć nadzieję, że nie zaszkodzi mi ekto plazma, która przedostała się do mojego krwiobiegu, ponieważ właśnie w nią zmienił się jad.

Miotalem się jak ryba wyrzucona na brzeg, a pod wpływem ektomazi podłoga stała się bardziej śliska niż wodna zjeżdżalnia. W końcu dostrzegłem Larę.

Wciąż stała zwrócona plecami do Einherjara. Podczas walki upuścili karabin, a mężczyzna zaciskał dłonie na jej gardle. Lara miała jaskraworóżową twarz i paskudnie szare usta. Nie rozumiałem, dlaczego się nie broni, ale po chwili dostrzegłem, że obie dłonie trzyma na karku.

Nie starała się uwolnić z jego uchwytu. Szykowała się do zadania zabójczego ciosu.

Wygięła ciało, wijąc się i zmagając, a biedak uwiesił się jej szyi. Sądził, że wygrywa walkę.

A potem opadł z sił. Usta Lary wykrzywił triumfalny grymas. Oboje gwałtownie się poruszyli i Einherjar wydał z siebie zaskoczone sapnięcie. Wytrzeszczył oczy, które straciły ostrość widzenia.

Walka ustała. Na twarz Lary powoli wypłynął uśmiech. Przesunęła dłońmi wzdłuż rąk przeciwnika i lekko szarpnęła jego palce. Natychmiast ją puścił, a jego dłonie ześlizgnęły się po jej ramionach na piersi. Lara kaszlnęła, cicho zamruczała i zaczęła poruszać biodrami w powolnym rytmie.

Einherjar się zatoczył. Oparł się ciężko o swoje biurko, tracąc równowagę. Lara nie odstępowała od niego i chociaż powinno to być dla niej niezręczne, gładko i sprawnie dostosowywała się do jego ruchów, jak partnerka w tańcu, kochanka i zarazem głodna pa jęczyca przygotowująca swoją ofiarę do uczyty.

Obejrzała się na mężczyznę, ukazując zęby, a potem popatrzyła na mnie. Jej oczy miały kolor płynnego srebra i przypominały lustra. Ciemnoróżowe ślady palców na szyi zapowiadały sińce, ale na moich oczach zaczęły blaknąć, a oddech Einherjara stawał się coraz bardziej ciężki i rozpaczliwy.

– Co to było, do diabła? – spytała ostro. Jej głos zabrzmiał cicho i szorstko, jakby od dziesięciu lat piła whiskey. – Olbrzymie pająki? Cholera, Dresden.

Przez chwilę tylko się w nią wpatrywałem. Już nie promieniowała taką aurą jak przedtem, ale wciąż był to jeden z najbardziej erotycznych i przerażających widoków, z jakimi miałem do czynienia. Jej powab mnie przyciągał, wołając do moich ludzkich hormonów, a moc Zimy, jak można się było spodziewać, wprost wariowała z pożądania. Pragnęła wyzwać Einherjara, pobić go na śmierć, a następnie zgarnąć Larę jako nagrodę.

Ale to nie byłem ja. To nie była moja prawdziwa natura, a jedynie żądza ciała podsycana przez Zimę. Powstrzymałem je obie siłą woli i przypomniałem sobie swój prawdziwy cel.

Thomas.

Musiałem uratować brata.

Dźwignąłem się na nogi i poczłapałem naprzód, chlupocząc skarpetami przesiąkniętymi ektoplazmą.

– Nie zabijaj go – syknąłem z naciskiem, próbując nie patrzeć na Larę. – Jeśli to zrobisz, cały wysiłek pójdzie na marne.

– Pośpiesz się – odparła chrapliwym i zmysłowym głosem. W każdym jej słowie słyszałem ciche pojękiwanie. Jej oczy stały się

całkowicie białe, a źrenice przypominały małe czarne koraliki. Sprawiały niehumanitarne wrażenie, jak u demona Głodu, którego przed laty dostrzegłem w swoim bracie za pomocą magicznych zmysłów. – On jest silniejszy, niż się wydaje. Mocno mnie zranił. Wciąż dochodzę do siebie.

Einherjar pozostał na miejscu, z pustymi oczami i udręczoną miną. Dokładnie naśladował każdy ruch Lary. Była bardzo drobna w porównaniu z jego muskularnym ciałem, ale w tej chwili nie miał z nią najmniejszych szans. Mężczyzna od wieków oddany swojej profesji był bezsilny w obliczu jej mocy. Nie było w tym ani cienia godności.

Czy wszyscy wyglądamy tak głupkowato i niezdarnie w takich chwilach? Pewnie tak. Nawet kiedy nie macza w tym palców sukub.

Minąłem wampirzycę i jej ofiarę, próbując przypomnieć sobie, kiedy zacząłem walczyć u boku nocnych strachów, a nie przeciwko nim.

W końcu odepchnąłem od siebie te myśli, chwyciłem naręcze ręczników i ruszyłem na poszukiwanie brata.

Na końcu korytarza znalazłem ciężkie drzwi wpuszczone w podłogę.

Zamarłem.

Moje serce zabiło szybciej.

Drzwi nie pasowały do wystroju zamku. Nie pokrywały się z układem kamieni. Były stare i zrobione z ciężkiego drewna.

Zobaczyłem na nich ślady po przypaleniu.

Ponieważ to były moje drzwi.

Moje własne, z mojego dawnego mieszkania; drzwi do podziemnego laboratorium. Wciąż miały obręcz, za którą je podnosiłem. A także dodatkowy rygiel, którego wcześniej na nich nie było.

Otrząsnąłem się z odrętwienia i drżącą ręką odsunąłem rygiel. Drzwi otworzyły się bez trudu, nawet zapiszczały w odpowiednim momencie i, psiakrew, były identyczne w dotyku. Poczulem bolesny ucisk w piersi i zapiekły mnie oczy.

Na dzwony piekieł, chciałem znów poczuć się jak w domu.

Ale zamiast tego stałem w posiadłości Marccone'a.

Coś drgnęło głęboko w moim sercu. To nie był gniew, ale coś znacznie mniej efemerycznego i ulotnego. Nie zrodziło się z emocjonalnego bólu. Było od niego starsze. Przedwieczne. Ktoś odebrał mi moją własność.

To nie w porządku. Ale nikt nie zamierzał nic z tym zrobić.

Chyba że ja się tym zajmę.

Coś przeskoczyło w moim wnętrzu.

Odkąd Czerwony Dwór porwał moją córkę, miotałem się od jednej katastrofy do drugiej, starając się pozostać przy życiu. Ta cała sytuacja była kolejnym atakiem entropii na moje życie i ponownie zmuszała mnie do ucieczki, a być może miała mnie zabić. (Ponownie. Z technicznego punktu widzenia).

Ale teraz było inaczej. Byłem częścią życia Maggie, która być może kiedyś zechce, bym poprowadził ją do ołtarza.

Może nadszedł czas, żebym zaczął działać bardziej przezornie.

Może czas podejść do wszystkiego poważniej.

Mój brat leżał skulony w pozycji płodowej, nagi i szokująco wychudzony, jakby w ciągu jednego dnia stracił dwadzieścia kilogramów mięśni. Wyglądał zarazem lepiej i gorzej – zniknęły sińce oraz krew. Dłonie wciąż miał paskudnie powykręcane, ale twarz znów była rozpoznawalna. Bycie wampirem ma swoje zalety, nawet jeśli jego skóra wyglądała, jakby była o kilka rozmiarów za mała, i ciasno opinała niegdyś muskularną sylwetkę.

Nie mogłem znieść jego wyrazu twarzy. Popatrzył na mnie oczami koloru rtęci, otępiełymi i szklistymi od zwierzęcego bólu.

– Thomasie – syknąłem. – To ja, Harry.

Zamrugał, bez słowa spoglądając w stronę światła.

– Słyszysz mnie, stary?

Wbił we mnie wzrok i cicho zacharczał.

– Na dzwony piekieł. – Na dole nie było drabiny, więc skrzywiłem się, przerzuciłem nogi nad krawędzią otworu i jak najciszej opadłem do lochu.

Był dosyć głęboki, ale udało mi się nie wylądować na Thomasie ani nie upaść na tyłek.

– Chodź – odezwałem się. – Musimy stąd wyjść.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Potem Thomas drgnął, a ja wypuściłem powietrze, które nieświadomie wstrzymywałem. Mój brat żył.

Ale niewiele z niego pozostało.

Na gwiazdy i kamienie, ciemne elfy srodze się z nim rozprawiły. Nie zakuły go w łańcuchy. Po prostu pobiły go tak, że nie miał sił na ucieczkę. Chciałem wpaść w gniew z tego powodu, ale zgodnie ze standardami nadprzyrodzonych ludów ich działanie było skuteczne, a nie sadystyczne. Zresztą mogli go bez problemu zabić, a potem oznajmić, że zamachowiec zginął, zanim zdołał uśmiercić Etriego. Ale zamiast tego postanowili dotrzymać ustaleń Przymierza.

Thomas przeżył. Jednakże w tym celu najwidoczniej karmił się własnym ciałem.

– Mamy mało czasu – powiedziałem. – Rusz dupsko. Musimy się stąd wynosić.

Popatrzył na mnie i zmarszczył brew. Nie byłem pewien, czy mnie rozumie.

– Oczywiście – westchnąłem. – Muszę wszystko robić sam.

Uniosłem swój amulet i z bólem serca rozejrzałem się po pomieszczeniu. To było moje dawne laboratorium. Spędziłem tutaj wiele godzin, pracując, ucząc się, warząc mikstury, zaklinając, przyzywając, podpalając sobie włosy – no wiecie, oddając się typowym zajęciom maga. To samo robiła Molly. Na posadzce znajdowały się plamy od dymu, a kwadratowe i prostokątne ślady wskazywały, w których miejscach stały moje fotele, stoły, regały z książkami. Widziałem otwory po hakach, do których przytwierdziłem drucziane półki. Mój stary miedziany krąg przywoływania jakimś cudem przetrwał w głębi pokoju. Może zaważyła się na niego podłoga salonu i osłoniła go przed ogniem.

Niestety nie mógł mi w niczym pomóc.

Bez trudu mogłem chwycić krawędź otworu wejściowego i podciągnąć się na górę, ale z Thomasem na plecach byłoby to nie lada wyzwaniem. Cholera, szkoda, że nie przykładałem się bardziej do magii ziemi. Zmiana grawitacji na kilka sekund znacznie by to ułatwiła, ale dokonanie tego na moim obecnym poziomie umiejętności wymagałoby czasu, którego nie miałem.

Musiałem spróbować innego rozwiązania i mieć nadzieję, że nie zabiję nas obu. Do dzieła, Harry.

Schyliłem się, jak najdokładniej owinąłem odsłoniętą skórę ręcznikami i chwyciłem Thomasa za ręce. Syknął, ale się nie poruszył, a jego ciało było wiotkie jak gotowany makaron. Był szokująco lekki, ale nawet drobne osoby ciężko przenosić, gdy są bezwładne. Potrzebowałem chwili, by go podnieść i zarzucić sobie na ramię. Następnie ustawiłem się pod wyjściem i tak obróciłem swoje ciało, żeby w drodze na górę nie zedrzeć skóry z Thomasa.

– Powinienem sporządzić pelerynę lewitacji – mruknąłem. – Doktor Strange nigdy nie miałby takiego problemu.

Zawstydzilem się, że tracę czas na błyskotliwe komentarze, i dałem sobie z nimi spokój. Przyjdzie na to pora, kiedy mój brat będzie bezpieczny.

Przykucnąłem, wykonałem w myślach jak najdokładniejsze obliczenia, przywołałem siłę woli i wyciągnąłem dłoń w stronę podłogi z okrzykiem: „Forzare!“.

Fala surowej siły kinetycznej uderzyła w posadzkę i, dzięki Sir Isaacowi Newtonowi wyrzuciła mnie w górę. Wzbiłem się w powietrze, ale błędnie oceniłem ilość potrzebnej energii. Magia ma w sobie więcej ze sztuki niż z nauki, a poza tym trudno o precyzję bez wspomagania się narzędziami. Dlatego, zamiast z gracją unieść się na poziom korytarza, wyskoczyłem na wysokość swojego pasa i zaraz zacząłem opadać.

Chwyciłem się krawędzi otworu i rozpaczliwie szarpnąłem kolanem do góry, żeby zyskać dodatkowy punkt oparcia, ale nie czułem się pewnie. Wytężyłem mięśnie prawej ręki, lecz moje wyprostowane ramię i plecy nie były w stanie zdziałać cudów. Zdołałem nieco podnieść Thomasa, jednak nie miałem żadnego podparcia i byłem w zbyt chwiejnej pozycji, by w pełni wykorzystać swoją siłę. Moje mięśnie boleśnie piekły i wkrótce zaczęły słabnąć. Zaciśnąłem zęby i sięgnąłem w głąb siebie, ale chociaż zyskałem kolejny centymetr, niemal natychmiast opadłem z sił.

Zacząłem się przygotowywać do kontrolowanego upadku, który ochroniłby mojego brata, i wtedy jego ciężar nagle zniknął z mojego ramienia.

Lara szybko i sprawnie wciągnęła Thomasa. Jej niebieskie oczy jasno płonęły, a policzki wciąż były zaczerwienione. Opuściła w moją stronę rękaw grubej skórzanej kurtki strażnika. Chwyciłem go.

– Strasznie się guzdrzesz – stwierdziła, a następnie wyciągnęła mnie z otworu.

– Ale to ty zabawiasz się z facetami podczas misji – odparłem.

– Mówisz o tamtym? – spytała, wskazując głową posterunek strażników i posyłając mi cwany, szelmowski uśmiech. – To było tylko odżywianie. Właściwa sprawa zajmuje znacznie więcej czasu. No i wymaga świec i szampana.

Wyciągnąłem nogi z otworu tuż przed tym, jak zatrzasnęła drzwi i zamknęła je na rygiel.

– Jak on się czuje? – spytała.

Podniosłem amulet, żeby mogła wyraźniej przyjrzeć się mojemu bratu.

– Na pustą noc – zaklęła.

Pochyliła się nad nim, podniosła jedną z jego powiek, a potem rozchyliła wargi. Miał spuchnięte dziąsła pokryte ciemnymi plamami.

– Co się dzieje? – spytałem.

– Odniósł zbyt wiele obrażeń, w ogóle się nie posilając – wyjaśniła. – Jego Głód domaga się energii życiowej, więc pochłania jego własną siłę. Zwrócił się przeciwko niemu. Zabija go.

Wampiry Białego Dworu żyją w dziwacznej symbiozie. Rodzą się związane z demonem o imieniu Głód, który współlistnieje z nimi w niematerialnym tandemie. To on daje im siłę, szybkość, długowieczność i zdolność szybkiego leczenia ran. W zamian za to muszą karmić się energią życiową innych istot, by podtrzymać Głód. Wiedziałem, że mój brat jest potężnym przedstawicielem swojego gatunku, a zatem jego demon również był silny.

A teraz płacił za to cenę.

– Co możemy zrobić?

Pokręciła głową z surową miną.

– W ten sposób umierają wampiry Białego Dworu. Tak umrze mój ojciec, wcześniej czy później.

– Justine – odezwałem się.

To słowo do niego dotarło. Thomas uniósł głowę i skierował na mnie lustrzane oczy. Wyciągnął w moją stronę słabą dłoń, która opadła w połowie gestu.

– Nie – odezwała się Lara, wpatrując się w jego twarz. – Kiedy Głód zwraca się przeciwko nam, jest już szalony, nieopanowany i nienasycony. Nawet gdybyśmy przekierowali jego apetyt, zabiłby kobietę i dziecko, a potem i tak umarł. – Mięśnie jej szczęki się napięły. – Wciąż jest w nim częśćka jego tożsamości. Być może zdołam do niej dotrzeć, jeśli szybko go stąd wydostaniemy.

– Jasne – odrzekłem i zarzuciłem sobie Thomasa na ramię.

Lara skinęła głową z uznaniem i również wstała. Oboje podreptaliśmy w stronę szybu windy do transportu jedzenia. Minęliśmy potężnego strażnika, który leżał na swoim biurku z podciągniętymi, ale wciąż rozpiętymi spodniami. Cuchnął burbonem.

Zatrzymałem się przy nim i upewniłem, że jego klatka piersiowa unosi się i opada.

– Będzie miał potężnego kaca – zauważyła Lara.

– I do tego piłaś? – spytałem. – Kiedy zdążyłaś to wszystko zrobić? Masz jakieś wampirze imprezowe moce, o których nie wiem?

– Kiedy już skończył, znalazłam butelkę w jego biurku i wylałam na niego całą zawartość – odrzekła Lara poważnym tonem, jakby miała na sobie strój wiktoriańskiej matrony, a nie doskonale skrojone skąpe ciuszki. Otworzyła drzwi windy. – Będzie miał proste wyjaśnienie, kiedy obudzi się z bólem głowy i dziurami w pamięci. – Przekrzywiła głowę. – O co chodziło z tymi pajakami? Po co je przywołałeś?

Westchnąłem z frustracją.

– Tak się po prostu... stało.

Na chwilę zmarszczyła czoło, a potem spróbowała powstrzymać uśmiech, który unosił jej kąciki ust.

– Och, na pustą noc. Masz czarodziejski katar? Słyszałam, jakie to bywa niezręczne, gdy magowie na niego chorują. Nie jesteś na to... o kilkadziesiąt lat za stary?

– Nie wiem, nie byłem u lekarza.

– Po prostu byłoby miło, gdybyś mnie uprzedził – odparła Lara.

– Wziąłem lekarstwo na przeziębienie – zacząłem się bronić.

Lara uniosła brew.

– Poważnie?

– Czy o tej chorobie słyszeli wszyscy poza mną? – poskarżyłem się i otarłem nos przedramieniem, powstrzymując kolejne kichnięcie.

Rozległo się głucho stuknięcie i z góry szybu opadła lina z elegancko powiązanych ręczników.

– Pośpieszcie się – syknęła Freydis. – Moja iluzja to tylko szybki numerek.

– Pomóż mi – poprosiłem Larę i razem obwiązaliśmy Thomasa prowizoryczną liną.

Wciągnięcie mojego brata wąskim szybem nie było proste, nawet z pomocą Freydis, której ręce pracowały miarowo jak kołowrót. Thomas był zbyt słaby, żeby trzymać prosto głowę i trochę się poobijał po drodze, ale w końcu dotarł na górę.

Od tej chwili działaliśmy szybko. Freydis wytarła nawilżanymi chusteczkami ręce i nogi Laury, a ta włożyła swoją sukienkę i buty. Ja miałem na sobie garnitur, więc musiałem oczyścić tylko twarz, szyję i dłonie. Przeczesałem włosy grzebieniem i czym prędzej się ubrałem.

Przez cały czas starałem się ignorować iluzję na bokserskim ringu, gdzie Lara i ja leniwie całowaliśmy się i przytulaliśmy po stosunku. Mój sobowtór ciężko dyszał i chichotał z zadowoleniem, wtulając twarz w jej szyję. Ona miała potargane włosy, a twarz i szyję w najjaśniejszym odcieniu różu, jaki można sobie wyobrazić. Zbyt łatwo potrafiłem sobie wyobrazić, jakie to uczucie dotykać jej skóry ustami.

– To bardzo słodkie – zauważyła Lara. – Te osobiste akcenty po seksie. Niezbyt wiarygodne, ale urocze.

– Powinnam się uchlać i napisać pieprzony romans – zgodziła się Freydis. Zerknęła na mnie spod przymrużonych powiek. – Zazwyczaj mam zbyt duże mniemanie o męskich aktorach, ale ten wydaje się mniej bezużyteczny od innych.

Wygladzając sukienkę, Lara posłała mi spojrzenie, które sprawiło, że nagle zapragnąłem huścić się na drążkach w sali gimnastycznej i bębnić pięściami w swoją pierś. Odwróciłem wzrok, czując falę gorąca na twarzy. Problem z takimi napiętymi sytuacjami polega na tym, że uwalniają w nas wiele pierwotnych instynktów, które zazwyczaj tłumimy.

– Możemy się skupić? – odrzekłem nieco szorstkim tonem.

Nagle w powietrzu coś strzeliło, jakby potężne wyładowanie elektryczne, a obraz na ringu rozjarzył się całą gamą barw, po czym zniknął. Pozostała po nim tylko osmalona, dymiąca drewniana plakietka o rozmiarach niewielkiego kamienia domino.

– Obejrzeli państwo film ze studia Freydis – odezwała się walkiria. – Aha, jeden ze służących tu zajrzał i zobaczył przedstawienie. Uwierzył, że to prawda, i dyskretnie wyszedł, więc od jakiejś godziny wszyscy uczestnicy rozmów uważają was za parę.

Zamrugalem.

– Co takiego?

– Mikstura – odezwała się Lara, wyjmując probówkę z malutkiej torebki.

Wstrząsnęła nią, odkorkowała i zmarszczyła nos, patrząc na mętny, brudny płyn. Potem zamknęła oczy, wypła szybki łyk i podała probówkę Freydis.

Walkiria popatrzyła na nią podejrzliwie.

– Zazwyczaj nie przyjmuję drinków od osób takich jak ty, seidrmadr. A jeśli pod wpływem twojej mikstury zapomnę, że chronię Larę?

– Każdy, kto to wypije, znajdzie się wewnątrz... szarego pola – wy jaśniłem. – Będziemy się wyraźnie widzieć nawzajem, ale dla wszystkich pozostałych staniemy się mało charakterystycznym, znajomym elementem tła, na który nie warto zwracać uwagi.

Freydis posłała mi jeszcze bardziej sceptyczne spojrzenie.

– To naprawdę działa?

– Aż za dobrze – odparłem ponuro. – Pij.

Zasepiła się, ale posłuchała. Wziąłem od niej probówkę, podszedłem do Thomasa i wlałem mu do ust kilka kropel. Zakrztusił się i wzdrygnął, ale połknął płyn. Przyszła kolej na mnie.

Dokładny skład mikstury nie jest istotny, ale magiczne napoje rzadko smakują jak coś, co podaje się ludziom. Ten miał smak i teksturę starego, rozmiękłego kartonu, na którym pojawiło się nieco pleśni. Zmusiłem się do przełknięcia płynu, żałując, że w ramach przygotowań do naszej Mission: Impossible nie zabraliśmy wody do przepłukania ust.

Minęło kilka uderzeń serca i świat jakby drgnął i delikatnie się zmienił, jak wtedy, gdy chmury stopniowo przesłaniają słońce. Kolory zaczęły zanikać, aż w końcu wszystko zabarwiło się na delikatne odcienie szarości – nie licząc nas. Wyraźnie widziałem swojego brata, Larę oraz Freydis, w pełni kolorowych na monochromatycznym tle. Powietrze stało się nieco chłodniejsze i bardziej wilgotne, a może tylko tak mi się wydawało. Magiczne działanie mikstury miało osobliwe skutki uboczne, których już kiedyś doświadczyłem, dawno temu.

– No dobrze – odezwałem się, a następnie zarzuciłem sobie jedną z rąk Thomasa na ramię. Lara chwyciła go za drugą rękę i

dźwignęliśmy go na nogi. – Przemieszczajmy się gładko i spokojnie. Jeśli zaczniemy biegać, krawędzie iluzji zafalują i ludzie zaczną coś podejrzewać, a wtedy będziemy mieli przechlapane. Jeśli zachowamy spokój, wszystko będzie dobrze.

Freydis wymieniła spojrzenia z Larą.

– Dzieciaki – westchnęła.

– Myślę, że zachowuje się bardzo słodko – odrzekła Lara.

Jasne. Z naszej trójki byłem najmłodszy, co najmniej o kilka stuleci. Obie moje towarzyszki zapewne mierzyły się z tak wieloma niebezpieczeństwami, że postrzegały całą moją karierę jako obiecujące początki żółtodzioba. Poczujęm się jak osioł. Kiedy tak się dzieje, warto się przymknąć.

Dlatego ruszyłem przed siebie, zmuszając Larę, by dotrzymała mi kroku, co też zrobiła, bez najmniejszego wysiłku, z błyskiem w niebieskich oczach.

Musieliśmy podtrzymywać mniej więcej dziewięćdziesiąt procent ciężaru ciała Thomasa i trzymaliśmy się blisko siebie. Freydis szła za nami, również się nie oddalając. Nawet w nadprzyrodzonym świecie obowiązują prawa i ograniczenia. Mikstura nie ma nieograniczonej mocy. Im mniejszy obszar obejmuje iluzja, tym skuteczniejsze jest jej działanie. Jeśli rozszerzymy ten obszar, równie dobrze moglibyśmy zacząć wołać na głos, żeby nikt nie zwracał uwagi na człowieka za zasłoną.

To była niezwykle subtelna magia, która byłaby poza moim zasięgiem, gdyby nie pomoc czaszki w dawnych czasach. Wtedy urok skrył mnie na tyle skutecznie, że ludzie nie zauważali, że do nich wrzeszczę, próbując ostrzec ich przed śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Ale tamci ludzie nie byli wyszkolonymi panami nadprzyrodzonego świata i jego rozmaitych sztuk. Tym razem czekało mnie znacznie trudniejsze zadanie. Zamierzałem przeciwstawić spryt Boba Czaszki podejrzliwości najpotężniejszych istot nadprzyrodzonego świata, pod groźbą całkowitej katastrofy. Zatrzymałem się przed drzwiami głównej sali, wziąłem głęboki wdech i powstrzymałem dreszcze, które przebiegły wzdłuż mojego kręgosłupa.

– Jesteś pewien, że nie zobaczą nas pod tym... przebraniem? – spytała Lara bardzo cicho.

– Nie mam lepszego rozwiązania – odparłem.

– To nie była odpowiedź na moje pytanie.

– Owszem – przyznałem, opierając dłoń na drzwiach, by je otworzyć. – Ale nie mam lepszego.

Mój ojciec, Malcolm, zmarł, kiedy byłem mały. Niezbyt dobrze go pamiętam, chociaż mniej więcej w wieku dziesięciu lat uświadomiłem sobie, że stracę wszystkie wspomnienia, jeśli ich nie zachowam. Dlatego często leżałem w nocy i o nim myślałem – o jego twarzy, głosie, rzeczach, które powiedział i zrobił.

Kiedyś w drodze na jeden z jego występów zabraliśmy dwie pary autostopowiczów i podwieźliśmy ich prawie pięćset kilometrów. Tata ich nakarmił i kupił im dwie pary butów, mimo że ledwo wiąźaliśmy koniec z końcem. Innym razem na tyłach klubu, w którym występował, gdzieś w Ohio, znalazł chorego i wychudzonego kociaka i przez kolejne trzy tygodnie nosił go ze sobą, dopóki maluch nie wydobrzył, a potem znalazł mu bezpieczny dom. Oprócz tego nigdy nie przechodził obojętnie obok księgi. Uwielbiał książki.

Zabrał mnie do kina na Gwiazdne Wojny.

On i ja.

Mieliśmy tylko siebie. A potem odszedł.

Najpiękniejsze wspomnienia, jakie w sobie noszę, to lekcje magii, których mi udzielał. Nie chodzi mi o czary – tata był iluzjonistą.

– Wszyscy, którzy przychodzą na przedstawienie, wiedzą, że spróbuję ich oszukać – oznajmił pewnego wieczoru. Siedzieliśmy w całodobowej jadłodajni i jedliśmy kolację w drodze na występ w Kolorado. Tata był szczupłym, ciemnowłosym mężczyzną o poważnym spojrzeniu, który chętnie się uśmiechał. Miał na sobie dżinsową kurtkę i czapkę baseballową Cubsów. – A ja wiem, że oni o tym wiedzą. Na tym polega gra.

– Jaka gra? – spytałem.

Wziął do ręki monetę i mi ją pokazał.

– Kiedy ktoś jest podejrzliwy, uważnie obserwuje, co robisz – odparł. – Często najlepszym sposobem, by przechytryć taką osobę, jest podsuniecie jej czegoś, na co może zwrócić uwagę. Kiedy się na tym skoncentruje, wiesz, na co patrzy.

Rozległ się głośny huk, a ja aż podskoczyłem na swoim miejscu. Krzesło obok taty przewróciło się na podłogę.

Kiedy znów na niego spojrzałem, moneta zniknęła.

– To bardzo prymitywny przykład, ale skuteczny. Kiedy już wiesz, na co ktoś patrzy, wiesz także, gdzie nie patrzy. Wtedy masz okazję do stworzenia iluzji. To się nazywa odwrócenie uwagi. Jeśli się postaram, efekt będzie wyglądał jak magia i wszyscy będą zadowoleni.

– A jeśli ci nie wyjdzie?

Uśmiechnął się i sięgnął do mojego ucha. Chwyciłem go za nadgarstek. Byłem mały, ale już znałem niektóre z jego sztuczek. Miał ćwierćdolarówkę schowaną między fałdami skóry na grzbiecie dłoni, pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

Uśmiechnąłem się, zabrałem monetę i schowałem ją do kieszeni. Taką mieliśmy umowę. Jeśli byłem na tyle sprytny, by go przyłapać, w nagrodę mogłem zachować monetę i później zagrać w dowolną grę na automatach.

– Jeśli mi nie wyjdzie, widzowie uznają mnie za niekompetentnego, a także pomyślą, że mam ich za głupków, którzy nabiorą się na byle sztuczkę. – Uśmiechnął się cierpko. – Ludzie tego nie lubią.

Trudna publiczność, pomyślałem. Nie wiem, czy kiedykolwiek występowałeś przed tłumem, który mógł zareagować tak... entuzjastycznie, tato.

Musiałem przestać rozmawiać z duchami.

Pora na przedstawienie.

Pchnięciem otworzyłem drzwi za szwedzkim stołem i rozejrzałem się po pomieszczeniu. Sprawa wydawała się prosta. Cristos stał na podeście, a wszystkie szyby go obserwowały.

–... A także ogłaszam z radością, że skontaktował się z nami król Corb z ludu Fomorów, który niedługo do nas dołączy. Pewne sprawy wagi państwowej wymagały jego natychmiastowej reakcji, ale Jego Królewska Wysokość już się z nimi uporał i przybędzie lada chwila.

Rozległy się grzeczne oklaski, na które Cristos zareagował promiennym uśmiechem.

– Ostatnie wydarzenia w nadprzyrodzonym świecie mogły wywołać duże zamieszanie i niepokój, ale zarazem mogły się stać okazją do zbudowania jeszcze silniejszych więzi między poszczególnymi nacjami. Żywię nadzieję, że jeśli uda nam się zawrzeć porozumienie pokojowe, nasi sąsiedzi, Fomory, podejmą współpracę z pozostałymi członkami Porozumienia...

Od tego momentu przemówienie stało się nudne, nawet jak na czarno-białą transmisję, pomimo wspaniałej prezencji Cristosa, ale jeśli inni dorośli przedstawiciele nadprzyrodzonego świata także uznawali go za mdłego, to ukrywali to znacznie lepiej ode mnie. Co prawda, odwrócenie uwagi nie miało na celu zakłócenia przemowy Cristosa.

To był tylko szczęśliwy przypadek.

Wyjąłem z wewnętrznej kieszeni marynarki drugą ampułkę, identyczną jak ta, której użyłem na Ramirezie, i zmiażdżyłem ją tą samą ręką. Pamiętałem, żeby nie zetrzeć plamy z dłoni, dzięki czemu zawartość świeżej ampułki zmieszała się z osadem substancji, którą natarłem Ramireza.

Moja dłoń zadrżała i zacisnęła się spazmatycznie, a potem stała się ciężka, jakbym owinął ją wilgotnym plażowym ręcznikiem.

– Trzymajcie się blisko – wyszeptałem. – Ruszamy.

Potem rozczapierzyłem palce, jakbym kierował marionetką, i zacząłem nimi przebierać. Wspólnie z Larą zaczęliśmy wlec Thomasa, a Freydis podążała tuż za nami.

Mikstura, którą wtarłem w pelerynę Ramireza, stanowiła połowę dawki. Drugą połowę właśnie miałem na dłoni. Obie porcje były magicznie połączone za sprawą kropli mojej krwi, najsilniejszej magicznej substancji używanej do tworzenia więzi. Dzięki temu mogłem w łatwy sposób przesłać impuls energii ze swojej ręki do peleryny biednego Carlosa.

Szara tkanina załopotała wokół niego, jakby targana huraganowym wiatrem, a potem uniosła młodego Strażnika z podłogi i pociągnęła go w głąb sali, z dala od frontowych drzwi.

Ludzie i nieludzie zakrzyknęli zaniepokojeni. Kilkadziesiąt grup ochroniarzy dopadło do swoich podopiecznych. Wiele osób zostało powalonych na ziemię przez swoich opiekunów. Kątem oka

zobaczyłem, jak ekipa sidhe otacza Molly i wypycha ją do bocznego pomieszczenia. Rozpoznałem jednego z nich, przeklętego Redcapa. Morderczy elfi zabójca zastąpił baseballową czapeczkę szkarłatną skórzaną opaską, której pochodzenia wolałem się nie domyślać.

Brnęliśmy przez ten chaos, podczas gdy Carlos walczył ze swoją peleryną. Udało mu się ją odpiąć, a wtedy to cholerstwo zaczęło trzepotać wokół niego jak olbrzymi nietoperz.

Podziałało. Sala pozostała czarno-biała. Wszyscy ulegli paranoi i tak skupili się na potencjalnym zagrożeniu, że nie zwracali na nas uwagi.

Mikstura nie była bardzo silna – większość wysiłków skupiłem na stworzeniu uroku maskującego – i miała krótkotrwałe działanie. Peleryna już zaczynała słabnąć i poruszała się mniej gwałtownie. Możliwe, że nie zdążymy dotrzeć do drzwi. Nieco przyśpieszyłem kroku, na ile starczyło mi odwagi.

Kiedy byliśmy w połowie drogi do wyjścia, dwie postacie nagle rozjarzyły się kolorami i popatrzyły w naszą stronę.

Zamarłem, gdy smok Ferrovox, który wciąż siedział na swoim krześle z dymem sączącym się z nozdrzy, wbił we mnie wzrok i wyszczerzył zęby w powolnym uśmiechu.

Na dzwony piekieł. Jeśli podniesie alarm, będzie po nas.

Ferrovox wciągnął powietrze, szykując się do krzyku.

Nagle ponad gwarem tłumu rozległy się trzy ostre stuknięcia drewna o kamień.

Obejrzałem się i zobaczyłem Vadderunga, również w pełnym kolorze. Nadal siedział naprzeciwko Ferrovox, a czarna opaska na oko nadawała mu wyjątkowo złowieszczy wygląd. W prawej dłoni trzymał stylową laskę ze srebrzystego drewna, która za sprawą gry świateł rzucała trzykrotnie dłuższy cień na ścianę za jego plecami. Vadderung niewzruszenie wpatrywał się w Ferrovox. Kącik jego ust nieznacznie się unióś.

Jasna cholera. Kiedy ostatnim razem zabito smoka w materialnym, śmiertelnym świecie, stało się to w regionie tunguskim. Gdyby Ferrovox postanowił walczyć w mieście tak dużym i gęsto zaludnionym jak Chicago, mogłoby dojść do niespotykanej w historii katastrofy.

Do tego w pewnym sensie byłaby to moja wina.

Moje serce zabiło szybciej. Obejrzałem się na zamaskowanego smoka szeroko otwartymi oczami.

Ferrovax nie patrzył na mnie. Zapewne według jego standardów nie byłem tego wart. Według niego moją jedyną godną uwagi cechą było cwaniakowanie w obecności smoków. Przez chwilę spoglądał na Vadderunga spod przymrużonych powiek. Potem na jego uchylonych ustach mignął kpiący uśmiech. Wypuścił nosem powietrze wraz z dwoma gęstymi obłokami cuchnącego dymu.

Obejrzałem się na Vadderunga. Nie odrywał wzroku od smoka. Jedynie lekko poruszył kolaniem w stronę wyjścia.

Przytaknąłem i uśmiechnąłem się drapieźnie, a potem ruszyliśmy dalej.

Wyszliśmy z głównej sali i znaleźliśmy się w korytarzu, gdy energia ożywiająca pelerynę Ramireza zaczęła się wyczerpywać. Z przedsonka wyszedł Childs ze swoim psem, ale obaj pozostali bezbarwni, gdy nas mijali.

Jeszcze bardziej przyśpieszyłem kroku. Wyszliśmy przed budynek, a ja modliłem się, żeby Murphy nie zapomniała wypić swojej porcji mikstury maskującej.

Nie zapomniała. Specjalnie na tę okazję wynajęła samochód, a ludzie Lary załatwili fałszywe tablice rejestracyjne. Światła luksusowego sedana zapaliły się i Murphy sprawnie zatrzymała się na ulicy.

Pośpieszyliśmy do auta. Murphy wychyliła się z okna, a w jej oczach pojawił się spokój, gdy mnie zobaczyła.

– Jak poszło?

Mrugnąłem do niej.

– Myślę, że nam się upiecze, jeśli wystarczająco szybko uciekniemy.

Lara wślizgnęła się na tylne siedzenie, a ja wepchnąłem za nią Thomasa. Wspólnie umieściliśmy go w samochodzie. Freydis usiadła po jego drugiej stronie, a ja podszedłem do przednich drzwi po stronie pasażera.

Właśnie je otworzyłem, gdy z przeciwnej strony z rykiem silnika nadjechała ku nam duża ciężarówka, a ja z przerażeniem

uświadomiłem sobie, że prawdziwą wadą mikstury maskującej jest jej zbyt duża moc. Całkiem możliwe, że kierowca nie zauważył nas ani naszego pojazdu. Urok mógł wpłynąć na jego podświadomość i przekonać go, że patrzy na duże kartonowe pudło lub coś innego, co wręcz prosiło się o rozjechanie.

Jednakże ciężarówka w ostatniej chwili odbiła w bok, wjechała dwoma kołami na chodnik i z piskiem opon zahamowała przed siedzibą Stowarzyszenia Jaśniejszej Przyszłości.

Parkingowi i pracownicy obsługi byli wyraźnie zdziwieni takim obrotem sprawy, nie licząc jednego z ochroniarzy, który już sięgał po broń i wykrzykiwał coś do krótkofalówki piskliwym, przerażonym głosem.

Zdołał wyrzucić z siebie tylko kilka słów, zanim tylne drzwi ciężarówki uniosły się i coś, co zabrzmiało jak popsuta maszyna pneumatyczna, rozerwało jego pierś na strzępy, obryzgując ścianę za nim szkarłatnym wachlarzem krwi. To, co upadło na ziemię, już nie przypominało człowieka.

Tuzin mężczyzn w kamizelkach kuloodpornych wyskoczył z tyłu ciężarówki, trzymając w rękach karabinki półautomatyczne z tłumikiem. Otworzyli ogień przy wtórze niewyraźnych trzasków, syków i łupnięć.

Wszystko trwało może trzy sekundy. Żaden z parkingowych ani pracowników obsługi nie ocalał. Ci, którzy wciąż się ruszali po pierwszym ostrzale, dostali po kulce w głowę.

- Psiakrew – westchnęła Murphy. W jej ręku pojawiła się broń.
- Nie ruszaj się – ostrzegłem. – Nie strzelaj. Laro?
- To nie moi ludzie – odezwała się wampirzyca napiętym głosem.
- Czysto! – rzucił jeden z żołnierzy, a ja go rozpoznałem i ogarnął mnie gniew.

Nazywał się Słuchaj. Był średniej budowy ciała, nie rzucał się w oczy, głowę miał gładką jak kula bilardowa i dowodził działaniami wojskowymi Fomorów w Chicago – czyli innymi słowy wspólnie ze swoimi odzianymi w golfy sługusami przez lata porwał utalentowanych młodych magów i wywoził ich w nieznanym kierunku do swoich panów. Zdołał uciec wszystkim, którzy próbowali pokrzyżować mu plany, albo ich pozabijał.

Nie znoszę, kiedy złoczyńcy mają sprawnych pomocników.

Słuchaj szybko krokiem podszedł do tyłu ciężarówki i pochylił głowę.

– Wasza Wysokość, twoja wola została wypełniona.

– Doskonale – odpowiedział ktoś chrapliwym, bulgoczącym głosem.

Rozległ się odgłos kroków i jakaś istota zeszła z ciężarówki. Miała niemal dwa i pół metra wzrostu i najbardziej przypominała olbrzymią ropuchę korzystającą z usług doskonałego krawca. Była ubrana w jedwabną szatę, która kojarzyła się z kimonami z okresu Edo, ale miała nieco wykrzywione linie kroju. Osobliwy styl oraz dziwaczne, niepokojące obrazy wyhaftowane na tkaninie w morskim kolorze sprawiały, że lekko kręciło mi się w głowie.

Facet, który nosił tę szatę, też nie był przystojniakiem. Jego twarz była zbyt duża i gruzłowata jak na człowieka. Miał tak szerokie usta, że mógłby zjeść banana w poprzek, a wargi przypominały gumowate, czarne zgniłe owoce tego samego gatunku. Pokryta krostami i brodawkami skóra miała niezdrowy niebiesko-zielony kolor przeplatany trupio bladymi plamami, a olbrzymie, wodniste, wyłupiaste oczy robiły niepokojące wrażenie. Wyrastające nierównymi kępami włosy jak zwiędłe czarne wodorosty pokrywały jego głowę i ramiona. Poruszał się chaotycznymi zrywami, a mój instynkt uznał go za kogoś niebezpiecznego i niespełna rozumu.

Podejrzewałem, że to król Fomorów Corb.

Monarcha przez chwilę lubieżnie przyglądał się trupom, a potem podniósł wzrok na Słuchaj.

– Wprowadź nas, kapitanie.

Słuchaj stanął na baczność i zaczął wywarkiwać rozkazy do swoich „ludzi”. Żołnierze technicznie byli ludźmi, ale Fomory przekształciły ich ciała, upodabniając ich do siebie. Członkowie tej ekipy byli szybsi, twardsi i silniejsi niż typowi śmiertelnicy i cholernie trudni do zabicia, jak ghoule. Zareagowali natychmiast i ustawili się po obu stronach drzwi.

Corb zszedł z ciężarówki, okręcił się na pięcie i z zaskakującą gracją opadł na jedno kolano u stóp rampy, pochylając głowę.

Poczułem, że moje brwi się unoszą.

Na rampie ponownie zabrzmiały kroki, tym razem cięższe. Z ciężarówki niespiesznie wyłoniła się mniej więcej humanoidalna, mniej więcej kobieca sylwetka osłonięta peleryną z kapturem, którą uszyto z jakiejś osobiwie metalicznej tkaniny. Kimkolwiek była, przewyższała Corba wzrostem i musiała powoli się wyprostować po wyjściu z ciężarówki. Widziałem jej białe stopy o idealnych, potężnych proporcjach. Wyglądały, jakby dawno temu oblała je brązem, który z czasem pokrył się patyną, a potem był regularnie polerowany. Utworzyły się na nim guzy i zgrubienia przypominające stopiony wosk, ale stopy napinały się i poruszały jak żywe ciało. Tkwiły w nich metalicznie połyskujące barwne kryształy.

Istota dotknęła ramienia Corba, gdy go mijała, ukazując więcej metalicznego ciała. Pomimo swojej postury poruszała się z gracją, a jej kroki były długie i zdecydowane. Corb do niej dołączył, trzymając się o krok z tyłu. Nie patrząc na niego, wyciągnęła rękę. Corb sięgnął pod swoją szatę i wydobył łańcuch o długości około trzech metrów. Jeden jego koniec był połączony ze stalową obręczą na jego szyi, którą niemal całkowicie przesłaniały szaty. Drugi koniec podał tytance.

Przyjęła go, nie gubiąc kroku, i weszła do zamku, a żołnierze podążyli za swoimi przywódcami z uniesioną bronią.

– Na gwiazdy i kamienie – westchnąłem.

Właśnie doszło do zamachu.

W ten sposób rozpoczynały się wojny.

Obezwładnił mnie ohydny, przyprawiający o mdłości lęk, który sięgał tak głęboko, że nawet moje palce u stóp nabrały złych przeczuć.

– Harry – syknęła Murphy. – Wsiadaj.

– Nie mogę – stwierdziłem. – Muszę zobaczyć, co się tutaj dzieje.

– Nachyliłem się, żeby popatrzeć na Murphy. – Zabierz ich na wyspę.

– Dlaczego? – spytała Murphy ostro. – To bez sensu, jeśli ciebie tam nie będzie.

– Dołączę później – odparłem. – Przyrzekam.

Murphy wytrzeszczyła oczy.

– Ty się boisz.

– Musisz mi zaufać – poprosiłem. – Nie ma czasu.

Murph wyglądała, jakby chciała się sprzeciwić, ale tylko się skrzywiła i odłożyła broń.

– Niech to szlag!

– Dresden, nie taki był plan – odezwała się Lara ostrzegawczym tonem.

– Nie – przyznałem. – Nie taki. Jedźcie, a ja zobaczę się z wami, gdy tylko odkryję, co się dzieje.

– Jeśli cię złapią...

– Wciąż mam miksturę – przerwałem jej. – Wejdę i wyjdę niezauważony. Jak podmuch wiatru.

Lara przeniosła wzrok na swojego poranionego brata. Ta chwila niezdecydowania ją zgubiła. Murphy zdążyła wrzucić bieg i odjechać na wschód, oddalając się od zamku.

Zostałem sam w pobliżu grupy absurdalnie potężnych nadprzyrodzonych istot i sterty ciał, które obiecywały, że noc wciąż jest młoda.

Wszystko wskazywało na to, że sprawy potoczą się bardzo źle.

Przełknąłem ślinę, a następnie ruszyłem na rozmowy pokojowe tropem morderczego króla Fomorów oraz istoty, która najwyraźniej nim kierowała.

Król Corb i jego ludzie wparowali do głównej sali zamku, jakby ta należała do nich.

Wkroczyli do środka pośród chaosu spowodowanego moim wyjściem. W zatłoczonym pomieszczeniu panował gwar, a przedstawiciele wszystkich nacji nerwowo wycofywali się do pierwotnie przydzielonych stref.

Zajrzałem do sali i ruszyłem w stronę Ramireza i Strażników, którzy stali przed członkami Rady Starszych. W ten sposób znalazłem się w odległości kilku długich kroków od wysokiego krzesła w głębi sali, przy którym Mab stała razem z Molly, Redcapem i czwórką innych sidhe.

Corb i jego świta z wyraźną radością zaczęli, aż zapadnie niezręczna cisza. Potem król ruszył naprzód, pobrzękując łańcuchem, i swobodnym ruchem wyrzucił coś w powietrze.

Jakiś przedmiot wielkości mojej pięści potoczył się z głośnym dudnieniem po posadzce.

Zatrzymał się u stóp podestu, na którym stało wysokie krzesło.

Była to bardzo mała głowa. Minęło już sporo czasu, odkąd ją odcięto, i skóra zdążyła się skurczyć oraz pokryć plamami rozkładu.

Rozpoznałem rysy twarzy.

To był Gwynn ap Nudd, król Tylwyh Teg, jednego z większych elfich ludów. Kiedyś robiłem z nim interesy, a on wciąż od czasu do czasu przysyłał mi karnety na mecze Cubs. Maczał palce w słynnej kłątwie Billy Goat i był jednym z sygnatariuszy Przymierza.

Goście głośnie zaczerpnęli tchu.

Mab przez bite trzy sekundy wpatrywała się w odciętą głowę. Wydawało się, że ta cisza będzie trwała wiecznie.

Królowa Powietrza i Ciemności w końcu popatrzyła swymi czarnymi oczami na króla Corba. Temperatura w pomieszczeniu gwałtownie spadła. Wszystkie metaliczne powierzchnie pokryły się kryształkami szronu, a na srebrzysto-białych włosach Mab zawirowały plamy ciemności, które zaczęły się rozprzestrzeniać na jej suknię.

Odezwała się szeptem, który usłyszało każde ucho w sali.

– Wytłumacz się.

Fomor zrobił chwiejny krok do przodu.

– To gest pojednawczy – odrzekł aksamitnym, szczerym tonem, z którym klócił się wyraz jego żabiej twarzy. Wyłupiaste oczy szydziły, a kpiący uśmiech wyglądał złowieszczo. – Prezent dla starej kobiety, której najlepszy czas już minął.

Machnął dłonią i jego ludzie ruszyli z miejsca. Tuzin karabinków z tłumikami zakaszłał i szcęknął, a wszyscy pracownicy obsługi upadli na podłogę.

Marcone zerwał się z miejsca. Hendricks gwałtownie położył dłoń na ramieniu szefa, a panna Gard stanęła przed nim z dłonią na trzonku topora. Goście wydali z siebie zduszone okrzyki przerażenia.

Ponieważ byli gośćmi.

Mab powoli wstała. Jej włosy, oczy i paznokcie, podobne do szponów kruka, stały się czarne jak smoła, a skóra była bielsza niż rumak Śmierci.

– Jak śmiesz? JAK ŚMIESZ?! W TYM DOMU JESTEŚ GOŚCIEM!

– Przeczytaj swoje własne prawa, kobieto – rzucił Corb pogardliwie. – Ci najemnicy nie byli członkami domostwa, wasalami ani sługami, ale w najlepszym wypadku dobytkiem. – Corb odwrócił się w stronę Marcone'a i pogardliwym ruchem wyrzucił w powietrze aksamitną torbę, która upadła u stóp Gard z charakterystycznym metalicznym brzękiem. – Twoja główszczyzna, człowieczku.

W sali zrobiło się jeszcze zimniej. Przed napiętymi twarzami wykwitły obłoki nerwowych oddechów.

– Staruszko – prowokował Corb. – Pamiętam, jak byłaś rozwrzeszczanym bachorem. Pamiętam twoją pryszczatą twarz, gdy jeździłaś ze Zdobywcą. Pamiętam, jak płakałaś, kiedy Merlin cię wyrzucił.

Twarz Mab...

... wykrzywiła naga, paskudna wściekłość. Jej ciało tak zeszywniało i znieruchomiało, że wydawało się niemożliwe, by należało do żywej istoty.

– Powiedz – zamruczał Corb. – Czy gdyby był pośród żywych, wciąż by cię kochał? Byłby dumny z tego, czym się stałaś?

Mab nie tyle zeszła ze swojego tronu, ile sama rzeczywistość grzecznie usunęła się jej z drogi. W jednej chwili była na swoim miejscu, a już za moment posadzkę przeciął idealnie prosty szlak padającego śniegu i szronu, Mab zaś stała metr od Corba.

– Twoje robaczywe usta nie są godne wypowiadać jego imienia – syknęła.

– No proszę – odrzekł król z uznaniem. – Wiedziałem, że gdzieś pod tym lodem kryjesz się prawdziwa ty. Zbierz całą moc, staruszko. Oboje wiemy, kim jesteś. Nikim.

Oblicze Mab wykrzywiła bardzo ludzka furia. Już dawno nie widziałem czegoś tak przerażającego. Warknęła i już miała coś powiedzieć, gdy jej czarne oczy nagle się rozszerzyły. Przebiegła wzrokiem wzdłuż łańcucha do brązowo-kryształowej pięści kobiety, która go trzymała.

Corb odchylił głowę do tyłu i zachichotał z zachwytem.

Odziana w pelerynę postać poruszała się równie szybko jak Mab. Jeszcze przed chwilą stała trzy metry za Corbem, ale nagle rozległ się odgłos przypominający huk gromu.

Nie jestem pewien, co dokładnie się wydarzyło. Podejrzewam, że postać w pelerynie wyprowadziła kopnięcie. Czułem, że Mab otaczają obronne energie, jakich ja sam nigdy nie byłbym w stanie przywołać, ale kopnięcie przebiło je, jakby nie istniały. Zaraz po huku rozległ się ryk pękającego kamienia.

Odwróciłem głowę, tak wolno, jakby utknęła w bryle galarety, i zobaczyłem wylatujący w powietrze obłok szczątków krzesła Mab. W kamiennej ścianie za krzesłem widniała nierówna dziura mniej więcej o rozmiarach trumny.

Królowa Powietrza i Ciemności zniknęła.

W sali zapadła oszołomiona cisza.

Postać w pelerynie uniosła ręce w bardzo powolnym, dramatycznym geście i nieśpiesznie zdjęła kaptur.

Kobieta pod kapturem była zbudowana z brązu i kryształu, a urodą przewyższała wyobrażenia śmiertelników. Jej włosy, długie,

lśniące i przylegające do głowy, jakby właśnie wyszła z wody, przypominały jedwab utkany ze srebrnych nici.

Niepokoili mnie jej oczy. A raczej jedno z oczu, które miało kolor szmaragdu.

Drugie...

Na tej idealnej brązowej twarzy okaleczone oko wyróżniało się jak szubienica w miejskim parku. Skórę wokół oczodołu pokrywały białe blizny przypominające granit, które wyglądały jak ślady pazurów największego i najpaskudniejszego kota, jakiego widzieliście. Oko nie było zapadnięte, pomimo zamkniętej powieki. Było lekko wystające, jakby należało do znacznie większej istoty.

Kobietę otaczała pulsująca energia, z jaką jeszcze nigdy nie miałem do czynienia, tak stara i straszliwa, że świat zapomniał o jej istnieniu. Ta moc domagała się ode mnie szacunku, posłuszeństwa, uwielbienia i przerażenia, a ja nagle zrozumiałem, co się dzieje.

Znalazłem się w obecności bogini.

Z trudem mogłem złapać oddech.

Nie mógłbym się poruszyć, nawet gdybym chciał.

Po sali poniósł się jęk i z niepokojem zdałem sobie sprawę, że mój głos także dołączył do tego chóru.

Jakaś cząstka mnie zauważyła, że Vadderung i Ferrovax zerwali się na nogi i zacisnęli pięści. Już nie patrzyli na siebie nawzajem. Obaj wbijali wzrok w kobietę.

Bogini powiodła po sali jednym okiem, przyglądając się poszczególnym twarzom. Posłała Zimowej Pannie spojrzenie pełne czystej pogardy, a potem tak samo potraktowała przedstawicieli wszystkich zgromadzonych nacji.

Jej głos...

Mój Boże.

Jej głos był jak seks, czekolada, gorąca zupa i kąpiel w zimny, deszczowy wieczór. W tym głosie kryła się obietnica i chciało się go słuchać z pełnym skupieniem. Wypełniał pomieszczenie, jakby kobieta korzystała z systemu nagłośnienia, chociaż tak nie było.

– Dzieci, dzieci, dzieci – wyszeptwała, kręcąc głową z niezadowoleniem. – Nad światem zapanowały dzieci. – Jej wzrok spoczął na Ferrovaksie, a jeden z jej policzków drgnął. Potem

popatrzyła na Vadderunga i odsłoniła białe, idealne zęby. – Jednooki. Wciąż aż tak się angażujesz w Grę? Nadal jesteś tak arogancki. Zobacz, jak nisko upadłeś. Zadajesz się z insektami, jakbyś sam był śmiertelnikiem.

Nikt się nie poruszał.

Nikt się nie odzywał.

Nagle na kamiennej posadzce zabrzmiały czyjeś kroki.

Gentleman John Marcone wyłonił się zza pleców nieruchomej Gard w swoim nieskazitelnym garniturze. Nie sprawiał wrażenia przestraszonego, chociaż na pewno się bał. Po prostu wystąpił naprzód, omijając swoich strażników.

– Dobry wieczór. Jestem baron John Marcone. To mój dom. Czy mogę zapytać, jak mam się do pani odnosić?

Bogini zmrużyła oczy, spoglądając na Marcone'a z obrzydzeniem, z jakim zazwyczaj patrzymy na kłębiące się robaki. Pokręciła głową i znów skupiła wzrok na Vadderungu.

– To jest wasz gospodarz? – spytała ostro. – Wpuszczacie między siebie śmiertelnika? Gdzie wasza godność? Gdzie wasza duma? – Pokręciła głową. – Ten świat zszedł na psy. Zawiedliśmy go. Ale nie zamierzam dłużej kulić się ze strachu w morskich głębinach i patrzeć na to, jak śmiertelnicy zmieniają go w swój brudny ul.

Bogini ruszyła przed siebie, wbijając wzrok w Marcone'a. Okrążyła go, kręcąc głową i szacując jego wartość, a wszyscy wciąż trwali w bezruchu. Wskazała palcem Ferrovaxa, nie patrząc w jego stronę.

– Przedstaw mnie tej ulotnej istocie.

Przez kilka sekund panowała cisza. Potem Ferrovax odezwał się chrapliwym głosem, który brzmiał, jakby siłą wydarto go z zaciśniętych zębów.

– To jest Ethniu. Córka Balora. Ostatnia Tytanki.

Ethniu opuściła wyciągnięty palec. Ferrovax westchnął, zatoczył się i oparł dłonią o swoje krzesło, ciężko dysząc.

– Ten świat wyraźnie zawiódł – ciągnęła, zwracając się do wszystkich zebranych. – Uznaliście, że zrobicie mądrze, jeśli zjednoczycie siły. Jeśli będziecie żyć w pokoju i przyjmiecie

zasady... – Kpiąco uniosła wargę. – Przyzwoitości. Wspólnie ze śmiertelnikami, którzy niegdyś drżeli, słysząc wasze kroki.

W tej chwili drżałem całkiem solidnie. No i wciąż nie byłem w stanie wykonać świadomego ruchu.

– Zbyt długo stałam beczynną – odezwała się Ethniu, powoli krążąc po sali. – Patrzyłam, jak kolejne święte miejsca padają łupem śmiertelników. Las po lesie. Morze po morzu. Ośmielają się chodzić w miejscach, które nigdy nie były dla nich przeznaczone. A wtedy to, co boskie, wycofuje się, więdnie, umiera. – Zamilkła, a spojrzenie jej szmaragdowego oka spoczęło na mnie jak góra ołowiu, by już po chwili całkiem mnie zignorować. – Stają się coraz liczniejsi, coraz bardziej małostkowi i zajadli, kalając swoim brudem, hałasem, budynkami i maszynami świat, który pomogliśmy stworzyć.

Przystanąła obok króla Corba i niemal z sympatią położyła mu dłoń na ramieniu.

– To się skończy. Już dzisiaj.

Odwróciła się i podeszła do Vadderunga. Przyklękła na jedno kolano, by móc porozmawiać z nim twarzą w twarz.

– Pamiętam, czym byłeś. Szanuję cię, więc zakładam, że dostrzegłeś jakąś wartość w tych... – Wskazała obszernym gestem całą salę. – Dzieciach. Ze względu na ten szacunek ofiaruję ci coś, czego sama nigdy nie miałam: wybór.

Rozejrzała się po pomieszczeniu.

– Ofiarowuję go wszystkim obecnym tutaj boskim istotom. Dziś w nocy o godzinie duchów ci, których uznaliście za upadłych, pokonanych, wygnanych i upokorzonych, pomaszerują na świat śmiertelników, zaczynając od tego cuchnącego ula, który nas otacza. – Uśmiechnęła się, bardzo powoli. – Nareszcie.

Kiedy Vadderung się odezwał, brzmiał, jakby ktoś przykleił mu język do zębów.

– Ethniu. Nie rób tego.

Przez chwilę patrzyła na niego z góry, niemal ze współczuciem.

– Pamiętam, że kiedyś byłeś kimś wielkim – odrzekła cicho. – Ze względu na to wspomnienie daję ci jedną szansę: nie wchodź mi w drogę. Mam na pieńku tylko ze śmiertelnikami. Stań z boku, a nie będziemy musieli walczyć. – Wskazała dziurę w ścianie za wysokim

krzesłem. – Ta istota nie może was ochronić. Nie narzuci swojej sprawiedliwości. Każda z boskich istot musi wybrać: albo porzuci śmiertelny świat, albo spłonie razem z nim.

Jej zamknięte oko zadrżało i nagle pod pokrytą bliznami powieką zapłonęło światło, czerwone i pulsujące. Ethniu odchyliła głowę do tyłu i z wrzaskiem otworzyła Oko.

Wrzask był tak głośny, że o mało mnie nie ogłuszył, ale nie to było w nim najgorsze. Czułem, jak zalewa zakamarki mojego umysłu emocjami tak intensywnymi, że rozerwałyby moją psychikę na strzępy, gdybym dopuścił do siebie choćby ich część.

Światło wystrzeliło z Ethniu i wściekle uderzyło w sufit. Kawałki tkaniny, których dotknęło, gnily, rozpadały się i stawały w ogniu. Kiedy zetknęło się z sufitem, całą salą targnął potężny wstrząs, a na ciemnoszarych kamieniach rozjarzyły się wcześniej niewidziane wszechobecne niebieskie runy i symbole. Poczuję silne ciśnienie, które rozsądziłoby mi bębenki w uszach, gdyby miało fizyczną naturę. To magiczne osłony zamku przeciwstawiły się mocy bogini.

Zawiodły.

Kamień rozpadł się na pył, a fala energii przeszła sufit i wyższe piętro, po czym wystrzeliła przez dach w letnie wieczorne niebo. Salę przeniknęła czysta magiczna energia o takiej rozpiętości i sile, że jeszcze pięć minut wcześniej uznałbym to za niemożliwe.

Teraz już wiem, że właśnie w tej chwili wszystko zaczęło się zmieniać.

Magia szalała w powietrzu. Wyła na ulicach i alejkach Chicago. Grzmiała w tunelach i na jezdniach, jak tsunami surowej mocy.

Gdziekolwiek dotarła, śmiertelny świat pogrążał się w ciemności.

Elektrownie eksplodowały. Urządzenia elektroniczne sypały iskrami. Ekrany wyświetlały diabelskie obrazy i skrzeczały demonicznymi głosami, po czym przestawały działać. Samochody się psuły; systemy padały; pociągi traciły moc i zwalniały. Później dowiedziałem się, że w tej jednej chwili doszło do niemal tysiąca pięciuset wypadków drogowych, w których zginęły dziesiątki ludzi.

Chicago pogrążyło się w mroku.

Kiedy już było po wszystkim, zorientowałem się, że klęczę. Ciężko dyszałem i wydawałem z siebie zbolące odgłosy. Inni

zachowywali się podobnie. Światło w głównej sali się nie zmieniło, ponieważ pochodziło z płonącego kominka.

Król Corb i Ostatnia Tytanka zniknęli.

Popatrzyłem na Vadderunga, który ciężko opadł na swoje krzesło z oszołomioną miną.

Przez dobry kwadrans panowała cisza, aż w końcu Gentleman John Marcone wstał i ze zdziwieniem rozejrzał się po zniszczonej sali pogrążonej w chaosie.

– Wygląda na to, że znamy odpowiedź Fomorów odnośnie do rozmów pokojowych.

Ebenezar wstał jako drugi. Również rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Czy komuś coś się stało? – spytał.

– Owszem, zabitym – odparł Marcone. Ruszył w stronę wysokiego krzesła i podał rękę Molly. Posłała mu nieprzychylnie spojrzenie, ale przyjęła jego dłoń z grzecznym kiwnięciem głowy. Marcone odezwał się z naciskiem, ale na tyle cicho, by nie usłyszeli go inni goście: – Proszę, oszacuj stan Mab, Zimowa Panno.

Molly przez chwilę mu się przyglądała. Potem podeszła do dziury w kamiennej ścianie i zajrzała do środka.

– Co jest po drugiej stronie tej ściany?

– Magazyn – odrzekł Marcone.

– A jeszcze dalej? – spytała Molly, po czym weszła do dziury.

Etri i jego siostra wspólnie wstali z podłogi. Wokół nas rozlegał się gwar oszołomionych i nerwowych głosów. Wszyscy zaczęli dochodzić do siebie i nikt nie wyglądał na zachwyconego tym, co się stało.

Mój dziadek rozejrzał się uważnie. Potem nachylił się do Ramireza i coś do niego szepnął. Strażnik pokiwał głową i odezwał się cicho do pozostałych ochroniarzy.

Carter LaChaise i jego ghoule podnieśli się i ruszyli w stronę wyjścia.

– LaChaise! – zawołał Marcone tak, by usłyszeli go wszyscy w sali.

Ghoul obejrzał się na niego przez ramię.

– Dokąd pan się wybiera? – spytał Marcone.

LaChaise wskazał dziurę w ścianie na tyłach sali, a następnie odezwał się z dźwięcznym akcentem z Luizjany podlanym odrobiną

whiskey.

– Słyszeliście, co powiedział ten potwór. Widzieliście, co zrobiła.

– Tak – odrzekł Marcone znużonym tonem. – Widziałem także twój podpis pod Przymierzem.

– I co z tego?

– Przystąpiłeś na wzajemną obronę w przypadku zewnętrznej agresji – odpowiedział Marcone łagodnie.

– Mab była ucieleśnieniem Przymierza – odburknął LaChaise. – Widziałeś, co ta tytanka z nią zrobiła?

– Owszem – przyznał Marcone.

– Jeśli jest w stanie zrobić to Mab, to jaką szansę mamy my wszyscy? – spytał LaChaise. Rozejrzał się po sali. – Wszyscy podpisaliśmy Przymierze ze strachu przed Mab. Uważacie, że jesteście w stanie przeciwstawić się Corbowi i Ethniu, skoro nawet Mab została zmieciona jak mucha? Niech ten śmiertelnik postrada swoje krótkie życie, jeśli tego pragnie. My wszyscy robiliśmy interesy na długo przed Przymierzem i możemy bez trudu dalej to robić.

LaChaise odwrócił się, żeby odejść, ciągnąc za sobą pół tuzina ghoulu.

– Jest pan tchórzem? – spytał Marcone cichym głosem.

Ghoul obrócił się na pięcie, wyjątkowo lekko i szybko jak na jego potężną posturę, a przez salę poniosło się jego niskie warknięcie.

– To pytanie, nie stwierdzenie faktu – dodał Marcone.

– Stąpaj ostrożnie, śmiertelniku – rzekł LaChaise. – Chętnie przerobię twoje flaki na kiełbasy.

– Zadałem to pytanie, ponieważ pańskie kolejne działania pokażą wszystkim, kim pan naprawdę jest, LaChaise – powiedział Marcone.

LaChaise zadrżał, a jego twarz wykrzywił gniew. Ten grymas po chwili zmienił się z ludzkiego w bardziej zwierzęcy, a masywne ciało ghoulu zatrzeszczało i strzyknęło, gdy się pochylił.

– Jest pan gościem – rzucił Marcone. – W moim domu.

Oczy LaChaise'a już stały się ohydne jak ślepie węża. Przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, żeby zrobić krok w stronę Marcone'a, ale te słowa powstrzymały go niczym stalowe łańcuchy. Rozejrzał się po sali i zobaczył, że wszyscy przywódcy sprzymierzonych nacji baczenie mu się przyglądają.

– Baron Marcone ma rację – odezwał się Etri. – Podpisaliście Przymierze, tak jak my wszyscy. Jesteście zobowiązani do udzielenia pomocy Mab. Jak my wszyscy.

Szczęka LaChaide'a lekko się wydłużyła, co sprawiło, że jego głos zaczął przypominać gulgot.

– Twoi ludzie krwawią po starciu ze zwykłym zabójcą z Białego Dworu – syknął. – Sądysz, że jesteś w stanie wyzwać tytana?

– Nie sam – odparł Etri. Zwrócił się w stronę Marcone'a i pokiwał głową. – Ciemne elfy dotrzymują umów. Staniemy w obronie tego miasta.

Marcone odpowiedział skinieniem głowy.

– Głupcy – rzucił LaChaise. – To beznadziejna sprawa. Wróg mógł się swobodnie przygotować. My mamy kilka godzin, by zebrać swoje siły, zakładając, że atak jeszcze się nie rozpoczął. Uważacie, że Corb zamierza walczyć uczciwie?

– Oczywiście, że nie – odrzekł Marcone. – Co sugeruje, że nie jest niezwyciężony, w przeciwnym razie po prostu by zaatakował, bez tego całego... efekciarstwa. To próba zniszczenia Porozumienia bez jednego wystrzału. Chce nas podzielić, a potem łatwo usunąć, jednego po drugim.

– A tytanka? – spytał LaChaise. – Widzieliście, co miała na sobie?

– Tytaniczny brąz – zauważył Etri. – Stop, jakiego nie potrafią wytworzyć nawet moi ludzie. Tylko Sturęcy znają jego tajemnicę. – Popatrzył na Marcone'a i wyjaśnił: – Siła fizyczna jej nie powstrzyma. Jedynie największe potęgi mogą liczyć na coś więcej niż jej podrażnienie.

– To problem, który można przezwyciężyć – odrzekł Marcone i popatrzył na Cristosa. – Być może nasi sprytni przyjaciele z Białej Rady znają jakieś rozwiązanie.

Cristos popatrzył na Ebenezara. Następnie obaj wymienili spojrzenia z Marthą Liberty i Słuchającym Wiatru, a Rada Starszych zaczęła się naradzać. Słuchający Wiatru po chwili uniósł głowę i skinął głową do Marcone'a.

– Być może. Tak czy inaczej, staniemy przy waszym boku i wezwiemy oddział Strażników w celu obrony miasta.

– Może im uda się coś zdziałać – zakpił LaChaise. Rozejrzał się po sali. – Co to miasto i ten śmiertelnik dla was znaczą? Moim zdaniem lepiej będzie pozwolić, by Fomory wyładowały swoją siłę na śmiertelnych.

– Idiota – warknął Ferrovax, a z jego nozdrzy uniósł się obłok dymu o wulkanicznej woni. – Znasz śmiertelników równie dobrze jak ja. Jeśli ich zbudzisz i wystraszysz, wpadną w gniew, a wtedy zaatakują każde nadprzyrodzone zagrożenie, jakie znajdą. Chyba nie muszę ci przypominać, LaChaise, że nie kryjesz się bezpiecznie w otchłaniach oceanu, których niemal nie zbadali.

– Wurm ma rację – rzekł Vadderung. Wymienili skinienia głowy z Ferrovaxem. – Musimy powstrzymać Ethniu tu i teraz. Jeśli pozwolimy jej zająć miasto tych rozmiarów, nie zdołamy zapanować nad gniewem śmiertelników. Są zaślepieni i głupi, ale niezwykle liczni oraz pełni odwagi, która bierze się z ignorancji. Nikt z nas nie będzie w stanie swobodnie działać, a Corb i Ethniu po prostu zasiądą w swoim morskim pałacu i będą się śmiać, patrząc, jak staramy się przetrwać.

– Nie rozumiem, dlaczego śmierć w beznadziejnej bitwie ma być lepszym rozwiązaniem – odparł LaChaise kwaśnym tonem. – Jeśli Ethniu jest w stanie zrobić coś takiego z Mab, to co może przeciwko niej zdziałać ktokolwiek z nas? Jakiej broni możemy użyć?

Marcone popatrzył na LaChaise'a, jakby miał do czynienia z prostakiem.

– Dzielności, drogi panie – odrzekł złodziejski baron. – Umiejętności. Oraz siły woli. – Zwrócił się do Vadderunga. – Chciałbym wynająć na jedną noc wszystkich dostępnych Einherjaren.

– Mogę tutaj sprowadzić pięciuset w ciągu kilku godzin – odpowiedział Vadderung.

Marcone pokiwał głową.

– Etri?

Król ciemnych elfów złączył palce.

– Moi ludzie są rzemieślnikami, nie wojownikami. Będziemy walczyć, ale bardziej się przysłużymy, organizując obronę i

dostarczając niezbędny sprzęt. Nasze zbrojownie są dla was otwarte, baronie.

Marcone pokiwał głową i popatrzył na Ferrovaxa.

– A pan?

– Mój udział w działaniach obronnych musi być subtelny – odrzekł smok. – W przeciwnym razie mogę zniszczyć miasto, które chcę ocalić. – Pokiwał głową z namysłem. – Za zgodą Etriego i dzięki jego wsparciu zamknę przed nimi podziemny świat, by nie mogli przemieszczać się pod powierzchnią ziemi. Jednooki?

Vadderung powoli pokiwał głową, najwyraźniej analizując plan Ferrovaxa.

– Zamknę przed nimi wszystkie Ścieżki w obrębie miasta. Zważywszy na to, kim są, pozostawi im to tylko jedną drogę dostępu.

– Wodę? – zgadł Marcone.

– Tak jest – odrzekł Vadderung. – Pod wodą ich moc jest silniejsza. Będą mogli przebić się przez nasze siły obronne pod jeziorem.

– Wtedy będziemy mogli użyć naszych oddziałów, by powstrzymać ich atak – stwierdził Marcone. – Sprowadzę tutaj wszystkie siły mojej organizacji.

Ktoś grzecznie zakaszłał. A raczej brzmiałoby to grzecznie, gdyby zrobił to człowiek. Zważywszy, że kaszel dobył się z piersi Rzeki w Ramionach, bardziej przypominał wystrzał z niewielkiego działa. Sasquatch wyrównał muszkę, wystąpił naprzód i poprawił druczane okulary na szerokim nosie.

– Moi ludzie nie podpisali Porozumienia – zagrzmiał. – Jeszcze nie. Ale jeśli dobrze zrozumiałem, to, co się tutaj dzieje, może sprowadzić na nich niebezpieczeństwo. Stanę u waszego boku.

– Ha – odezwał się Słuchający Wiatru, ukazując zużyte zęby w szerokim uśmiechu. – Miło będzie znów z tobą współpracować, Rzeko.

Rzeka w Ramionach popatrzył na Słuchającego Wiatru i mrugnął. Byłem pod wrażeniem. Rzeka nie zwykł działać pochopnie, a ja nie potrafiłem sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek walczyłem z czymkolwiek bardziej niebezpiecznym niż zdeterminowany przedstawiciel Leśnego Ludu.

– A co z Białym Dworem? – spytał Ebenezar. – Gdzie jest pani Raith?

Rozległy się skonsternowane szepty, a potem wszyscy popatrzyli na stanowisko Białego Dworu, gdzie pozostał tylko Riley.

– Pani Raith musiała się zająć sprawami wagi państwowej – odezwał się spokojnym głosem. – Będę potrzebował jej zgody, nim zacznę działać, ale już wysłałem rozkazy, by jej lokalne siły zbrojne były w stanie gotowości bojowej. Stu żołnierzy z bronią palną oraz pozostałe osoby obecnie zamieszkujące w posiadłości.

– Komunikacja, transport – odrzekł Marcone. – Jeśli heks rzucony przez Ethniu przypomina inne, które widziałem, i równie skutecznie zakłóca działanie technologii, to będziemy mieli problem z dotarciem do wszystkich i sprowadzeniem ich w odpowiednie miejsce.

Ktoś odchrząknął w głębi sali, gdzie Letnia Panna siedziała w milczeniu ze swoimi ochroniarzami oraz Rycerzem Lata. Jej włosy przypominały obłok jedwabistych białych warkoczy kłębiących się ponad suknią, która była zielona, zanim wypilem miksturę maskującą. Prawdę mówiąc, Sarissa... niepokojąco przypominała Molly. A raczej to Molly ją przypominała.

Wstała z bardzo zakłopotaną miną.

– Mogę pomóc z komunikacją. Mały Ludek dobrze się nadaje do takich zadań. Proponuję urządzić centrum dowodzenia na dachu zamku, by zapewnić dobry dostęp.

Rozległ się szelest i Molly wysunęła się z otworu za wysokim krzesłem.

– Od dłuższego czasu zajmuję się organizacją transportu dla oddziałów Zimy. Mogę sprowadzić więcej żołnierzy, jeśli będę wiedziała, gdzie są potrzebni.

– Doskonale – odrzekł Marcone. – Myślę że zaczniemy od komunikacji.

– Oraz od zgromadzenia w jednym miejscu naszych sił wojskowych – odezwał się chrapliwy głos.

Mab wyszła z otworu w ścianie. Była... uszkodzona. Dosłownie. Pół jej ciała zostało zmiażdżone i okaleczone, jakby przytrafił jej się poważny wypadek. Przemieszczała się urywanymi, zbyt szybkimi

ruchami. Znów była królową w fiolecie i bieli, chociaż pokryła ją warstwa pyłu, a skórę upstrzyło kilkadziesiąt dziur, jakby była zbudowana z jakiegoś twardego materiału, na który spadł grad pocisków. Rozległ się paskudny chrzęst i jej złamane ramię poruszyło się nienaturalnie w panewce stawu, po czym wróciło na właściwe miejsce.

Powoli rozejrzała się po sali. LaChaise unikał jej wzroku i wyglądał, jakby chciał się zapaść pod podłogę.

– Królowo Mab – odezwał się Marccone. – Dobrze byłoby wiedzieć, jakie siły Zimowy Dwór zamierza przeznaczyć w celu obrony miasta.

Mab przez chwilę w milczeniu patrzyła na Marccone'a.

– Mój wysłannik poinformował mnie, że od godziny wszystkie siły Zimy są pilnie potrzebne w innym miejscu – odrzekła. – Bramy są intensywnie atakowane.

Mój żołądek wywinął kozła. Zewnętrzne Bramy to... ostateczna granica rzeczywistości, wyznaczona na najdalszych rubieżach Nigdynigdy. Za nimi panuje chaos żywiołów, Zewnętrzne, pełne istot zwanych Intruzami, które od zawsze pragną wdrzeć się do środka i pożreć całą rzeczywistość, nie tylko śmiertelną. Jeśli ktoś właśnie zaatakował Zewnętrzne Bramy, to Ethniu nieprzypadkowo wybrała tę chwilę, by zacząć działać.

A zatem Ostatnia Tytankka była w zмовie z Intruzami.

To oznaczało, że kilka potężnych istot zgodnie uznało, iż sprzymierzone nacje muszą przestać istnieć, a spiskowcy wcale nie kryli się ze swoimi zamiarami.

Nie wszyscy w sali zrozumieli, co się dzieje, ale wyraźnie widziałem, kto dysponuje wiedzą pozwalającą odszyfrować słowa Mab. Jednooki i Ferrovax, Rada Starszych, Rzeka w Ramionach, Etri i kilka innych osób nagle pobledli. Zrozumieli podobnie jak ja, co się stanie, jeśli ta bitwa zostanie przegrana.

Mab popatrzyła na drugą stronę sali na Fixa, Rycerza Lata, żylastego człowieczka z grzywą białych włosów, o gruzłowatych dłoniach mechanika i surowych oczach, które były zielone, gdy nie patrzyłem na świat w czerni i bieli.

– Panie Rycerzu, sądzę, że Królowa Tytania powinna zostać natychmiast powiadomiona o tych wydarzeniach.

– Dlaczego sama pani tego nie zrobi? – spytał Fix bardzo grzecznym i łagodnym tonem. – Wasza Królewska Wysokość.

– Ona nie... odbiera ode mnie wiadomości – odrzekła Mab. – Zrobi, co uzna za stosowne, ale powinna wiedzieć. Ma do tego prawo.

Fix zmarszczył czoło, ale Sarissa uniosła wyprostowany palec.

– Ona ma rację. Ruszaj.

Rycerz Lata pokiwał głową, uklonił się i natychmiast się wycofał. Byłem pod wrażeniem. Za wszelką cenę chciał ochronić poprzednią Letnią Pannę przed niebezpieczeństwem. Jego relacja z Sarissą najwyraźniej miała zupełnie inną dynamikę.

– Królowo Mab – odezwał się Ebenezar. Staruszek przemawiał spokojnie, ale z szacunkiem. Mab źle reagowała na agresję, a jeszcze gorzej na słabość. – Jeśli mogę spytać... Gdzie jest Rycerz Zimy?

– Ostatnio widziano go, gdy zadawał się z panią Raith – odpowiedziała Mab lekceważącym tonem. Zerknęła w moją stronę, a jej oczy nagle stały się jaskrawozielone i lodowate. – Bez obaw, weźmie udział w obronie miasta, gdy tylko skończy zajmować się swoimi sprawami.

Szczęka Ebenezara stężała.

– Z całym szacunkiem, ale muszę się z nim skonsultować. Im szybciej, tym lepiej.

– Wyślę go do ciebie – odrzekła Mab, zwracając chłodne spojrzenie na staruszkę.

Ebenezar popatrzył jej w oczy, a potem sztywno skinął głową.

Świetnie. Teraz musiałem się wytłumaczyć także z tego.

– A więc dobrze – odezwał się Marccone. – Panie i panowie, jeśli każde z was pośle ze mną kogoś, kto jest władny podejmować decyzje, czym prędzej założymy centrum dowodzenia w celu obrony miasta...

W sali zawrzało, ludzie podnieśli głosy i zaczęli się przemieszczać, a ja posłuchałem wskazówki Mab. Także musiałem się czymś zająć. Wszystko wywróciło się do góry nogami, ale

niezależnie od wyniku bitwy Etri, jeśli wciąż będzie wśród żywych, spróbuje dopaść mojego brata. W tej chwili jedynym, co powstrzymywało go przed wytropieniem i zabiciem Thomasa, był atak Ethniu oraz fakt, że nikt jeszcze nie uświadomił sobie, że Thomas uciekł. Sprawa stała się jeszcze bardziej pilna.

Istniało tylko jedno miejsce, w które mogłem zabrać swojego brata, a czas naglił. Instrukcje Mab były jednoznaczne, nawet dla mnie – załatw to i wracaj.

Ruszyłem w stronę drzwi poprzez morze zmartwionych monochromatycznych twarzy i puściłem się biegiem w noc.

Bycie Rycerzem Zimy przeważnie jest do dupy, ale ma kilka zalet, które bywają cholernie użyteczne.

Po pierwsze, jestem silny. Nie aż tak jak Spider-Man, ale tak, jak może być ktoś mojej postury, a nie jestem ułomkiem. Ten układ wymagał, bym prawie umarł, a kiedy wróciłem do świata żyjących, moje ciało niemal całkowicie zmizerniało. Częścią powrotu do zdrowia były ćwiczenia fizyczne – mnóstwo ćwiczeń. A skoro intensywny trening pozwalał bezpiecznie rozładowywać pierwotną presję, jaką wywierała moc Zimy, postanowiłem z niego nie rezygnować.

Nie zmieniło mnie to w superbohatera, ale wolelibyście, żebym nie dzielił was pięścią w nos.

Po drugie, miewam problemy z zauważaniem bólu i niewygody. Przeważnie skutkuje to na przykład częstym zacinianiem się przy goleniu. Czasami, kiedy wstaję po długim czytaniu na siedząco, nie zauważam, że zdrętwiała mi noga, i się przewracam. Muszę bardzo się skupić, żeby zauważyć ból. Zapewne pomogło mi to nieco rozwinąć samoświadomość, ale to nic przyjemnego.

Z drugiej strony, kiedy robisz coś, w czym ból bardzo przeszkadza, na przykład biegniesz, taka zdolność może się okazać wyjątkowo przydatna.

Przeciętny młody człowiek na krótkim dystansie jest w stanie rozpędzić się do prędkości dwudziestu pięciu do trzydziestu kilometrów na godzinę. Najszybsi sprinterzy osiągają czterdzieści pięć kilometrów na godzinę. Nie potrafię biegać tak szybko. Ale mogę biec wyraźnie szybciej niż przeciętny człowiek, może trzydzieści pięć albo czterdzieści kilometrów na godzinę, i potrafię utrzymać to tempo tak długo, jak to konieczne.

Dlatego, kiedy wypadłem na ulicę, naprawdę gnałem jak wiatr. Wiedziałem, że nie potrzebuję dużo czasu, by dotrzeć na nabrzeże. Prawdę mówiąc, najbardziej się obawiałem, że złamię kostkę i tego nie zauważę, dopóki nie rozbiję sobie stopy na miazgę.

Ale ulice Chicago się zmieniły.

Samochody znieruchomiały w swoich rzędach. Zgasły wszystkie latarnie, światła w budynkach, neony i światła uliczne. Ludzie wysiedli z aut i stali w niewielkich grupkach, nerwowo rozmawiając. Wszyscy trzymali w dłoniach telefony. Żadne z urządzeń nie działało. Jedynymi źródłami światła ludzkiego pochodzenia były porozrzucane tu i ówdzie race. Gdyby nie jasno świecący księżyc, nie mógłbym się tak szybko przemieszczać.

Panowała niesamowita cisza. Chicago było zatłoczonym miastem. O każdej porze dnia i nocy słychać tu było rozmaite odgłosy współczesnego świata: zgiełk radia, basowe nuty z wypasionych samochodowych głośników, warkot silników, klaksony, syreny, odgłosy sprzętu budowlanego, ogłoszenia, próby awaryjnych systemów nadawczych, co tylko zechcecie.

Wszystkie one zniknęły.

Słychać było jedynie zaniepokojone głosy i tupot biegnących stóp.

Żadnych krzyków. Żadnego dymu.

Na razie.

Ale to tylko kwestia czasu. Mój Boże, to tylko kwestia czasu. Jeśli Ethniu i Fomory zaatakują miasto podczas zaciemnienia, wybuchnie chaos, który pochłonie dziesiątki tysięcy ofiar, niezależnie od tego, czy ktoś rzeczywiście zacznie siec mieczem albo strzelać. Nagłe zaciemnienie z pewnością doprowadziło do śmierci pacjentów w szpitalach, przyczyniło się do śmiertelnych wypadków drogowych, może nawet lotniczych. Nie mogłem tego wiedzieć. Nie widziałem autostrad. Niewykluczone, że kilka przecznic dalej spadł samolot, a ja tego nie zauważyłem. Jeśli nie wybuchł pożar, nie byłem w stanie tego stwierdzić.

Sprzymierzone nacje szykowały się do otwartej wojny. Psiakość, zaangażował się nawet Ferrovax.

Biegłem w stronę nabrzeża, a po drodze uświadomiłem sobie coś naprawdę przerażającego.

Nie miałem pojęcia, co się dalej stanie.

To przekraczało moje doświadczenie i wiedzę o świecie. Nadprzyrodzone nacje nie zawsze żyją ze sobą w zgodzie, a kiedy walczą, czasami cierpią przypadkowe osoby, ale zazwyczaj staramy

się załatwiać takie sprawy we własnym gronie. Stare ruiny, dżungle, podziemne jaskinie, w takich miejscach toczyły nasze boje.

Nie w miastach.

Nie na ulicach cholernego Chicago.

Na Boga, ona kopnęła Mab tak mocno, że przebiła nią kilka ścian. Mab. Kilka ścian. Ethniu rozprawiła się z nią, jakby Mab była nikim.

Istota o takiej mocy nie dba o los marnych siedmiu czy ośmiu miliardów śmiertelników. Niewykluczone, że zechce to rozegrać w starym stylu, co może się skończyć katastrofą na miarę Sodomy i Gomory.

Zanim skończy się noc, miasto będzie musiało walczyć o życie. Mój dziadek, moi przyjaciele oraz sojusznicy z Rady znajdą się w samym centrum wydarzeń. Mój Boże, muszę zabrać stąd Thomasa, nim się zacznie. Muszę ostrzec ludzi. Co prawda nadprzyrodzona społeczność błyskawicznie przekaże wieści i wszyscy będą się mieli na baczności, ale pozostaje reszta mieszkańców miasta. Ponad dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludności Chicago nie będzie miało pojęcia, co się dzieje, kiedy rozpocznie się atak.

Zielonego pojęcia.

Nawet łagodna inicjacja w sprawy nadprzyrodzonego świata jest trudna, a co dopiero, gdy ten świat rzuca ci się do gardła.

Okolo ośmiu milionów ludzi wpadnie w panikę. Ogarnie ich groza. Zareagują agresją.

A moja córka będzie w samym środku.

Na samą myśl o tym moim stopom wyrosły skrzydła.

Tylko dwie rzeczy powstrzymały mnie przed natychmiastowym udaniem się do niej. Po pierwsze, miejsce, w którym przebywała. Była gościem w domu Michaela Carpentera i znajdowała się pod jego ochroną. A to oznaczało, że pilnował jej emerytowany bohater z oddziałem aniołów stróżów. Niezależnie od tego, jaki z siebie twardeł, nawet według moich standardów – lepiej nie zadzieraj z aniołem. Te istoty są emanacją potęgi wszechświata i załatwiają sprawy w starotestamentowym stylu.

Walka z którąś z nich byłaby jak uliczna bójka z samą ulicą – trudno to sobie wyobrazić i z pewnością wyglądałoby idiotycznie, ale,

tak czy inaczej, nie wyszlibyście z tego cało. Maggie nie mogłaby się znajdować w bezpieczniejszym miejscu.

Drugą przyczyną był mój brat. Próbowałem zachować spokój, gdy wcielaliśmy w życie plan ratunkowy, ale panicznie się o niego bałem. Był w kiepskim stanie. Choć nie mogłem go ocalić, to przynajmniej mogłem utrzymać go przy życiu na wyspie. Taki był zamysł. Tam miałem znacznie więcej do powiedzenia. Mogłem osłonić Thomasa przed zaklęciami tropiącymi, zabójczymi urokami czy wrogimi zrzędzeniami, a także nie dopuszczać do niego ciemnych elfów. Tam miał szansę.

Przy odrobinie szczęścia mogłem uratować brata i wrócić do miasta, zanim Ethniu i Corb zaatakują. Nie byłem zachwycony tą myślą, ale zbliżający się atak stanowił doskonałe odwrócenie uwagi. Musieliśmy tylko wywieźć Thomasa na wyspę, zanim ktoś nas złapie.

Ale jeszcze go tam nie było.

Pokonałem ostatni zakręt, mocno uderzając stopami o beton, przebiegłem przez ulicę i wpadłem na nabrzeże w zatoce Bumham, gdzie cumował Chrząszcz Wodny. Przemknąłem przez bramki, kierując się w ciemnościach białą farbą na schodach i deskach kładki. Nie było tutaj nikogo innego. Nikt nie próbował uciec z miasta.

Na razie.

Moje kroki zabębniły nad otwartą wodą, głośno i wyraźnie, ale nie starałem się zachowywać cicho. Liczyła się szybkość.

Pokonałem ostatni kawałek nabrzeża i dobiegłem do łodzi. Zauważyłem zielone światło wydobywające się spod pokładu i z kabiny. Chrząszcz Wodny był podstarzałym niewielkim trawlerem rybackim, praktycznie identycznym jak Orka w Szczękach. Kiedy zwolniłem, ciężko dysząc, moje kroki stały się jeszcze głośniejsze, a na pokładzie pojawiła się szczupła sylwetka Freydis z zielonym chemicznym światłem awaryjnym w dłoni. Po chwili dołączyła do niej Murphy, która, kuśtykając, wyszła z kajuty z pistoletem maszynowym P90 na piersi i drugą lampą jarzeniową w ręku.

– Jezus Maria, Harry – westchnęła. – Ten rozbłysk światła. To był impuls elektromagnetyczny?

– Albo heks – odrzekłem. – Albo jedno i drugie. Gdzie Lara?

– Zabrała Thomasa pod pokład – wyjaśniła Murphy napiętym głosem. – Jest w nie najlepszym stanie.

Pokiwałem głową i postawiłem stopę na trapie.

– Dobrze, a więc...

Nagle za moimi plecami rozległo się głębokie, świergoczące, pulsujące brzęczenie, jakiego jeszcze nigdy nie słyszałem.

Mój tata, iluzjonista. Zdjąłem z palca ciemny sygnet z opalem, który dostałem od Molly, i ukryłem go w dłoni.

Potem się odwróciłem.

Na wysokości około sześciu metrów, stojąc stabilnie na kamieniu wielkości buicka, unosił się w powietrzu Czarny Kostur, Ebenezar McCoy. Jedną rękę wyciągnął w bok dla zachowania równowagi, wykrzywiając palce w mistycznym geście, który był czymś w rodzaju kinetycznego skrótów do zaklęcia utrzymującego głaz w powietrzu.

Drugą ręką ścisnął laskę, a pokrywające ją runy, podobne do moich, zalśniły posępnie czerwono-pomarańczową energią. Jego twarz wykrzywił grymas lodowatej furii. Wyładowania elektryczne tańczyły po powierzchni kamienia.

– Ty głupcze – powiedział. – Ty cholerny głupcze.

Ponownie postawiłem stopy na nabrzeżu. Potem przyklęknąłem i zawiązałem but.

– Chłopcze – rzekł. – Oni cię wykorzystują.

Ukryłem sygnet za swoją piętą. Następnie cicho wyszeptałem pojedyncze słowo.

Przez chwilę kręciło mi się w głowie, a potem wstałem, zwracając się w stronę dziadka. Przywołałem siłę woli. Bransoletka z tarcz na moim lewym nadgarstku zaczęła sypać deszczem zielonych i złotych iskier. Runy na mojej lasce zapłonęły taką samą energią.

– Co zamierzasz zrobić? – spytałem.

– Jak najwięcej uratować z tego bałaganu, chłopcze – odburknął.

– Sidła już się zamykają. Zaraz otworzę ci oczy. – Zerknął na łódź za moimi plecami, a jedno z wyładowań na kamieniu trzasnęło jak miniaturowa błyskawica. – Wampir tam jest, prawda?

– Nie widziałeś go tam – odparłem. – Nie masz pojęcia.

– Nie igraj ze mną, chłopcze – warknął staruszek. – Nie jestem jednym z twoich nowych elf ich przyjaciół. No i nie jestem

prawnikiem.

– On pracuje dla mnie – rozległ się wyraźny, spokojny głos.

Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem Larę Raith, która wciąż miała na sobie suknię z przyjęcia i stała na pokładzie Chrzęszcza Wodnego z rękami na biodrach. Nie zauważyłem u niej żadnej broni. Zresztą nie miałem pojęcia, gdzie miałyby ją schować, skoro była tak ubrana. Mimo wszystko wyglądała, jakby była gotowa w każdej chwili otworzyć ogień, a ja wolałem uznać, że nie blefuje.

– Pomogłam Mab w rozwiązaniu problemu z wizami, które miało kilkoro jej ludzi – rzekła Lara. – Była mi winna przysługę. On nią jest.

Staruszek jeszcze przez chwilę wpatrywał się we mnie coraz bardziej surowym, rozgorączkowanym i wrogim wzrokiem. Widziałem gniew wzbierający w jego oczach. W końcu powoli przeniósł wzrok na Larę.

– Wampirzyco – odezwał się. – Przymierze jest jedynym powodem, dla którego jeszcze nie pozbawiłem cię rąk i nóg i nie wrzuciłem cię do jeziora. Twój brat jest oskarżony o morderstwo. Odpowie za to.

Głos, który wydobywał się z mojego dziadka, gdy mówił te słowa... Już wcześniej go słyszałem.

Byłem tym głosem.

Przypomniałem sobie ghoule zakopane po szyję w ziemi. Przypomniałem sobie dziką satysfakcję, jaką mi to sprawiło. Ponieważ postąpiły źle, a ja byłem tego świadkiem. Skrzywdziły dzieci. A sprawiedliwa odpłata za taką zbrodnię domagała się wystąpienia w roli prawej ręki Wszechmogącego i poczucia czystej, szlachetnej, usprawiedliwionej nienawiści.

Mój Boże, znałem to uczucie. Wiedziałem, jak jasno i czysto płonie ten ogień. Ale kiedy to się działo, nie czułem, że on spala także mnie.

Później musiałem żyć z bliznami.

Wampiry z Białego Dworu boleśnie skrzywdziły mojego dziadka, a on chciał zadbać o to, by nie mogły zrobić tego ponownie. A także odpłacić im za to, co uczyniły.

Gdyby Mab stała obok mnie i udzielała mi rad, pewnie powiedziałyby: „To jego słabość. Wykorzystaj ją przeciwko niemu“.

Miałaby rację.

Ebenezar skierował nienawistne spojrzenie na Larę, a ja uświadomiłem sobie ze smutkiem, że z tej sytuacji jest tylko jedno wyjście. Jego oczy były pełne nienawiści. Zaślepiła go. Nie był w stanie dostrzec niczego innego.

– Odbijcie od brzegu – powiedziałem spokojnym, stanowczym głosem, nie spuszczając wzroku z dziadka. – Działajmy zgodnie z planem. Dogonię was.

– Dresden? – spytała Lara. – Jesteś pewien?

– Psiakrew, Laro! – zachnąłem się.

Kiedy obejrzałem się przez ramię, zobaczyłem, że Murphy stanęła obok Lary, popatrzyła jej w oczy i stanowczo skinęła głową.

– Freydis – odezwała się Lara.

Walkiria sięgnęła po cumy.

– Jeśli to zrobisz, zatopię łódź! – zawołał Ebenezar.

– Nie – odpowiedziałem spokojnie, ale z naciskiem. Przełknąłem ślinę i stanąłem naprzeciwko staruszka. – Nie zrobisz tego.

Dziadek zmarszczył czoło, a powietrze nagle stało się kruche i poszarpane jak tłuczone szkło.

– Jeśli pozwolę ci to zrobić, zostaniesz wyrzucony z Rady – odezwał się do mnie zdesperowanym tonem. – Będziesz wyjęty spod prawa. Ciemne elfy nie będą dbały o to, kto kogo wynajął. Będą wiedzieli jedynie, że nie pozwoliłeś im wymierzyć sprawiedliwości. Zabiją cię za to. Ich światopogląd dopuszcza tylko takie rozwiązanie. Nie rozumiesz, chłopcze? Będziesz bezbronny, odsłonięty. Mab i ta istota cię izolują. Tak postępują dręczyciele.

Miałem złamane serce.

– Myślę, że mam dosyć opierania swoich decyzji na twoich błędach – odrzekłem cicho.

Wbił we mnie wzrok.

– Nie znasz mnie – powiedziałem cicho. – Nie tak naprawdę. Przez większość czasu byłeś nieobecny. No i nie znasz Thomasa.

Za moimi plecami rozległy się dwa głucho uderzenia. Cummy upadły na pokład łodzi.

– Wiem wystarczająco dużo, by odróżnić żabę od skorpiona – odpowiedział. – Spędziłeś z nimi nieco ponad dekadę i sądzisz, że

ich znasz. Ale ja miałem do czynienia z ich rodzajem od wieków. Zwróć się przeciwko tobie, żabo. Nawet jeśli będzie miało ich to zniszczyć. Nie mają wyboru. Taka jest ich natura.

Lara popatrzyła na staruszkę wściekłymi...

... udręczonymi...

... oczami.

Murphy weszła do sterówki i uruchomiła wiekowy silnik Chrząszcza Wodnego. Był to stary diesel, który działał bez świec. Uroki i impulsy elektromagnetyczne nie robiły na nim wrażenia. Zdołałaby go serwisować nawet jednooka, sparaliżowana wiewiórka, a przestałby działać dopiero, gdyby jego cząsteczki rozpadły się na atomy.

Ebenezar popatrzył surowo na łódź.

Wciągnąłem powietrze, przygotowując się do uwolnienia Mocy.

Mój Boże.

Czy naprawdę miało do tego dojść? Czy staruszek będzie ze mną walczył?

Nie chciał mnie wysłuchać. Na gwiazdy i kamienie, nie potrafiłem go przekonać, że wampir z Białego Dworu może być częściowo człowiekiem. Gdybym mu powiedział, że Thomas jest jego wnukiem... nie przyjąłby tego dobrze.

Staruszek miał wybuchowy temperament.

To nie była metafora.

Jeśli rzeczywiście do tego dojdzie... nie miałem pojęcia, co się stanie potem.

Silnik Chrząszcza Wodnego nie ryknął, tylko zaterkotał i kaszlnął, hałaśliwie budząc się do życia. Wobec niemal bezgłośnego szmeru wody obmywającej nabrzeże i statki oraz nienaturalnej ciszy, która opanowała miasto, był to ogłuszający dźwięk.

Ebenezar McCoy machnął laską po skosie, wykonując salut przed pojedynkiem.

Moje serce gwałtownie przyśpieszyło.

Odwzajemniłem salut własną laską.

A potem ja i staruszek ruszyliśmy na wojnę.

Mam dla was darmową radę: nigdy nie walczcie ze staruszkami.

Oni już tam byli, już to zrobili, napisali o tym książkę, nakręcili film i zagrali w nim główną rolę, zaprojektowali koszulkę i nie mają wątpliwości, jak się wygrywa walkę.

Poza tym nie walczcie z członkami rodziny.

Za dobrze was znają.

Ebenazar machnął ręką w stronę głazu pod swoimi stopami, jednocześnie wypowiadając pojedyncze słowo, a wtedy ostrze niewidzialnej mocy odrąbało ponadstukilogramowy fragment kamienia i posłało go w stronę mojej łodzi z prędkością stu metrów na sekundę.

Nawet nie zamierzałem próbować go zatrzymać. Ładunek energii i pęd były zbyt silne. Równie dobrze mógłbym zasłonić się średniowieczną tarczą przed ciosem młota bojowego. Owszem, można to zrobić, ale potem będziecie żałowali.

Nie. Sprytniejszym rozwiązaniem jest wymierzenie młotowi pojedynczego poprzecznego uderzenia, gdy dopiero rozpoczyna ruch. Kilka kilogramów nacisku w odpowiednim miejscu i odpowiednim czasie zrobi więcej dobrego niż heroiczny wydatek energii.

A poza tym, gdybym próbował pójść ze staruszką na wymianę ciosów, posłałby mnie do piachu. Nie dlatego, że był silniejszy, chociaż to prawda, ale dlatego, że był lepszy i działał wydajniej, czerpiąc dwukrotnie więcej z każdego zakłęcia, jednocześnie zużywając o połowę mniej energii. Pojedyńki pomiędzy starymi i młodymi magami są odwrotnością fizycznych konfrontacji w świecie. Tutaj to ja byłem słabszy, wolniejszy, miałem ograniczony zakres ruchów i musiałem polegać na sprycie, jeśli chciałem wygrać.

Dlatego, kiedy staruszek cisnął fragment kamienia w stronę Chrzęszcza Wodnego, uniosłem laskę i modyfikując proste zakłęcie uderzające tak, by trafiło w cel od boku, popchnąłem glaz, gdy ten dopiero zaczął się rozpędzać.

Kamień przechylił się do przodu, zachwiał i obrócił, po czym uderzył w jedną z łodzi stojących w dalszej części nabrzeża, przebił jej kadłub i część pokładu, ładownię, a następnie wypadł z drugiej strony, wyrzucając fontannę wody o wysokości trzydziestu metrów.

Staruszek zawrócił głaz po łuku, przyglądając mi się spod przymrużonych powiek.

– Dopiero teraz się uczysz, że nie zawsze trzeba walić na oślep – odezwał się z goryczą.

– Tak – odpowiedziałem, śledząc każdy jego ruch. Miejsce, z którego odciął fragment kamienia, było nieco ciemniejsze niż reszta szarej powierzchni. A zatem to żywy kamień, w którym wciąż była woda. – Nie mów nikomu. Zrujnujesz moją reputację nieokrzeszańca.

Przeniósł wzrok ze mnie na Chrząszcza Wodnego, który właśnie wypływał na otwarte wody jeziora.

– Ale wciąż nie używasz mózgu.

Poruszył nadgarstkiem i przeleciał nade mną, kierując się w stronę łodzi.

Gdy już na mnie nie patrzył, wyjąłem bojową różdżkę z wewnętrznej kieszeni marynarki, wycelowałem w wilgotną ścianę głazu i zawołałem: „Fuego!”.

Zielono-złoty ogień wystrzelił z różdżki i trafił w głaz, a ja podtrzymałem stały strumień energii.

Głaz pod stopami dziadka zaczął syczeć, a staruszek wyskoczył w powietrze na pół sekundy przed tym, jak woda w kamieniu zawrzała, rozbijając go na dziesiątki kawałków. Niektóre spadły do jeziora, inne przedziurawiły pokłady kolejnych łodzi zacumowanych przy nabrzeżu.

To powinno załatwić sprawę. Staruszek powinien wpaść do głębokiej wody i chwilowo stracić lwią część magicznej energii. Ale on wypłuł jakieś dwa słowa i posłał uderzenie mocy w stronę powierzchni jeziora, która odepchnęła go z równą siłą w stronę brzegu. Posłał kolejną, mniejszą porcję energii w stronę doku, dzięki czemu spowolnił swój upadek. Wylądował z taką siłą, że usłyszałem trzask pękających desek pod jego stopami, i przyklęknął na jedno kolano, by złapać równowagę. Trzymał w dłoniach laskę, jego łysina lśniła, a oczy jasno płonęły.

Na dzwony piekieł, był lepszy ode mnie.

Oto Ebenezar McCoy, Czarny Kostur, najgroźniejszy mag na planecie Ziemi.

Bez niepotrzebnej zwłoki uderzył laską o pomost i posłał w moją stronę falę energii, od której deski wygięły się, jakby płynął pod nimi ogromny rekin uderzający płetwą grzbietową o drewno.

Również uderzyłem laską o podłozę i przeskoczyłem nad nadciągającym uderzeniem, a kiedy opadłem na ziemię, przywołałem wiatr, skupiłem siłę woli i zawołałem: „Yenas arctis!”.

Na moje żądanie powietrze poruszyło się i wicher gwałtownie uderzył w powierzchnię jeziora z lodowatą wściekłością. Miniaturowy cyklon lodu i wody otoczył nabrzeże wokół staruszka, przesłaniając go obłokiem mgły, która pojawiła się na skutek nagłego spadku temperatury. Kiedy mgła go oślepiła, zrobiłem ostatnią rzecz, jakiej zazwyczaj powinien próbować mag podczas pojedynku.

Pobiegłem w stronę przeciwnika.

Przebiłem fale deszczu i zmrożonego powietrza, jakby ich nie było, zauważyłem staruszka dwa metry od siebie i spróbowałem dźgnąć go w brzuch laską.

Ale Ebenezar uczył się walki drągami w Wielkiej Brytanii, gdy wciąż była to powszechnie używana broń, a jego nauczyciele byli mistrzami tej sztuki. Sparował mój cios, po czym natarł na mnie i wykonał obszerny ruch, który z pewnością pozbawiłby mnie broni, gdybym nie zdążył się odsunąć.

Atakował raz za razem, błyskawicznie zadając ciosy. Gdybyśmy stali na twardym gruncie, na pewno by mnie znokautował, ale pod stopami mieliśmy szachownicę kałuż i lodu. Podczas gdy on wciąż się ślizgał i chwiał, ja jakimś cudem utrzymywałem idealną równowagę. Trudne warunki na tyle go spowolniły, że zdołałem się wycofać i wykorzystać przewagę zasięgu, by powstrzymać jego atak, a nawet zepchnąć go do defensywy za pomocą szybkiej kombinacji ciosów, której nauczyła mnie Murphy.

Zmienił chwyt na lasce, trzymając obie ręce rozpostarte na szerokość ramion, podniósł ją w obronnym geście i zaszarżował na mnie jak byk. Nie miał innego wyjścia. Zapewne mógłby bez końca się przede mną bronić, ale ja stabilniej trzymałem się na nogach,

więc nie byłby w stanie przejść do ataku. Gdyby spróbował przywołać energię w celu rzucenia zaklęcia, wyczułbym to i wykorzystałbym fakt, że jest rozproszony, by rozwalić mu głowę. Dlatego musiał otwarcie zaatakować.

Kiedy się poślizgnął, spróbowałem trafić go w głowę, ale byłem zbyt wolny.

A może po prostu nie chciałem tego zrobić.

Zablokował uderzenie uniesioną laską, a następnie natarł na mnie huraganem ciosów zadawanych pod wszelkimi możliwymi kątami.

Broniłem się. Z trudem. Gdybym choć raz się poślizgnął, słono bym za to zapłacił. Staruszek i tak dwukrotnie prawie mnie trafił, a tylko jego problemom z utrzymaniem równowagi zawdzięczam, że zdołałem się wybronić.

A może on też tego nie chciał.

Tak czy inaczej, zmuszał mnie do cofania się wzdłuż nabrzeża, chcąc opuścić oblodzony obszar. Wiedziałem, że kiedy znów poczuje pod stopami twardy grunt, będę w tarapatach. Sprawdziłem, jak sobie radzi Chrząszcz Wodny powoli wypływający z zatoki. Miał już sto metrów przewagi.

Zatem nadszedł właściwy moment.

Ebenazar poślizgnął się na ostatniej łacie lodu, po czym ruszył naprzód i spróbował nadepnąć na moją lewą stopę. Uniknąłem ataku, ale straciłem równowagę, a laska dziadka trafiła mnie w ramię z siłą, która mogłaby strzaskać beton.

Molly dobrze się spisała. Garnitur z pajęczego jedwabiu rozbłysnął jasnym światłem, w powietrzu rozniosła się woń spalenizny, a ja odebrałem potężny cios Ebenezara jak zderzenie z wyjątkowo uzdolnionym graczem Małej Ligi.

Krzyknąłem z bólu i zatoczyłem się do tyłu.

– Nie zmieniaj tego w coś, czym nie musi się stać, Hoss – ostrzegł dziadek surowym tonem.

Jego kolejny cios trafił mnie w prawą stopę, a ja zrozumiałem, że Molly najwidoczniej nie zaklęła moich butów. Staruszek z pewnością to wyczuł. Uderzenie nie było tak silne, jak mogłoby być, ale i tak połamało mi palce, przeszywając mnie gwałtownymi ukłuciami

gorąca, które szybko rozpląnęły się w fali Zimy. Zatoczyłem się i upadłem na jedno kolano.

Staruszek kopnął mnie w pierś, pozbawiając mnie tchu. Sapnąłem paskudnie, po czym uderzyłem łopatkami i czaszką o deski nabrzeża.

Ebenezar przycisnął koniec laski do mojego jabłka Adama.

– Poddaj się! – warknął.

– Nie – wychrypiałem.

Oczy staruszka otworzyły się szerzej.

– Psiakrew, chłopcze, za chwilę mnie zdenerwujesz.

– No dalej – rzuciłem. – Zrób to. Zabij mnie. Ponieważ będziesz musiał.

Zacisnął szczęki i powoli obnażył zęby.

– Ty... arogancki... głupi, egoistyczny histeryku!

– To nie ja przyleciałem tutaj na małej górze! – odparłem.

Jeszcze mocniej przycisnął laskę do mojej szyi.

– Glark – wykrztusiłem.

Jego twarz była czerwona. Zbyt czerwona. Żyły odznaczały się wyraźnie na głowie i szyi.

Ziemia zaczęła drzeć. Czułem to przez pomost.

Kiedy się odezwał, jego głos był tak spokojny i zrównoważony, że ogarnęła mnie groza. Mówił w ten sposób, ponieważ stosował techniki mentalnej dyscypliny, by powstrzymać gniew.

– Zadam ci jedno pytanie – rzekł. – Odpowiesz mi jasno i szczerze. Skiń głową, jeśli rozumiesz.

Pokiwałem głową. Glark.

– Jak oni cię dopadli, chłopcze? – spytał nienaturalnie spokojnym tonem. – Co na ciebie mają? To nie może być na tyle poważne, żebyśmy nie mogli razem się z tego wygrzebać. – Jego spojrzenie na chwilę złagodniało. – Porozmawiaj ze mną.

Zerknąłem na końcówkę jego laski.

– No tak – zreflektował się i złagodził nacisk.

Kilkakrotnie przełknąłem ślinę.

– Niczego na mnie nie mają – wychrypiałem.

W jego oczach znów zapłonęła furia, a potem...

Pojawiły się łzy.

Mój Boże.

– Więc dlaczego? – spytał ostro. Spokój stopniowo ulatniał się z jego głosu. – Dlaczego to robisz? Dlaczego niszczysz siebie dla tego czegoś?

Dokładnie wiedziałem, co zaraz zrobię.

Ale on zasługiwał na prawdę. Musiał ją poznać.

– Ponieważ mam tylko jednego brata – odparłem. – I nie zamierzam go stracić.

Staruszek znieruchomiał.

– Mama – odezwałem się tępym, bezbarwnym głosem. – Dała każdemu z nas po jednym ze swoich amuletów z zapisanym wspomnieniem, żebyśmy się rozpoznali.

Ebenezar kilkakrotnie otworzył i zamknął usta.

– Tak naprawdę jest moim przyrodnim bratem – dodałem. – Ale i tak łączą nas więzy krwi. On broni mnie, a ja jego. To wszystko.

Staruszek zamknął oczy.

– Chcesz powiedzieć, że... ta Świnia Raith... z moją córką.

Ziemia zatrzęsała się jeszcze mocniej. Powierzchnia wody zafalowała i w powietrze wzbily się krople.

– Masz drugiego wnuka – powiedziałem, starając się zachować spokój.

Myślę, że gdybym go uderzył, byłby mniej oszołomiony. Cofnął się o krok.

Zaczął kręcić głową.

Usiadłem.

– Posłuchaj, cokolwiek się wydarzyło, to już przeszłość. Thomas nie miał z tym nic wspólnego. Ale kilkakrotnie ocalił mi życie. Nie jest twoim wrogiem.

– Zamrugalem. – Jest rodziną.

Noc zamarła.

– Rodziną – odezwał się staruszek, a w jego głosie krył się pierwotny warkot.

– Jedna... jedna z tych rzeczy.

Obrócił się gwałtownie w stronę odpływającej łodzi, którą już ledwo było widać z brzegu, a jego laska zapłonęła niebieskim ogniem, gdy podniósł ją prawą ręką, która służy do miotania energii.

– Nie! – zawołałem i skoczyłem w jego stronę.

Okręcił się na pięcie ze szkarłatną twarzą, białymi obwódkami wokół oczu i wściekle wyszczerzonymi zębami, po czym machnął laską...

A wtedy coś, co wyglądało jak kometa wielkości ćwierćdolarówki, płonąca jasno jak gwiazda, wystrzeliła z końca laski niczym dziwaczna iskra, wbiła się w moje żebra i wyskoczyła przez kręgosłup.

Runąłem na plecy, a gwiazdy niespodziewanie jasno rozbłysły nade mną.

Próbowałem oddychać.

Bezskutecznie.

– O Boże – szepnął staruszek łamiącym się głosem.

Z trzaskiem upuścił laskę na pomost. Miałem wrażenie, że ten odgłos dobiegł z bardzo daleka.

– Harry? – odezwał się Ebenezar. – Harry?

Jego twarz pojawiła się na końcu wąskiego czarnego tunelu.

– Ojej, chłopcze. – Miał łyzy w oczach. – Ojej, chłopcze. Nie sądziłem, że znów mnie zaatakujesz. Nie sądziłem, że tak zareaguję.

Niewyraźnie czułem na twarzy dotyk jego dłoni.

– Właśnie dlatego tak ci zależało, żebyś uczył się kontroli – wymamrotałem. – Sam ledwie nad sobą panujesz.

– Jestem porywczym głupcem – odparł. – Próbuję ci pomóc.

– Wiedziałeś, że zaczynasz tracić kontrolę, a jednak się nie zatrzymałeś – powiedziałem słabym głosem. – Mogłeś mi pomóc. – Krew rytmicznie tryskała z dziury w mojej piersi. – A zamiast tego wszystko tak się kończy.

W jego oczach pojawił się wstyd.

Odwrócił wzrok.

Ból, który odczuwamy w życiu, stale rośnie. Kiedy jesteśmy dziećmi, dręczą nas drobne dolegliwości. Kiedy dorastamy, uczymy się funkcjonować pomimo coraz większych dawek cierpienia.

Starzy ludzie są w tym mistrzami.

A mój dziadek miał kilkaset lat.

Ale ten ból go skrzywdził.

Załamał.

Ebenazar skłonił głowę. Łzy skapnęły na nabrzeże.

Potem zamilkł.

Zmienił się wyraz jego twarzy.

Podniósł na mnie wzrok, szerzej otworzył oczy, a jego usta wykrzywiły wściekłość i niedowierzanie.

– Ty podstępny...

– Niezła przemowa, magu McCoy – odrzekłem.

Zdjąłem urok, który stworzyła dla mnie Lady Molly.

Poczułem, że moja świadomość wycofuje się czarnym tunelem do miejsca, w którym położyłem sygnet z opalem, a wizja wywołana przez urok – mój sobowtór – rozplywa się w kałużę ektoplazmy. Moja świadomość wniknęła do klejnotu w sygnecie, odnalazła nitkę mojego umysłu, który z nim zespoliłem, a następnie błyskawicznie wróciła do ciała.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że leżę na pokładzie Chrząższcza Wodnego, po przeciwnej stronie kabiny, gdzie ukryłem się po upuszczeniu sygnetu i aktywowaniu iluzji. Kiedy aktywowałem sygnet, osłona pozwoliła mi niepostrzeżenie przemknąć na pokład łodzi, schować się, a następnie wysłać swoją świadomość do iluzji ciała.

Popsułem swoje relacje z dziadkiem na odległość.

Ale przynajmniej kometa nie przedziurawiła mi płuca.

Kiedy powróciłem do ciała, ogarnęło mnie potężne zmęczenie, które było jak całkowicie nowa forma bólu. Miotąłem się spazmatycznie. Murphy zakryła mi usta maską z gumową pompką i wmuszała we mnie powietrze. Freydis próbowała mnie przytrzymać.

Walczyłem o kontrolę nad swoim ciałem i w końcu ją odzyskałem, po czym bezwładnie opadłem na pokład. Freydis leżała na mnie, ciężko dysząc. Murphy spokojnie podniosła moją powiekę i zaświeciła mi w oko.

– Harry? Słyszysz mnie?

– Tak – odpowiedziałem i zdjąłem maskę. – Uch.

– Na brodzie Odyna, seidermadr – wysapała Freydis i wstała ze mnie z trudem. – Było blisko.

– O czym ona mówi, do cholery? – spytała Murphy.

– Konstrukt – wyjaśniłem. – Do potrzeb iluzji. Molly stworzyła dla mnie znakomite ektoplazmiczne ciało, ukryła wzór w sygnecie i połączyła go ze mną. To wystarczyło, by umieścić na miejscu swojego sobowtóra, a samemu pozostać niewidzialnym. Potem... tak jakby opętałem to ciało. Wysłałem do niego swoją świadomość i wpompowałem w nie mnóstwo energii, na odległość, co było cholernie męczące. Uciałem sobie cudowną pogawędkę z McCoyem.

Murphy pomogła mi usiąść i wbiła wzrok w moją twarz.

– Co się stało? – spytała.

Popatrzyłem na nią i odpowiedziałem głosem pozbawionym życia.

– Wygrałem.

– Mój Boże, czy on...

– Jest wkurzony – odrzekłem z naciskiem.

Zmarszczyła czoło i dotknęła skroni dłonią.

– Zrobił ci krzywdę.

Zamknąłem oczy.

– Powinnaś zobaczyć jego.

– Obaj jesteście siebie warci – zakpiła walkiria.

– Freydis – odezwała się Murphy serdecznym tonem. – Odpieprz się.

Freydis popatrzyła na nas oboje i zmarszczyła czoło.

– Już się odpieprzam, proszę pani. – Potem usunęła się, dając nam tyle prywatności, na ile można liczyć na tak małej łodzi.

– Harry – odezwała się Murph łagodnie.

Nie otwierałem oczu. I tak były pełne łez.

– On... on nie jest...

– Takim bohaterem, za jakiego go miałaś?

Zacisnąłem usta.

– Tak – powiedziała, a potem pochyliła się i położyła sobie moją głowę na kolanach. – Jest człowiekiem. Cóż za szok.

– Powiedziałem mu o Thomasie.

– Wygląda na to, że dość gwałtownie zareagował – zauważyła.

– Zabił mnie – odrzekłem cicho. – To znaczy fałszywego mnie. Ale gdybym to ja był fałszywym mną, teraz byłbym martwy. Nie

chciał tego zrobić, ale tak się stało. Rzeczywiście nie jest tym, za kogo go uważałem. Stracił nad sobą panowanie.

To ostatnie zdanie uwięzło mi w gardle. Miałem wrażenie, że w mojej piersi tkwią noże. Oparłem się plecami o ścianę sterówki i zasłoniłem oczy lewą dłonią.

– Stracił nad sobą panowanie.

– Mój Boże, Harry – odezwała się Murphy zboliałym głosem.

– To boli – powiedziałem cicho. – Boże, jak boli.

Pogłaskała mnie po czole. Opuściłem dłoń i nachyliłem się w jej stronę. A potem się rozplakałem.

Minęło sporo czasu, nim się uspokoiłem.

– Słyszałam początek waszej rozmowy – odezwała się Murphy. – Obaj mylicie się co do siebie nawzajem. Ty naprawdę nie wiesz, kim on jest. Przynajmniej na razie. A on nie zna ciebie. Obaj bardzo się krzywdzicie, ponieważ jesteście rodziną. Ponieważ wasze słowa i czyny tak wiele dla was znaczą. – Pochyliła się i dotknęła policzkiem mojego czoła. – Posłuchaj mnie. Wiem, że teraz to bardzo boli. Ale boli dlatego, że wam na sobie zależy. To cierpienie w końcu przeminie. Ale wy obaj wciąż będziecie się o siebie troszczyć.

Miała rację. Bolało. Takiego bólu nie złagodzi magiczna moc. Prawdziwy ból dotyka serca i może cię zabić na milion sposobów.

Niech szlag trafi tego upartego starego głupca.

– Wiem, że jest ci ciężko, Harry. Pamiętam, kiedy sama po raz pierwszy zrozumiałam, że mój tata jest tylko człowiekiem. Kiedy się zastrzelił.

Jej słowa przez chwilę wisiły w powietrzu.

Potem się wyprostowała, objęła moją twarz dłońmi i popatrzyła na pociemniałe jezioro oczami pełnymi łez.

– Wciąż możesz z nim rozmawiać, Harry. Ja nie miałam takiej szansy. Chcę, żebyś mi obiecał, że porozmawiasz z nim, kiedy obaj ochłoniecie.

– Karrin... – zacząłem.

Lekko klepnęła mnie w policzek.

– Czy to brzmiało jak prośba? Zrób to. Jeśli moje rady cokolwiek dla ciebie znaczą, posłuchaj mnie. To bardzo ważne.

– A jeśli... – Przełknąłem ślinę. – Jeśli pewnego dnia ja się taki stanę? Jeśli właśnie taki jestem?

– Różnicie się – odparła Murphy.

– Naprawdę?

Przesunęła się i pocałowała mnie w czoło.

– Tak. Ty masz mnie.

Wtedy... coś małego i ciepłego zapłonęło w moim sercu. Nie powstrzymało bólu. Mój Boże, nic bardziej mylnego.

Ale powiedziało mi, że ten ból nie będzie trwał wiecznie.

– Dobrze – odrzekłem. – Porozmawiam z nim.

Ze znużeniem narysowałem krzyżyk na sercu.

Z uznaniem poklepała mnie po policzku.

– Bardzo dobrze.

Sięgnąłem po jej dłoń, zamknąłem oczy i przez kolejne kilka minut płakałem już mniej gorzkimi łzami.

Po jakimś czasie doszedłem do siebie. W sterówce miałem szafkę, w której trzymałem przekąski o długim terminie ważności. Głównie orzechy i suszoną wołowinę oraz wodę w butelkach. Nic szczególnie wyszukanego, ale projekcja świadomości to wyczerpująca robota i moje ciało tak rozpaczliwie domagało się kalorii, że nawet stare orzechy i wysuszona wołowina smakowały wybornie. Pochłonałem je łapczywie.

Podróż na wyspę zazwyczaj zajmowała mi niemal godzinę, ale dziś dałem całą naprzód, więc dotarliśmy do celu nieco szybciej.

Murphy weszła na dach kabiny, żeby dotrzymać mi towarzystwa. Przez dziesięć minut w milczeniu przyglądała się mojej twarzy.

– Boisz się – powiedziała w końcu.

Zerknąłem na nią. Wzruszyłem ramionami.

– Jest aż tak źle?

Przez chwilę się zastanawiałem, jednocześnie starając się nie myśleć o tym, jak bardzo się martwię.

– Dużo potrafię, wiesz? Mogę obracać budynki w popiół, jeśli chcę. Wysadzać w powietrze samochody. Przyzywać istoty z Nigdynigdy.

Pokiwała głową.

– Ale w tej chwili tuż pod moimi stopami umiera mój brat. Ludzie, którzy chcą jego śmierci, być może już tutaj zacierają, a my nawet nie możemy go zabrać na wyspę. A to, co się rozpętało w mieście...

– Nie potrafiłem powstrzymać drżenia. – Czuję się taki mały.

Murphy przez chwilę uważnie mi się przyglądała. Potem się skrzywiła i stłumiła śmiech.

– Ty... ty... – Pokręciła głową i lekko trąciła mnie ramieniem, nie przestając chichotać.

– No co? – spytałem.

– Witaj w klubie – odrzekła. – Maluchu.

– Nie żartuję – odparłem. – To poważna sprawa.

– W tej chwili posterunki policji w Chicago ściągają wszystkich dostępnych funkcjonariuszy – odpowiedziała. – Zrobią, co w ich

mocy, by zapanować nad chaosem wywołanym zaciemnieniem. Podobnie jak strażacy, jeśli cokolwiek im to da. – Pokręciła głową. – Oni też czują się mali. A nawet nie mają czarodziejskiej wyspy.

Przypomniałem sobie ślady na plaży.

– Być może wkrótce poczują się jeszcze mniejsi – odparłem. – Tak jak my wszyscy.

Karrin zmarszczyła czoło. Mocniej otuliła się płaszczem i oparła o mnie. Objąłem ją ramieniem.

– Jak poważna jest sytuacja? – spytała.

– Fomory sądzą, że zdołają zniszczyć miasto, nawet jeśli będziemy wiedzieli, że nadchodzą – odpowiedziałem. – Wydaje się, że nie blefują.

– Zniszczyć – powtórzyła Murphy.

– Jak za dawnych czasów. Jak Attyła albo Czyngis-cha.

– Jezu Chryste – westchnęła i przytuliła się do mnie. – Radiostacje padły. Podobnie jak internet w mieście. Jak mamy ich ostrzec?

– Szkoda, że zawczasu nie poleciliśmy ludziom mieć się na baczności – odrzekłem cierpkim tonem. – Paranauci przywykli do tego, że muszą jakoś przetrwać wojenki na górze. Zgromadzą się w swoich schronach, u Maca i w innych podobnych miejscach.

– A pozostali? – spytała Murphy.

– Hej, ludzie, mitologiczne potwory nadciągają, żeby was zabić. Proszę się ewakuować.

Zacisnęła usta z frustracji, ale przyznała mi rację.

– Więc co mamy zrobić?

Pokręciłem głową.

– Nie wiem.

– Co dalej będzie?

Wbiłem wzrok w ciemność przed nami, wypatrując położenia wyspy, jakby to była mrówka wędrująca po mojej ręce. Odpychałem od siebie emocje i rozważałem tę kwestię niczym zagadnienie matematyczne.

– Wszystko zmienia Ethniu – stwierdziłem. – Oraz broń, którą dysponuje. Oko Balora.

– No właśnie – odrzekła Murphy. – Co to takiego?

Odetchnąłem ciężko.

– W celtyckim tradycyjnym folklorze istnieje od cholery wariantów. Trudno powiedzieć. Balor był odpowiednikiem greckiego tytana na terytorium Celtów. Miał oko, które mogło sprowadzić zagładę na świat, zniszczyć i spalić wszystko, na co patrzyło. Ukrywał je za kilkoma opaskami i zasłonami, a te mógł stopniowo zdejmować, by uzyskać rozmaite destrukcyjne skutki, od sprowadzania na przedmioty zgnilizny, przez podpalanie, po rozbijanie ich na pył.

– To trochę jak stopniowe usuwanie osłon z radioaktywnego rdzenia – zauważyła Murphy.

– No... – Zamrugąłem. – Uch, nieprzyjemna myśl. Ale owszem. Nie wiem, jak dokładne są ludowe opowieści, i jeszcze nie rozmawiałem z nikim, kto znałby prawdę z pierwszej ręki, ale można założyć, że Oko jest bronią masowego rażenia. Zbliża się do nas niszczyciel miast.

– Jak oni to zrobią? – spytała Murphy.

– Wyłonią się z jeziora – wyjaśniłem. – A potem już zastosują staroświeckie metody.

– Czyli zabiją każdego, kogo zobaczą – dokończyła.

– Oraz użyją Oka do wysadzenia w powietrze wszystkich punktów oporu – odrzekłem, kiwając głową. – Zabiją albo uprowadzą każdego, kogo zdołają, podczas gdy władze śmiertelników będą się miotać w ciemności. Postarają się jak najskuteczniej wykorzystać Oko i sam nie mam pojęcia, jak wielkich zniszczeń mogą dokonać. Potem ulotnią się, zanim pojawi się Gwardia Narodowa.

– Ludzie – orzekła Murphy cicho. – Dziś w nocy. Nikt ich nie chroni.

– Nieprawda – odparłem, zmuszając stary silnik do większego wysiłku. – Wrócę, zanim oni się pojawią.

– Ty? – upewniła się Murphy, a ja usłyszałem uśmiech w jej głosie. – Przeciwno bogowi z kieszonkową bombą atomową i armią potworów.

– Nie tylko ja – odrzekłem. – Ale nawet gdybym miał być sam, to owszem. Jestem na to gotowy. To mój dom. Trzeba jakoś umrzeć.

Stawienie czoła potworowi, który pojawia się na twoim progu, to nie najgorszy sposób.

Przez chwilę milczała.

– Zgadzam się – powiedziała w końcu.

Nieco mocniej ją przytuliłem.

– No proszę, zaczynam uderzać w patetyczne tony. Jak się trzymasz?

Wzruszyła jednym ramieniem.

– Wszystko mnie boli – odrzekła zmęczonym głosem. – Ale mogę się trochę ruszać.

– Może powinnaś się gdzieś schować – zaproponowałem. – Paranauci udają się do Maca. Przyda im się ktoś, kto potrafi zachować zimną krew i ma bystry wzrok.

Parsknęła.

– Uważasz, że sama sobie nie poradzę?

– Przestań – odrzekłem cicho. – Dobrze wiesz, że byłem gotów zabrać cię ze sobą do piekła, całkiem dosłownie. Każdy wojownik czasem zostaje ranny. Każdy ma jakieś ograniczenia. Przyznanie się do tego to żaden wstyd.

Przez chwilę się nie odzywała.

– To także mój dom, Harry.

Zacisnąłem zęby.

– Poza tym, jeśli spróbujesz mnie uwięzić na tej przeklętej wyspie dla mojego bezpieczeństwa, knę się na Boga, że wpakuję ci kulkę w nogę – dodała, opierając się policzkiem o mój biceps.

Zesztywniałem i posłałem jej zawstydzone spojrzenie.

Uśmiechnęła się słabo w zielonym chemicznym świetle, a potem otworzyła szerzej oczy i odezwała się dramatycznym tonem, naśladując mój głos: – Wrócę na czas. – Parsknęła. – Daj sobie spokój. Jesteś, kim jesteś. A mnie przeważnie się to podoba. Ale traktujmy się nawzajem jak dorośli. Obiecuj.

Zrobiło mi się niedobrze.

Karrin była bystra, twarda i zaradna. Była także ranna. Oraz miała rację. A w nadciągających okolicznościach nie mogła liczyć na specjalne traktowanie.

Ale pozostawała sobą. Karrin Murphy nie mogła siedzieć bezczynnie, gdy Chicago płonęło. Prędzej wyrosłyby jej skrzydła i nauczyła się latać. Była gotowa walczyć o swój dom. Umrzeć za niego.

Jakaś cząstka mnie cicho zaskowyczała jak zwierzę.

Ludzie w końcu muszą pokazać swoją prawdziwą naturę. Jeśli próbujemy im to uniemożliwić, poniżamy ich. Traktujemy jak dzieci, które nie potrafią samodzielnie podejmować decyzji. Nie ma lepszego sposobu na zatrucie relacji z drugą osobą.

Nie chciałem jej stracić. Jeśli stanie do walki, być może ktoś mi ją odbierze. Ale jeśli spróbuję ją powstrzymać, stracę ją z całą pewnością.

Dlatego chociaż moje serce i ogromna część duszy skuliły się ze strachu, usta odpowiedziały: – Obiecuję.

Poczułem, że obejmuje mnie w pasie i ściska.

– Dziękuję.

– A ty obiecaj, że będziesz walczyła z głową – poprosiłem.

Stuknęła mnie czołem w rękę.

– Skąd będziesz wiedział, że tak było?

Stłumiłem szczątkowy śmiech. Jeszcze chwilę postaliśmy razem.

Mały tani plastikowy kompas kołysał się i podskakiwał razem z łódką, ale nie był mi potrzebny. Odkąd zapoznałem się z ezoteryczną naturą wyspy, dysponowałem swoim osobistym kompasem, lekkim mrowieniem w głowie, które zawsze wskazywało mi, gdzie mam szukać tego miejsca.

To jeden ze skutków bycia Strażnikiem Demonreach.

Poczułem, gdy Chrząszcz Wodny naruszył zewnętrzny krąg ochronnych zaklęć, mniej więcej milę od wyspy. Za sprawą kilku słów i wysiłku woli mogłem sprawić, by wyspa wzbudziła zdradzieckie prądy i lodowate wiry, które wciągną intruzów na ostre skały. Jezioro zaczęłoby kipieć jak morze podczas sztormu.

Widziałem, że Karrin także wyczuwa wpływ wyspy, subtelną obecność wywołującą niepokój u każdego, kto się zbliża. Powstrzymywała ona przypadkowych gości. Każdy, kto wpływał na te wody, czuł się nieswojo, dopóki nie zmienił kursu i nie ominął wyspy. Psiakrew, nawet samoloty nad nią nie latały; tak potężny był jej wpływ.

To nie był zaplanowany system obronny, a jedynie naturalny skutek obecności istot, które trzymano tutaj w niewoli – menażerii nadprzyrodzonych strachów, która zaczynała się od najbardziej plugawych stworów, z jakimi kiedykolwiek miałem do czynienia, a kończyła w otchłaniach koszmarów. Demonreach to Alcatraz nadprzyrodzonego świata, a ja trzymałem wszystkie klucze.

Mógłbym znaleźć to miejsce z opaską na oczach i po ciemku. Zresztą właśnie płynąłem do niego po ciemku, niemal nie używając steru. Potężny masyw wyspy wkrótce wyłonił się z mroku.

Byliśmy gotowi na nocne odwiedziny – pływające nabrzeże, które zbudowaliśmy z moim bratem, było oklejone luminescencyjną taśmą. Wyłączyłem silnik i powoli przybiłem do brzegu. Nawet gdy nie zagrażają ci wodni złoczyńcy, kierowanie łodzią to cholernie niebezpieczne zajęcie, więc musiałem być szczególnie ostrożny.

Zobaczyłem, że Freydis przechodzi na dziób, a jej skóra lśni w zielonym chemicznym świetle. Kilka razy rozmasowała ramiona, gdy

padł na nią cień wyspy, zupełnie jakby to miejsce przyprawiło ją o dreszcze. Karrin poruszyła się niespokojnie u mojego boku.

– Aż tak źle? – spytałem.

– Ty w ogóle tego nie czujesz, prawda? – spytała. – Uch, to jak... Znasz to uczucie, gdy śniesz i nagle uzmysławiasz sobie, że to koszmar? – Wskazała wyspę głową. – To coś takiego. Tylko w IMAKSIE.

– No tak – odrzekłem. – Tutaj goście z założenia nie są mile widziani.

– Martwię się o ciebie, kiedy tutaj jesteś. O to, co to miejsce z tobą robi.

– Niczego ze mną nie robi – zaprotestowałem. – Jestem Strażnikiem.

– Być może – odparła. – A może dzieje się z tobą coś, czego nie czujesz. Coś innego.

Niepokojąca myśl.

Ale już kiedyś przyszła mi do głowy.

– Po prostu będziesz musiała mi zaufać.

– Wiem, dlatego tutaj stoję.

Ostrożnie podpłynąłem do nabrzeża, a Freydis zeskoczyła z łodzi jak sama i zaczęła wiązać cumy.

– W kajucie wciąż da się mieszkać? – spytała Karrin. – Są tam zapasy?

– Wszystko, czego potrzebujemy. – Wyłączyłem silnik i wyszedłem ze sterówki. – Zajrzę do Thomasa.

Zapaliłem światło i zszedłem pod pokład, gdzie mieściła się niewielka kajuta mieszkalna, i znalazłem się wewnątrz renesansowego żywego obrazu.

Na łodzi znajdowały się dwie koję, niezbyt wyszukane, zazwyczaj okryte białą pościelą i grubymi czerwonymi kraciastymi kocami. Thomas i Lara odpoczywali na jednej z nich. Ona siedziała u wezgłowia, a on leżał na plecach, opierając się ramionami o jej tułów. Oboje byli nadzy, ale w tej scenie nie było niczego seksualnego. Jedna z jej dłoni przytrzymywała jego połamane ręce, druga obejmowała policzek. Lara pochyliła głowę i zgarbiła ramiona,

jakby była wyczerpana. Włosy opadały jej na twarz i czoło, tak że widziałem tylko jej profil.

Mój brat miał otwarte oczy i szkliste spojrzenie, w którym obok srebra pojawiły się także szare przebłyski.

Wyglądał jak biedny ranny rycerz, którego delikatnie bierze w ramiona anioł śmierci.

– Co, u diabła? – spytałem.

Lara podniosła na mnie wzrok, a w jej oczach rozbłysły srebrne refleksy, które poruszały się, gdy próbowałem skupić na nich uwagę. Niesamowite chemiczne światło tańczyło wokół nich, zmieniając odcienie nieziemskiej zieleni jak w kalejdoskopie...

Odwróciłem wzrok, zanim stało się coś złego.

– Laro, co robisz?

Odezwała się dopiero po chwili. Jej głos był puszysty i smakowity.

– Przekazuję mu energię, którą odebrałam wcześniej. To... spowalnia spustoszenia, jakie w jego ciele wywołuje Głód. Ale jest z nim bardzo źle. A ja jestem już prawie...

Oblizła usta. Kiedy to zobaczyłem, zapragnąłem zerwać z siebie koszulę i zacząć przechwalać się swoimi licznymi męskimi wyczynami.

–... Pusta. – W jej ustach to słowo zabrzmiało jak grzech. – Muszę się nakarmić, jeśli mam mu dać więcej.

– Nie ma takiej możliwości – odparłem i odchrząknąłem. – Zresztą jesteśmy na miejscu.

Podniosła na mnie ostre, bystre spojrzenie.

– Na pewno możesz go tutaj ochronić? Nawet przed jego własnym Głodem?

– Mamy tu wszystko, czego potrzebujemy – odrzekłem. – Podaj mi go.

Pokiwała głową.

– Bierz.

Przekazała mi Thomasa owiniętego w koc. Powietrze wokół niej było zimne. Cudownie zimne. Zapragnąłem zdjąć koszulę i nieco się ochłodzić. Moc Zimy cicho warknęła w moim umyśle, sugerując, że

rozmaite fatalne pomysły tak naprawdę są najciekawszymi możliwościami, jakie kiedykolwiek brałem pod uwagę.

– Psiakrew, Laro – burknąłem poirytowany. – Jesteśmy w pracy.

Zamrugła, kiedy podnosiłem Thomasa jak dziecko.

– To się dzieje mimowolnie. Naprawdę. Zawsze możemy rozmyślnie ulec Głodowi. Ale nie zawsze jesteśmy w stanie tego uniknąć.

– W każdym razie to irytujące – odparłem naburmuszonym głosem.

Uniosła dłoń do ust, żeby ukryć uśmiech.

– Ojej, jeszcze... nigdy tego nie słyszałam. Ani razu.

Przewróciłem oczami.

– Wierzę ci. – Wiedziałem, że nie będzie łatwo wnieść mojego brata po wąskich schodach na pokład, ale co tam. Warknąłem z rozdrażnieniem i wyszedłem z kajuty. Thomas był ledwie przytomny i wydawał się zbyt lekki.

Głupie ciemne elfy.

Głupie wampiry.

Głupi tytani.

Głupi Thomas. Dlaczego wpakował się w takie tarapaty?

Wyniosłem go na pokład, gdzie Freydis mnie podtrzymała. Rudowłosa walkiria zerknęła na mnie, a potem skinęła głową w stronę wyspy.

– Trochę pusto.

– Mamy tu wszystko, czego potrzebujemy – odrzekłem. – Nie schodź z nabrzeża. Nie jestem pewien, co by się z tobą stało.

Popatrzyła na mnie i zadrżała.

– Nie zrobię tego.

Minałem ją i poniosłem swojego brata, idąc po pomoście w stronę wyspy. Nikt mnie nie zatrzymywał. Wszyscy za bardzo martwili się wydarzeniami w Chicago. Nie zamierzałem narzekać.

Powiedziałem wszystkim, że Thomas będzie bezpieczny na wyspie. Ale jeszcze im nie powiedziałem, gdzie zamieszka.

Szkopuł w tym, że jeśli naprawdę chcemy kogoś ochronić, jedynym wyjściem jest zamknięcie go. Fortece są więzieniami.

I na odwrót.

Zszedłem na szorstki grunt wyspy, krocząc pewnie, gdyż moja znajomość tego miejsca nie pozwalała mi się poślizgnąć ani upaść. Znałem Demonreach, każde drzewo i kamień, równie dobrze jak własne ciało.

Zrobiłem zaledwie kilka kroków, gdy coś gwałtownie poruszyło się między drzewami. Zatrzymałem się z wyczekiwaniem, a jakaś istota wyłoniła się z ciemności. Była ogromna, wysoka jak tytan i znacznie bardziej barczysta. Groźna postać okryta powiewającą, ciemną peleryną z kapturem, która zakrywała ją przed ludzkim wzrokiem. Pod kapturem płonęły dwa zielone płomienie – nieludzko jasne oczy, które w tej chwili zwężyły się jakby pod wpływem troski.

Olbrzymia postać zatrzymała się przede mną i złożyła powolny, oficjalny ukłon, zginając się w pasie.

– STRAŻNIKU – odezwała się. Jej głos był szorstki jak łoskot kamieni i rozdieranej ziemi. Nie tylko go słyszałem, ale czułem w głowie i piersi. – POWRÓCIŁEŚ.

– Alfredzie – odrzekłem. – Są kłopoty w River City.

Genius loci wyspy przez chwilę wpatrywał się we mnie nieruchomo.

– WYSPA ZNAJDUJE SIĘ NA JEZIORZE, A NIE NA RZECE.

Nadprzyrodzona widownia zazwyczaj ma kłopoty z wyłapywaniem nawiązań kulturowych dotyczących wszystkiego, co wydarzyło się od czasów renesansu.

– To odniesienie do pewnej ludzkiej piosenki, Alfredzie. Nie przejmuj się.

– JAK ROZKAŻESZ, STRAŻNIKU. – Potężny kaptur przechylił się w jedną stronę, a naiwne spojrzenie spoczęło na nieruchomym ciele mojego brata. – TWÓJ KREWNY UMIERA.

– Wiem – odrzekłem. – Pomożemy mu.

– NIE JESTEM STWORZONY DO POMAGANIA – odparł Alfred.

To stwierdzenie było pozbawione emocji. Nie było w nim także miłosierdzia. Alfred był... duchem więzienia, zbudowanego w celu przetrzymywania magicznych zagrożeń zbyt niebezpiecznych, by mogły swobodnie hulać po świecie. W ciągu tysiącleci w lochach pod wyspą zamknięto ponad sześć tysięcy istot o straszliwej mocy. To był

legion koszmarów i każdy z nich przyprawiał mnie o drżenie i napełniał strachem, którego nie byłem w stanie do końca się pozbyć.

Alfred był istotą stworzoną do utrzymywania ich w izolacji. Trudno było nazwać go wyluzowanym.

– Jasne – odrzekłem. – Wprowadzimy go w stan hipostazy.

Oczy Alfreda rozbłysły entuzjazmem.

– MINĘŁO ZBYT WIELE CZASU, ODKĄD OSTATNIE PLUGASTWO ZOSTAŁO ODDANE POD MOJĄ NIEKOŃCZĄCĄ SIĘ OPIEKĘ – rzekł. – TA PEŁNA PASOŻYTÓW ZARAŻA KWALIFIKUJE SIĘ DO CELI O ZAOSTRZONYM RYGORZE.

– Chcę, żeby pozostał zamknięty – wyjaśniłem. – Chcę także, by jego Głód był bezsilny, dopóki nie wrócę, żeby go uwolnić.

– KTÓRY PROTOKÓŁ POKUTNY MAM ZASTOSOWAĆ, STRAŻNIKU?

Istniało kilka możliwości. Niektórych więźniów trzymano w ciemności.

Innych poddawano katuszom. Jeszcze innych tylko izolowano. Kolejni Strażnicy Demonreach od bardzo dawna manipulowali przy celach. Niektóre z protokołów opracowano, gdy ludzka cywilizacja składała się z kilku skupisk chatek i ognisk w ciemnościach. Nie były przyjemne.

Jednego z więźniów trzymano w czymś w rodzaju śpiączki, choć od czasu do czasu mógł się z niej budzić i przez krótką chwilę w ograniczonym stopniu komunikować z otoczeniem. Z tego, co mi było wiadomo, był to jedyny protokół, w którym dopuszczano sen pozwalający więźniowi pozostać przy zdrowych zmysłach.

To więzienie nie było przeznaczone dla istot tak delikatnych i niemal śmiertelnych jak mój brat.

Thomas cicho i nieprzyjemnie jęknął, jakby tylko całkowite wyczerpanie powstrzymywało go przed wrzeszczeniem z bólu.

– Kontemplację – odpowiedziałem cicho. – Nie może komunikować się z innymi więźniami, wobec których zastosowano odmienne protokoły. Daj mi kryształ.

Potężny duch ponownie się uklonił. Kiedy się wyprostował, na ziemi leżał odłamek kryształu o długości klucza nasadowego. Nieco przypominał kwarc, ale pulsował słabym zielonym światłem.

Położyłem Thomasa na ziemi. Stęknął, kiedy dotknął gruntu. Jego szare oczy znów przygasały. Głód najwidoczniej przypuścił kolejny atak na jego siły życiowe. Stopniowo pojawiały się u niego oznaki agonii, gdy energia otrzymana od Lary zaczynała się ulatniać.

– Cześć, stary – odezwałem się. – Słyszysz mnie?

Być może na chwilę skupił na mnie wzrok. Z jego ust wydobywały się tylko zbolące jęki.

– Posłuchaj – powiedziałem cicho. Wyjąłem scyzoryk, który przed wyjazdem schowałem w spodniach, i czubkiem ostrza przebiłem skórę między kciukiem a palcem wskazującym. Po chwili pojawiły się krople krwi, a ja przesunąłem po nich ostrzem scyzoryka, brudząc je na szkarłatny kolor, nieco zbyt blady jak na ludzką krew. – Mogę powstrzymać twojego demona przed wyrządzaniem ci krzywdy. Utrzymać cię przy życiu. Ale wejście będzie trudne.

Jedna z jego strzaskanych dłoni oparła się na moim ręku i delikatnie ją ścisnęła. Ledwo to poczułem, ale tak się stało. Usłyszał mnie.

– Częścią procesu wejścia do cel jest... – Zacerpnałem głęboko tchu. – Musisz poczuć ból, jaki wyrządziłeś innym. Wymyślono to po to, by nawet najbardziej obce z istot zrozumiały, dlaczego trafiają do więzienia. To niesprawiedliwe. Nie powinni tego doświadczać ludzie. Może cię to zranić. Ale jeśli tego nie zrobisz, umrzesz.

Mój brat zmusił się do otwarcia oczu i poszukał mnie wzrokiem.

J... J...

– Justine – dokończyłem za niego. – Wiem. Zajmuję się tym.

Zaszlochał. Tylko to mu pozostało.

Odsunąłem się od niego, pozostawiając go w blasku kryształu.

Alfred stanął nad Thomasem.

– MASZ KLATKĘ. MASZ KREW. NAKREŚL KRĄG I WYPOWIEDZ SŁOWA, STRAŻNIKU.

Mój instynkt mnie ostrzegł. Obejrzałem się przez ramię.

Freydis stała na skraju nabrzeża i mnie obserwowała. Nagle odwróciła się i pośpiesznie wróciła na łódkę, wskoczyła na pokład i zniknęła w ładowni.

Nie miałem czasu. Mój brat gasł w oczach pożerany przez własnego demona.

Wstałem i przywołałem siłę woli, jednocześnie rysując laską krąg wokół Thomasa. Kiedy skończyłem, nachyliłem się, dotknąłem wyłobienia w gruncie palcami i uniosłem krąg, uwalniając do niego małą porcję energii. Otoczył mojego brata niewidzialną ścianą, po czym zaczął zbierać i skupiać magiczną energię.

Następnie podniosłem nad głowę scyzoryk.

– Niech będzie spętany Thomas Raith – syknąłem. Poczułem, że opór wobec mojej woli rośnie, gdy ten świat bronił się przed otwarciem przejścia do innej rzeczywistości. – Niech będzie spętany mój ranny brat – warknąłem, wtłaczając siłę woli w mój głos, który odbił się echem od kamieni, drzew i wody. – Powalony wojownik, przyszły ojciec, ogłaszam go spętanym i skazanym na ciebie.

Za sobą usłyszałem urywany krzyk.

Uwolniłem swoją siłę woli, powtarzając formułę spętania po raz trzeci.

Demonreach zabrało się do pracy.

Nie dysponowałem mocą pozwalającą mi zrobić to, co uczynił genius loci. Energia, którą wlałem w zaklęcie, miała na celu uwolnienie części potęgi ducha. To przypominało przekręcenie klucza w ogromnym, sztywnym, opornym zamku. Z Demonreach nie mogą korzystać ci, którym brakuje siły umysłu albo pewności, a ja wolałbym zbyt często nie powtarzać wysiłku, jaki musiałem włożyć, by zbudzić wyspę do życia.

Kryształ zapłonął światłem. Zalało Thomasa z taką siłą, że zobaczyłem kości pod jego skórą.

A potem mój biedny sponiewierany brat zaczął wrzeszczeć. To był cienki, piskliwy krzyk. Kryło się w nim więcej emocji i cierpienia, niż jego ranne ciało było w stanie znieść. Ten dźwięk mnie rozdzierał, wywołując ból, na który nic nie mogła poradzić moc Zimy. Właśnie skazałem swojego brata na karę, jakiej sam nie odważyłbym się stawić czoła.

Thomas nie przestawał krzyczeć, a potężna sylwetka genius loci górowała nad nim.

W końcu wrzaski ucichły.

Światło zgasło.

Stałem samotnie na zimnych kamieniach.

W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą leżał ranny Thomas, pozostał tylko blado lśniący obłok zielonej mgiełki, która szybko się rozwiewała, wnikając w kamień i grunt Demonreach.

Zapadłem się w sobie, przykląknąłem na jedno kolano i wsparłem się rękami o ziemię.

Na gwiazdy i kamienie.

To, co uczyniłem... Nie miałem innego wyboru, zwłaszcza teraz.

Ale mój brat.

Usłyszałem pojedynczy niski krzyk, surowy i zbolący.

Odwróciłem się i zobaczyłem Larę, która zeskoczyła na nabrzeże i ruszyła w moją stronę z nadludzką szybkością, a w dłoni trzymała coś, co lśniło w blasku księżyca.

Lara Raith nie lubiła walczyć i właśnie to czyniło z niej tak śmiercionośną przeciwniczkę, gdy była do tego zmuszona. Kiedy szła z kimś na noże, nie pozwalała, żeby do głosu dochodziła duma. Jeśli postanowiła cię zabić, próbowała to zrobić jak najszybciej i jak najskuteczniej.

Na własne oczy widziałem, jak przeszła przez pole bitwy pełne starożytnych wojowników, uzbrojona wyłącznie w dwa długie noże. Nie tylko ich pokonała, ale sprawiła, że wyglądało to na łatwiznę. Była starsza od mojego brata i to ona nauczyła go walczyć. Thomas samotnie wszedł do fortecy ciemnych elfów i pomimo ochrony niemal zdołał zabić ich przywódcę. Lara była od niego szybsza, silniejsza i bardziej doświadczona.

A teraz mnie atakowała.

Rozumiałem ją. Uznałem, że to jedyne miejsce na świecie, gdzie Thomas będzie bezpieczny, ale gdyby znała szczegóły, na pewno by się ze mną spierała, gdybyśmy tylko znaleźli na to czas. Z jej perspektywy równie dobrze mogłem zdeintegrować jej brata. Na jej miejscu też wpadłbym w szal.

Zapewne nie zdawała sobie sprawy, że wybrała miejsce walki jeszcze gorzej niż Thomas.

Demonreach zbudował Merlin. Ten Merlin, oryginalny, od zamku Camelot i Excalibura. Złamał przy tym co najmniej jedno z Praw Magii, podróżując w czasie, by położyć fundament na tyle silny, by utrzymał nadprzyrodzony ciężar więzienia. Na skutek tego wyspa wręcz kipiała mocą, a jeśli ktoś znał rozmieszczenie systemów obronnych i wiedział, jak wiele trudu kosztowało uporządkowanie tej energii w użyteczne wzory, mógł ją wykorzystać do własnych potrzeb niemal za darmo.

Za plecami Lary Freydis wyskoczyła z łodzi na brzeg, by towarzyszyć swojej szefowej w walce.

Tylko że to nie była walka.

Nic z tych rzeczy.

Wykonałem pojedynczy gest, wysyczałem fragment słowa i wtedy miękki grunt pod stopami Lary gwałtownie się zapadł, a następnie uniósł, wyrzucając ją w powietrze. Upadła na ziemię, a zarośla i trawa natychmiast całkowicie ją pochłonęły.

Machnąłem prawą dłoń i sięgnąłem myślami po część oczekującej energii wyspy. Wtedy wysokie drzewo orzesznika, które górowało nad nabrzeżem, gwałtownie opadło niczym wściekły olbrzym i uderzyło potężną gałęzią o ziemię zaledwie metr przed Freydis. Siła uderzenia zwała ją z nóg, a mój kolejny gest sprawił, że drzewo trafiło walkirię i odrzuciło ją w wody jeziora.

Odwróciłem się i zobaczyłem, jak Lara wściekle próbuje wyrwać się z trawy i zarośli. Uniosłem dłonie i niewielkim wydatkiem siły woli sprawiłem, że ziemia pochłonęła ją aż po szyję.

Lara przez chwilę wściekle się broniła w całkowitej ciszy, a jej srebrne oczy jasno płonęły. W końcu zrozumiała, że jest w beznadziejnej sytuacji, ale potrzebowała na to znacznie więcej czasu niż ja. Przestała walczyć i znieruchomiała, a jej głowa wyglądała, jakby odcięto ją od posągu. Tylko jej oczy się poruszały, śledząc każdy mój ruch. Z jej oblicza zniknęła wszelka wesołość. Miałem wrażenie, że patrzę w ślepią wielkiego kota. I to rozwścieczonego.

– To nie było konieczne – odezwałem się, odwracając się, by sprawdzić, jak Freydis radzi sobie w wodzie.

W tym środowisku nie widziałem wszystkiego dokładnie, jakbym patrzył przez zamazaną szybę, co zapewne było spowodowane tym, że mój ludzki mózg próbował śledzić każdą cząsteczkę wody w okolicy.

Znalazłem Freydis w chwili, gdy odepchnęła się nogami od dna jeziora i popłynęła w stronę powierzchni, wzbudzając wiry siłą kończyn. Wyskoczyła z wody z takim impetem, że przeskoczyła reling Chrząszcza Wodnego i zderzyła się z Murphy na pokładzie.

– Nie! – krzyknąłem, przywołałem siłę woli i znów strzepnąłem dłońmi, a wtedy dwa drzewa pochyliły się w stronę łodzi przy wtórze groźnego trzeszczenia konarów.

Freydis była szybka jak diabli, a Murphy nawet nie próbowała z nią walczyć. Walkiria zbliżyła się do niej od tyłu i chwyciła ją w pasie i

za szyję. Wiedziałem, jak bardzo jest silna – mogłaby gołymi rękami zerwać ciało z szyi Murphy. Jej oczy płonęły lodowatym blaskiem.

– Cofnij się! – wrzasnęła.

Moc Demonreach była potężna i straszliwa, ale nie nadawała się do precyzyjnych celów. Powiniennem użyć czegoś, co zabije Freydis tak szybko, że ta nie zdąży zareagować, ale walkiria miała cholernie dobry refleks. Musiałbym celować gałęziami drzew (na litość boską, powiniennem był poćwiczyć wykorzystywanie drzew do miażdżenia) w cele stojące na podskakującej na wodzie platformie, a kilkucentymetrowa pomyłka mogła skończyć się śmiercią Murphy.

Dlatego się wycofałem, a prostujące się drzewa groźnie zajęczały.

– Czas na wymianę, seidmadr! – zawołała Freydis. – Twój zakładnik za mojego.

– Dlaczego miałbym to zrobić? – spytałem.

Freydis wzmocniła chwyt, a Murphy napięła się z bólu.

– To nie będzie jej ostatnia walka – odezwała się walkiria. – Chyba że zmusisz mnie, bym ją zabiła.

Murphy po prostu podniosła ręce. Rozległ się podwójny brzęk i dwa kawałki metalu z cichym pluskiem wpadły do wody po obu stronach łodzi.

To były zawlecзки. Żołnierze nazywają je łyżkami.

Murphy trzymała w dłoniach dwa odbezpieczone granaty.

Freydis wytrzeszczyła oczy.

– Odłamkowe – powiedziała Murphy spokojnie. – Twój ruch, suko.

Przez chwilę panowała lodowata cisza.

– Bogowie, ale z ciebie gorąca sztuka – odpowiedziała Freydis, po czym błyskawicznie zanurkowała za burtę i przebiła powierzchnię wody jak rzucona włócznia.

Murphy odwróciła się i cisnęła granaty do jeziora po drugiej stronie Chrzęszcza Wodnego. Jeden z nich musiała rzucić od dołu ze względu na ranną rękę. Wpadły do rzeki w odległości siedmiu albo ośmiu metrów od burty, a dwie sekundy później wybuchły i wyrzuciły fontannę wody na sześć metrów w powietrze.

Nie zwróciłem na to uwagi. Po wrzuceniu do wody granaty już nikomu nie zagrażały, więc skupiłem się na wypatrywaniu nieuchwytniej walkirii, aż w końcu ją zauważyłem.

Podniosłem głos i zawołałem w kierunku Freydis, która w ciszy dopłynęła do brzegu pod osłoną ciemności i gałęzi starej wierzby. Walkiria wyszła z wody, podniosła kamień i właśnie zamierzała ruszyć między drzewami i skałami, by zejść mnie od tyłu i roztrzaskać mi czaszkę.

– Hej, ruda! – zawołałem. – Twojemu klientowi nic się nie stało, więc nie ma potrzeby ze mną walczyć, a jeśli zmusisz mnie do wydania ostatnich pieniędzy na główszczyznę dla twojej szefowej, to naprawdę się wkurzę.

Zbita z tropu Freydis zatrzymała się w ciemności. Nie mogłem jej widać. Nie miałem szans zobaczyć jej z tego miejsca ani usłyszeć jej kroków. Ale kiedy stałem na powierzchni Demonreach, wyspa była przedłużeniem mojego ciała. Mógłbym podrzucić któryś z kamieni, odbić go od kilku drzew i spuścić na głowę walkirii.

Czasami czyny są głośniejsze od słów. Uniosłem dłoń i zmusiłem powierzchnię wyspy do współpracy, a Freydis w jednej chwili zapadła się po pas w ziemi. Usłyszałem jej zduszony okrzyk.

– Widzisz?! – zawołałem. – To po prostu... fatalny pomysł. Paskudny. Oczywiście dla ciebie. Może zamiast tego pogadamy.

– Laro? – wydyszała Freydis.

Popatrzyłem na Larę i ze zniecierpliwieniem machnąłem ręką.

– Daj spokój.

– Żyję – odpowiedziała Lara. Potem popatrzyła na mnie i rzuciła:
– Zdrajca.

– Ejże – zaoponowałem, unosząc palec. – To nie ja rzuciłem się na ciebie z nożem.

– Co z nim zrobiłeś? – spytała Lara lodowatym, rzeczowym tonem.

Już kiedyś słyszałem ten ton. Kiedy musiałem postraszyć pewną wampirycę imieniem Bianca. Do tamtej chwili nasza rywalizacja przebiegała w przyjaznej atmosferze. Wszystko się zmieniło, gdy przeze mnie poczuła się bezbronna. Wtedy sprawy się skomplikowały.

A teraz historia się powtarzała.

Tylko że Lara była sprytniejsza, silniejsza i o wiele bardziej niebezpieczna niż Bianka, nawet w jej najśmielszych marzeniach.

To była jedna z tych sytuacji, w których warto zrobić użytek ze słów.

Podszedłem do Lary i przysiadłem obok niej.

– Zrobiłem dokładnie to, co obiecałem. On jest bezpieczny. Tutaj nie znajdzie go zakłęcie namierzające. Jego demon go nie skrzywdzi. Ciemne elfy go nie dopadną. Udało nam się.

– Chcę go zobaczyć – syknęła Lara. – Chcę z nim porozmawiać.

Potałem oczy.

– Nie możesz. – Zmarszczyłem czoło i połączyłem się myślami z wyspą.

Poczułem to, co czuł mój brat. Czyli niewiele. Docierały do mnie dalekie echa bólu, ale Thomas zatopił się w otępieniu i zmęczeniu. Fizyczne bodźce przytłoczyły jego umysł, więc teraz szukał schronienia w zapomnieniu.

– Jest... nieprzytomny – wyjaśniłem.

Zapatrzyła się w dal, nie chcąc podnieść na mnie wzroku.

– Nieprzytomny?

– Został zamknięty w jednej z cel – odrzekłem. – Nic mu nie grozi, ale nie może się wydostać. A w tej chwili jest wyczerpany. Odpoczywa.

– Nic nie wspomniałeś o zamknięciu go w celi.

– Mówiłem, że będzie musiał tutaj zostać.

Lara roześmiała się gorzko.

– Rzeczywiście. No i dotrzymałeś słowa. A ja sądziłam, że zostałeś sługą Mab za sprawą pecha, a nie uzdolnień.

Skrzywiłem się na te słowa.

Au...

– Chyba już udowodniłeś, co miałeś do udowodnienia, Dresden – odezwała się Lara oschle. – Obecny układ sił nie jest mi na rękę. Czy to naprawdę konieczne, żeby trzymać mnie w tej... pozycji?

– Dasz sobie spokój z zabawą nożami? – spytałem.

– Jestem gotowa racjonalnie negocjować – odrzekła.

Zerknąłem na nią, ale jej twarz pokerzysty najwyraźniej była znacznie skuteczniejsza niż moja.

– Dobrze. – Cofnąłem się i machnąłem ręką.

Grunt odsunął się od niej i bez żadnego wysiłku ze swojej strony stanęła na własnych nogach. Kiedy uwolniła prawą rękę, podniosła mały nożyk, który ukrywała... gdzieś. Schowała go do pochwy, którą trzymała w drugiej dłoni, a następnie rzuciła na ziemię między nami.

– Dziękuję – odezwała się sztywno. – Byłabym wdzięczna, gdybyśmy od tej chwili rozmawiali ze sobą szczerze.

– Jasne – odrzekłem.

– Czego chcesz? – spytała.

– Ale w jakiej sprawie?

– Nie bądź taki skromny, Dresden – skarciła mnie Lara. – Trzymasz w dłoni życie mojego brata. Jaka jest twoja cena?

Uniosłem brwi.

– Zaraz... myślisz, że... O rany.

Przekrzywiła głowę.

– Laro, posłuchaj – ciągnąłem. – Powoli zaczynam sobie uświadamiać pewne sprawy, ale... masz o mnie zbyt wysokie mniemanie, przynajmniej według swoich standardów. Ja nie gram w tę grę w taki sposób.

– Galeria wrogów, których pokonałeś, świadczy o czymś innym, magu.

– Owszem, gram ostro, ale czysto – odrzekłem. – A przynajmniej nie sprzedaję własnego brata dla zysku.

– Nie jesteś idealistą, Dresden – odparła z surowym uśmiechem.

– Jesteś gotów popełnić ludobójstwo, jeśli uznasz, że to właściwe.

– A żebyś wiedziała – odpowiedziałem, ponieważ trudno dyskutować z empirycznymi dowodami. – Ale gdyby był ze mnie taki bezwzględny gość, nie opuściłabyś tej wyspy o zdrowych zmysłach. A być może wcale.

Lara zmrużyła oczy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Załamłem rękę.

– Na dzwony piekieł, Laro. Gdybym chciał cię skrzywdzić, mógłbym to zrobić nawet w tej chwili. Stoisz w niewłaściwym

miejscu, mam przewagę i gdybym zapragnął wywinać ci jakiś numer, nie miałabyś szans mnie powstrzymać.

– Zdaję sobie z tego sprawę. – Trudno o bardziej lodowate słowa niż te, które wyszły z jej ust.

– Nie! – zachnąłem się. – Nie chcę... Ach! Posłuchaj, nie mówię tego po to, żeby cię do czegoś zmusić. Pokazuję ci, że mogę to zrobić, ale nie zrobię, ponieważ... w miarę możliwości staram się nie zachowywać jak dupek.

Lara zmarszczyła czoło.

– Co takiego?

– Wiem, że nie idziesz na kompromisy, taka jest twoja natura – odrzekłem. – Ale zarazem rozumiesz wartość rodziny.

Przekrzywiła głowę i spochmumiała.

– Co masz na myśli?

– Thomas jest również moją rodziną – odpowiedziałem. – Nie zrobię niczego, co by mu zaszkodziło. Eee, przynajmniej nigdy więcej. A jeśli będzie mnie potrzebował, może na mnie liczyć.

– A jeżeli coś ci się stanie, czeka go straszliwy los, prawda? – mruknęła z namysłem.

– Nie straszliwy – odrzekłem. – Po prostu... nicość.

Chyba że kolejny Strażnik postanowi go uwolnić. Jeszcze nie skończyłem robić przeglądu więźniów na wyspie. Na Demonreach korzystano z parapsychoicznego archiwum. Każdego więźnia trzeba było osobiście zobaczyć. Po pierwszym tuzinie przez kilka tygodni nie mogłem się pozbyć koszmarów, a nie mam natury masochisty.

– Został tutaj uwięziony na zawsze – odezwała się Lara.

– Nie. Jest tutaj bezpieczny, dopóki nie znajdziemy dla niego lekarstwa – odparłem.

Patrzyła na mnie beznamiętnym wzrokiem.

– A przy okazji tak się składa, że jeśli chcę go uratować, muszę zadbać o twoje bezpieczeństwo.

Wcale tego nie planowałem.

Ale... według standardów Lary właśnie to zrobiłem.

Dobre chęci nie zawsze dają pożądane skutki. Nie powstrzymują krwawienia ani nie usuwają blizn.

Ani nie leczą rannych braci.

Kurczę. Nie tak to zaplanowałem.

A może jednak? Może zbyt dużo czasu spędzałem z Mab.

– Laro – odezwałem się zmęczonym głosem. – Masz rację, tak to może wyglądać. Możemy roztrząsać przez całą noc, jak do tego doszło, ale przyrzekam ci, że nie robię tego po to, by przejąć nad tobą kontrolę. Czy miałaś do czynienia z kimkolwiek, kto bardziej się wzbraniał przed... wywieraniem na ciebie wpływu?

Przez dobrą minutę przyglądała mi się z nieodgadnioną miną.

– Na pustą noc, magu. Albo jesteś szczery, a wtedy... – Pokręciła głową zbita z tropu. – W ogóle cię nie rozumiem. Albo jesteś człowiekiem zdolnym do tego, by wykorzystać nieszczęście i potencjalnie śmierć własnego brata, by osiągnąć swój cel, a jednocześnie sprawić, by twoim działaniom nie dało się nic zarzucić od strony moralnej. Jeżeli tak, to chyba... podziwiam twoje zdolności planowania.

– Chyba rzeczywiście można na to patrzeć z dwóch stron – przyznałem.

Uniosła brew.

– Zapisz to w swojej czarnej książeczce i zapamiętaj, ponieważ zaatakowałem cię podstępnie, gdy poprosiłaś mnie o pomoc, na którą zresztą zasłużyłaś. A ja zamiast jej udzielić, próbowałem zyskać nad tobą przewagę.

– Można i tak powiedzieć – przyznała Lara.

– Albo możesz uznać, że to, co się stało, to zbieg okoliczności, a one bywają obłudne, zwłaszcza w tak wariackiej branży jak nasza. Oboje improwizujemy, starając się podejmować jak najlepsze decyzje. Oboje stale oglądamy się przez ramię, żeby obronić się przed zdradzieckimi ciosami. A ta podejrzliwość sprawia, że nawet nieświadomie szukamy dla siebie zabezpieczeń.

W jej oczach na chwilę rozbłysło niechętnie zrozumienie. Parsknęła przez nos.

– A więc zgadzasz się ze staruszką – powiedziała. – Postanowiłeś być bardzo cwana żabą i nie dać się przechytrzyć skorpionowi.

– Szanuję twoje zdolności, Laro – odpowiedziałem cicho. – Jesteś jedną z moich ulubionych wrogich przyjaciółek. Ale jeśli oboje

chcemy przetrwać, musimy zostawić za sobą przynajmniej część tych zaszłości.

Zaśmiała się oschle.

– Zatem oczekuję podobnej tolerancji z twojej strony, gdy pewnego dnia będę miała nad tobą przewagę.

Skrzywiłem się, słysząc ton jej głosu. Był surowy i bezlitosny.

Z pewnością potrafiłbym wymyślić wiele paskudnych rzeczy, które mógłbym wyrządzić Larze Raith i które nie zrobiłyby na niej żadnego wrażenia. Ale zmuszenie jej do uznania własnej bezsilności nie znajdowało się na tej liście.

Wolałem nie myśleć o tym, co by się stało, gdyby to ona zyskała nade mną przewagę. Przynajmniej z dwóch powodów.

– To uczciwy układ. – Westchnąłem. – Kiedy przyjdzie kolej na mnie, przyjmę to z godnością. Ale posłuchaj: dostałaś to, czego chciałaś. Nasz brat jest bezpieczny. Ukryłem go przed zakłęciami tropiącymi, a dopóki tutaj gości, jego stan się nie pogorszy. Owszem, będziesz musiała mnie bronić, dopóki nie uda nam się go stąd wydostać, ale skoro Mab i tak każe mi dbać o twoje bezpieczeństwo, nie powinno to być dla ciebie aż tak uciążliwe. A zresztą mamy teraz większe kłopoty. Przeżyjmy tę noc, a jutro zajmiemy się Thomasem. Zgoda?

Przez kolejną minutę wpatrywała się we mnie obojętnie, a potem pokręciła głową i odgarnęła ciemne włosy z oczu.

– Dobrze – powiedziała. – Niech będzie. Mówisz z sensem. Mamy większe problemy, którymi musimy się zająć w pierwszej kolejności. Przyjmuję twoje warunki. Masz moje słowo.

– Dziękuję – odrzekłem.

Podniosła swój nóż i odwróciła się ode mnie.

– A po wszystkim, moim pierwszym zadaniem będzie wyrównanie rachunków między nami – dodała, kierując się w stronę łodzi. – Zaczynając od mojej strażniczki. Uwolnij ją, proszę.

Machnąłem ręką, mrużąc coś pod nosem, a Freydis wydostała się z dziury, do której ją wrzuciłem. Rudowłosa walkiria wyłoniła się z cienia. Podeszła do Lary, sprawdzając, czy jej klientka jest cała, a potem posłała mi ostrożne spojrzenie, jakie ludzie zazwyczaj rezerwują dla niebezpiecznych zwierząt.

– A zatem wrócimy do miasta? – spytała Lara. Jej głos znów stał się gładki jak aksamit, ale pod powierzchnią wyczuwałem ostre krawędzie.

Wspaniale. Właśnie tego było mi trzeba. Chciałem zapewnić motywację ludziom takim jak Lara.

– Wchodźcie na pokład – powiedziałem. – Muszę jeszcze zabrać parę rzeczy. Odpływamy za pięć minut.

Lara sztywno pokiwała głową i odeszła w stronę łodzi. Lekko utykała i była cała ubłocona. Odprowadziłem ją wzrokiem.

– MAM PRZYGOTOWAĆ DLA NIEJ KOLEJNĄ CELEŃ?

Odwróciłem się i zobaczyłem, że duch wyspy spogląda mi przez ramię. Nie wyczułem, kiedy się zbliżył.

To mnie trochę... zmartwiło. W końcu moja świadomość wyspy powinna nie mieć granic. Wystarczyło, żebym lekko się skupił, a mogłem się dowiedzieć, ile mrówek żyje na Demonreach, ile lata nad nią ptaków, ile ryb pływa u jej brzegów. Ale nie mogłem dowiedzieć się więcej o mieszkańcach cel, dopóki nie połączyłem się myślami z magicznym archiwum i nie doświadczyłem, do pewnego stopnia, wszystkiego, co zrobili. Poza tym nie wyczuwałem Alfreda ani jego mchów. Duch po prostu pojawiał się zawsze, gdy go wzywałem.

Przez cały czas zakładałem, że musi.

Jednakże Alfred najwidoczniej był zdolny coś przede mną ukryć. Potrafił chociażby maskować swoją obecność na wyspie. Umiał także tłumić przerażenie więźniów, by nie wpływało negatywnie na moją psychikę.

Dlatego zacząłem się zastanawiać, co jeszcze ukrywa Demonreach.

– To nie będzie konieczne – mruknąłem. – Alfredzie, jak duże istoty można zamknąć w celach?

– ROZMIAR FIZYCZNY NIE JEST ISTOTNY – odpowiedział duch. – CO INNEGO METAFIZYCZNA MASA. – Zielone oczy istoty nagle dziko rozbłysły. – OSTATNIA TYTANKA SIĘ ZBLIŻA.

– Tak – odrzekłem. – Zdołasz ją utrzymać?

– JEŚLI UDA CI SIĘ WYKONAĆ RYTUAŁ SPĘTANIA, TO TAK – odpowiedział Alfred.

– Gdzie musimy być, żeby jej dosięgnąć? – spytałem.

– JESTEM STRAŻNIKIEM WIĘZIENNYM, NIE ŁOWCĄ NAGRÓD – odparł. – BYĆ MOŻE NAD BRZEGIEM JEZIORA... JEŚLI UŻYJESZ ATHAME ZE ZBROJOWNI.

Athame to magiczne narzędzie – coś jak różdżka, tylko w postaci noża. Potężny przedmiot wykorzystywany w rytualnej magii.

Trzymałem jedną sztukę w zbrojowni. Ukradłem ją ze skarbcza Boga Podziemnego Świata, gdzie leżała na tej samej półce co Całun i Korona Cierniowa. Jeśli athame rzeczywiście było tym, czym się wydawało, to użycie go mogło mnie wpakować w poważne tarapaty.

Ale jeżeli burza, która zbliżała się do Chicago, rzeczywiście była tak niebezpieczna, głupotą byłoby go nie użyć.

– Nad brzegiem, co? – odezwałem się. – No dobrze. Przynieś mi nóż. Oraz kryształ spętania. No i tabliczkę.

– CHCESZ UŻYĆ DWÓCH BRONI?

Alfred sprawiał wrażenie... lekko zaniepokojonego.

O takim kalibrze broni mówiliśmy.

– Jasne – odrzekłem buńczucznym tonem. – W końcu to tylko połowa arsenału. A kiedy odpłynę, uruchom wszystkie systemy obronne wyspy. Nic nie może się tutaj dostać ani stąd uciec. Zrozumiano?

– ZROZUMIANO, STRAŻNIKU – odrzekła istota z ukłonem.

– Świetnie. A teraz biegnij po moje zabawki, Alfredzie. Czeka mnie długa noc.

Kiedy wróciłem na łódź, Karrin siedziała na stołku na dachu kabiny. Jej P90, osobista broń, która była nieślubnym dzieckiem karabinu szturmowego i pudełka belgijskich czekoladek, leżała na relingu z lufą skierowaną w stronę miejsca, w którym przed chwilą prowadziłem negocjacje.

Sprawdziłem. Karrin miała doskonały widok na mnie i Larę, a także na miejsce, w którym Freydis wyszła z wody.

– Miałaś je obie na oku, co? – spytałem.

Wzruszyła ramionami.

– Wiem, kto jest moim przyjacielem.

– Ale nie strzeliłaś.

Skrzyżowała ręce na piersi, jakby pod wpływem zimna.

– Wiem też, kto jest moim wrogiem. – Zerknęła w stronę pokładu, pod którym Lara i Freydis zmywały z siebie błoto i zmieniały ubranie. Niektóre z ciuchów należały do Thomasa i zapewne nie do końca na nie pasowały. – Lara jest zmęczona, wystraszona i polega na instynkcie – ciągnęła Karrin. – W przeciwnym razie nigdy by cię nie zaatakowała w ten sposób.

Przez chwilę się jej przyglądałem.

– Lubisz ją – skwitowałem ze zdziwieniem.

– Przeraza mnie – odpowiedziała spokojnie. – Ale darzę ją pewną dozą szacunku. Kiedy pracowałyśmy razem w Stowarzyszeniu Jaśniejszej Przyszłości, zawsze wywiązywała się z obowiązków i dotrzymywała słowa. To niemało.

– Masz rację – przyznałem. Uruchomiłem silnik łodzi, żeby jego ryk zagłuszył naszą rozmowę. Wampiry mają doskonały słuch. – A więc mam w niej wroga.

Karrin parsknęła.

– Być może. Ale widziałam waszą konfrontację. Pokonałeś ją, lecz okazałeś jej szacunek. Nie jest małostkowa jak większość nadprzyrodzonych istot, które znam. Może postanowi machnąć na to ręką. – Wzruszyła ramionami. – A jeśli będzie chciała walczyć, to stawimy jej czoło.

– To była wyjątkowa i stresująca sytuacja. – odrzekłem. – Jestem pewien, że jeśli Lara w przyszłości zechce się z nami zmierzyć, tak wszystko zorganizuje, żebyśmy nie mieli szans na reakcję.

Karrin zwróciła na mnie lśniąca niebieskie oczy.

– Więc co? Chcesz ją zabić na miejscu i wrzucić do jeziora?

– Oczywiście, że nie – odparłem z rozdrażnieniem.

– Więc przestań ze wszystkiego robić problem. Albo walcz z nią od razu, albo zaakceptuj fakt, że rezygnując z tego, zapewniasz jej przewagę. Tak czy inaczej, narzekanie w niczym ci nie pomoże.

– Jeśli wyrzucą mnie z Rady, nic jej nie powstrzyma przed rzuceniem mi się do gardła – zauważyłem.

Karrin parsknęła.

– Oprócz Mab.

Zacisnąłem usta.

– To prawda. Szczerze mówiąc, spodziewałem się, że pewnego dnia zginę z ręki Mab, ale czułem, że dopóki nie stracę życia w jej służbie, rola oficjalnego Osilka Zimy zapewnia mi przewagę. Byłem niezłą szychą. Każdy, kto zechciałby mnie dopaść, nie licząc zakulisowych spisków, musiałby podjąć nie lada ryzyko, a nawet gdyby wszystko idealnie zorganizował, pozbył się ciała i uniknął mojej klątwy, Królowa Zimy w końcu i tak by go znalazła.

Nikt nie miał ochoty narażać się przedstawicielom Zimy, a tym bardziej sidhe, która rządziła pozostałymi drapieżnymi elfami za pomocą czystej niegodziwości i mocy. Reputacja Mab i siła jej osobowości doprowadziły do podpisania Porozumienia.

Mab nie była serdeczną ani łagodną szefową, ale nigdy mnie nie zdradziła.

Kiedy coś obiecywała, zamierzała dotrzymać słowa i każdy o tym wiedział.

Najwyraźniej każdy poza Ethniu.

Raz za razem obracałem w dłoniach kryształ spętania. Miał około piętnastu centymetrów długości, kilka centymetrów grubości i jaśniał bardzo delikatnym światłem, które można było dostrzec tylko kątem oka.

– Takiego samego użyłeś na Thomasie? – spytała Murph.

– Tak.

– Myślisz, że uda ci się uwięzić w ten sposób tytanekę?

– Jasne – skłamałem.

Splunęła za burtę łodzi i popatrzyła na mnie znacząco.

Skrzywiłem się.

– Spętanie to niełatwa sprawa. Przeciwstawiasz swoją wolę istocie, którą chcesz uwięzić. Jeśli twoja wola jest silniejsza, istota zostaje spętana. Jeśli nie...

– Przybywa, żeby cię zabić?

– I tak miała taki zamiar – zauważyłem.

Karrin przekrzywiła głowę, przyznając mi rację.

– Więc masz silniejszą głowę od Thomasa?

– Nie był w najlepszym stanie. – Z namysłem przygryzłem wargę.

– Miał za sobą bardzo długi dzień.

Karrin pokiwała głową.

– Zadałeś mu ból, umieszczając go w lochu, prawda?

– Być może jeszcze nigdy tak nie cierpiał – przyznałem. – Ale nie miałem innego wyjścia.

– Matko Boska. – Podniosła na mnie wzrok, a potem zapatrzyła się w ciemność. – Przykro mi, że musiałeś to zrobić.

– Mnie to nie bolało.

– Jasne. Co się stanie z Thomasem, jeśli nie wyjdiesz żywy z tej walki?

– Zostanie tutaj – odrzekłem. – Zapewne na dobre.

– Harry, musisz być ze mną szczerzy. Czy da się go uzdrowić? A może tylko kupujesz mu trochę czasu?

Wzruszyłem ramionami i pokręciłem głową.

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

– Hej, muszę improwizować. – Pomyślałem o swoim bracie, uwięzionym na wieczność w kryształowym więzieniu. A także o Justine i dziecku, całkiem samych. – Ale nie mam wyboru.

Wypuściła powietrze przez zaciśnięte zęby i pokiwała głową.

– Nie masz.

Łódka miarowo płynęła w stronę miasta. Oboje staliśmy i patrzyliśmy na nie, czując rosnące napięcie.

Karrin wzięła mnie za rękę.

W mieście paliły się światła, chociaż dostrzegliśmy je dopiero, gdy zbliżyliśmy się do brzegu – to były świece w oknach. Zobaczyliśmy także większe płomienie – być może płonące kosze na śmieci.

Pogrążone w ciszy i mroku miasto było nienaturalnie nieruchome. Czekają.

Gdzieś tam spała moja córka z Myszkiem pod stopami.

Pomyślałem o ohydnych szkarłatnym blasku Oka, które rozdarło fortecę Marcone'a.

– To... – Westchnąłem. – To dla mnie za poważna sprawa.

– Co masz na myśli? – spytała.

– To za poważna sprawa – powtórzyłem. – Tym razem nie da się tego wytłumaczyć chaosem wojennej zawieruchy. Albo zwalić wszystkiego na karb dziwactw jakiegoś prywatnego detektywa. To Chicago. Ethniu i król Corb nawet się z tym nie kryją. Taka krwawa jatka... nie pozostanie niezauważona.

– Ludzie będą przerażeni – odrzekła Murphy.

– I postanowią zniszczyć to, co ich przeraża, W porównaniu z tym, co nas czeka, hiszpańska Inkwizycja to dziecinna zabawa.

Murphy zadrżała.

– Jeśli Ethniu i Corbowi się uda, wybuchnie wojna między śmiertelnikami a nadprzyrodzonym światem.

Wbiłem wzrok w upiorny pejzaż mojego pogrążonego w mroku miasta.

– Tak – warknąłem. – Jeśli.

Dałem „cała naprzód“.

Spis treści

<u>1</u>
<u>2</u>
<u>3</u>
<u>4</u>
<u>5</u>
<u>6</u>
<u>7</u>
<u>8</u>
<u>9</u>
<u>10</u>
<u>11</u>
<u>12</u>
<u>13</u>
<u>14</u>
<u>15</u>
<u>16</u>
<u>17</u>
<u>18</u>
<u>19</u>
<u>20</u>
<u>21</u>
<u>22</u>
<u>23</u>
<u>24</u>
<u>25</u>
<u>26</u>
<u>27</u>
<u>28</u>
<u>29</u>
<u>30</u>
<u>31</u>
<u>32</u>
<u>33</u>

34

35

36